



SETNA KRÓLOWA

Emily R. King

Young

SETNA KRÓLOWA

Emily R. King

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło

The logo for the publisher 'Young' is written in a cursive, handwritten-style font. The word 'Young' is the central element, with a small decorative flourish or leaf-like shape to its left.



JOHNWI...



OD AUTORKI

Parijana, religia Imperium Tarachandu, to fikcyjny system wierzeń wywodzący się z mitologii sumeryjskiej. Niemniej ani Tarachand, ani parijana nie odzwierciedlają żadnego konkretnego okresu historycznego, państwa czy wyznania. Wszelkie inne nawiązania do istniejących systemów religijnych i politycznych są przypadkowe, a podobieństwo do rzeczywistych osób i wydarzeń jest niezamierzone.



Ośnieżone szczyty gór zdają się rozszarpywać szare niebo jak kły rosomaka. Zimny wiatr kąsa moje odkryte policzki i dłonie. Oszroniony dziedziniec świątynny opustoszał i ze wszystkich córek i sióstr, które tu mieszkają, zostałyśmy na nim tylko ja i moja najlepsza przyjaciółka.

– Uderz mnie tutaj – mówi Jaya, wskazując na swoją szyję.

Marszczę brwi i mocniej zaciskam palce na bambusowym kiju.

– Robiłam to tysiąc razy – uspokaja mnie. – Zaufaj mi, Kalindo.

Jaya jest jedyną córką w świątyni, której naprawdę ufam, więc robię szeroki zamach i celuję w jej żyłę szyjną. Odpiera atak, chwytając kij obiema rękami i gwałtownie ciągnąc go ku sobie, a wraz z nim także mnie, bo wciąż trzymam za jego drugi koniec. Kolejnym szarpnięciem, tym razem w górę, wrywa mi broń i zadaje cios dłuższą częścią kija. Bambus łąduje z głuchym trzaskiem na moich łopatkach, a ja padam na kolana w śnieg.

Jaya się prostuje. Jest niższa ode mnie o głowę.

– Trzeba było puścić.

Zgrzytam zębami. Jaya wcale się nie chełpi. Wie, że muszę opanować ten manewr – jeden z kilku, które już dawno powinnam znać, i pewnie by tak było, gdybym przez kilka lat nie leżała złożona chorobą. Teraz już wydobrzałam, choć moje umiejętności zdają się temu przeczyć.

Podnoszę się z klęczek, czując piekący ból w plecach, choć bardziej ucierpiała moja duma.

– Jeszcze raz.

Jaya podaje mi kij i pociera dłonie, żeby je rozgrzać. W poprzednich wcieleniach musiałam się nadzwyczajnie przysłużyć bogom, skoro nagrodzili mnie taką przyjaciółką. Na moją prośbę gotowa jest stać na mrozie, znosząc srogą zimową aurę gór Alpanów.

Jeszcze raz się na nią zamierzam, a ona bez najmniejszego wahania chwyta za kij i szarpie ku sobie. Nie puszczam, więc teraz trzymamy go obie, stojąc naprzeciwko siebie, a nasze srebrzyste oddechy zderzają się ze sobą w lodowatym powietrzu. W głowie mam pustkę. Pamiętam swój ostatni rysunek i ostatnią przeczytaną książkę, ale nie mogę sobie przypomnieć, co powinnam teraz zrobić.

– Szybko przekręć i pociągnij – podpowiada Jaya.

Błyskawicznie obracam kijem, wykręcając nadgarstki Jayi, która musi wypuścić go z rąk. Wreszcie zyskuję przewagę. Uderzam krótszą częścią kija w jej klatkę piersiową. Siła ciosu odrzuca Jayę do tyłu. Traci równowagę, pośliznąwszy się na zamrożonej kałuży, ale zanim upada, chwytam ją za ramię.

– Wybacz – mówię. – Powinnam była cię ostrzec.

– Postąpiłabym tak samo. – Kącik jej ust unosi się lekko. – Ale pozwoliłabym ci upaść.

I słusznie. Nie mogę być nieprzygotowana do jutrzejszych prób kunsztu, żeby nie wyśmiały mnie przeciwniczki na arenie. Wystarczającym upokorzeniem był trening z młodszymi, początkującymi dziewczętami, które w dodatku mnie pokonały. W końcu dwa dni temu wygrałam walkę i przeszłam do własnej grupy wiekowej, ale wciąż jestem niedoświadczona w porównaniu z innymi osiemnastolatkami.

Grzbietem dłoni ocieram czoło – na szczęście chłodne. Czuję się lepiej,

odkąd uzdrowicielka Baka sporządziła tonik obniżający moją chroniczną gorączkę, ale muszę nadrobić sporo straconego czasu i dowieść swoich umiejętności.

– Jeszcze jedna runda? – pytam.

Jaya odsuwa hebanowe włosy z oczu i odbiera mi kij.

– Tym razem przekonajmy się, czy tobie uda się powstrzymać mnie – mówi.

Przyjmuję jej wyzwanie z szerokim uśmiechem. Jaya dobrze wie, że techniki obronne są moją mocną stroną. Próbuje podnieść mnie na duchu i za to właśnie, o święci bogowie, tak bardzo ją kocham. Nagle za wysokim kamiennym murem świątyni rozlega się jakiś hurkot, jakby ktoś kruszył skały. Zamieramy w bezruchu i nadstawiamy uszu.

Jaya wlepia we mnie wzrok.

– Wozy.

Mówiąc o wozach, ma na myśli gości, a dokładniej – mężczyzn. Wsłuchuję się uważniej w odgłosy zwiastujące ich nadejście. Płec męską otacza wiele tajemnic, lecz we mnie wzbiera raczej ciekawość niż obawa. Łapię za procę i ruszam w stronę bramy.

– Kali, zaczekaj! – Jaya ciągnie mnie do tyłu. – Sama nie możesz wyjść.

– Więc chodź ze mną.

Przygryza dolną wargę. Rzucam okiem na bramę. Nie mamy zbyt wiele czasu. Siostry spostrzegą naszą nieobecność i przyjdą nas szukać. Świątynię zbudowano bez okien, co miało pomóc w przetrwaniu długich zim i służyć ochronie naszej niewinności – lub trzymaniu nas w nieświadomości. Właśnie nadarzała się pierwsza, a może i jedyna szansa, aby choć zerknąć na przybyszów.

Spojrzenie Jayi mknie ku bramie.

– Dobrze. Ale szybko.

Z rozmachem otwieramy furtkę i wybiegamy na wychodnię, z której widać drogę – jedyną, jaka prowadzi do świątyni Samiya. Przykucamy nisko, chowając się w zaroślach. Ja drzę z podniecenia, a Jaya z zimna, bo wieje lodowaty wiatr. Miarowe terkotanie staje się coraz głośniejsze. Na wszelki wypadek wkładam kamień do procy. Siostry ostrzegały nas przed bhutami, kryjącymi się w pobliskich jaskiniach. Nikt jeszcze nie widział tych upiorów o mrocznych mocach, ale wolę być przygotowana.

Na horyzoncie pojawia się karawana z prowiantem – sznur ciągniętych przez konie wozów wyładowanych towarami. Z głodu burczy mi w brzuchu. Od ostatniej dostawy świeżej żywności upłynęły trzy miesiące.

Jaya szturcha mnie łokciem.

– Kali, spójrz.

Pozłacany kryty powóz zaprzężony w jasne konie wlecze się drogą pod górę. To najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek miałam przed oczami, a mimo to przeszywa mnie nagły dreszcz. Nie ma wątpliwości, kto podróżuje tym zaprzęgiem. Do Samiyi przybywa ktoś z elity imperium, a benefaktorzy* pokonują drogę z doliny tylko w jednym celu. Aby dokonać Powołania.

Jaya robi tak nachmurzoną minę, że na jej dolnej wardze mógłby wylądować żuraw. Ja wychowywałam się w Siostrzeństwie Parijany od niemowlęctwa, ale ją przywieziono do świątyni jako ośmiolatkę. Kiedy opowiedziała mi o swoim wcześniejszym, strasznym życiu, nie mogłam się uspokoić przez parę następnych dni.

Naszym oczom ukazuje się kilku jeźdźców. Serce bije mi mocniej. Najwyraźniej widać żołnierza jadącego na przedzie; ma długie nogi, wąskie biodra i potężną klatkę piersiową. To pierwszy mężczyzna, jakiego widzę na własne oczy. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Fascynuje mnie bardziej niż malowidła na ścianach kaplicy przedstawiające Anu, boga niebios, i jego syna Enlila, boga ognia. Chcę mu się przyjrzeć z bliska.

Trzymając procę w pogotowiu, podnoszę się, żeby mieć lepszy widok, a wtedy dostrzega mnie kapłanka Mita, nasza przełożona, i natychmiast nas

ku sobie przywołuje. Jaya rusza niezwłocznie, a ja się ociągam z nadzieją, że zdołam rzucić jeszcze jedno spojrzenie na żołnierza-dowódcę, ale już mi się nie udaje dostrzec jego twarzy.

– Kalindo – cedzi przez zęby kapłanka.

Spieszę na dziedziniec. Jaya sięga po dwie donice z roślinami, które wyniosła na słońce, i każdą z nich przyciska jedną ręką do boku. Kapłanka Mita ponagla nas i kieruje w stronę ciemnego wejścia do świątyni. Smużki dymu unoszą się znad kadzidełek, które zawsze palą się w korytarzu, aby stłumić zapach stęchlizny. Przełożona podaje nam zapalone lampy naftowe.

– Co robiłyście za murami? – Władczość tej niskiej, przygarbionej kobiety mogłaby wstrząsnąć górą.

Stawiam czoło jej nachmurzonej minie.

– Jaya pomagała mi się przygotować do jutrzejszych prób kunsztu.

– Co zobaczyłyście na drodze?

– Nic.

Widzę, jak nozdrza jej się rozszerzają.

– Czy to prawda, Jayu?

Jaya spuszcza wzrok.

– Tak, kapłanko.

Wzrok kobiety łagodnieje. Bardziej wierzy Jayi niż mnie. W zeszłym roku przyłapała mnie, gdy zakradłam się do północnej wieży. Miałam już dość ciągłego leżenia w łóżku i często wymykałam się do zakazanego obserwatorium, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wchodziłam tam na paluszkach od lat, aż pewnej nocy przydybała mnie na klatce schodowej. Od tamtej pory wieża jest zamknięta na cztery spusty, a w niej – zaufanie Mity do mnie.

– Jayu, idź na wieczerzę – rozkazuje kapłanka.

Moja przyjaciółka posyła mi niepewne spojrzenie i odchodzi korytarzem, oświetlając sobie drogę lampą.

Kapłanka Mita świdruje mnie spojrzeniem.

– Wiesz przecież, że nie należy opuszczać murów świątyni, Kalindo – beszta mnie, po czym dodaje ostrożniejszym tonem: – Czy jesteś zadowolona z pobytu tutaj?

– Tak, kapłanko.

To mój dom. Wspięłabym się na najwyższy szczyt Alpanów, aby go chronić, ale gdyby tylko nadarzyła się okazja, zrobiłabym to samo, żeby raz jeszcze spojrzeć na tamtego żołnierza. Odsuwam lampę od twarzy, chcąc ukryć rumieniec.

Kapłanka Mita cmoka językiem.

– Skup się na lekcjach, swoich siostrach i modlitwach. Którą z pięciu boskich cnót bogowie cenią najwyżej?

– Posłuszeństwo – mamroczę. Nie dodaję, że wątpię, aby bogowie życzyli sobie całkowicie pozbawić nas możliwości wyboru. A jednak, jeśli chodzi o Powołanie, żadna z nas nie ma nic do powiedzenia.

– Lepiej pamiętaj, gdzie twoje miejsce – kończy i przegania mnie gestem, a sama się oddala, aby powitać przybyłych.

Wpatruję się w zamknięte drzwi wiodące do świątyni. Mogłabym je lekko uchylić i po raz ostatni zerknąć na mężczyzn, ale wiem, jakie miałam szczęście, że kapłanka Mita mnie nie ukarała. Nie chcę jej prowokować.

Oświetlam sobie drogę do jadalni. Moje kroki niosą się echem po korytarzach świątyni, w której naucza się o Powołaniu od chwili jej powstania. Dawno temu założyła ją Ki, bogini ziemi, jako przytułek dla sierot płci żeńskiej, a schronienie mogły w niej znaleźć i niemowlęta, i młode kobiety. Jak wszystkie siostrzeńskie świątynie religii parijana działa wyłącznie dzięki darowiznom benefaktorów. Ale ich hojność ma swoją cenę. Mogą przybyć do dowolnej świątyni i zażądać jednej z podopiecznych, aby

uczynić ją swoją służącą, kurtyzaną lub żoną.

Przyspieszam kroku. Nie chcę się stać żadną z nich. W ogóle nie chcę zostać powołana. Większość córek nie może się doczekać, aby opuścić tę odległą twierdzę, ale odejdą stąd tylko wtedy, gdy zostaną powołane do życia w takiej roli, jaką wybierze dla nich benefaktor. Ja wolałabym zostać w Samiyi i poświęcić się bogom, zamiast wyjeżdżać i służyć jakiemuś mężczyźnie.

Z jadalni wylewa się gwar setki dziewcząt. Zatrzymuję się przy wejściu i obiegam wzrokiem sięgające kolan stoły, szukając Jayi. Siedzi z innymi córkami w naszym wieku, między innymi z Falan i Pritą. Jaya przywołuje mnie gestem i wskazuje na leżącą obok siebie pustą poduszkę. Naprzeciwko nich, przy tym samym stole, siedzą Sarita i Natesa. Staram się nie skrzywić na ich widok i klękam obok Jayi. Falan i Prita uśmiechają się na powitanie i wracają do swojej cichej pogawędki.

– Bambutyczka – mamrocze Natesa.

Sarita chichocze szyderczo z ustami pełnymi ryżu. Ledwo skubię jedzenie palcami. Nie chcę się denerwować tymi oklepanymi przezwiskami, którymi wyśmiewają mój wzrost i chudość.

Jaya nachyla się ku mnie.

– Dobrze się czujesz?

Wzruszam ramionami i niemrawo grzebię w swoim rozwodnionym curry. Chcę z nią porozmawiać o złotej karecie, ale nie przy wszystkich. Wolałabym, aby nasza krótka eskapada poza mury świątyni pozostała między nami.

Do jadalni wchodzi kapłanka Mita, a za nią podąża równy rząd sióstr. Falan i Prita milkną, a wszystkie dziewczęta przerywają wieczerzę. Siostry ustawiają się w szeregu z przodu sali. Czuję, jak Jaya drętwieje. Wycieram ręce, straciwszy apetyt. Nasze przewodniczki rzadko zakłócają nam posiłek.

– Córki, mam dla was wspaniałe wieści. – Kapłanka składa dłonie jak do

modlitwy. – Jeden z naszych benefaktorów przybył, aby dokonać Powołania!

Większość dziewcząt, nawet te zbyt młode, by wziąć udział w obrzędzie, wzdycha z zachwytem. Kapłanka Mita uśmiecha się dumnie, przyzwalając na ten wyraz emocji. Szukam dłoni Jayi pod stołem i splatam jej zimne palce z moimi.

Kapłanka kroczy ku nam, aby wskazać dziewczęta w odpowiednim wieku. Dwanaście z nas klęczy przy dwóch stołach. Nasze błękitne sari są identyczne – wszystkie w odcieniu posłuszeństwa i pokory, poważania i uległości. Tu jednak kończy się moje podobieństwo do pozostałych dziewcząt. Moja tyczkowatość wyróżnia się na tle ich krągłości jak drut wystający z koszyka pełnego kłębków włóczki.

– Na prośbę naszego szanownego benefaktora jutrzejsze próby kunsztu odbędą się zgodnie z planem na dziedzińcu – ogłasza kapłanka. – Nasz gość pozostanie anonimowy i będzie się wam przyglądał z obserwatorium w północnej wieży.

Budzi się we mnie niechęć. Chcę się pojedynkować dla własnej satysfakcji, aby potwierdzić zdobyte umiejętności, a nie dla rozrywki benefaktora. Nie zależy mi na zyskaniu jego przychylności.

Obok naszego stołu kapłanka Mita przechodzi niespiesznie, starannie dobierając słowa:

– Zdecydujecie, czy wolicie walczyć kijem, czy bronią sieczną.

Jaya tak mocno ściska moją dłoń, że czuję mrowienie w opuszkach. Dręczona chroniczną gorączką miałam zaległości treningowe i nie zdążyłam przećwiczyć posługiwania się bronią sieczną. Zadawania cięć i odpierania takich ataków uczymy się dopiero po opanowaniu walki kijem. Całkiem nieźle strzelam z procy, ale nie jest to broń godna wojowniczkii na arenie.

– Chcemy, aby podczas prezentacji każda z was wyglądała jak najlepiej – ciągnie kapłanka Mita. W jej uśmiechu kryje się cień ostrzeżenia. – Starajcie się nie skaleczyć zanadto przeciwniczki.

Spoglądam z ukosa na Natesę, która uśmiecha się złośliwie. Wszyscy wiedzą, jak bardzo pragnie opuścić świątynię i zostać żoną benefaktora. Gdyby miała wybór, walczyłaby z najsłabszą z dziewcząt, aby podkreślić własne umiejętności, a powszechnie wiadomo, że to ja jestem tą najsłabszą.

* Benefaktor – dobroczyńca, fundator jakiejś instytucji (przyp. tłum.).



Zimowy chłód przenika starożytny szkielet świątyni i nasycza mroczne korytarze wilgocią. Razem z Jayą opuszczamy jadalnię w milczeniu i wracamy do komnaty sypialnej. Przebieramy się w bieliznę nocną i rozczesujemy warkocze, a potem Jaya zajmuje się swoimi sadzonkami w donicach, a ja moszczę się w łóżku ze szkicownikiem w dłoni. Każdy wieczór spędzamy spokojnie i przyjemnie. Nie chcę myśleć, że dzisiejszy mógłby być naszym ostatnim.

Jaya zrasza zielone pędy w glinianych doniczkach. Jej zadaniem jest pielęgnowanie ziołowego ogrodu uzdrowicielki Baki, lecz ona sama nie hoduje ziół. Brak słońca w naszym bezokiennym domu znoszą jedynie rośliny trujące, ale Jaya woli takie niż żadne.

Odstawia na bok konewkę i stanąwszy za mną, przeczesuje mi włosy palcami. Przygląda się mojemu rysunkowi. Tak się poznałyśmy. Swoje pierwsze tygodnie w świątyni Jaya spędziła w infirmerii*, gdzie odzyskiwała siły. Była wygłodzona i posiniaczona, a także pokiereszowana pod innymi względami, o których uzdrowicielka Baka wolała nie mówić głośno. Podczas jednego z moich ataków gorączki, kiedy leżałyśmy w sąsiednich łóżkach, Jaya poprosiła, żebym pokazała jej swój rysunek. Większość dziewcząt nawet nie chciała się do mnie zbliżyć ze strachu, że się czymś zarażą, ale Jaya nie miała takich obaw. Od tamtej pory pokazuję jej wszystkie swoje szkice.

Przerywa głaskanie mnie po włosach.

– Koła były większe.

Ma oko do proporcji, więc oczywiście jej uwaga jest słuszna. Siada obok mnie. Wymazuję koła i rysuję większe. Jaya sięga po mój drugi szkicownik i przegląda skończone prace: jej portrety, ogród, gdzie grałyśmy w „Leć, żurawiu, leć”, i oczko wodne do medytacji, w którym urządziłyśmy wyścigi płatków kwiatu lotosu.

Zatrzymuje się przy rysunku boga niebios. Anu jest najznakomitszą męską postacią, jaką kiedykolwiek szkicowałam. Fascynują mnie te wyraźne, ukośne linie, które podkreślają surowość rysów jego twarzy – budzą respekt jak góry Alpany. Na moim rysunku jego uda zakrywa sarong^{**}. Obnażona i nieowłosiona klatka piersiowa jest szeroka i płaska niczym dolina, a smukłe nogi – silne jak rzeka. W jednej ręce dzierży okruch słońca, drugą wyciąga w geście zachęcającym, by za nim podążyć. Anu przedstawia majestat tego świata; wielkie oczy to bramy do nieba, a sroga mina ostrzega przed jego nieograniczoną mocą.

Jaya wodzi palcem wzdłuż linii nosa Anu.

– A jeśli zostaniesz jutro powołana?

– A jeśli Natesa zacznie być dla mnie miła?

Jaya zaciska usta.

– Benefaktor może dostrzec twoją wartość i cię powołać, Kali.

Kręcę głową. Zostanę pominięta. Zdaniem Jayi moim największym atutem fizycznym są długie włosy, a to przecież za mało, by przyciągnąć uwagę benefaktora.

Jaya obejmuje się ramionami i obniża głos do szeptu:

– A jeśli ja zostanę powołana?

Otwieram usta, aby ją uspokoić, ale Jaya nie jest tak niezgrabna i przeraźliwie chuda, jak ja. Jest drobna i urocza. Gdy na nią patrzę, rozumiem jej niepokój. Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł przejść obok niej

obojętnie.

– A jeśli ten benefaktor jest taki jak mój... – Teraz jej głos brzmi ochryple.

– Nie myśl o tym. Nieważne, kim jest, nic nie zmieni naszych planów.

Jaya i ja zamierzamy złożyć przysięgę wierności Siostrzeństwu i zostać tu do końca życia, ale będziemy mogły to zrobić tylko wtedy, gdy podczas obrzędu zostaniemy pominięte.

– Nie rozdziela nas. Nie pozwolimy na to.

– Jak? Może nawet nie przejdziesz oględzin.

Tłumię jęk. Zapomniałam o oględzinach. Przed Powołaniem uzdrowicielka Baka bada każdą kandydatkę, aby wykluczyć te, które nie są w najwyższej formie. Nie powiedziała, czy choroba obniży moje szanse, ale codzienne przyjmowanie toniku może mnie zdyskwalifikować.

– Tym będziemy się martwić później – mówię. – Najpierw musimy omówić próby kunsztu. Benefaktor z pewnością zechce ocenić, jakimi jesteśmy wojowniczkami.

Jaya przytakuje z uroczystym wyrazem twarzy. Mężczyźni cenią wojowniczkę. Najbardziej pożądane są dziewczęta urodziwe i waleczne.

– Musisz przegrać pojedynek – radzę jej. – Jeśli zostaniesz pokonana, benefaktor cię nie zechce.

Jaya ściąga brwi.

– A ty?

– Ja? – pryham drwiąco. – Nawet gdybym jakimś cudem zwyciężyła, benefaktor i tak wybierze jakąś ładną buźkę.

– A jeśli będziemy musiały ze sobą walczyć?

Wybucham śmiechem.

– Wtedy cię pokonam, chociaż wszystkie dziewczęta będą wiedziały, że

oszukiwałyśmy.

Jaya kładzie mi głowę na ramieniu i ujmuje moją dłoń. Mocno splatamy palce.

– Dobrze, ale nie mogą nas przyłapać, bo kapłanka Mita wyznaczy nam karne dyżury do końca roku. Nasze porażki muszą wypaść wiarygodnie.

– Mnie przyjdzie to z łatwością. – Stykamy się głowami i spuszczaemy wzrok na splecione dłonie. – Będziemy ostrożne.

– Zaśniesz? – pyta Jaya, wyprostowując się.

– Oczywiście. – Silę się na udawany uśmiech. – Przyśni mi się, że pokonuję cię w walce.

Jaya parska śmiechem. Ścisza mi rękę – w ten sposób mówimy sobie „kocham cię” – a potem całuje mnie w czoło i wraca do swojego łóżka.

Choć próbuję żartować, myśl o jutrzejszym dniu wzbudza mój niepokój. Jeśli uzdrowicielka Baka odrzuci mnie podczas oględzin, zniweczy nasz plan dotyczący prób kunsztu i Jaya będzie musiała wziąć udział w Powołaniu beze mnie. Chcę, żeby ten benefaktor mnie zobaczył, bo wówczas będę miała ten obrzęd za sobą. A kiedy już zostaniemy pominięte, pozwolą nam dołączyć do Siostrzeństwa. Większość dziewcząt woli ponownie się zaprezentować przy kolejnej okazji, mając nadzieję na opuszczenie świątyni. Kandydatka, która nie zostanie powołana do dwudziestego pierwszego roku życia, jest automatycznie zaprzysięgana jako siostra, ale niewiele podopiecznych pozostaje tutaj tak długo. Benefaktorzy zawsze potrzebują służących.

Świeca rzuca ciepły, bursztynowy blask na mój szkicownik. Przewracam kartkę i na czystej stronicy w kolorze kości słoniowej kreślę kawałkiem węgla gładkie, ciemne linie. Mam nadzieję, że przelanie myśli na papier przyniesie mi ulgę. Czekałam, aż Jaya pójdzie spać, żeby to narysować. Nie mogę wyrzucić tego obrazu z pamięci.

Po skończeniu cofam rękę. Żołnierz wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam – na jego barkach można by oprzeć górę, a silnymi ramionami

rozpędzać chmury. Ale w miejscu, gdzie powinna być twarz, zionie pustka – tak jest zawsze, kiedy próbuję przedstawić męskie rysy.

Gdy byłam niemowlęciem, porzucono mnie na stopniach świątyni Bractwa Vanhi, prowadzonej przez męskich wyznawców religii parijana. Nie pamiętam mnichów, którzy się mną opiekowali, dopóki nie osiągnęłam odpowiedniego wieku, by przenieść mnie tutaj. Właściwie nie zapamiętałam ani jednego mężczyzny. Jaya opowiadała mi o swoich starszych braciach i ostrzegała mnie przed tym, co nas czeka, jeśli zostaniemy powołane. Wierzę jej, ale mnisi stanowią dowód, że nie wszyscy mężczyźni są źli, a do tego zgodnie z naukami siostr to nasi panowie i opiekunowie.

Wpatruję się w portret żołnierza bez twarzy i już nie wiem, co jest prawdą. Czy wszystko wokół nas to dzieło bogów? Zesłali mi gorączkę, a niektóre rośliny uczynili trującymi, ale czy to oni sprawili, że ludzie są tacy, a nie inni? Czy Natesa urodziła się dręczycielką? Czy Jaya zawsze była przezorna? Gdzie przebiega granica między wolą bogów i ludzi?

Odkładam szkicownik na bok, wciąż dumając, czy wszyscy mężczyźni są ulepiani z tej samej gliny, co okrutni bracia Jayi, i czy naprawdę lepiej mi w życiu samej.

Kiedy się budzę, w nogach łóżka leży satynowa biała szata. Drugą, identyczną, ktoś zostawił też na łóżku Jayi, która wciąż śpi. W tych strojach mamy wystąpić podczas Powołania.

Ogarnięta nagłym niepokojem niecierpliwie wyślizguję się z pomiętej pościeli. Próby kunsztu nie były moim marzeniem. Nie pragnęłam ich. Niepewność, czy pomyślnie przejdę oględziny, które przeprowadzi uzdrowicielka Baka, skutecznie spędza mi sen z powiek. Dość tego. Muszę z nią porozmawiać.

Zarzuciwszy szal na ramiona, przemierzam na paluszkach ciche korytarze zasnute kadzidlany dymem i miejscami oświetlone blaskiem lamp. Choć nie widzę świtu, czuję emanujący przez kamienne mury chłód, który świadczy o wczesnej godzinie.

Znajoma droga do infirmerii wzmaga mój niepokój. Spędziłam więcej czasu z uzdrowicielką Baką niż jakakolwiek inna siostra. Nie chcę się wdawać w kłótnie, ale jeśli wykorzysta moją chroniczną gorączkę jako pretekst, aby wykluczyć mnie z prezentacji podczas Powołania, to zaprotestuję.

Gdy mijam otwór klatki schodowej, z dołu dobiegają mnie niewyraźne pomruki. Są tak ciche, że ledwie je słyhać. Cofam się i nadstawiam uszu. Głosy są niskie – niższe niż wszystkie, jakie kiedykolwiek słyszałam. Wstrzymuję oddech, ale serce zaczyna mi bić szybciej. Te głosy należą chyba do mężczyzn.

Przypomina mi się wczorajsza reprimenda kapłanki Mity. Powinnam wrócić do komnaty sypialnej i być posłuszna. Niższe piętra są zakazane dla córek. Ale tak bardzo pragnę zobaczyć, kto jest na dole.

Schodzę w coraz głębszą ciemność, niezmaconą najmniejszym promieniem światła. Idę po omacku, przesuwając opuszkami po szorstkiej kamiennej ścianie. Z każdym krokiem odczuwam coraz większy chłód, przenikający mnie aż do szpiku kości. Już sama nie wiem, jak długie są te schody i ile razy szukałam kolejnego stopnia palcami bosych stóp.

Nagle kończy się ściana, którą miałam z boku, a pod nogami czuję płaską podłogę. Serce wali mi tak głośno, że ledwo słyszę tamten głos. Prowadzi mnie nieoświetlonym korytarzem ku słabemu błyskowi na jego drugim końcu. Świątynia stanowi jedyne schronienie na tym odosobnionym szczycie górskim. Nigdy się nie zastanawiałam, gdzie rezydują benefaktorzy, ale widać ich kwatery znajdują się właśnie tutaj, na tej kondygnacji.

Korytarz rozszerza się w oświetloną wnękę. Zza wysokich drzwi dobiegają dwa głębokie głosy, jednak nie potrafię rozróżnić poszczególnych słów. Rozglądam się, szukając wyjścia. Wiem, że grozi mi przyłapanie, ale z podsłuchanej rozmowy mogłabym się dowiedzieć, kim są przybysze. Podkradam się bliżej i nadstawiam ucha.

– Nie powinnaś tu być.

Błyskawicznie odwracam się w kierunku szeptu równie cichego jak głosy za drzwiami i spłoszona cofam się o krok. Drogę ucieczki blokuje mi młody żołnierz. Musiałam go nie zauważyć w ciemności.

Chwyta za rękojęść przytroczonego do boku miecza.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś?

Język staje mi kołkiem. Wnioskując z podobizn bogów, które studiowałam, mogłabym pójść o zakład, że ten żołnierz jest o dwa lub trzy lata starszy ode mnie. Jest również wyższy. To rzadkość. Już jako trzynastolatka przerosłam wszystkie rówieśniczki.

Mimo jego onieśmielającej postury nie wyczuwam w nim agresji, jedynie podejrzliwość.

Szczelniej otulam się szalem.

– Słyszałam głosy – wyjaśniam. – I... – Nie przychodzi mi do głowy żadna rozsądna wymówka, a wątpię, by uwierzył, że nade wszystko chciałam ujrzeć twarz jakiegoś mężczyzny.

Jednak nie takiego oblicza się spodziewałam. On wygląda jak bóg, nie jak śmiertelnik. Choć kanciasty kształt szczęki przywodzi mi na myśl Anu, delikatna linia kości policzkowych, pełne usta i prosty nos przypominają Enlila, który jest podobny do swej matki, bogini ziemi Ki. Rysy twarzy ma delikatne, lecz niepozbawione zdecydowania.

– Musisz odejść. – Żołnierz rzuca okiem na zamknięte drzwi. Zapewne strzeże tego, kto jest w środku. – Tu nie jest bezpiecznie.

Dłonie robią mi się lepkie, ale nie mogę się wycofać bez odpowiedzi, po którą tu przyszłam.

– Kto przybył na Powołanie?

Patrzy na mnie wzrokiem bez wyrazu.

– Musisz stąd odejść – powtarza chłodno.

Rozmowa za drzwiami ustaje.

W moich uszach eksploduje odgłos zbliżających się kroków.

– Idź! – Żołnierz przegania mnie niecierpliwym gestem.

Uciekam ciemnym korytarzem, ścigana skrzypieniem otwierających się drzwi i zirytowanym męskim głosem.

– Kapitanie Naik?

Płuca mi płoną, gdy spazmatycznie chwytam powietrze. Coś wilgotnego przecieka mi między palcami u nóg. Zaciskam szczęki, aby stłumić pisk. „Jeszcze trochę. Zaraz będą schody”.

– Zwolniłem Manasa z posterunku – mówi kapitan. – Stokrotnie przepraszam za zakłócenie spokoju Waszej Wysokości.

Potykam się na najniższym stopniu i obcieram dłonie o kamień. „Wasza Wysokość”.

Wstrząsa mną dreszcz. Zakrywam usta, by nie krzyknąć. Jest tu radża Tarek. Władca Imperium Tarachandu przybył do Samiyi. Zastygam w bezruchu, lecz wewnątrz cała drzę.

– Gdzie jest Manas? – dołącza się drugi obcy głos.

– Udał się na spoczynek, generale – odpowiada kapitan.

Marszczę brwi – to jedyny ruch, na jaki mnie stać. Dlaczego kapitan Naik mnie chroni? Dlaczego nie powie radży, że pod jego drzwiami podsłuchiwała jakaś dziewczyna?

– Proszę wejść, kapitanie – mówi radża. – Czas omówić dalsze plany. Gdy już powołam... – Drzwi zamykają się ze skrzypnięciem.

Czuję lodowate ciarki pełzające mi po plecach. Radża Tarek przybył na obrzęd Powołania.

Opieram czoło o stopień. Twarz mi płonie. Chwilę później płonę już cała. „Bogowie, zapomniałam zażyć toniku”.

Nagła gorączka uderza we mnie jak rozgrzany młot. Podnoszę się na

drżące nogi i z trudem wdrapuję po schodach na główne piętro. Chwiejnym krokiem przemierzam korytarz, po drodze mijając dziewczęta idące do jadalni na śniadanie. Wreszcie docieram do swojej komnaty.

Jaya jest już ubrana. Ręce i nogi ma pokryte czerwonymi wykwitami – to pokrzywka. Pokój pachnie rumiankiem.

– Uzdrowicielka Baka twierdzi, że znikną – mówi Jaya, smarując nogi grubą warstwą maści.

Przyglądam się zaognionym wypryskom na jej skórze.

– Skąd się wzięły?

– To nasilona reakcja.

– Na którąś z twoich roślin?

– Na Powołanie. – Drżącą dłonią wciera maść w ramiona, a minę ma przy tym nietęgą. – Uzdrowicielka Baka mówi, że muszę się uspokoić, ale... Gdzie byłaś?

– Na spacerze. – Kuśtykam w stronę swojego łóżka i siadam na nim, opierając łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. „Oddychaj”.

Jaya podbiega i dotyka mojego czoła.

– Jesteś rozpalona. Rano nie zażyłaś toniku.

Z jękiem opadam na plecy.

– Przyniesiesz mi?

Przyjaciółka sięga na stolik nocny i podaje mi lekarstwo. Odkorkowuję cienką fiolkę i pociągam łyk. Sfermentowana mikstura wypełnia mi usta cierpkim smakiem, a potem spływa chłodną strużką do gardła i dalej, do żołądka. Czuję, jak umysł mi się rozjaśnia.

Tym razem gorączka dopadła mnie nagle. Zwykle upływa cały dzień, zanim tak bardzo urośnie.

Jaya pochyła się nade mną, nerwowo skubiąc swój warkocz. Pod

przekrwionymi oczami ma ciemne sińce.

– Mam iść po uzdrowicielkę Bakę?

– Nic mi nie jest. – Przykładam sobie rękę Jayi do czoła. – Widzisz? Już jest chłodniejsze. – Dotyk jej letniej skóry koi moją rozpaloną twarz i czuję, jak gorączka opada. Głośno pociągam nosem i dodaję z uśmiechem: – Pachniesz jak ogród ziołowy uzdrowicielki Baki.

Chichocze i przygląda się swojej wysypce.

– Udana z nas para. Szkoda, że benefaktor nas teraz nie widzi.

Uśmiech zamiera mi na ustach. Nie mogę jej powiedzieć, że benefaktorem okazał się radża Tarek. Już teraz jest chora ze zmartwienia. Poza tym jego tożsamość nie zmienia naszych planów co do prób kunsztu. A jednak przytłacza mnie majestat jego obecności. Nie rozumiem, dlaczego przed obrzędem Powołania radża chce obejrzeć nasze pojedynki. Próby kunsztu to rytuał inicjacji – świadectwo naszej kobiecości i moralnej dojrzałości, dowód, że jesteśmy godne dziedzictwa Ki. Prawdziwa siostrawojownicza jest dobrze wyszkolona i silna fizycznie, ale także gorliwie pielęgnuje pięć boskich cnót: posłuszeństwo, służbę, siostrzeństwo, pokorę i tolerancję. Ale dlaczego radża Tarek pragnie ujrzeć ten sprawdzian siły naszych mięśni i hartu ducha? Mogę być pewna tylko jednego: przybył, aby powołać jedną z dziewcząt, i jeszcze przed południem dowiem się, jaki ma w tym cel.

* Infirmeria – izba chorych w klasztorze, szkole lub koszarach (przyp. tłum.).

** Sarong – rodzaj spódnicy upiętej z jednego płata tkaniny; noszony przez kobiety i mężczyzn (przyp. tłum.).



Czyjaś sylwetka przesłania okno obserwatorium na szczycie północnej wieży. Staram się nie podnosić wzroku ani nie myśleć o przyglądającym się nam radzy. Słucham wskazówek kapłanki Mity.

– Doceniam waszą punktualność, córki. Liczymy, że próby przebiegną sprawnie i wkrótce wrócicie do ciepłego wnętrza świątyni.

Jaya i ja kulimy się chłostane podmuchami lodowatego wiatru. Nosimy treningowe sari, którego fałdy są przeciągnięte między kolanami do tyłu i zatknięte za pas, dzięki czemu zyskujemy swobodę ruchów, nie odkrywając nóg. Śliski dziedziniec oczyszczono, a lód rozłupano, aby odsłonić krąg, który podczas wczorajszego treningu był niewidoczny. Arena do pojedynków.

– Na prośbę naszego benefaktora dzisiejsze próby kunsztu będą przebiegały nieco inaczej niż zazwyczaj. – Kapłanka zadziera głowę, a my podążamy za jej wzrokiem. Radza niecierpliwie przybliżyła się do okna obserwatorium i jego ciemna sylwetka robi się wyraźniejsza. Nerwy mam napięte jak postronki. – Każda walka potrwa do pierwszej krwi.

Mrużę oczy w niemym proteście. Zgodnie z regułami zwyciężczynią jest ta, która jako pierwsza wypchnie przeciwniczkę poza krąg. Nigdy nie walczyliśmy do pierwszej krwi.

Kapłanka Mita stoi zbyt wyprostowana, a jej sztywność świadczy o cichej

dezaprobachie wobec zmiany reguł.

– Możecie liczyć na naszą wyrozumiałość, obrażenia odniesione na arenie nie będą brane pod uwagę podczas oględzin.

„Jak to miło z ich strony”. Obie z Jayą wymieniamy spojrzenia i unosimy brwi. Nieopodal czekają uzdrowicielka Baka i nasza nauczycielka obrony, siostra Hetal, która na czas przemowy kapłanki ustąpiła jej miejsca. Pierwsza z nich jest obecna przy próbach kunsztu na wypadek, gdyby któraś z dziewcząt została przypadkiem zraniona. Żołądek podchodzi mi do gardła. Te z nas, które dzisiaj zostaną pokonane, z pewnością będą potrzebowały jej pomocy.

Głos kapłanki wypełnia dziedziniec:

– Wystąpcie, aby ciągnąć losy!

Jaya chwyta mnie za rękę i ciągnie na czoło grupy. Kapłanka podsuwa garść drewnianych losów stojącej przed nią córce – mnie. Wyciągam długie drewnienko, a Natesa, która losuje po mnie – znacznie krótsze.

– Szkoda – cmoka z niezadowoleniem.

Prawie się z nią zgadzam. Chciałabym zobaczyć jej skórę zbroczoną krwią, ale prawdopodobieństwo, że ją pokonam, jest mniejsze niż szansa na uniknięcie Otchłani.

Sarita porównuje swój drewniany los z moim. Pasują. Uśmiecha się szeroko, a mnie rzadnie mina. Nasz pojedynek będzie nierówny. Sarita ustępuje w walce jedynie Natesie i Jayi.

Pozostałe dziewczęta ciągną losy, porównują je i łączą się w pary, a następnie życzą sobie nawzajem powodzenia. Kapłanka Mita wręcza ostatnie drewnienko Jayi.

Natesa patrzy na nią z sarkastycznym uśmieszkiem.

– Zdaje się, że będziemy ze sobą walczyć.

Ich szanse są wyrównane, ale Jaya musi z nią przegrać, tak jak ja

przegram z Saritą. Radża ujrzy naszą krew.

Kapłanka Mita kończy przemowę:

– Dziewczęta z najkrótszymi losami będą walczyły jako pierwsze, te z dłuższymi jako następne i tak dalej. W pierwszym starciu zmierzą się – obiega wszystkie pary wzrokiem – Natesa i Jaya. Córki, wybierzcie broń!

Natesa podbiega do arsenału wyłożonego przy zamarzniętym oczku wodnym do medytacji i wybiera jako pierwsza. Chwyta khandę i rusza ku arenie, rzucając Jayi szyderczy uśmiech. Długi obosieczny miecz – największa i najstraszniejsza broń – jest jak styl walki Natesy. Zatrważający. Pozbawiony finezji. Przyciężki, lecz skuteczny.

Jaya wybiera haladie, sztylet o dwóch ostrzach. Ta broń wskazuje, jaką ona jest wojowniczką. Uniwersalną. Precyzyjną. Drobną, lecz szybką. Dzięki haladie mogłaby zwyciężyć, ale czy zdoła przegrać?

Reszta z nas tłoczy się wokół areny. Żadna nie może wejść do środka, dopóki nie zostanie ogłoszona zwyciężczyni. Przesuwam się do tyłu, nie podnosząc wzroku na obserwującego nas radżę. Nie zniosę widoku pokonanej Jayi. Na rękach i nogach wciąż ma pokrzywkę. Modlę się, aby Natesa nie zraniła jej zbyt poważnie.

Przeciwniczki przyjmują postawę gotowości: stopy rozstawione, kolana ugięte, ramiona napięte, broń uniesiona.

– Na mój znak. – Kapłanka unosi bębenek, a jej dłoń zastyga nad membraną z jeleniej skóry. W powietrzu iskrzy od napięcia. Rozlega się oczekiwany dźwięk.

Natesa rzuca się do przodu, celując mieczem w klatkę piersiową rywalki. Jaya obraca się błyskawicznie, ich ostrza się krzyżują. Khanda Natesy nieznacznie odskakuje, a Jaya wycofuje się ku krawędzi areny. Lustruję przyjaciółkę od stóp do głów i powoli wypuszczam powietrze z płuc. Na razie nie ma krwi.

Natesa okrąża Jayę i atakuje ją szyderczymi uśmieszkami. Wygrała wiele

pojedyneków, zastraszając swoje przeciwniczki w ten sposób, ale dziś te wysiłki są zbędne. Jej rywalka jest gotowa oddać zwycięstwo.

Jaya doskakuje do niej i uderza sztyletem w miecz Natesy. Wzdrygam się, słysząc zgrzyt metalu o metal. Pomruki walczących odbijają się echem od murów świątyni. Widownia milczy. Zazwyczaj głośno dopingujemy swoje faworytki, ale dziś nie chodzi o popis umiejętności – chodzi o Powołanie. Groza jak chmura burzowa wisi nad naszymi głowami. Dziś zabiorą stąd jedną z nas. Może więcej niż jedną. I żadna z nas nie wie kogo.

Zamachnąwszy się krótkim ostrzem haladie, Jaya rozcina sari Natesy, po czym przygląda jej się uważnie, sprawdzając, czy ją zadrasnęła. Chybiła. Tylko ja wiem, że zrobiła to celowo. Natesa rzuca się na nią ze swoją khandą i taranuje Jayę, która upada na plecy, upuszczając broń. Natesa przyciska czubek miecza do jej klatki piersiowej i moja przyjaciółka zamiera w bezruchu. Wstrzymuję oddech. Ostry wierzchołek przesuwają się w kierunku twarzy Jayi i rozcina jej policzek.

Wściekłość uderza we mnie jak ściana ognia. Nie zdaję sobie sprawy, że przepycham się przez krąg dziewcząt, dopóki nie wpadam na arenę. Natesa przykłada miecz do drugiego policzka Jayi, aby skaleczyć ją po raz drugi.

Uderzam całym ciałem w jej bok. Odrzuca ją do tyłu z taką siłą, że ledwo unosi miecz, żeby się bronić. Robię koziołka, a prostując się, podcinam jej nogi. Natesa się przewraca i twardo ląduje na plecach, wypuszczając khandę z ręki.

Chwytam jej miecz i nachyliwszy się nad nią, przystawiam środkową część ostrza do jej gardła. W głębi duszy wiem, że powinnam przestać. Ale nie dbam już o nasz plan. Nie obchodzi mnie radza. Natesa zraniła Jayę w policzek i ta szrama pozostanie widoczna.

Celowo ją oszpeciła.

– Kali, stój! – woła Jaya. Po twarzy spływa jej strużka krwi, co rozwściecza mnie jeszcze bardziej.

Miecz wgryza się w szyję Natesy. Ostrze pokrywają karmazynowe krople. Dziewczyna zamiera, czując zapach własnej krwi. Z rozchylnych strachem ust nie wydobywa się żaden okrzyk, żadne błaganie.

– Kalindo! – Ostry głos przebija się do mojej świadomości odurzonej pragnieniem zemsty. Zataczam się, gdy kapłanka Mita odciąga mnie do tyłu, i wybałuszam oczy na zakrwawioną szyję Natesy.

„Ja to zrobiłam”.

Siostra Hetal klęka przy rannej. Uzdrowicielka Baka spieszy z pomocą Jayi. Moja przyjaciółka trzyma się za policzek, a spomiędzy jej bladych palców wypływają szkarłatne kropelki.

– Kalindo, wejdź do środka – nakazuje kapłanka Mita tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zanim zdązę się poruszyć, ktoś zaczyna klaskać.

Wszyscy zebrani na dziedzińcu w milczeniu zadzierają głowy, by spojrzeć na północną wieżę, rysującą się na tle szarego nieba.

Aplauz cichnie i z góry dobiega nas głęboki, mocny głos:

– Niech zostanie.

Czuję ukłucie lęku. Cały dziedziniec zamiera, jakby stał się miejscem pogrzebu powietrznego*. Wiele z tych dziewcząt nigdy wcześniej nie słyszało głosu mężczyzny.

Kapłanka Mita pierwsza otrząsa się z oszołomienia.

– Kalindo, słyszałaś benefaktora. Stań z boku i czekaj na swoją kolej. – Nie podnosząc głowy, rzuca ukradkowe spojrzenie w górę, na radzę. „Boi się go”.

Uzdrowicielka Baka pomaga Jayi się podnieść. Ruszam w kierunku przyjaciółki, ale uzdrowicielka mnie powstrzymuje.

– Zabieram ją do infirmerii. Zostań tu.

– Nic mi nie będzie. – Jaya przyciska dłoń do zakrwawionej twarzy. – Bądź ostrożna, Kali. – Przenosi wzrok na wieżę, a potem uzdrowicielka Baka odprowadza ją do świątyni.

Siostra Hetal pomaga wstać Natesie, która szlocha, jakbym rozplątała jej gardło, choć jej rana to ledwo draśnięcie w porównaniu ze szramą na policzku Jayi.

Jestem zaskoczona własnym brakiem empatii po tym, co zrobiłam. Natesa oszpeciła piękną twarz Jayi, bo widziała w niej rywalkę. Niech cierpi z bólu po tysiącokroć bardziej.

Rzucam khandę na stos broni i dołączam do córek oczekujących na pojedynki. Ich wstrząśnięte spojrzenia wędrują raz po raz między mną a obserwującym nas z wieży cieniem.



– Sarito i Kalindo, wystąpcie.

Kapłanka Mita w końcu wywołuje nasze nazwiska. Natesę i Jayę odprowadzono niespełna godzinę temu, ale wydaje się, jakbyśmy stały na mrozie całe wieki. Chciałabym już zakończyć swoją próbę i wrócić do świątyni.

Wyniki reszty pojedynków były przewidywalne. Falan pokonała swoją przeciwniczkę Prite, bo walczyła agresywniej. Teraz wystarczy tylko, aby Sarita mnie pokonała – musi to zrobić. Radza więcej nie zaklaskał ani nie przemówił. Ściągnęła na siebie zbyt wiele uwagi. Wcale tego nie chciałam, ale teraz mam szansę, by naprawić swój błąd.

Sarita i ja stoimy naprzeciwko siebie na arenie. Nie bawiąc się w subtelności, moja rywalka sięga po khandę, a ja – jako jedyna z walczących – wybieram kij. Wszystkie pozostałe dziewczęta wołały miecze i sztylety. Każda zwyciężczyni raniła przeciwniczkę w jakieś niewidoczne miejsce – ramię, nogę, tułów. Nigdy w twarz. Poza niepotrzebnym ściąganiem na siebie uwagi radzy żałuję jedynie, iż nie odpłaciłam Natesie za jej okrucieństwo w bardziej adekwatny sposób. Też powinnam była oszpeciść jej

twarz.

Chwytam kij oburącz i zajmuję pozycję obronną. Co prawda Sarita jest ode mnie niższa, ale ma zwinne ruchy i potężny zamach. Choć mój atak na Natesę mógł sugerować, że wolę walczyć mieczem, najlepiej czuję się z bronią, z którą ćwiczyłam. Kapłanka Mita uderza w bębenek i Sarita rusza w moją stronę.

– Przez ciebie nie ma tu Natesy – syczy, unosząc miecz.

Kręcę młynka kijem.

– Ani Jayi. A ona nic nie zrobiła Natesie. Nikomu nic nie zrobiła.

Sarita szczyrzy zęby w grymasie wściekłości.

– Natesa chciała walczyć z tobą.

– Nie popisała się zbyttnio.

Sarita rzuca się do przodu, siekąc powietrze furiackimi, nieskładnymi ruchami. Robię uniki, uskakując na boki. Zadaje cios, który blokuje bambusem. Czuję, jak moim ramieniem wstrząsa potężna wibracja. Obracam się i znów stajemy twarzą w twarz. Ostrze miecza odrąbuje kawałek mojego kija.

– Wiedziałam, że będziesz walczyła tą szczapą. – Sarita prycha z wyższością i złośliwością. – Jest równie szpetna i chuda jak ty.

Ogarnia mnie złość. „Przestań paplać i kończ z tym”.

Celuję w głowę i zadaję cios, który wczoraj ćwiczyłam z Jayą, ale źle oceniam siłę swojej irytacji i odległość dzielącą mnie od Sarity. Koniec kija trafia ją w usta.

Kapłanka Mita uderza w bębenek, sygnalizując koniec pojedynku. Gapię się na rozciętą wargę mojej rywalki. Sarita dotyka rany i wpatruje się w zakrwawione koniuszki palców. Moje zwycięstwo nie było zuchwałym popisem umiejętności. Żadna z nas nie spodziewała się, że to ja, najsłabsza z walczących dziewcząt, zranię ją pierwsza. Chwyta mnie nagła trwoga. Co ja

narobiłam?

Kapłanka przeciera wargę Sarity bandażem, a wszystkie córki opuszczają mroźny dziedziniec i pospiesznie wracają do świątyni. Wchodzę ostatnia, lecz nim przekraczam jej próg, słyszę ponowny aplauz dobiegający ze szczytu północnej wieży. Prawie śmieszają mnie dziewczęta czmychające przede mną na korytarzu. Zawsze trzymały się ode mnie z daleka z uwagi na moją chorobę, ale dotąd nie miały prawdziwego powodu, by się mnie bać. Teraz im go dałam, co z jednej strony mnie dręczy, ale z drugiej napawa dziwną satysfakcją. W infirmerii witają mnie znajome zapachy mielonego imbiru i słodkiego rumianku. Łóżko, które zawsze jest tu zarezerwowane dla mnie, teraz stoi puste – podobnie jak wszystkie inne. Jesteśmy tu same z uzdrowicielką, nie inaczej niż przez większość mojego dzieciństwa.

– Gdzie Jaya? – pytam. – Dobrze się czuje?

Baka podnosi wzrok znad wyjąławianych narzędzi.

– Trzeba założyć jej szwy. Po skaleczeniu zostanie niewielka blizna, ale może wziąć udział w prezentacji. Odesłałam ją, aby się przebrała przed obrzędem. – Przygląda mi się uważnie zza okularów. – Rozumiem, że chciałaś jej bronić, ale posunęłaś się za daleko.

Opieram dłonie na oparciu krzesła i spoglądam na nią z góry.

– Ktoś musiał jej pomóc. Jak długo kapłanka zamierzała czekać? Natesa miała skaleczyć Jayę w drugi policzek?

– A jak długo miała czekać, gdy zaatakowałaś Natesę? Żebyś zdążyła podciąć jej gardło?

Zaciskam usta, a uzdrowicielka dodaje łagodniejszym tonem:

– Skaleczyłaś Natesę tak samo, jak ona Jayę. Musisz się pogodzić z tym, co zrobiłaś.

– Ona zraniła Jayę celowo!

– A ty postąpiłaś inaczej? – pyta spokojnie. – Powinnaś się z tym

pogodzić nie ze względu na nią, ale na siebie.

Zaciskam palce na oparciu krzesła, przypominając sobie ciężar miecza w dłoni. Siostrzeństwo jest jedną z pięciu boskich cnót, których się tu uczymy, ale do Natesy nie czuję siostrzanej miłości.

– Nie będę przepraszać. Miałam rację, pomagając Jayi.

– Być może, ale zgoda to wybór, Kali. Decyzja, aby nie chować urazy do świata i przyjąć to, co zgotowali ci bogowie. Nie ma większego spokoju ducha nad poczucie spełnienia woli bogów.

Spoglądam ze złością w podłogę. Tak niewiele mam w życiu wolności. Nie powinna oczekiwać, abym przebaczyła Natesie. Chowanie urazy to jeden z nielicznych wyborów, które są mi dane. Uzdrowicielka Baka okrążyła stół i dotyka mojego ramienia, zmuszając mnie, bym podniosła wzrok. Jej czoło przecina zmarszczka świadcząca o niepokoju.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. – Już prawie wyznaję, jak gwałtownie wróciła wysoka gorączka, kiedy tonik przestał działać, ale zbeształaby mnie, że nie zażyłam lekarstwa na czas. – Jak długo jeszcze będę musiała pić ten tonik?

– To nie jest lek, Kali. Być może wyrośniesz z tych napadów gorączki, ale równie prawdopodobne jest to, że skuteczność toniku osłabnie.

Patrzemy na siebie z takim samym niezadowoleniem w oczach. Po wielu latach nieudanych prób uzdrowicielka Baka sporządziła tonik obniżający gorączkę, nie udało jej się jednak odkryć źródła mojej dolegliwości. Wiemy, że nie jest to choroba zaraźliwa, bo w infirmerii rzadko bywa ktoś poza mną. Domyśla się, że tę przypadłość odziedziczyłam po którymś z członków rodziny, ale tej teorii nie można potwierdzić, ponieważ nic nie wiadomo o moim pochodzeniu.

Jednak to nie moja przeszłość niepokoi mnie najbardziej. Przed Powołaniem Jaya i ja musimy się poddać oględzinom, a zważywszy na nieprzewidywalne zachowanie radży podczas prób kunsztu, uznaję, że

powinnyśmy porzucić starania, by wziąć udział w prezentacji. Lepiej byłoby przejść cały ten obrzęd po raz drugi, ale wciąż razem, niż stanąć przed radzą i ryzykować, że zostaniemy rozdzielone. Niemniej ostatnie słowo w tej sprawie należy do uzdrowicielki Baki.

Krzyżujemy spojrzenia.

– Czy przejdę oględziny?

– Znasz zasady. Żadna niedomagająca nie stanie przed benefaktorem. – Zdejmuje okulary i srogo mi się przygląda. – Ocenię cię należycie, lecz jeśli twoja ciepłota wzrośnie choćby o stopień, nie zezwolę, byś wzięła udział w prezentacji.

Zdobywam się na niepewny uśmiech. Uzdrowicielka Baka próbuje przygotować mnie na rozczarowanie niepomysłnym wynikiem oględzin. Zapewne jej zdaniem martwię się, że gorączka zniweczy moje szanse na zaprezentowanie się benefaktorowi, ale ja właśnie tego pragnę. Modlę się, aby pokrzywka Jayi i moja gorączka okazały się wystarczające i oszczędziły nam spotkania z radzą.

Uzdrowicielka Baka poklepuje mnie po ramieniu.

– Idź się przebrać.

* Pogrzeb powietrzny – buddyjska i zaratustriańska forma pochówku ludzi, podczas której zwłoki stają się żerem dla ptaków drapieżnych (przyp. tłum.).



Pozwalam, aby satynowa szata w kolorze kości słoniowej opadła do moich bosych stóp, i opieram się pragnieniu, żeby się okryć. Siostry nauczyły nas porządku obrzędu, więc wiedziałam, że będę się musiała rozebrać, ale nagość w obecności moich rówieśniczek sprawia, że jeszcze bardziej wstydę się swojej chudości.

Moje nagie ciało pokrywa gęsia skórka. Jestem jedną z dwunastu dziewcząt stojących w dwóch rzędach w komnacie oględzin. Uzdrowicielka Baka przepatruje nagie ciała córek, zagląda w oczy i w usta, bada nosy i uszy. Żadna z nas się nie skarży. Powołanie to nasza zapłata za schronienie, pożywienie, ubranie i szkolenie. To powód, dla którego nas ocalono.

Uzdrowicielka zatrzymuje się obok mnie, przed Jayą. Rana na policzku mojej przyjaciółki została zszyta rzędem drobnych czarnych szwów. Jej pokrzywka niemal zniknęła; rumiankowa maść złagodziła zaognienie. Nadzieja, że nie przejdziemy oględzin, zaczyna przygasać.

Uzdrowicielka Baka kończy badanie Jayi i przenosi chłodne spojrzenie na mnie. Staram się ignorować dotyk jej doświadczonych dłoni błędzących po moim ciele, lecz nie potrafię się wyzbyć niepokoju na myśl, że wkrótce mogę stanąć przed radzą. Oddycham z ulgą, kiedy uzdrowicielka przechodzi do kolejnej dziewczyny.

Stojąca w pierwszym rzędzie Natesa rzuca mi miazdzące spojrzenie przez ramię. Szyję ma owiniętą białym bandażem. Czuję lekkie ukłucie wstydu, ale

wystarczy jedno zerknięcie na policzek Jayi, by poczucie winy zastąpiła furia.

Nie wiem, jak długo czekamy, ale kiedy uzdrowicielka kończy, bolą mnie kolana.

– Możecie się ubrać – oznajmia.

Podnoszę szatę z podłogi i czym prędzej się okrywam. Natesa i Sarita pysznią się swoimi ciałami i niespieszno im przywdziewać szaty. Obie są kopiami bogini Ki – drobne i krągłe, miękkie, lecz jędrne, krzepkie, kobiece. Tak różne ode mnie – tyczkowatej i kanciastej. Kapłanka Mita, która obserwowała oględziny z drugiego końca komnaty, teraz naradza się z uzdrowicielką Baką. Rozprawiają cicho, lecz zajadle. Uzdrowicielka patrzy na mnie i kręci głową. Kapłanka wyraźnie jest innego zdania. Robi krok w naszą stronę.

– Córki, wasze oględziny wypadły pomyślnie! – ogłasza.

Wymieniamy spojrzenia z Jayą. W jej słabym uśmiechu dostrzegam cień lęku. Staniemy przed radzą.

– Córki – ciągnie kapłanka Mita – ozdobimy was teraz znakiem Enki.

Razem z uzdrowicielką podchodzą do każdej z nas i henną rysują falistą linię wzdłuż kręgosłupa. To symbol Enki, bogini wody. Według podań była córką doskonale posłuszną swoim rodzicom, Anu i Ki. Jej znak na naszych ciałach to deklaracja uległości wobec benefaktora. Przytrzymuję przód szaty i opuszczam ją nisko z tyłu, odsłaniając plecy. Kapłanka Mita ozdabia moją skórę symbolem z henny, która następnie musi wyschnąć i się wykruszyć.

Po udekorowaniu nas wszystkich kapłanka szybko podchodzi do bocznych drzwi.

– Stańcie w szeregu. Nie możemy pozwolić, aby nasz benefaktor czekał.

Jaya i ja przesuwamy się do tyłu. Inne dziewczęta wolą się ustawić bliżej drzwi. Kapłanka Mita i uzdrowicielka Baka wprowadzają Pritę jako pierwszą do przyległej komnaty. Ujmuję dłoń Jayi i razem zajmujemy ostatnie miejsca w kolejce. Przygotowywałyśmy się na dzień, w którym możemy zostać

rozdzielone, i zrobiliśmy wszystko, aby temu zapobiec. Teraz nasz los spoczywa w rękach bogów.

Kolejka robi się coraz krótsza. Jedna po drugiej, córki są prezentowane radży Tarkowi, aż wreszcie zostajemy tylko my dwie. Kapłanka przybliży głowę do drzwi i nasłuchuje. Wkrótce wyłania się z nich uzdrowicielka Baka i gestem nakazuje Jayi wejść do komnaty. Mój oddech zmienia się w gorącą kulę ognia. Radża Tarek mógł okazać mi specjalne względy podczas prób kunsztu, ale jego żony i kurtyzany słyną z oszałamiającej urody. Jedno spojrzenie na moją kościstą sylwetkę i uzna, że nie nadaję się do jego kolekcji. Odrzuci mnie i uwolnię się od benefaktorów. Ale Jaya... „Wielki Anu, proszę, nie pozwól, aby to ją powołał”.

Drzwi otwierają się po raz ostatni i kapłanka Mita towarzyszy mi do komnaty Powołania. Nigdy wcześniej nie mogłam tu wchodzić. Ściany, sufit i podłoga wyłożone są wielobarwną mozaiką przedstawiającą chmury białe jak sierpniowy księżyc, krajobraz pomarańczowy jak krokosz barwierski, ogień czerwony jak purpuryna z korzenia marzany i wodę w odcieniu łagodnego indygo. Naprzeciwko wejścia z sufitu zwisa ciężka tkanina jutowa, sięgająca podłogi.

– Stań przed zasłoną i się rozbierz – poleca uzdrowicielka Baka.

Na podłodze w pobliżu białej draperii ktoś namalował czerwoną pręgę, która teraz jest już przetarta. Spuszczam wzrok i podchodzę do niej. Zrzucam szatę, zastanawiając się, ile córek stało w tym miejscu – nagich i wylęknionych jak ja.

Kapłanka Mita podnosi moją szatę, a w ręku trzyma opaskę z muślinu. Każdej córce zakrywają oczy, aby zachowała niewinność dla przyszłych benefaktorów. Kapłanka szesuje moje długie włosy do tyłu, a ja pochylam się, by mogła zawiązać przepaskę. Nagła ciemność pozbawia mnie orientacji. Dotykam zasłoniętych oczu i przyciskam kłykcie do pulsujących skroni. Nie potrafię opanować drżenia.

W pokoju zalega cisza. Ktoś kryje się za draperią. Moje uszy wyłapują

jego oddech.

Słyszę szelest zasłony, a potem kroki. Coś muska mój podbródek. Prostuję się gwałtownie i napinam mięśnie. Ledwo wyczuwalny dotyk opuszki – wzdłuż linii szczęki, a potem szyi – pozostawia gęsią skórę na moim ciele.

Gorący, kwaśny oddech przenika przez moją opaskę. Moja klatka piersiowa faluje, gdy palec radży dociera do obojczyka. Spodziewam się, że zaraz zacznie mnie obłapiać, ale jego dłoń zsuwa się niżej, na biodra. Tłumię wzdrygnięcie i unoszę podbródek. Niech nie sądzi, że się go boję. Nie dam mu tej satysfakcji. To radża Tarek jest winny zranienia Jayi. Gdyby nie zażądał, aby nasze pojedynki trwały do pierwszej krwi, jej policzek pozostałby nietknięty.

Odsuwa palec. Coś miękkiego ociera się o mój łokieć, może jego rękaw, a potem radża odgarnia mi pukle z karku. Stoi za mną i delikatnie przeczesuje moje włosy od nasady aż po ich końce, po czym zaciska dłoń na jednym paśmie.

– Ta. – Jego głęboki głos przeszywa mnie na wskroś.

– Wasza Wysokość, pochwalam wybór, lecz czy jest ostateczny? – pyta uzdrowicielka Baka. – Moim obowiązkiem jest powiadomić Waszą Wysokość, że ta podopieczna często chorowała.

Zapada ciężkie milczenie. Wstrzymuję oddech, nie pojmując, co radża we mnie widzi. Jestem za chuda, za wysoka, za brzydka. Ma już tyle kobiet. Nie może mnie pragnąć.

– Czy teraz jest zdrowa?

– Trudno to stwierdzić, Wasza Wysokość – odpowiada kapłanka Mita.

– Ufam opinii uzdrowicielki.

– Jest zdrowa – potwierdza Baka pokonanym tonem. Spodziewam się, że wspomni o toniku na moją gorączkę, ale ona milczy.

Radza puszcza moje włosy i masuje mi biodro. Zaciskam dłonie w pięści, powstrzymując się, by nie wymierzyć mu policzka.

– Pozostanę przy swojej decyzji. – Jego głos jest szorstki, a ton stanowczy.

Słyszę szelest tkaniny. Trzaskają drzwi, a obie kobiety jednocześnie wypuszczają powietrze z płuc. Na twarzy czuję dotyk zimnych rąk. Uzdrowicielka Baka zdejmuje mi przepaskę z oczu. Radzy Tarka nie ma w komnacie. Moją uwagę przyciąga napięte spojrzenie uzdrowicielki.

Chwytam ją za nadgarstki.

– Co to oznacza?

Kapłanka Mita okrywa mnie szatą i pociera moje ramiona – zbyt energicznie, by podnieść mnie na duchu.

– To oznacza, że zostałam powołana.



Uzdrowicielka Baka i kapłanka Mita prowadzą mnie ku kaplicy, a każda z nich trzyma dłoń na moim ramieniu. Jestem tak wstrząśnięta, że ledwo poruszam nogami. Wszystkie młodsze córki czekają, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach podłogowych. Starsze, które właśnie wróciły z obrzędu Powołania, są bose i ubrane w identyczne szaty, których jasny odcień kości słoniowej kontrastuje z ich skórą, oczami i włosami. Kiedy zgromadziłyśmy się w komnacie oględzin, elegancja naszych jednolitych strojów wzbudzała mój podziw. Teraz ledwo dostrzegam swoje otoczenie.

Jaya przywołuje mnie gestem i wskazuje poduszkę, którą zajęła dla mnie obok własnego miejsca. Odłączam się od uzdrowicielki Baki i kapłanki Mity, które zaczynają gorączkowo ze sobą szeptać. Nie zwalniam kroku, by usłyszeć, o czym mówią, ale bez trudu pojmuję ich niedowierzanie. „Bambusowa Kali przyciągnęła uwagę radży”.

– Słyszałaś? – Jaya przyciska dłonie do piersi; nos ma czerwony od płaczu. – To radża nas oglądał.

Przytakuję i klękam obok niej, czując, jak żółć podchodzi mi do gardła.

– Natesa powiedziała, że czuła jego oddech na swoich piersiach. – Jaya odwraca przerażony wzrok i przygryza dolną wargę. – Słyszałam, jak mówiła Saricie, że będzie mieszkała w pałacu. Myślisz, że to prawda?

– Może. – Dwa rzędy przed nami Natesa siedzi na podwiniętych nogach. Jest z siebie wyraźnie zadowolona. – Dotknął jej?

Jaya otrząsa się z niepokoju i oszołomienia.

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Czy powołał jeszcze kogoś?

– Nic takiego nie słyszałam. – Jaya spazmatycznie chwyta powietrze. – Cała się trzęsłam... Nie mogłam przestać.

Obejmuję ją, czując, jak zżera mnie poczucie winy. Muszę ją opuścić. Wyjechać stąd. Powinnam ją ostrzec, ale nie potrafię wykrztusić z siebie tego wyznania.

Rozlega się gong i wszystkie rozmowy się urywają. W oczach wielu dziewcząt błyszczą przejęcie. Plotka, że to radża przybył do naszej świątyni, rozeszła się błyskawicznie. Wypuszczam Jayę z objęć, ale nie odsuwam się od niej.

Stojąca na przedzie kaplicy kapłanka Mita nakazuje nam milczenie.

– Z pewnością wszystkie odgadłyście już tożsamość naszego benefaktora. Radża Tarek był ukontentowany różnorodnością waszej urody i sztuki walki. – Unosi dwa palce ułożone w literę V. – Wybrał dwie z was.

Zewsząd dobiegają stłumione okrzyki. Wiedzą o Natesie, ale nie mają pojęcia o mnie. Dziewczęta zaczynają spekulować przyciszonymi głosami, a Jaya kładzie mi dłoń na kolanie. Posyła mi pytające spojrzenie, a ja potakuję. W kącikach jej oczu zbierają się łzy.

– Spokój! – Kapłanka Mita czeka, aż w kaplicy zapadnie cisza, po czym dodaje: – Obie córki wyjadą do Vanhi i zamieszkają w Turkusowym Pałacu, lecz tylko jedna poślubi radżę. Druga zostanie jego kurtyzaną.

Jaya mocniej ściska mnie za kolano. Kręcę głową. Nie wiem, którą z nich będę.

Moje wnętrzości wiją się jak uwięziona w koszyku żmija. Tę, która

zostanie królową – rani – czeka bajeczne życie. To najwyższa pozycja, jaką dziewczyna, sierota czy nie, może sobie wymarzyć. Radza na pewno nie poślubi mnie, wybierze Natesę z jej sercowatą twarzą i bujnymi krągłościami.

– Nateso i Kalindo, wystąpcie, proszę – mówi kapłanka Mita.

Na dźwięk mojego imienia córki reagują żywym zdumieniem, które szybko ustępuje zazdrosnym pomrukom i złośliwym spojrzeniom. Nawet Prita i Falan, które zawsze traktowały mnie chłodno, lecz uprzejmie, teraz obrzucają mnie zawistnym wzrokiem.

Wstaję płynnym ruchem, z wysoko podniesioną głową. Bez względu na to, czy zostanę żoną, czy kurtyzana, nie zamierzam okazywać, jak bardzo jestem zdruzgotana. Co się stało, to się nie odstanie. Przyjmę swój los z godnością, a wypłaczę się później.

Natesa zerka na mnie zaskoczona. Dołączam do niej na przedzie kaplicy i patrzę na grupę klęczących dziewcząt, szukając pocieszającego wzroku Jayi wśród spojrzeń wbijających się we mnie jak szpilety. dzielnie patrzy mi w oczy, a z podbródka kapią jej łzy.

Kapłanka Mita staje naprzeciwko mnie i Natesy.

– Niezależnie od tego, która z ról wam przypadnie, proszę, abyście dobrze reprezentowały świątynię Samiya i Siostrzeństwo. Bądźcie posłuszne i służcie radzy.

Usta Natesy drgają triumfalnie. Zostałam jej jedyną rywalką i właśnie to odkryła. Nie jestem niczyją wybranką.

Splatam drżące dłonie i chowam je w fałdach szaty. Migoczący blask świec oświetla malowidła przedstawiające Anu i jego żonę Ki. Zamysł malarza sprawił, że małżonkowie spoglądają na siebie z przeciwległych ścian kaplicy. Wolałabym ujrzeć radzę, zanim mnie powołał, lecz tak się nie stało. Czuję, jakbym się znalazła na krawędzi urwiska, z którego mam się rzucić w nieznaną – pozbawioną twarzy – przyszłość.

– Słowo radzy jest ostateczne – mówi kapłanka. – Nie sprzeciwiamy się.

Jesteśmy posłuszne.

– Jesteśmy posłuszne – powtarzają córki.

Tę obietnicę wypowiadam bezgłośnie, bo język wciąż stoi mi kołkiem.

Wszystkie czekamy w milczeniu. Zwykle cisza nie wytrąca mnie z równowagi. Mogę szkicować w spokoju całymi godzinami, ale panująca tu niepewność jest nie do zniesienia.

– Radża Tarek postanowił, że jego kurtyzana zostanie Natesa. – Kapłanka Mita odwraca się ku mnie. – Na swoją żonę wybrał Kalindę.

Wpatruję się w jej rzadko widywany, aprobujący uśmiech, a moje serce spada...

Coraz niżej...

I niżej...

Nie ma dna, nie ma końca, nie ma ratunku.

Zostałam powołana, by zostać rani. Królową.

W kaplicy zalega cisza pełna oszołomienia. Na mojej twarzy musi się malować takie samo niedowierzenie i zdumienie, jak na wszystkich innych. Kapłanka Mita wzywa siostrę Hetal, która przynosi naczynie z henną. Kapłanka zanurza palec wskazujący w barwniku, po czym dotyka nim punktu między moimi brwiami i przesuwając w dół, aż po czubek nosa. Choć nie widzę tego, co namalowała, wiem, że krótka pionowa linia na środku twarzy jest symbolem rychłego zamążpójścia.

Kapłanka czeka, aż siostra Hetal wróci na drugi koniec kaplicy, a następnie oznajmia:

– To nie koniec doniosłych wieści. Zanim Jego Wysokość przybył do Samiyi, odwiedził inne siostrzeńskie świątynie. Szukał wyjątkowej kandydatki, a wybrał właśnie Kalindę. Zostanie setną rani radży.

Pomruki sióstr przerywają ciszę. Razem z innymi córkami rozważam w milczeniu, co to oznacza. W religii parijana śmiertelny mężczyzna nie

może mieć więcej żon niż Anu, który miał ich sto. W przeciwnym razie wzbudziłby zazdrość boga niebios, a ten przekląłby zuchwalca i cały jego ród. Jednak poślubienie tej samej liczby kobiet co Anu jest oznaką dostojności. Żaden inny żyjący władca nie ma stu żon. Żaden nie ma na to wystarczających środków. Gdy radza Tarek mnie poślubi, zostanie najpotężniejszym monarchą na całym kontynencie.

Na myśl o tylu nieznanym twarzach czuję się oszołomiona. Mam zostać setną rani radzy. Ma już pięćdziesiąt pięć żon. Pięćdziesiąt pięć! Rozumiem, że liczba żon świadczy o zamożności i władzy mężczyzny, ale jak potężny może być jeden człowiek?

– Czy któraś z was potrafi wyrecytować dzieje setnej rani Enlila? – pyta kapłanka. – Rozgląda się, szukając ochotniczki, ale żadna się nie zgłasza. – Jayu, może ty?

Jaya powoli wstaje z miejsca. Oczy ma spuchnięte od płaczu. Zaciskam szczęki. Nie podoba mi się, że kapłanka Mita chce wykorzystać tę chwilę na prawienie morałów. Ale zanim udaje mi się odgadnąć, co nią kieruje, Jaya zaczyna:

– Bóg ognia Enlil miał wiele śmiertelnych żon i kurtyzan, a wszystkie były tak olśniewającej urody, że bóg niebios pozazdrościł synowi jego pomyślnego losu. Kiedy więc Enlil oznajmił, że zamierza poślubić setną żonę, Anu rozgniewała jego zachłanność i nie zgodził się, aby syn miał więcej żon niż on sam. Powiedział, że Enlil może mieć tylko sto żon i kurtyzan, śmiertelnych bądź nieśmiertelnych, i rozkazał mu utopić te, których nie zechce zatrzymać. Enlil był zrozpaczony. Miłował swoje żony i kurtyzany i nie umiał ograniczyć ich liczby do tak niewielu. Zafrasowany zapytał ojca, w jaki sposób wybrać te kobiety, które powinien zatrzymać. Anu odpowiedział: „Niech same zdecydują”.

Czuję, jak ciepło odpływa mi z twarzy. „Nie, nie, nie”.

Jaya kontynuuje opowieść, a z każdym słowem mówi coraz ciszej:

– Żadna z żon Enlila nie chciała unieważnić małżeństwa, bo wszystkie

kochały i szanowały męża. Ale kurtyzany również darzyły go uczuciem i uważały, że skazując je na śmierć, postąpi niesprawiedliwie. Dlatego wyzwały przyszłą żonę Enlila do walki o pozycję ostatniej rani. Była to kobieta wielkiej urody i miała litościwe serce, ale okazała się również zacieklą wojowniczką. Pokonała wszystkie rywalki i zachowała swoją pozycję. Poślubiła boga ognia i na zawsze została jego ulubioną żoną.

– Doskonale, Jayu. Możesz uklęknąć. – Kapłanka uśmiecha się do mnie promiennie.

Przez całe życie czekałam, by ujrzała we mnie jakąś wartość. Teraz, kiedy ją dostrzegła, jej pochwała budzi we mnie odrazę.

– Kalinda została powołana, ale teraz musi zdobyć sobie miejsce w pałacu. Dostąpi wielkiego zaszczytu, biorąc udział w starożytnym obrzędzie walki o tron.

Jej słowa są jak szpony rozrywające mi pierś. Drżenie rąk zdradza mój strach. Nigdy nie sądziłam, że stanie się coś takiego, bo inaczej pamiętałabym lekcje o turniejach tronowych. Za każdym razem, kiedy radza poślubia nową kobietę, boskie prawo pozwala, aby jego aktualne żony i kurtyzany urządziły turniej, podczas którego będą się pojedynkować, żeby obronić lub podnieść swoją pozycję albo też ubiegać się o upragniony tytuł pierwszej żony. Te brutalne walki ciągną się przez wiele dni, a często kończą śmiercią. To dlatego radza Tarek chciał zobaczyć nasze pojedynki. I dlatego wybrał mnie, nie bacząc na mój wygląd. Jestem ostatnią żoną, jaką kiedykolwiek poślubi, więc pragnie wojowniczką, która obroni swoją pozycję ostatniej rani.

Ale ja nie mogę wygrać. Kapłanka dobrze o tym wie. Wszyscy to wiedzą. Moje zwycięstwo podczas prób kunsztu było ślepym trafem. Pokonałam Saritę, ale radza z pewnością zauważył, że nie byłam najsilniejszą z dziewcząt na arenie. Źródłem mojej siły była miłość do Jayi. Jego kurtyzany od lat przygotowują się do tego turnieju. Niektóre z nich są nowicjuszkami jak ja, ale te szybko się wykruszą. Zwycięży najsilniejsza i to ona poślubi radzę Tarka, lecz nie będę to ja.

– Radza wybrał Kalinę, aby reprezentowała tron jako jego faworytka – oznajmia kapłanka Mita. – Na jej cześć żony i kurtyzany urządzają turniej tronowy, i to największy z wszystkich dotychczasowych, ponieważ będzie on ostatnią szansą dla kurtyzan radzy, aby zdobyć sobie miejsce wśród jego rani. Uczcijmy faworytkę!

Kapłanka Mita składa dłonie do modlitwy i wykonuje przede mną ukłon. Siostry na drugim końcu kaplicy naśladują swoją przełożoną, a wszystkie klęczące córki pochylają się i dotykają ziemi czołami. Oprócz Natesy.

– Okaż szacunek swojej przyszłej królowej – nakazuje kapłanka.

Nozdrza dziewczyny się rozszerzają, a jej palce przypominają szpony. Nie mam wątpliwości, że chciałyby mnie zrzucić ze szczytu góry, a jednak składa dłonie przy piersi i lekko pochyla głowę.

– Doceniam wasze posłuszeństwo, córki – mówi kapłanka, tym samym zezwalając wszystkim na podniesienie głów. Otacza mnie ramieniem i prowadzi nawą kaplicy do tylnych drzwi.

To dzieje się zbyt szybko. Nie mogę teraz odejść. A jednak jakaś częśćka mojego umysłu wie, że właśnie odchodzę.

Kiedy mijamy Jayę, wrywam się kapłance, padam na kolana przed przyjaciółką i przyciskam ją mocno do siebie.

– Zabrałabym cię ze sobą, gdybym mogła.

– Wróć i powołaj mnie na swoją służącą. Obiecuj, że wygrasz ten turniej, Kali. Obiecuj, że po mnie wrócisz.

Jej dalekosiężne myślenie przyprawia mnie o zawrót głowy. Czasami żona benefaktora towarzyszy mu podczas Powołania i wspólnie wybierają służącą, która jest zwykle podopieczną o niewielkich predyspozycjach do walki. Ale nawet gdybym mogła tu wrócić i powołać Jayę, czy naprawdę chciałabym to zrobić?

– Nie – odpowiadam. – Musisz złożyć przysięgę wierności Siostrzeństwu, bo inaczej może cię powołać następny benefaktor, który się tu zjawi.

– Ale jeśli przystąpię do Siostrzeństwa, już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Na tę myśl ściska mnie w żołądku. Nie potrafię się pożegnać z Jayą na zawsze, ale prośba, by na mnie czekała, wiąże się z ogromnym ryzykiem. Zbyt wiele może się zmienić.

– Nie wolno ci...

– Nie zostanę powołana. Z tą blizną na twarzy nikt mnie nie zechce.

Mocno ściskam ją za ramiona.

– Ja też sądziłam, że nikt mnie nie zechce!

Jaya patrzy na mnie wilgotnymi oczami.

– Możesz wygrać, Kali. Nigdy się nie poddajesz. Obiecuj mi, że wygrasz. I że po mnie wrócisz.

Chcę się sprzeciwić, ale ona już podjęła decyzję. Nie przystąpi do Siostrzeństwa. Będzie na mnie czekała, ryzykując, że zostanie powołana. Muszę zwyciężyć. Muszę wrócić po Jayę.

Całuję ją w policzek nad szwami i szepczę:

– Przyjadę po ciebie.

Jaya chwyta mnie za ręce i mocno ściska. Odwzajemniam uścisk, aż bieleją nam koniuszki palców.

Kapłanka Mita odrywa mnie od przyjaciółki.

– Kocham cię, kocham – mówię do Jayi ze łzami w oczach i powtarzam te słowa, dopóki nie tracę jej z oczu.

Kapłanka wyprowadza mnie z kaplicy i schodzimy na niższe piętro. Otwiera te same drzwi, pod którymi podsłuchiwałam rano. Spodziewam się, że teraz stanę przed obliczem radży Tarka, ale zamiast niego zjawia się kapitan Naik.

Na jego widok staję jak wryta. Kurczowo zaciskam palce na spódnicy

i wycofuję się za kapłankę.

– Powiedziano mi, że będą dwie – mówi.

– Druga wkrótce przybędzie. – Mita wysuwa mnie przed siebie. – Kalindo, to jest kapitan Naik. Kapitanie, oto Kalinda, wybranka radży.

Kapitan Naik przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami. Wierchem dłoni ocieram policzki zalane łzami i czekam, aż oznajmi kapłance, że już się spotkaliśmy, ale on rusza w stronę drzwi – innych niż te, którymi tu wszedł.

Kapłanka Mita ciągnie mnie za nim, a ja się potykam, próbując za nią nadążyć. Komnata, którą opuszczamy, jest pełna złoconych mebli. „Mieszkał tu radża. A gdzie jest teraz?”

Drzwi prowadzą na zewnętrzną klatkę schodową, która wiedzie nas na dziedziniec. Chmury śniegowe wiszą nisko i ciężko nad górą, w połowie ją przysłaniając. Choć wydaje się, jakby od porannych prób kunsztu upłynęły wieki, w rzeczywistości jest dopiero południe.

Pięciu żołnierzy objucza rząd koni sakwami, do których przytroczone są miecze. Zdumiewające, jak ci mężczyźni cicho się poruszają i jak potężnie są zbudowani. Jeden z nich, o ramionach okazańszych niż moje biodra, zaprzęga białe konie do złotej karety. Wszyscy żołnierze noszą szafranowe kaftany do kolan oraz spodnie luźne w okolicach ud i marszczone przy kostkach, a na głowach mają ciasno zawiązane turbany. Mundur kapitana jest nieco inny – zdobiony złotym haftem na mankietach i stojącym kołnierzyku. Wciąż nigdzie nie widzę radży ani generała.

– Gdzie jest radża Tarek? – pytam, bawiąc się spódnicą.

– Jego Wysokość wyruszył już w drogę powrotną do Vanhi, aby się przygotować do turnieju tronowego – odpowiada mi kapitan, przytracząc sakwę do siodła.

Moje rozczarowanie dorównuje uldze. Radża Tarek musiał wyjechać natychmiast po obrzędzie Powołania. Może lepiej, że będziemy podróżować oddzielnie. Dzięki temu zdołam się pogodzić ze swoim pokrętnym losem,

nim stawię mu czoło.

– Kareta z zaprzęgiem koni to jego prezent zaręczynowy dla ciebie, pani. Radża ubolewa, że jest nieobecny, kiedy go otrzymujesz – ciągnie kapitan Naik.

Wszystkie myśli cichną, słyszę tylko słowa kapitana. Ten wspaniały powóz i zaprzęg koni należą do mnie?

– Kapitanie Naik! – Kapłanka Mita podnosi głos, aby nie zagłuszył go wiatr. – Druga córka jeszcze nie w pełni docenia swoje powołanie. Natesa może wymagać... dodatkowego nadzoru.

Kapitan wymienia ironiczne spojrzenie z jednym z żołnierzy.

– Przypilnujemy jej – obiecuje i dosiada konia. Zaskoczona tą nagłą okazałością jego postaci na rumaku, cofam się o krok. Podnoszę na niego wzrok i spływa na mnie olśnienie. To on był tym jadącym na czele orszaku żołnierzem, którego szkicowałam. Powoli się ku niemu nachylam, studiując każdy szczegół jego twarzy, żebym później mogła ją narysować. Przygląda mi się z góry z osobliwym błyskiem w oku.

– Czy życzysz sobie obejrzeć wnętrze swojej karety?

Wyprostowuję się i spuszczam wzrok.

– Ja... chyba...

Ze świątyni za naszymi plecami wychodzą uzdrowicielka Baka i Natesa, która niesie niewielką torbę. Opierając się gwałtownym podmuchom wiatru, podchodzi prosto do karety i przesuwa palcami po błyszczącej kłamce.

– Czy to kareta dla mnie?

– Jest darem radży dla jego wybranki – odpowiada kapitan Naik.

Natesa wysuwa podbródek.

– Och, Kalindzie nie będzie przeszkadzało, że...

– Spytaj, czy możesz jej towarzyszyć – przerywa jej kapitan. –

W przeciwnym razie pojedziesz do Vanhi na koźle.

Wierzę, że kapitan Naik spełniłby swoją groźbę. Wygląda mi na kogoś, kto nie rzuca słów na wiatr.

Natesa piorunuje mnie wzrokiem.

– Czy mogę ci towarzyszyć?

Doskonale pamiętam, ile razy nazywała mnie Bambutyczką, ale nie chcę się nad nikim wywyższać, nawet jeśli na to zasługuje.

– Tak – zgadzam się.

Naburmuszona Natesa wdrapuje się do środka. Obracam się w stronę wiatru, aby zdmuchnął mi włosy z twarzy. Uzdrowiciela Baka wręcza mi torbę na ramię, do której spakowała fiołki z tonikiem, kawałki węgla, szkicownik, procę i kamienną amunicję.

Oczy zachodzą mi łzami.

– Dziękuję.

Obejmuje mnie i szepcze mi do ucha:

– Uważaj, komu mówisz o swojej gorączce. Nie każdy zrozumie. Recepturę toniku znajdziesz w torbie. Ukryj ją, a codzienną dawkę leku zażywaj bez świadków.

To nagłe pouczenie, by moją dolegliwość zachować w tajemnicy, wprawia mnie w zakłopotanie. Mam skłonność do gorączkowania. Co tu jest do rozumienia? A zresztą, nawet jeśli ja nikomu o tym nie powiem, wypapla to Natesa. Chcę, aby uzdrowicielka wyjaśniła, co ma na myśli, ale ona ucisza mnie znaczącym spojrzeniem i jeszcze mocniej obejmuje.

– Możesz wygrać ten turniej, Kali. Wiem, że możesz.

– Postaram się. – Ta pusta obietnica sprawia, że zasycha mi w gardle. Nie zdołam wygrać. Wejście na arenę będzie dla mnie wyrokiem śmierci. Ale chcę, aby ona i Jaya wiedziały, że dałam z siebie wszystko.

Poryw wiatru niemal nas przewraca. Uzdrowicielka wypuszcza mnie z objęć i chowa się w wejściu do świątyni. Kapitan Naik zajeżdża na tył kawalkady i instruuje swoich ludzi. Żołnierze popatrują spod przymrużonych powiek na ponure niebo i chcą ruszać, zanim zaczną sypać śnieg.

Kapłanka nie obejmuje mnie tak jak uzdrowicielka Baka.

– Wiem, że nie zawsze się zgadzałyśmy – mówi – ale jestem zaszczycona, że byłaś moją córką. Szczęśliwej podróży i trzymaj się z dala od mężczyzn. Teraz należysz do radży. Wszelka nielojalność wobec przyszłego męża ściągnie na ciebie karę bogów. – Strzepuje hennę łuszczącą się na moim nosie, którą naznaczyła mnie jako kobietę zaręczoną. – Pamiętaj o swoich powinnościach i dobrze reprezentuj Samiyę.

– Obiecuję.

– Na koń! – rozkazuje swoim ludziom kapitan.

Wsiadam do karety. Natesa usadowiła się pod oknem, zostawiając mi miejsce przy drzwiach. Kawalkada rusza w dół wzgórza. Po policzkach płyną mi łzy. Kapłanka Mita i uzdrowicielka Baka szybko znikają mi z oczu i wkrótce widzę już tylko znajome kamienne wieże świątyni. Wpatruję się w oświetlone okna obserwatorium w północnej wieży, dopóki mój dom zupełnie nie znika w oddali.

– Nareszcie. – Natesa rozkłada sobie pled na kolanach. – Czekałam, żeby się wyzwolić z tego więzienia, odkąd się w nim znalazłam.

Rzucam jej ostre spojrzenie. Po śmierci rodziców miała szczęście, że przyjęto ją w Siostrzeństwie. Mam ochotę zdzielić ją w te niewdzięczne usta, ale postanawiam odłożyć to na inną okazję. Będziemy musiały razem znosić tę ciasnotę przez dwa tygodnie, aż zjedziemy z Alpanów i przemierzmy pustynię Bhavya.

W czasie tych czternastu dni Natesa jeszcze nieraz powie i zrobi coś bardziej obraźliwego. Tego mogę być pewna.



Kilka godzin później zapada zmrok. Nasi strażnicy rozbijają namiot i rozpalają ognisko w skalnej wnęce pod ścianą kanionu. Mnie i Natesy nie zapraszają do siebie. Spędzimy noc tak samo, jak spędziłyśmy dzień – w karecie.

Jeden z żołnierzy – młodszy ode mnie, jeszcze chłopiec – przynosi nam kamienie rozgrzane w ognisku i drżącymi rękami wsuwa je pod koce, ani na chwilę nie podnosząc na nas wzroku. Dostajemy też posiłek składający się z podpłomyków i orzechów z przyprawami.

– A gdzie jedwabny namiot? – jęczy po jego wyjściu Natesa. – Puchowe łoża? Wykwintne jedzenie i gorliwa służba?

Wkładam orzech nerkowca do ust. Dlaczego ona spodziewa się tych wszystkich luksusów? Jesteśmy w dziczy. Zważywszy na prymitywne warunki, w jakich śpią ci żołnierze, jestem wdzięczna za wygodę i zaciszość naszej karety. Szkoda tylko, że jest tak maleńka. Nie mogę uciec od gderania Natesy. Dzięki bogom za chrupiące orzechy.

– Czy im się wydaje, że w tej ciasnocie możemy...

Chrup. Chrup. Chrup.

– Tego kocyka ledwo starcza, żeby przykryć...

Chrup. Chrup. Chrup.

– Nie dali nam gorącej wody do mycia.

Sięgam po kolejną porcję orzechów, ale zjadłam już wszystkie. Z westchnieniem zgmatam papierowy lejek w dłoni. Koniec świętego spokoju.

Natesa piorunuje mnie wzrokiem.

– Zjadłaś wszystkie?

Posyłam jej długie spojrzenie. Nie jestem głupia. Ona wcale nie chce mojego współczucia. Po prostu nie wie, co ze sobą zrobić, kiedy nie narzeka. Rozlega się stukanie w drzwi i do środka wchodzi młody strażnik.

– Kapitan Naik chce, by pogasić lampy.

– Twój kapitan nie będzie nam rozkazywał. Mamy wyższą pozycję niż on.

– Z każdego słowa Natesy sączy się jad.

Za plecami chłopca widzę innych żołnierzy, którzy zasypują ognisko śniegiem. Z nocnego nieba wciąż sypią się nowe, gęste pierzaste płatki.

– Jak będziecie spać na mrozie? – pytam.

Młody żołnierz uśmiecha się nieśmiało.

– My też mamy gorące kamienie w swoich posłaniach, Viraji.

Na dźwięk tego słowa serce bije mi mocniej. „Viraji. Przyszła królowa”.

– Chyba nie sądzicie, że będziemy spały w ciemnościach? – Z Natesy wychodzą dziecinne lęki. – Nie możemy ufać, że ktoś z naszej eskorty nie spróbuje nas zhańbić – dodaje wzgardliwie.

Skłamałabym, mówiąc, że ta myśl nie przeszła mi przez głowę. Nie wiem, co sądzić o tych mężczyznach. Chodzą zamaszystym krokiem, a na twarzach mają ciemny zarost. Są zorganizowani, dobrze wyszkoleni i dziwnie powściągliwi. Mają nas chronić, ale jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, czy możemy im ufać.

– Strażnikom nie wolno tknąć żadnej kobiety z dworu radży – wyjaśnia

chłopiec, marszcząc brwi. – Pod karą śmierci – uzupełnia. Jego powaga przydaje mu lat.

Radza z pewnością nie rzucał słów na wiatr, a ten chłopiec musiał być świadkiem wykonania wyroku.

– Od jak dawna służysz w armii? – pytam. – Jak masz na imię?

– Manas. – Dumnie wypina pierś. – Jestem żołnierzem od dwóch lat. Gdy straciłem rodzinę, radza przyjął mnie na swojego pucybuta, a w dniu czternastych urodzin wstąpiłem do armii.

– Fascynujące – mówi Natesa, drwiąco przeciągając samogłoski.

Manas spuszcza głowę i się rumieni.

– Zostawię panie. Czas na odpoczynek.

Odchodzi, a Natesa skarży się piskliwym głosem:

– Czy oni sądzą, że będziemy spały bez światła? Kapitan Naik jest...

– Naszym przewodnikiem w drodze do Vanhi. Bądź dla niego uprzejma, jeśli potrafisz. – Zdmuchuję lampę naftową i okrywam się kocem.

Natesa mości się na ławeczce naprzeciwko mnie, gniewnie posapując. Nie boję się nocy. Kiedy zamykam oczy, pod powiekami migoczą mi świetliste punkciki. Jaya uważa je za resztki dziennego światła, ale ja myślę, że to wewnętrzne gwiazdy przewodnie.

Na zewnątrz zapada cisza i wkrótce słychać już tylko wiatr stukający w drzwi karety. Otulona aksamitną peleryną nocy tęsknię za domem. Za moim łóżkiem, komnatą i Jayą. Nie potrafię się rozluźnić, nie słysząc jej miarowego oddechu, który zwykle kołysał mnie do snu. Brakuje mi jej palców w moich włosach i dodającego otuchy uścisku dłoni. Zastanawiam się, czy żałuje swojej obietnicy, że będzie na mnie czekać.

Siadam prosto i widzę, że Natesa już śpi. Cichutko unoszę zasłonkę i wyglądam przez okno. Dzisiaj nie ujechaliśmy zbyt daleko. Śnieg i lód spowalniały jazdę w dół.

Może uda mi się zasnąć, jeśli popatrzę na światła w oknie obserwatorium w północnej wieży. Sięgam po procę i kamienie, po czym otulona kocem wyślizguję się z karety. W cichym, uśpionym obozie nie widać żadnego wartownika. Słaby blask księżyca dodaje śnieżnemu krajobrazowi eterycznego połysku, a świeży śnieg tłumi odgłos moich kroków, gdy idę w kierunku drogi. Mróz szczypie moją twarz postrzępionymi pazurami, ale to mnie nie powstrzymuje.

Mijam zakręt i się odwracam. Kareta dawno zniknęła mi z oczu, do obozu mogę wrócić tylko dzięki śladom na śniegu. Wstrząsa mną dreszcz. Postępuję niedorzecznie. Mogę zamarznąć, zanim znajdę moją świątynię. Ale dotarłam aż tutaj i nie wiem, czy zdołam wrócić.

Patrzę przed siebie. „Tylko za to wzniesienie”.

Ścieżka robi się stroma. Potykam się o koc i upadam, wyciągając przed siebie dłonie. Palce mam lodowate. Podnoszę się i mocniej naciągam koc na ramiona. „Już prawie jestem na miejscu”.

Wspinam się na szczyt wzgórza, czując piekący ból w nogach i płucach. Obiecuję sobie, że bez względu na to, co zaraz zobaczę, zawrócę. Wbijam wzrok w ciemny horyzont, wypatrując światła w oddali. Nadaremno.

Zaciskam szczęki, aby powstrzymać łzy. Uzdrowicielka Baka poradziła mi nie oglądać się za siebie, ale przed sobą widzę tylko śmierć. Nie przeżyję turnieju tronowego. Już nigdy nie zobaczę Jayi. Ale obiecałam jej, że spróbuję.

Przygarbiona zawracam w stronę obozu. Schodząc ze zbocza drugiego wzgórza, uświadamiam sobie, że szedł tędy ktoś jeszcze. Ślady są prawie dwukrotnie większe od moich, ale wiodą w stronę drzew. Czuję, jak puls mi przyspiesza, więc spowalnim oddech, aż staje się miarowy. Wkładam kamień do procy i mierzę w kierunku lasu.

Spomiędzy drzew wyłania się kapitan Naik. Celuję prosto między jego ciemne, spokojne oczy.

– Nie powinnaś opuszczać obozu, Viraji – odzywa się.

– Od jak dawna mnie śledzisz, kapitanie?

– Od początku. Opuść broń, Viraji. Nie skrzywdzę cię.

– Wiem. – To niezupełnie prawda. Zdaję sobie sprawę z jego rozmiarów, siły i obcości. A jednak przy każdym kolejnym spotkaniu coraz trudniej oderwać mi od niego wzrok. Czy intryguje mnie fakt, że jest mężczyzną, czy też czuję się tak tylko w jego obecności? Opuszczam procę i szybkim krokiem ruszam przed siebie.

Kapitan Naik podąża za mną w stosownej odległości.

– Szedłem za tobą dla twojej ochrony. Na wypadek, gdybyś próbowała uciec.

– Nie próbowałam.

– Co zatem robiłaś?

Zatrzymuję się i patrzę na niego ze złością. Wolałabym nie odpowiadać, ale nie mogę pozwolić mu myśleć, że będę usiłowała uciec. Jestem tu i choć wcale tego nie pragnę, muszę zostać. Siostrzeństwo nie przyjmuje z powrotem powołanych podopiecznych.

– Chciałam popatrzeć na światła w wieży świątyni – wyjaśniam.

Spogląda na mnie w zamyśleniu, a moja złość gdzieś ulatuje.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczę swój dom – dodaję.

Kapitan nie spuszcza mnie z oka, a jego wzrok łagodnieje z każdym niespokojnym uderzeniem mojego serca. Uśmiecha się lekko.

– Proszę pójść za mną.

Zawraca i bnie pod górę. Rzucam spojrzenie w kierunku obozu. Mogłabym wrócić albo się dowiedzieć, dokąd idzie kapitan. Kapłanka Mita byłaby przerażona, że rozważam pójście za nim, lecz radża oddał mnie pod jego opiekę, więc musi mu ufać. Nie wyczuwam z jego strony niczego

niestosownego, ale co, jeśli źle go oceniam?

Kapitan zatrzymuje się przy linii drzew i unosi brwi.

– Zechcesz pójść za mną?

Przyglądam się jego szczerzej twarzy, szukając powodu, by mu nie ufać – innego niż obawy, które zaszczepiła we mnie Jaya. Kapitan Naik miał dość okazji, by mnie skrzywdzić, a jednak nie zbliżył się do mnie nawet wtedy, gdy podejrzewał, że próbuję uciec.

Przyspieszam kroku, by go dogonić. Szybko zapominam, dlaczego za nim idę, teraz już tylko się zastanawiam, jak mogłabym skłonić go do ponownego uśmiechu.

Kapitan wchodzi między drzewa porastające grań. Ciche skrzypienie jego kroków wtapia się w noc, przypominając dźwięk spadających z gałęzi czap śniegu. Jego uwadze nie umyka żaden cień; kilka razy przystaje, nasłuchując. Jego ostrożność sprawia, że ja również poruszam się cicho i czujnie.

Docieramy do polany. Na horyzoncie rysują się niebieskofioletowe, trójkątne wierzchołki Alpanów. Kapitan Naik wskazuje ręką na najniższy szczyt, a gdy podążam wzrokiem za jego wyciągniętym palcem, dostrzegam jakiś słaby blask. Światła Samiyi. Samotna gwiazda wyzierająca z mroku nocy.

Łzy przesłaniają mi widok. Stoimy obok siebie, wpatrując się w ostatni widoczny w oddali ślad mojego domu. Kilka chwil później – sama nie wiem, ile czasu upłynęło – wstrząsa mną gwałtowny dreszcz.

Kapitan Naik staje naprzeciwko mnie i otula mi ramiona kocem. Czuję na policzku jego oddech i słyszę szept:

– Mam nadzieję, że ten widok cię ukoł, Viraji.

Płatki śniegu przywierają do jego czarnych jak sadza rzęs okalających ciepłe brązowe oczy. Nie boję się bardziej niż wtedy, gdy go spotkałam na niższym piętrze w świątyni. Promieniujące od niego ciepło i poczucie bezpieczeństwa napawają mnie ufnością.

Chciałabym przyłgnąć do jego wysokiego, umięśnionego ciała, wtulić się w bijące z niego ciepło, jak królik moszczący się w ciepłej norce.

Policzki płoną mi wstydem. Nie powinnam tak czuć. W obecności radży nie było mi tak przyjemnie. Jego dotyk, głos i zapach mnie odpychały. Przy kapitanie Naiku zmysły ożywają, a moje szczupłe ciało nagle wydaje się delikatne, krągłe, wręcz kobiece.

Pragnienie poznania tego nowego, przerażającego uczucia jest tak silne, że aż dławi mnie w gardle. Powinnam się odwrócić, ale paraliżuje mnie dziwna mieszanka ciekawości i pewności siebie. Nigdy nie sądziłam, że mogę dopuścić mężczyznę tak blisko i nie poczuć się przez niego osaczona. Brak mi kobiecego powabu, którym obdarzone są inne córki. Bliskość kapitana nie ma sensu, chyba że miał inny powód, dla którego zwabił mnie tu samą.

Wstrząśnięta tą myślą wytrzeszczam na niego oczy.

– Czy... Czy mnie pożądasz, kapitanie?

Mężczyzna odsuwa się i rumieni.

– Nie wolno mi. Przyprowaździłem cię tutaj, aby cię zadowolić, Viraji.

Czuję falę gorąca na szyi, gdy przypominam sobie lekcję o tym, co się dzieje w komnacie sypialnej. Jedna z sióstr powiedziała nam, że musimy zaspokajać żądze mężczyzny, który nas powołał. Córki rumieniły się i chichotały przez resztę dnia. Niektóre przekazywały sobie na ucho opowieści o żonach Anu i jego dotyku rozbudzającym kobiecą rozkosz. Serce zaczyna mi walić, a gula w gardle robi się coraz większa. Chciałabym wiedzieć, czy to, o czym wtedy szeptały dziewczęta, jest prawdą, lecz przecież to nie kapitan mnie powołał. Bez względu na to, jak podniecające i kuszące są te uczucia, byłabym lekkomyślna, dając się im ponieść.

– Kapitanie, jesteś bardzo urodziwy i dziękuję za przyprowadzenie mnie tutaj, ale nie mogę się niczym odwzajemnić.

Kapitan pochyla głowę i masuje sobie kark.

– Viraji, nigdy nie powiedziałem... Nie jesteś mi niczego winna.

Przestrzegam cię przed zbytnią otwartością w tych sprawach.

– Och. – Przyciskam zimne dłonie do płonących policzków. – Czy powiedziałam coś niestosownego?

– Ogólnie mówiąc, to mężczyźni wyrażają swoje zainteresowanie. Kobiety tego nie robią.

„O, bogowie, ależ jestem głupia. Kapitan Naik mnie nie pożąda, bo gdyby tak było, powiedziałby mi o tym”.

Próbuje złagodzić moje upokorzenie uśmiechem.

– Powinniśmy wracać. Dla bezpieczeństwa twojego i moich ludzi proszę, nie opuszczaj więcej obozu.

Kapitan Naik rusza w stronę drzew. Dzieląca nas odległość nie uśmierza rosnącego we mnie rozczarowania. Czy oznaką oddanej kobiety jest trzymanie języka za zębami? Czy odtąd mam myśleć wyłącznie o zadowoleniu radży?

Czy już się nie liczy moje własne szczęście?

Rzucam ostatnie spojrzenie na światła świątyni, a potem odwracam się i ruszam za kapitanem na południe, w stronę Miasta Klejnotów.



Wciągu trzech dni schodzenia z pokrytych bielą szczytów krajobraz ulega zmianie. Zimozielone drzewa rosną gęściej, tworząc nieprzebyte lasy, śnieg topnieje i wnika w ziemię, a temperatura powietrza staje się znośniejsza. Natesa znajduje pod swoją ławeczką stos pism religijnych i zatapia się w ich lekturze, irytująco szeleszcząc przewracanymi kartkami. Patrząc na przesuwany się za oknem pejzaż i z każdym obrotem chybotliwych kół powozu coraz bardziej oddalam się od Jayi. W wieczornych modłach błagam bogów, aby pozwolili mi ją ujrzeć w sennych marzeniach. Ale nocą dręczą mnie koszmary. Śnię, że się budzę i nie ma przy mnie Natesy ani strażników. Biegnę ich szukać i gubię się w lesie.

Nawet w snach jestem sama.

Czwartego dnia próbuję czytać, ale kołysanie powozu przyprawia mnie o mdłości i poddaję się po dwóch stronach. Zwykle pomaga mi rysowanie, lecz kiedy otwieram szkicownik, w głowie mam pustkę. Gdy byłam dzieckiem i leżałam w infirmerii, strzelałam z procy do stojących na półkach pustych butelek po lekarstwach. Uzdrowicielka Baka nie miała nic przeciwko temu. Ale uwięziona w karecie nie mogę robić nawet tego.

Tuż przed zachodem słońca czuję, że muszę dotknąć stopami twardego gruntu. Zostawiam Natesę z nosem w księdze i wysiadam z powozu. Strażnicy siedzą wokół ogniska i jedzą wieczerzę pod rozgwieżdżonym

niebem. Na mój widok kapitan Naik natychmiast podnosi się z miejsca, a jego ludzie idą za jego przykładem. Policzki oblewa mi rumieniec i wraca niedawne zażenowanie.

– Viraji, czym możemy ci służyć? – pyta kapitan.

– Nie zamierzałam przerywać wam wieczery – odpowiadam z drżącym uśmiechem, onieśmielona spojrzeniami wszystkich mężczyzn. – Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Po chwili niezręcznej ciszy kapitan mówi z wahaniem:

– Proszę usiąść z nami.

W innych okolicznościach nie skorzystałabym z tak chłodnego zaproszenia, ale nie mogę znieść ciągłego przebywania w karecie. Mężczyźni zajmują miejsca, a Manas oddaje mi swój pniak. Siadam ze złączonymi kolanami i rękami przyciśniętymi do boków. Chłopiec podaje mi miskę czerwonego ryżu.

– Witaj, Viraji. – Wskazuje kolejno na pozostałych strażników. – To Bel i Ehan, a to Jeevan, twój woźnica.

Każdy żołnierz pozdrawia mnie skinieniem głowy. Zapamiętuję ich imiona i przenoszę wzrok na ostatniego z nich. Siedzi obok Manasa i jest wielki jak niedźwiedź. Lepka broda sięga mu do masywnej klatki piersiowej, a na grubej szyi rysują się sznury mięśni. W porównaniu z jego cielskiem jestem wręcz filigranowa.

– To Yatin – mówi Manas. – A kto uważa, że jest olbrzymem, powinien zobaczyć jego matkę.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie istną kobietę-niedźwiedzicę, i czuję, że mój lęk przed tą grupą mężczyzn słabnie.

– Wszyscy pochodzicie z Vanhi?

Uśmiech znika z twarzy chłopca, ale zaraz na nią wraca. Zapomniałam, że stracił całą rodzinę. Pewnie to myśl o bliskich zwarzyła mu na chwilę humor.

– My nie, tylko Deven.

Deven. Wszystkie oczy zwracają się ku dowódcy. Staram się na niego nie gapić, ale fascynują mnie jego jędrne usta i wyraźna linia szczęki. Szkoda, że rano się ogolił. Podobał mi się ten ciemny zarost na jego podbródku.

Deven dłużej w swojej misce z ryżem, unikając mojego wzroku. Nie winię go, zważywszy na moje niestosowne zachowanie, gdy byliśmy sami. Pewnie uważa mnie za głupią. Zostawiłabym go w spokoju, gdyby mi nie zależało, aby o Vanhi opowiedział mi jego rodowity mieszkaniec.

– Byłeś w Turkusowym Pałacu, kapitanie? – pytam.

– Wiele razy – odpowiada, ale nie dodaje nic więcej.

„Czyli naprawdę uważa mnie za głupią”.

– Deven i ja poznaliśmy się podczas ostatniego turnieju tronowego – odzywa się Manas. – Pamiętasz, kapitanie? To była pierwsza walka. Pokrewna zacisnęła ramię wokół szyi rywalki...

– Pamiętam – przerywa mu Deven. Być może rumieniec na jego twarzy to wina blasku ognia.

Pokrewna jest żoną radży numer jeden, a obecna Pokrewna radży Tarka to prawdziwa legenda. Ona i jej starsza siostra zostały powołane razem w pewnej siostrzeńskiej świątyni i stały się pierwszymi żonami radży.

– Co się wydarzyło? – pytam.

Manas nachyliła się w moją stronę.

– Pokrewna przyłożyła nóż do szyi przeciwniczki i jednym ruchem poderżnęła jej gardło. – Wymownie przeciąga sobie palcem pod brodą, jakby taka demonstracja była mi potrzebna. – Nikt jej nie pokona. Jest pierwszą żoną radży Tarka dłużej niż jakakolwiek inna, a jej oddanie nie ma sobie równych.

Ciężko przełykam ślinę. Żaden trening nie pozwoliłby mi pokonać weteranek turnieju, takich jak Pokrewna. Zastanawiam się, co powiedziałyby

Manas, gdybym mu wyznała, że nie zależy mi na poślubieniu radży. Że w ogóle nie dbam o radzę Tarka. Taka szczerość zapewne nie spotkałaby się ze zrozumieniem. Ten chłopiec najwyraźniej podziwia radzę i jego Pokrewną.

Deven podnosi się z miejsca.

– Wystarczy na dzisiaj. Viraji, odprowadzę cię do powozu.

Pozostali żołnierze wstają i chylą głowy w ukłonie. Odstawiam miszkę i życzę im dobrej nocy, a kiedy ruszam w stronę karety, Deven kroczy u mojego boku.

– Moi ludzie są pod wrażeniem – oznajmia.

Odwracam ku niemu głowę, bo w jego głosie słyszę ton dezaprobaty.

– Byli bardzo gościnni – mówię.

– To dobrzy żołnierze, ale jako Viraji i faworytka radży nie powinnaś się z nimi spoufalać.

Kapłanka Mita uczyła nas, że nielojalność wobec przyszłego męża ściąga na kobietę karę bogów, ale przecież nie byłam niewierna.

– Ja tylko zjadłam z wami wieczerzę – bronię się.

– To wystarczy, aby napytać sobie biedy – stwierdza Deven, gdy docieramy do karety. Podnosi na mnie wzrok i marszczy brwi. – Manas był kiedyś osobistym sługą radży Tarka. Jeśli on lub którykolwiek z żołnierzy wspomni radży o twojej życzliwości wobec nas, wszyscy zostaniemy napomniani. Surowo.

Nie czuję, by Deven mi groził, ale chcę się upewnić.

– Czy ty mnie wydasz, kapitanie?

– Wiesz, że tego nie zrobię, Viraji.

W jego spojrzeniu widzę aluzję do naszego sekretu: spotkania na niższej kondygnacji świątyni, o którym nie powiedział radży. A może chodzi mu o tamtą chwilę w lesie? Dopiero teraz uświadamiam sobie, na jak wielkie

niebezpieczeństwo się naraził, idąc za mną. Dlaczego podjął takie ryzyko?

Może uważa, że usługiwanie mi jest jego obowiązkiem, ale przecież był dla mnie miły jeszcze przed Powołaniem, gdy widział we mnie jedynie podopieczną świątyni.

Wstrzymuję oddech. „Właśnie taki jest”.

Za naszymi plecami, przy ognisku, Yatin odsuwa Manasowi pniak i chłopak przewraca się na ziemię. Chichot Yatina miesza się ze śmiechem reszty żołnierzy.

Deven też się uśmiecha.

– Nie warto nadstawiać karku za tę bandę błaznów.

Nie byłabym tego taka pewna. Zdecydowanie wolę przebywać z nimi niż w towarzystwie Natesy. To oni – a zwłaszcza Deven – sprawili, że mniej tęsknię za domem. Pamiętam, jak tamtej nocy się do siebie zbliżyliśmy. Jego serdeczność rozjaśniła cały mój świat. Dzięki niemu zapomniałam o nieprzyjemnych godzinach spędzonych w karecie. Nie chcę zaszkodzić ani jemu, ani jego ludziom.

Spuszczam wzrok i mamroczę:

– Nie będę się spoufalać.

– Dziękuję. – Jego ciepły uśmiech pozbawia mnie tchu. Odwraca się, by odejść, lecz zmienia zdanie. – Co do tego turnieju, o którym wspomniał Manas... Byłem tam tylko przez wzgląd na jedną z zawodniczek.

Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo chce podkreślić, że niechętnie przyszedł obejrzyć tamtą walkę, ale kiwam głową.

– Dobrze sobie poradziła?

– Nie. – Uśmiecha się smutno i wraca do swoich ludzi.

Patrząc, jak się oddala, na przemian zaciskam dłonie w pięści i prostuję palce, jakbym próbowała schwycić jakieś namacalne wyjaśnienie jego zmiennych nastrojów. Gdybym miała narysować serce Devena, ukazałabym

je w postaci labiryntu tajemnic – zagadki, której nie zamierzam rozwiązywać dzisiejszego wieczoru.

Wchodzę do karety i staję jak wryta. Natesa podnosi na mnie wzrok znad osełki, którą ostrzy sztylet. Sztylet zabrany ze świątyni.

– Nie zamierzam cię zabić, Kalindo. Gdyby było inaczej, już byś nie żyła. Poczekam do turnieju. Więc nie donieś kapitanowi o moim nożu.

Siadam naprzeciwko niej ze wzrokiem utkwionym w ostrzu.

– Do turnieju?

– Może cię wyzwąć każda z kurtyzan radży. Wszystkie mamy prawo walczyć o twoją pozycję, zabić cię i zostać ostatnią Viraji. – Wykrzywia usta we wstrętnym uśmiechu. – Łącznie ze mną.

Zastanawiam się, z iloma rywalkami przyjdzie mi się zmierzyć. Radża ma setki kurtyzan.

– A rani?

Natesa ze spokojem ostrzy starannie swój sztylet.

– Pokrewna może wyzwąć każdą, ale tobą nie będzie zaprzętała sobie głowy. Pozostałe żony również. Aby poprawić swoją pozycję, musiałyby pokonać rani o wyższym statusie.

Zalewa mnie fala ulgi. Przynajmniej nie będę musiała walczyć z żonami radży.

– Jak często urządzone są turnieje? – pytam.

– Za każdym razem, kiedy radża chce poślubić nową wybrankę. Pamiętam rok, w którym było ich sześć. Mój ojciec wybrał się na jeden z nich. Matka była złożona chorobą od naszego przyjazdu do Vanhi, więc posłała po niego mnie i moją starszą siostrę. Ojciec wyprowadził nas z amfiteatru, zanim zdążyłyśmy się dobrze przyjrzeć arenie, ale pamiętam, że cuchnęło tam moczem i krwią. – Usta Natesy wyginają się w podkówkę. – Zaraził się od matki i oboje zmarli.

Żal mi jej, ale moje współczucie jest podszyte odrobiną zazdrości. Znała swoich rodziców, a ja moich nie pamiętam. Przypominam sobie za to dzień, kiedy obie dziewczyny przyjechały do Samiyi. Wkrótce potem siostrę Natesy powołano na kurtyzanę.

– Co się stało z twoją siostrą? – zadaje jej kolejne pytanie.

– A co cię to obchodzi?

– Jeśli jest w Vanhi, może ją zobaczysz...

– Ona nie żyje. – Natesa przesuwając ostrzem po kamieniu tak mocno, że aż sypią się iskry. – W zeszłym roku kapłanka Mita dostała wiadomość, że zmarła w połogu. Nie miała pogrzebu. Kurtyzany nikogo nie obchodzą. Cały szacunek należy się żonom.

– Przykro mi.

Natesa podnosi na mnie chłodny wzrok.

– Niepotrzebnie. Nie powtórzę losu siostry. – Wsuwa sztylet w skórzaną opaskę na łydce i kładzie się na ławeczce, odwrócona do mnie plecami. Mój prezent zaręczynowy stał się złotą klatką. Przez dwa dni respektowałam prośbę kapitana, by się nie spoufalać z jego ludźmi, ale nie mogę dłużej znieść siedzenia w karecie z Natesą. Ona spędza czas na lekturze, a ja zachodzę w głowę, gdzie ukryła swój sztylet, i zadręczam się, jak zamierza mnie pokonać na arenie – poderżnie mi gardło, wypruje flaki czy dźgnie w plecy. Cokolwiek zrobi, będzie bezlitosna. Muszę się stąd wyrwać.

Gdy zatrzymujemy się pod koniec dnia, sięgam po swój szkicownik.

– Wychodzę.

Podnosi wzrok znad swojej księgi.

– Znów będziesz robiła słodkie oczy do kapitana?

– To nie twoja sprawa, ale muszę pójść za potrzebą.

– Zamierzasz sikać na swój szkicownik?

Rzucam jej gniewne spojrzenie i wychodzę z karety w przyjemną noc. Zgromadzeni wokół ogniska żołnierze kończą wieczerę. Deven jest odwrócony do mnie plecami. Żaden z nich nie zauważa, kiedy siadam na stopniu powozu i otwieram szkicownik. Blask z ogniska oświetla kartkę, a świeże powietrze orzeźwia umysł. Węgiel lekko śmiga po papierze.

Bogini wody nabiera kształtu. Enki unosi się nad morską tonią, a ciemne włosy spływają falistymi kaskadami na jej ciało. Ma na sobie krótką spódniczkę i naszyjnik z muszelek, w rękę zaś dzierży trójzębną laskę. Jej wąska talia płynnie przechodzi w pełne biodra, a ramiona i nogi są tak umięśnione, że mogą się oprzeć nawet najpotężniejszym falom. Enki emanuje seksualnością i siłą. Jest niewzruszona jak księżyc i nie dałaby się zastraszyć Natesie.

– Gotowa do snu?

Podnoszę wzrok i widzę stojącego nade mną Devena. Straciłam poczucie czasu. Wokół ogniska zrobiło się pusto. Wszyscy już śpią.

Kapitan siada obok mnie na stopniu karety.

– Enki, bogini wody.

– Znasz się na bogach, kapitanie?

– Bardzo dobrze. Swego czasu studiowałem parijanę z mnichami.

Gapię się na niego ze zdumieniem. To mnisi zawiadują siostrzeńskimi świątyniami. To oni przysyłają nowe podopieczne, które sposobione są do Powołania – ceremonii przeznaczonej wyłącznie dla dziewcząt. W świątyniach bractw nie ma podobnego obrzędu. Tam odbywają się praktyki religijne kongregacji generalnej. Służba Bractwu, tak jak Siostrzeństwu, jest wyborem na całe życie. Nigdy nie spotkałam żadnego mnicha, a tym bardziej kogoś, kto porzucił służbę bogom.

– Czy składałeś śluby czystości? – pytam.

Kąciki ust Devena lekko się unoszą.

– Tak, ale mnie z nich zwolniono, kiedy opuszczałem Bractwo.

Rumienię się, bo zdaję sobie sprawę, że znów zadałam niestosowne pytanie.

– Jak to się stało, że zostałeś żołnierzem, kapitanie?

– Moja matka jest kurtyzaną, a ojciec benefaktorem. Dla takich bękartów jak ja jest albo armia, albo Bractwo. Myślałem, że spędzę życie wśród mnichów. Znalazłem u nich spokój. Ale bogowie mieli wobec mnie inne plany.

W gardle pęcznieje mi gula.

– Rozumiesz to, prawda, Kalindo?

Wypowiada moje imię, akcentując każdą sylabę: Ka-lin-do.

Rozumiem. Ścieżka, którą bogowie wybrali dla mnie, bardzo się różni od tej, której bym dla siebie pragnęła.

– Więc życie, jakie wiesz, jest ci niemiłe? – pytam.

– Broniłem się przed zostaniem żołnierzem. Mój ojciec jest oficerem, to surowy człowiek, przekonany o własnej wielkości. Myślałem, że zdołam zdusić w sobie tę cząstkę, która od niego pochodzi, ale pobyt w Bractwie nauczył mnie akceptacji swojej ścieżki. Pragnienie zostania żołnierzem było silniejsze niż obawa, że upodobnię się do ojca. Stanie się nim nigdy nie było moim przeznaczeniem.

Zazdroszczę mu tej pewności.

– Sądziłam, że wiem, co los mi gotuje, ale teraz...

Kolano Devena dotyka mojego, lecz się nie odsuwam. Pozwalam sobie na tę drobną przyjemność.

– Czy to nie przeznaczenie kazało ci wbiec na arenę, by pomóc przyjaciółce podczas prób kunsztu?

– Być może. – Jeśli powołanie mnie było ceną za chronienie Jayi, to nie

żałuję, że tak się stało. Ale nie widzę w tym zrzędzenia losu.

Deven przygląda mi się w milczeniu. Siostry są opiekunkami i nauczycielkami, a mnisi – cierpliwymi doradcami i obrońcami doktryny parijany. Deven dobrze spisywałby się w służbie Bractwu.

Jego wiedza o bogach poruszyła we mnie cząstkę, o której już prawie zapomniałam. Tak szczerze rozmawiałam o swojej wierze tylko z Jayą. Nawet przed uzdrowicielką Baką tak się nie otwierałam z obawy, że zacznie mnie pouczać o boskich cnotach. Ale Deven rozumie, czym jest rezygnacja z własnych planów i zmiana kierunku życia zgodnie z wolą bogów.

Zerkam na nasze stykające się kolana.

– Czy gdybyś miał wybór, zostałbyś wśród mnichów?

– Życie żołnierza jest pełne wyzwań. Zbyt często podróżuję, aby móc gdzieś osiąść, ale moi ludzie to moi bracia. Mimo wszystko wolę być z nimi. I z tobą, Viraji.

Jego uśmiech przenika mnie błogością i bólem. Spodziewam się, że cofnie kolano, ale nie robi tego – wciąż mnie dotyka. Upajam się zapachem drzewa sandałowego, który wokół siebie roztacza, zahipnotyzowana blaskiem jego oczu na tle nocnego nieba. Zastanawiam się, czy by się odsunął, gdybym pogładziła zarost na jego szczęce...

Spuszczam głowę i przygryzam dolną wargę. Co za haniebne myśli! Nie powinnam podsycać swoich żądz niemożliwymi zachciankami. Powinnam zachować je dla narzeczonego. Myśląc o Devenie w ten sposób, ściągnę na siebie karę.

Podnoszę się i mój szkicownik spada na ziemię. Deven się schyla, a gdy oddaje mi zgubę, nasze palce ocierają się o siebie. Odwraca się ku mnie i nasze kolana znów się stykają.

– Kalindo, jesteś dokładnie tam, gdzie życzą sobie bogowie.

Wymawia moje imię tak czule, że robi mi się gorąco. Jego złożoność mnie intryguje. Na zewnątrz jest twardy jak żołnierz, ale w środku to

człowiek wiary.

– Nikt mi nie powiedział, że mężczyzna może być taki jak ty, kapitanie – mówię.

Drgają mu usta.

– To znaczy „bardzo urodziwy”?

Rumienię się, słysząc z jego ust słowa, które wypowiedziałam tamtej pierwszej nocy.

– Jestem głupia – mówię. – Nie rozumiem, dlaczego radża mnie wybrał.

Nagle twarz Devena robi się pusta.

– Ufam, że radża ma swoje powody. Nie nam wątpić w racje Jego Wysokości. – Wstaje i sztywno mi się kłania. – Wkrótce nastanie ranek. Dobrej nocy, Viraji.

Marszczę brwi i obrzucam go uważnym spojrzeniem, próbując odgadnąć, czym zasłużyłam sobie na taką odprawę, ale widzę jedynie nieprzeniknioną maskę, więc zostawiam go sam na sam z gwiazdami.



Przez kolejne pięć dni nieustannie pada deszcz, więżąc nas w karecie i przyprawiając o istne katusze. Nasi strażnicy przycichli, bo ciągła mżawka zwarzyła im humory.

Rankiem szóstego dnia, ledwo opuszczamy obóz i ruszamy w dalszą drogę, kareta gwałtownie się zatrzymuje. Manas otwiera drzwi i prosi, abyśmy wysiadły. Od rozmokłego zbocza oderwała się skała i uderzyła w bok powozu. Wychodzimy z Natesą na deszcz i patrzymy, jak żołnierze reperują połamane szprychy. Gdy tak czekamy, twarz zaczyna mi płonąć. Nie zażyłam jeszcze codziennej porcji toniku, a fiołki są ukryte w torbie, którą zostawiłam w karecie.

Kiedy szkody zostają naprawione, Deven rozkazuje swoim ludziom gotować się do odjazdu. Nie rozmawialiśmy od kilku dni, odkąd znów zaczął się zachowywać wobec mnie oficjalnie. Z posiłkami wysyłał Manasa, a z powodu pluchy wieczorami nie rozpalano ogniska, więc nie mogłam szkicować przy jego świetle.

Deven pomaga Natesie wsiąść do powozu, a potem wyciąga dłoń do mnie. Próbuję znaleźć w jego twarzy choćby przebłysk radości na mój widok, ale on patrzy na mnie uprzejmym wzrokiem, skrywając myśli pod maską konwenansów.

Nad naszymi głowami rozlega się ogłuszający huk.

Kapitan podrywa głowę. Gdy w powietrzu przetacza się kolejny wibrujący grzmot, zasłaniam sobie uszy. Na horyzoncie formuje się chmura burzowa. Niebo zasnuwa się gęstym czarnym kłębowiskiem, które zbliża się do nas, przesłaniając resztki światła. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby pogoda zmieniała się tak znieńcka. Chmury zawsze skądś przyplływają. Ale te pojawiły się znikąd.

Bel i Ehan zaganiają konie, które rozbiegły się przestraszone hukami pioruna.

Deven wskazuje mi drzwi karety.

– Wsiadajcie!

Stawiam stopę na schodku, gdy moją uwagę przyciąga czterech jeźdźców w czarnych pelerynach, którzy pojawiają się na wzniesieniu nad nami. Wyglądają na ludzi, ale otacza ich jakaś złowieszcza aura, jakby demon Kur zbiegł z Otchłani.

Deven i jego ludzie wskazują na konie, a Jeevan, nasz woźnica, szybko się wspina na kozioł. Wzdrygam się, gdy kolejny dudniący grzmot wstrząsa ziemią. Lekki deszcz zmienia się w gwałtowną ulewę. Wystarczy kilka sekund i moje sari jest doszczętnie przemoczone.

Jeźdźcy w pelerynach zjeżdżają ze zbocza. Osłoniwszy oczy, przyglądam się, jak ich galopujące konie rozrywają kopytami rozmokły grunt. Kotłowanina ziemi i skał osuwa się za nimi, lecz ich nie wyprzedza. Wstrząsa mną lodowaty dreszcz. Ta lawina pędzi prosto na nas.

– Kalindo, wsiadaj! – krzyczy Deven z wysokości siodła.

Otrząsam się z oszołomienia i wskakuję do karety. Ledwo zamykam drzwi, a Jeevan już strzela z bata nad końskimi grzbietami. Odrzuca mnie do tyłu i ląduję na ławeczce.

Natesa przytrzymuje się swojego siedziska.

– Co się dzieje?

– Nie wiem.

Potężny łoskot znów wstrząsa powietrzem. Kim są ci napastnicy? Czym są? Nie rozumiem, jak to możliwe, ale to oni ściągnęli tę nienaturalną burzę i panowali nad osuwającą się za nimi lawiną. Pędzimy wyboistą drogą. Natesa i ja podskakujemy pod sufit karety niczym piórka targane porywami wiatru, by zaraz opaść na siedzenia jak dwie ciężkie cegły. Jeevan okrzykami pogania konie. Przywieramy do ławek, ale podnoszę głowę, gdy słyszę tętent kopyt. Jadą za nami.

Otwieram torbę, by wyjąć procę, a wtedy fiołki z tonikiem wypadają na podłogę. Gorączka rośnie, wzmagana strachem. Przez moje żyły przetacza się fala ciepła. Wkładam kamień do procy. Natesa trzyma sztylet w pogotowiu. Groźną postawą przypomina mi boginię wody.

Gwałtownie otwieramy drzwi. Kilka fiołek toniku wypada na zewnątrz i roztrzaskuje się w mgnieniu oka. Deszcz zalewa mi twarz. Jedziemy wzdłuż urwiska. Zerkam w dół i kręci mi się w głowie. Za nami galopuje jeden koń bez jeźdźca. Nie goni nas nikt więcej. Wychylam się nad przepaścią i rozglądam za intruzem, którego koń pędzi z tyłu. Z przodu karety Jeevan mocuje się z jakąś postacią w czarnej pelerynie. Lejce leżą porzucone u ich stóp. Starając się utrzymać równowagę, mierzę do napastnika, ale powóz co chwila gwałtownie skręca. Zamiast atakować, kurczowo chwytam się progu.

– Teraz! – Natesa mocno zaciska palce na moim sari, aby mnie przytrzymać, a wtedy ja wychylam się z karety i wiszę nad urwiskiem.

Pokonuję zawrót głowy i wkładam kamień do procy, a potem podnoszę wzrok. Napastnik zaciska ręce na gardle Jeevana, aż z twarzy woźnicy odpływa krew. Jego gałki oczne wysychają i kurczą się, nos i usta wiotczeją, a skóra zaczyna obwisać. Sparaliżowana przerażeniem patrzę, jak Jeevan rozsypuje się w proch, a wiatr i deszcz porywają jego szczątki.

Odziany w pelerynę napastnik schyla się po lejce i przejmuje panowanie nad zaprzęgiem.

– Do środka! – wołam.

Natesa wciąga mnie do karety i obie stopami miażdżymy następne fiolki. Zatrzaszukuję drzwi i przyciskam dłoń do żołądka, czując nadchodzące torsje.

– Co się dzieje? – pyta.

– Woźnica nie żyje. Karetą powozi bhuta. – To musi być jeden z tych upiorów. Przypominają mi się zasłyszane od sióstr opowieści. Niektórzy bhutowie potrafią wzniecać ogień samymi rękami. Inni wywołują wiatr i burzę albo wstrząsają ziemią.

Natesa wytrzeszcza na mnie oczy.

– Musimy uciekać!

– Z jednej strony mamy skałę, a z drugiej urwisko. Nie ma dokąd uciec.

Konie spowalniają. Ładuję procę, a Natesa unosi sztylet. Będziemy musiały wywalczyć sobie drogę ucieczki. Tłumię ogarniającą mnie panikę i skupiam się na przerażonej, lecz zdeterminowanej twarzy mojej towarzyszki.

Kareta zatrzymuje się w tej samej chwili, kiedy deszcz przestaje bębnić w jej dach. Gdy bhuta schodzi z kozła, cały powóz się kołysze. Bicie mojego serca niemal zagłusza zbliżające się kroki.

Zatrzymuje się przy drzwiach. Natesa zwraca ku nim ostrze sztyletu, tak mocno ściskając rękojeść, że aż bieleją jej kłykcie. Naciągam procę. Rozlega się skwierczący dźwięk i drzwi zaczynają się żarzyć. Kulę się pod jedną ścianą karety, a Natesa pod drugą. Drewno zamienia się w kłęb dymu. Pieką mnie oczy, więc mrugam, a Natesa kaszle. Opary się rozwiewają i ukazuje się nam bhuta w pelerynie.

Nie jest to jednak szkaradny, koślawy demon, ale człowiek. Spod kaptura wyzierają zdumione oczy w kolorze miodu. Wzrokiem omiata rozbite fiolki na podłodze, po czym kieruje spojrzenie na nas. Na mnie ledwo rzuca okiem i zaraz odwraca się do Natesy.

– Ty jesteś Viraji? – pyta. W jedwabnym głosie słychać niebezpieczną nutę. Jestem przemoczona od deszczu, a urodziwa Natesa doskonale pasuje

do roli królowej.

– Nie – odpowiada i wskazuje na mnie. – To ona.

Bhuta odwraca się ku mnie, a wtedy Natesa zadaje mu cios. Błyskawicznie wyciągnięta ręka chwyta za ostrze. Spodziewam się ujrzeć krew, ale metal w jego dłoni pokrywa się inną czerwienią – ogniem. Rozgrzane ostrze nabiera plastyczności i gorąca stal wygina się mocno ku podłodze.

Napastnik kładzie dłoń na palcach Natesy zaciśniętych wokół rękojeści. Nie wiem, jaką moc ma jego dotyk, ale dziewczyna nagle wywraca oczy do góry i nieprzytomna osuwa się na ziemię.

Bhuta wyrzuca odkształcony sztylet przez drzwi i schyla się po jedną z nierozbitych fiolek z tonikiem.

– Skąd to masz?

Mierzę z procy w jego prawe oko.

– Odejdź albo cię oślepię.

– Odpowiadaj, to może cię oszczędzę. – Otwiera fiolkę i wacha jej zawartość. Wzdryga się gwałtownie. – To twoje?

– Tak.

Ciska fiolkę przez drzwi. Wzdrygam się, gdy szkło się rozbija, ale nie opuszczam ręki z procą. Jego złote oczy zwężają się w szparki.

– Kim jesteś? – pyta.

Unoszę podbródek i staram się zabrzmieć władczo.

– Viraji. A ty kim jesteś? I czego chcesz?

– Ty jesteś ostatnią Viraji?

Podchodzi do mnie, więc mogę dokładniej mu się przyjrzeć: ma wyraźne kości policzkowe i ciemne włosy poprzetykane miedzianymi pasemkami. Jest młodszy, niż można by sądzić po jego umiejętnościach – mniej więcej

w moim wieku. Zapamiętuję jego rysy, tak jak on moje.

– Ty jesteś Viraji. – Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

Przyznaję, że nie należę do piękności, nawet kiedy nie jestem przemoknięta, ale on posuwa się z tymi drwinami za daleko. Wypuszczam kamień z procy. Bhuta schyla głowę, więc mój pocisk trafia wyżej, niż chciałam, i rani go w czoło. Lecz nim z rozcięcia wypływa krew, napastnik zaciska obie dłonie na mojej szyi.

– W twoich żyłach płynie ogień. Szkoda byłoby cię zabijać.

Jego skóra parzy, wzmagając ogarniającą mnie gorączkę.

– Widziałam, co zrobiłeś woźnicy – wołam. – Jesteś demonem.

– Nazywasz demonem mnie, choć to ciebie wybrano, byś poślubiła demona. – Dusi mnie, odcinając dopływ powietrza do płuc.

Skóra mi płonie. Próbując się uwolnić, wbijam mu palce w nadgarstki i kopię go w goleń, ale on nie ustępuje.

– Podziwiam twoją bojowość – mówi. – Przy ponownym spotkaniu pamiętaj, że oszczędziłem ci życie.

Odpycha mnie gwałtownie, aż się zataczam i upadam na kolana. Ciężko dysząc, podnoszę wzrok, ale w drzwiach nie ma już nikogo. Słyszę tylko oddalający się tętent kopyt. Podpełzam do Natesy. Ma tak płytki oddech, że jej klatka piersiowa ledwo się unosi. W miejscu, w którym kiedyś były drzwi, teraz widać wypaloną w ścianie karety dziurę. Wszędzie wokół walają się kawałki rozbitych fiolek. Wodzę wzrokiem po tym poboju, aż natykam się na osmalone ślady na podłodze.

W myślach odtwarzam atak. Raz. Drugi.

Serce zamiera mi z przerażenia. Nie mogę zaprzeczyć temu, co widzę. To nie bhuta dotykał tego miejsca. To ja tu upadłam. Osmalone ślady nie należą do niego. Są moje.



Odsuwam ręce od siebie, od wszystkiego. Z koniuszków palców promieniuje ciepło, jakby moje chude ciało zmieniło się nagle w lampę naftową. Oddycham najszybciej, jak mogę, ale zbyt wolno, by złagodzić zawrót głowy. Ze wszystkich ataków gorączki, które mnie dręczyły, ten jest najgorszy.

Wymachuję rękami, żeby je schłodzić, i jedną uderzam w siedzisko ławeczki. W aksamicie wypala się dziura. Sztywnieję, bojąc się dotknąć czegoś jeszcze, żeby nie puścić z dymem całej karety. „Jak ja to robię? I jak mam przestać?”

W polu widzenia wirują czarne plamy. Zamykam oczy, a wtedy pod powiekami rozbłyskują płomienie. W kościach załęga się słabość. W głowie czuję zamęt i słaniam się na nogach, jakbym zaraz miała zemdleć. Muszę powstrzymać rosnącą gorączkę.

Na podłodze leży kilka ostatnich fiolek toniku. Odkorkowuję jedną, ledwo jej dotykając, i pociągam łyk ohydneho płynu. Jeden powinien wystarczyć, żeby zbić gorączkę, ale biorę drugi, chcąc przyspieszyć działanie leku.

Z oddali dobiega tętent kopyt. Stopniowo wraca klarowność obrazu, ogień pod powiekami przygasa. Sprawdzam temperaturę palców, dotykając ściany – nie przypala się ani nie dymi. Pochylam głowę. „Dobrzy bogowie, co to było?”

Wpycham ostatnie trzy fiolki do torby i sięgam po broń. Drżącymi rękami naciągam procę, aby bronić spalonych drzwi. Kopyta dudnią o ziemię, aż karetę się trzęsie, a potem moim oczom ukazuje się kapitan na koniu. Opuszczam procę i osuwam się na ścianę.

Deven taksuje mnie wzrokiem, sprawdzając, czy jestem ranna, a potem kieruje spojrzenie ku Natesie.

– Nie żyje?

– Omdlała.

– Gdzie jest bhuta?

– Zabił Jeevana i zbiegł, słysząc, że nadjeżdżasz.

Na wieść o śmierci kompana w oczach Devena pojawia się ból. Potem, wciąż siedząc w siodle, rozgląda się po wnętrzu karety. Na ramieniu jego kaftana widzę ślady krwi.

– A to rozbite szkło? – pyta.

Waham się z odpowiedzią, bo uzdrowicielka Baka ostrzegła mnie przed ujawnieniem mojej dolegliwości.

– Bhuta roztrzaskał kilka fiolek.

Deven patrzy na mnie z powątpiewaniem. Nadjeżdża jeszcze dwóch jeźdźców: Manas i Yatin.

– Gdzie pozostali? – pytam.

Twarz Devena zastyga.

– Zmiotła ich lawina.

Żal ściska mi serce. Bel i Ehan nie przyjadą.

– Natesa pojedzie z tobą – zwraca się Deven do Yatina. – Manas, ty zajmij się karecią. Szybko. Mogą tu wrócić.

Manas ześlizguje się z konia i unosi khandę.

– Musimy zostać i walczyć!

– Musimy myśleć o bezpieczeństwie Viraji – odpowiada Deven.

Młodzieniec rzuca mu gniewne spojrzenie; na twarzy ma wypieki.

– Ależ kapitanie...

– Wyprzęgnij konie. To rozkaz.

W kącikach ust Manasa pojawia się ślina. Ociera ją szorstkim ruchem i ciężkim krokiem podchodzi do karety.

Deven wyciąga do mnie rękę.

– Musimy ruszać.

Zarzucam torbę na ramię i ujmuję jego dłoń. Chwyta mnie mocno, podnosi i sadza na siodle przed sobą. Rąbek halki podwija mi się do kolan, a siedzeniem dotykam jego bioder. Nozdrza wypełnia mi lekki zapach drzewa sandałowego, policzki oblewa rumieniec – na wąskim siodle nie ma miejsca na przyzwoitość.

Yatin bierze na ręce Natesę, która zaczyna się budzić. Jest przytomna, choć wciąż oszołomiona. Pomaga jej się usadowić na koniu przed sobą i dziewczyna osuwa się na jego szeroką pierś. Wygląda jak laleczka o guzikowych oczach siedząca na kolanach olbrzyma.

Manas wyprzęga konie i poklepuje białe klacze po zadach, a one ruszają pod górę. Żałuję, że się ich pozbywamy, ale skoro ani Natesa, ani ja nie jeździmy konno, byłoby niepraktycznie prowadzić je ze sobą. Kareta też już się na nic nie przyda.

Kapitan chwyta za lejce i ponagla naszego rumaka. Zwierzę wyrywa do przodu, a mnie aż wciska w klatkę piersiową Devena. Czując, jak otacza mnie jego męska siła, wspieram się na nim, a on opuszcza ramiona, tak że obejmują mi biodra, i nasze ciała zaczynają się kołysać w rytm końskich kroków.

Zbaczamy ze szlaku i przemierzamy skalisty teren między gęstymi

drzewami. Czujnie rozglądam się po spowitym mgłą lesie, przypominając sobie opowieść o pierwszych bhutach. Trzysta lat temu demon Kur obdarzył czterech śmiertelników swoimi najpotężniejszymi mocami – żywiołami, które współtworzą nasz świat. Stali się oni bhutami – pół ludźmi i pół demonami. Choć potężne, istoty te nie były nieśmiertelne. Przekazywały swoje moce potomstwu jako broń przeciwko ludzkości. Najgorszą z nich była ognistość, choć pozostałe trzy też budziły przerażenie.

Przez resztę tego ponurego dnia nie natykamy się już na napastników. Spodziewam się, że zmrok zmusi nas do postoju, ale kapitan zatrzymuje się tylko na chwilę, by zapalić pochodnie. Brniemy przez ciemność, niemal zajeżdżając konie i przekraczając granice własnej wytrzymałości.

Ręce Devena ograniczają mi swobodę ruchów. Opieram głowę na jego ramieniu, aby odpocząć, ale gdy tylko przymykam oczy, widzę Jeevana, który rozsypuje się w proch.

Wschód słońca wita nas niebieskofioletowym niebem pozbawionym choćby jednej chmurki. Deven nie zwalnia bezlitosnego tempa, a moje nogi aż drętwieją ze zmęczenia. Ukradkiem pociągam łyk toniku, kiedy robimy krótki postój, by napoić konie. Zaraz potem ruszamy dalej. Mijają kolejne godziny, aż w końcu światło dnia przygasa, a niebo sinieje.

Czuję, że zaraz zasłabnę, kiedy nagle drzewa się kończą i przed nami rozciąga się pofałdowany teren upstrzony owcami wełnistymi. Śnieżne szczyty Alpanów są tak daleko, że wydają się snem z mojego dawnego życia.

Deven zeskakuje z konia, aby porozmawiać ze starym pasterzem doglądającym stada. Obaj zerkają na mnie ukradkiem. Poprawiam się w siodle i zastanawiam, o czym mówią. Kiedy się rozstają, mężczyzna powoli odjeżdża na swoim mule, a jego kij pasterski podskakuje w powietrzu, aż wreszcie znika za trawiastym zboczem.

Deven pomaga mi zsiąść z konia. Opieram się o zwierzę, żeby przeczekać drżenie nóg odzwyczajonych od stania na ziemi.

– Odpoczniemy tu przez chwilę – mówi.

Yatin zszadza Natesę z siodła.

– Jak długo? – pyta Natesa. – Konie padną, jeśli będziemy gnać w tym tempie.

Uśmiecham się drwiąco pod nosem. Jej wcale nie chodzi o dobro koni, tylko o własną wygodę.

– Dopóki znajdujecie się poza murami pałacu, grozi wam niebezpieczeństwo – oznajmia Deven.

Natesa odwraca się ku niemu.

– Jak daleko stąd do Vanhi?

– Konno niedaleko – odpowiada.

Natesa prycha, a Deven dodaje chłodno:

– Pieszko byłoby dalej.

Wybałusza na niego oczy z oburzeniem.

– Nie ośmieliłbyś się.

Jestem pewna, że by to zrobił, ale nie wtrącam się do ich kłótni. Podchodzę do sadzawki, przy której stoją konie, nabieram wody w dłonie i obmywam sobie ręce i nogi. W niższych partiach gór powietrze jest cieplejsze i nieruchome, a zakurzona skóra swędzi.

Na gładką taflę pada cień. Podchodzi do mnie pasterz ze starą, wysuszoną kobietą, która prowadzi jego muła. Oboje noszą wytarte ubrania i mają obwisłą skórę, jak każdy, kto od wielu miesięcy chodzi głodny. Kłaniają mi się z poważnym wyrazem twarzy.

– Moja żona i ja pozdrawiamy cię, Viraji – mówi pasterz.

Zahaczam wzrokiem o Devena, który obserwuje nas kątem oka. Musiał im powiedzieć, kim jestem – że ta brudna, cuchnąca kreatura to w rzeczywistości ich przyszła królowa.

Żona pasterza podaje mi koszyk.

– Dla ciebie, pani. Obyś zdobyła sobie miejsce w domu radży i w jego sercu.

Kłaniam się z wdzięcznością, choć zdobycie serca radży Tarka nigdy nie będzie moim celem.

Pasterz składa wielki toból u moich stóp.

– Odpoczywaj tu, jak długo zechcesz, Viraji. – Ma dziwny akcent, z wyjątkowo długim „r”. – Niechaj Anu cię prowadzi, a Ki chroni.

Kłania się kapitanowi na pożegnanie, po czym odchodzą razem z żoną i swoim mułem.

W koszyku znajduję dzbanek miodu i świeże podpłomyki. W tobołku jest jeszcze więcej jedzenia oraz bukłaki z wodą. Na dnie leżą dwa komplety kobiecych ubrań: wąskie tuniki, chusty na głowę i luźne spodnie. Jest nawet flaszka apongu – mocnego piwa ryżowego – i kawałek mydła.

To chyba ich całe zapasy. Nie powinnam przyjmować tak hojnego daru od nikogo, a już na pewno nie od tych biednych pastuszków. Podnoszę rękę, by przywołać ich z powrotem.

– Nie. – Deven kładzie mi dłoń na krzyżu. – To byłaby dla nich obraza. Niewielu ludzi żyjących tak daleko od Vanhi spotyka przyszłą rani.

Spoglądam na leżące u moich stóp produkty.

– Nie powinieneś mówić im, kim jestem, kapitanie.

– Nie powiedziałem. Kilka dni temu widzieli przejeżdżającego tędy radżę i domyślili się, kim jesteśmy. Sami postanowili cię obdarować.

Patrzy na mnie stanowczym wzrokiem.

– To dla nich zaszczyt, że mogli ci służyć – dodaje. – Uhonoruj ich, przyjmując ofiarowane przez nich dary.

Ma rację – w naszej sytuacji nie możemy odmówić – ale ich ofiara nie pozostanie bez nagrody.

– Chcę oddać im moją karekę. Mogą zachować lub sprzedać to, co z niej zostało. Wskaż im, kapitanie, gdzie ją znajdą.

Deven milczy tak długo, że spodziewam się jego sprzeciwu. On jednak się kłania i szeptem odpowiada:

– Tak jest, Viraji.

Podbiega do nas Natesa.

– Jedzenie! – woła. – Czyste ubrania!

Czekam na narzekania, że bawełna jest zbyt szorstka, ale Natesa jest nimi zachwycona.

– Pasterz i jego żona pozwolili nam tu zostać, jak długo zechcemy – mówi Deven. – Po kolei wykąpiemy się w sadzawce i przenocujemy tutaj.

Natesa chwyta mydło.

– Ja pierwsza.

Nie zmierzam się sprzeczać. W pełni wystarczy mi obietnica kąpieli i noclegu.



Wieczerej jemy przy ognisku, którego blask odbija się na naszych czystych twarzach. Posiłek składający się z chleba i miodu to zimna, prosta strawa, ale nikt nie narzeka. Yatin dostaje swoją porcję dopiero wtedy, gdy wraca do obozowiska, bo Deven wysłał go dokądś z jakąś misją. Żaden z nich nie zdradził, czego dotyczyła, ale domyślam się, że miała coś wspólnego z bhutami.

Manas siedzi pogrążony w zadumie, wyrywając źdźbła trawy i wrzucając je do ogniska.

– Powinniśmy byli zostać i zmierzyć się z napastnikami.

– Było ich zbyt wielu – odpowiada Yatin.

– Trzeba było spróbować. Jednym z nich był Wietrzny.

– Kim jest Wietrzny? – pyta Natesa.

– To bhuta, który wywołuje zły wiatr – wyjaśnia Manas. Jego oczy są przepełnione bólem. – Jeden z Wietrznych zabił moją rodzinę. Gdy wróciłem z połowu ryb, cała wioska była zmieciona z powierzchni ziemi.

Przez chwilę milczę, oddając szacunek zmarłym, a potem pytam:

– Co jeszcze bhutowie potrafią?

– Nie dzisiaj. – Deven wpatruje się w pomarańczowe serce ogniska. – O naszych wrogach porozmawiamy jutro. Ten wieczór poświęćmy druhom, których straciliśmy. – Wszyscy o nich myślimy, ale on jako pierwszy mówi o nich na głos.

W tle słyhać ciche pobekiwanie owiec. W blasku księżyca Yatin snuje opowieść na cześć ofiar. To *Ścieżka Enki* – przygody bogini wody, historia, którą dobrze znam. Enki stara się podążać prostą i wąską ścieżką posłuszeństwa rodzicom, lecz w rezultacie musi przemierzyć góry rojące się od demonów i wężowych smoków.

Gdy Yatin dociera do momentu, w którym Enki podstępem przywodzi smoka do jego zguby, zapadam w sen. Kiedy się budzę, ogień już dogasa, a w obozowisku panuje cisza. Na ramionach mam kaftan Devena, wciąż poplamiony krwią.

Prostuję się i widzę kapitana na obrzeżach obozu. Zdjął kurtę, odsłaniając ranę ciętą na ramieniu. W jednej ręce trzyma flaszkę apongu, a w drugiej nawleczoną igłę. Podkradam się do niego i wykrzywiam twarz na widok głębokiego rozcięcia.

– Powinieneś być mi o tym powiedzieć.

– Teraz już wiesz.

Kręcę nosem, czując jego kwaśny oddech.

– Piłeś, kapitanie.

– Tylko trochę apongu. Żeby ból był do zniesienia.

Przyglądam się uważniej poszarpanej ranie i cmokam językiem.

– Wdało się zakażenie.

– Oczyszczyłem ją. – Wskazuje na leżącą obok niego brudną szmatkę.

– Na pewno nie tym. Zaczekaj. – Zaczyna się podnosić z miejsca, więc dodaję z gniewną miną: – Bo zacznę krzyczeć i wszystkich obudzę.

Chichocze pod nosem.

– Jak prawdziwa rani.

Kiedy się uśmiecha, wydaje się jeszcze przystojniejszy, ale jego jowialność wcale mi się nie podoba. Od zakażenia mógłby umrzeć. Zwilżam swoją nową chustę czystą wodą z baryłki i wracam do niego.

– Zniszczyłaś swój podarunek, Viraji – beszta mnie.

– Lepiej chustę niż twoje ramię. – Przemywam ranę i polewam ją apongiem.

Deven wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby.

– To było konieczne?

– Dla oczyszczenia.

Nawlekam czystą nitkę na igłę. Przyglądałam się, jak uzdrowicielka Baka zakładała szwy, ale sama nigdy tego nie robiłam. Wątpię, czy Deven pozwoliłby mi się do siebie zbliżyć, gdyby o tym wiedział, więc zanim wbijam igłę w jego poszarpaną skórę, przybieram pewną siebie minę. Wzdryga się, ale nie biadoli.

Milczymy. Jesteśmy tak blisko siebie, że nasze twarze niemal się stykają.

– Dziękuję – mówi cicho. – Masz wiele talentów, Viraji. Przydadzą ci się w pałacu. Żony radży są przebiegłe i bezwzględne, ale znajdziesz wśród nich swoje miejsce.

Nie mogę myśleć o żonach radży. Z opisu Devena wynika, że są takie jak Natesa. Podnoszę na niego wzrok.

– A czy na ciebie czekają w domu żony, kapitanie?

Blask ognia podkreśla surowy zarys jego szczęki i miękkość ust, których kąćki unoszą się w krzywym uśmiechu.

– Nie mam żon, a gdy się ożenię, to tylko z jedną kobietą. Zdaje się, że już jedna potrafi zasypać mnie rozkazami.

Oblewam się rumieńcem.

– Nie wszystkie kobiety mają mój temperament.

– Nie wszystkie robią z niego taki użytek, jak ty, Kalindo.

Serce bije mi mocniej i nagle zdaję sobie sprawę, że stykamy się łokciami.

– Nie mów czegoś, czego będziesz żałował, kapitanie.

Odchyła głowę do tyłu.

– Już to zrobiłem.

– Po co? – pytam zirytowana jego niezdecydowaniem, a wtedy on się nachyla i opiera głowę o moje czoło.

– Bo jesteś piękna.

– Jesteś pijany – rzucam kpiąco.

– Kalindo – mówi miękko – nie jestem tak głupi, żeby się upić na nocnej wachcie. Zapewniam cię, że wiem, co mówię. I jestem przy tobie.

Powaga w jego oczach nie pozwala mi się poruszyć. Jego oddech miesza się z moim, wnika we mnie i mnie odurza. Pragnę dotknąć szczeciny na jego szczęce i przekonać się, czy jest szorstka, czy miękka. Pragnę... rzeczy, których pragnąć nie powinnam.

Odchyłam się, aby dokończyć zszywanie rany, a on wodzi wzrokiem po mojej twarzy. Jesteśmy tak blisko siebie, że musi słyszeć, jak wali mi serce. Związuję nitkę i się odsuwam.

– Teraz ramię powinno się dobrze zagoić. – Wstaję, aby podejść do

sadzawki i splukać krew z chusty, ale on wyciąga ku mnie rękę.

– Zostań w zasięgu światła, żebym cię widział. Bhutowie nas śledzą.

Wzdrygam się.

– Dlaczego? Czego chcą?

– Od nas? Zemsty. Ale słyszałem, że wszystko zaczęło się od księgi.

Klękam obok niego.

– Jakiej księgi?

Deven chwyta za rękojeść miecza i wzrokiem lustruje pograżone w ciemnościach wzgórze.

– Księgi *Zhaleh*, która zawiera spis wszystkich bhutów, począwszy od pierwszych, którzy otrzymali swoje moce. Siedemnaście lat temu bhutowie oskarżyli radzę Tarka o jej kradzież i w odwecie napadli na wioskę położoną przy zachodniej granicy. Nikt nie był przygotowany na ich atak. Mieszkańcy nie mieli szans w starciu z nimi, a bhutowie... nie okazywali litości. – Zaciska usta w wąską linię. – Księgi tam nie było, więc zrównali z ziemią następną wioskę, a potem jeszcze jedną. Niszczyli wszystko na swojej drodze, dopóki radza Tarek nie wysłał żołnierzy, aby ich przepędzili. Nasza armia była liczniejsza, ale bhutowie i tak zabili tysiące. Po trwającej cały rok rzezi w końcu ich pokonaliśmy. Ci, którym udało się przeżyć, zbiegli do sułtanatu Janardan albo się ukryli.

Oślupiałam. Nigdy nie słyszałam ani o tej wojnie, ani o księdze *Zhaleh*.

– Skoro bhutowie uważają, że ich księga jest w rękach radży, to dlaczego napadli na nas?

W jego oczach pojawia się napięcie.

– Przywódca bhutów musiał usłyszeć, że radza powołał swoją ostatnią Viraji, i ujrzał w tym wydarzeniu swoją szansę na odwet.

Te same pytania, które przychodzą mi do głowy, widzę w jego spojrzeniu. Dlaczego bhuta mnie nie zabił? Dlaczego mnie nie porwał? Mógłby przecież

zażądać okupu.

Połowę twarzy Devena skrywa cień.

– Yatin ich odszukał. Rozbili obóz niedaleko, ale nie przygotowują się do ataku. Wiesz dlaczego?

– A powinnam? – Nie zdradzę mu tego, co powiedział bhuta: że jeszcze się spotkamy i że jestem jego dłużniczką, bo mnie oszczędził.

– Niewielu ludzi, którzy się zetknęli z bhutą, uszło z życiem. Kalindo, dlaczego Ognisty zostawił cię w spokoju? Co ci powiedział?

„Miodooki mężczyzna był Ognistym. Bhutą, który spala ludzi i przedmioty, tak jak ja wypaliłam ślady na podłodze karety...”

Serce chce mi wyskoczyć z piersi.

– Nic nie powiedział. Nie wiem, dlaczego mnie zostawił ani dlaczego za mną jedzie.

– Jedzie za nami. O ile nie masz podstaw, by sądzić, że chodzi mu tylko o ciebie.

– Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. – Wrzucam nitkę i igłę do koszyka, żeby się czymś zająć i nie musieć na niego patrzeć. – To nie moja wojna. Ja pragnę gór i mojej świątyni. Spokoju.

Deven kładzie ręce na moich dłoniach.

– Ja też pragnęłam spokoju, ale nie znalazłem go w Bractwie. Tylko w armii. Czasami jedynym rozwiązaniem, które prowadzi do pokoju, jest wojna.

Odsuwam dłonie.

– Nigdy nie słyszałam czegoś równie absurdalnego. Gdyby wszyscy żyli zgodnie z pięcioma boskimi cnotami, nie byłoby wojen.

– To nie jest raj, Kalindo. Wojna to nie złuda, a pokój ma swoją cenę.

– Więc dlaczego nie mogę zaznać spokoju? Zapłaciłam już więcej, niż

trzeba.

Jego spojrzenie mięknie, ale ja nie potrzebuję współczucia.

– Dobranoc, kapitanie.

Wracam na swoje miejsce przy ognisku. Słowa Devena o Ognistym zasiały we mnie wątpliwości, a wspomnienie śladów rąk wypalonych na podłodze karety odcisnęło się w mojej pamięci. Odpędzam od siebie ten przerażający obraz i przysuwam się bliżej ognia.



O świcie wychodzę na chwilę z obozowiska pod pretekstem skorzystania z latryny. Z dala od ciekawskich spojrzeń zażywam dawkę toniku. Zostały mi już tylko dwie i pół fiołki. Nie starczy nawet na miesiąc. Zapas mam mniejszy, niżbym chciała, ale dzięki recepturze uzdrowicielki Baki będę mogła przyrzadzić więcej leku, gdy tylko dotrzemy do Vanhi.

Jesteśmy już niedaleko od pałacu. Moja wczorajsza rozmowa na osobności z Devenem była błędem. Podczas turnieju będę potrzebowała boskiej przychylności. Nie chciałabym rozgniewać ani bogów, ani radży, robiąc coś, co uznaliby za sprzeniewierzenie się małżeństwu, które wkrótce mam zawrzeć. Nie pozwolę, aby Devena spotkała kara przez zbytnią poufalskość ze mną.

Kiedy wracam do obozowiska, napotykam wzrok czekającego przy koniu kapitana. Udaję, że go nie widzę, i zwracam się do Manasa:

– Dzisiaj chciałabym jechać z tobą.

Manas zerka na Devena.

– Ale kapitan...

– Nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Tak jest, Viraji.

Manas wskakuje na konia, a ja wkładam stopę w strzemień, podciągam się i siadam przed nim. Jest szczuplejszy niż Deven, więc łatwiej się mieścimy w siodle. Manas obejmuje mnie ramionami, aby chwycić za cugle. Opieram się o jego pierś, czekając, aż mi przyspieszy serce, ale Manas nie jest tak dobrze zbudowany, jak Deven. Ani on, ani żaden inny z mężczyzn.

– Viraji – Deven podjeżdża do nas na swoim koniu – zmieniałaś porządek eskorty.

Czuję, że Manas drętwieje.

– Uznałam, że najlepiej, jeśli tym razem pojedę z kimś innym. – Posyłam mu uśmiech, aby złagodzić cios tej rozłąki.

– Znakomity pomysł. Sam miałem to zaproponować.

Mina mi rzednie. Wczoraj łączyła nas bliskość, a dzisiaj zieje między nami przepaść obojętności. Powinam się z tego cieszyć; ignorowanie oziębłego kapitana Naika będzie wymagało mniej wysiłku z mojej strony. Ale znacznie bardziej lubię go, kiedy jest Devenem.

Pamiętam jego słowa: „Jesteś piękna... I jestem przy tobie”.

– Gdy dotrzemy do pustyni Bhavya – oznajmia – nie będziemy się zatrzymywać i jeszcze dzisiaj ją pokonamy, aby nie spowolniły nas burze piaskowe. Jutro dojedziemy do Vanhi. – Trąca boki wierzchowca piętami i odjeżdża.

Yatin sadza Natesę na siodle przed sobą i oddalają się galopem. Natesa prawie nie opuszcza jego boku od tamtej napaści. Podejrzewam, że wybrała towarzystwo największego z żołnierzy na wypadek powrotu bhutów. Nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy żadnego z nich, ale kiedy się obudziłam, Yatina nie było w obozowisku. Gdy wrócił, podsłuchałam, jak mówił do Devena:

– Są blisko.

Manas i ja ruszamy w drogę. Deven narzuca mniej wyczerpujące tempo niż wczoraj, ale jazda i tak jest męką dla moich obolałych nóg. Zamiast się

ogłądać przez ramię i wypatrywać złotym oczu, wbijam wzrok w horyzont przed nami, bo z każdym końskim krokiem przybliżamy się do Turkusowego Pałacu.



Bogowie pozostawili pustynię Bhavyę własnemu losowi. Wypalony bezmiar ciemnopomarańczowych pagórków rozciąga się wzdłuż i wszerz aż po horyzont. Prażymy się w piekielnym upale, a nasze wielbłądy brną przez nieskończone morze wydm.

Okolo południa opuściliśmy pogórze i wkroczyliśmy na równinę. Zatrzymaliśmy się na popas, wymieniliśmy konie na wielbłądy, napełniliśmy baryłki i ruszyliśmy przez pustynię. Manas siedzi przede mną. Moje spojrzenie prześlizguje się na czoło karawany, którą prowadzi Deven. Aby się chronić przed kurzem, zakrywam usta i nos chustką.

Słońce wisi nisko na niebie, a ja pozwalam, by sprężysty krok naszego wielbłąda ukołysał mnie do snu. Budzę się, gdy nagle przystajemy. Odsuwam się od pleców Manasa i próbuję się zorientować, gdzie jesteśmy. Na wschodzie właśnie wstaje słońce. Na zachodzie, na szczycie wzgórza w oddali mieni się jak opal Turkusowy Pałac. Tworzy go zespół gmachów w kolorze kości słoniowej zwieńczonych ogromnymi, ostro zakończonymi złotymi kopułami.

Nasze wielbłądy człapią w kierunku Vanhi, a odległe wzgórze urasta do rozmiarów samotnej góry. Pałac zdaje się opierać na leżącym poniżej Mieście Klejnotów. Gliniane chaty pokryte rdzawą dachówką tulą się do siebie, jakby się chroniły przed gorącym słońcem pustyni. Plamy zieleni w postaci pierzastych liści wysokich i smukłych drzew palmowych przełamują brązową monotonię, a unoszące się nad dachami krótkie smugi dymu wskazują drogę ku cywilizacji.

Zbliżamy się do otaczających Vanhi strzelistych murów z glinianej cegły, a kiedy nikt na mnie nie patrzy, pociągam łyk toniku. Docieramy do chaty u bram miasta, gdzie wita nas dwóch żołnierzy. Ich brody i turbany są

oblepione piaskiem, a pięści zaciśnięte na khandach.

Deven rozmawia przyciszonym głosem ze strażnikami. Podnoszę wzrok na Turkusowy Pałac i ocieram pot z czoła. Słońce odbijające się od złotych kopuł razi mnie w oczy, a na widok okazałości pałacu aż zasycha mi w ustach.

– Kalindo i Nateso, odsłońcie twarze – prosi Deven.

Zdejmujemy chusty, aby strażnicy mogli się nam przyjrzeć. Przybieram obojętną, wypraną z ciekawości minę. Po chwili żołnierze pozwalają nam przejść.

– Po co to było? – szepczę do Manasa.

– Jedna z rani zbiegła z kochankiem. Szukają ich.

– Co się stanie, jeśli zostaną pojmani?

– Stracą ją jako zdrażczynię – odpowiada rzeczowo Manas.

Odsuwam się od niego zrażona jego bezduszością, ale on inaczej rozumie mój odruch.

– Nie martw się, Viraji. Ucieczka rani nie wpłynie na turniej tronowy. Radża może poślubić tylko sto kobiet za swojego życia. Nawet jeśli jedna z jego żon umrze albo odejdzie, to i tak się liczy.

Zamiast mnie uspokoić, słowa Manasa wywołują mój niesmak i wolę się do niego nie przysuwać.

Strażnicy otwierają bramę i ponaglają nas gestem. Wielbłądy ruszają naprzód i wjeżdżamy do miasta. Podwórza, drogi i dachy są pełne wymizerowanych kobiet, przygarbionych mężczyzn i półnagich dzieci. Choć siedzimy na wielbłądach, wysoko nad ludzkimi głowami, wydajemy się bardzo mali w porównaniu z otaczającymi nas budynkami. Chaty są tak bardzo stłoczone, że z ledwością przecisnęłoby się między nimi dziecko. Przeludnione ulice cuchną niemytymi ludzkimi ciałami i zwierzęcymi nieczystościami rozkładającymi się w upalnym słońcu poranka.

Manas ściąga cugle, aby przepuścić kobietę niosącą koszyk ze zbożem na głowie.

Jeszcze nigdy nie byłam w takim miejscu, jak to. Upał, ciała, hałas i odór – to wszystko sprawia, że aż mnie ściska w piersi. Aby wyrównać oddech, udaję, że jestem w kaplicy świątyni Samiya, otoczona tłumem córek ubranych w kojąco błękitne sari.

Deven dojeżdża do drogi zatarasowanej namiotami i zsiada z wielbłąda. Manas idzie za jego przykładem, a potem pomaga mi zejść. Ta mnogość ludzi, namiotów i zwierząt pozbawia mnie resztek opanowania. Z trudem łapię powietrze, by napełnić płuca, lecz nagle zaczyna mi się kręcić w głowie.

Przymykam oczy. „Dotarłam aż tutaj. Dojdę i do pałacu”.

Pod powiekami tańczą lekkie błyski. Skupiam się na ich kojącej jasności i stopniowo wyrównuję oddech. Ucisk w piersi powoli ustępuje, wraca też jasność myślenia. Odzyskuję spokój i znów mogę otworzyć oczy.

– Wielbłądy są za duże, by przejść przez targ. – Deven wręcza cugle naszych wierzchowców jakiemuś chłopcu o umorusanej twarzy. – Są twoje. Sprzedaj je, a zarobione pieniądze oddaj rodzicom.

– Moi rodzice mnie wygnali. – Chłopiec wysuwa podbródek. – Sam sobie radzę.

– Zatem sprzedaj wielbłądy, a potem idź do świątyni i zapytaj o brata Shaana. Możesz mu zaufać. Powiedz, że cię przysłał kapitan Naik. Pomoże ci znaleźć dach nad głową. – Pochyliła się, by dać mu złotą monetę. – To za uwolnienie nas od tych wielbłądów. – Chłopiec gapi się na pieniądź w swojej brudnej dłoni. – No dalej. Pozdrów ode mnie brata Shaana.

Chłopak chwyta za cugle i oddala się razem z wielbłądami.

– Bardzo szlachetny uczynek – mówię łagodnie.

– Szlachetnie byłoby mu towarzyszyć. Będzie miał szczęście, jeśli ktoś go nie obrabuje, zanim sprzeda te wielbłądy. I jeśli kupiec da mu za nie uczciwą cenę.

– Dlaczego wypędzono go z domu? – pytam, myśląc przy tym o własnych rodzicach.

– Większość rodzin jest biedna i nawet małe dzieci muszą radzić sobie same. Chłopcy żebrzą i kradną. A dziewczęta... – Deven patrzy na mnie z powagą. – Miałaś szczęście, że trafiłaś do świątyni.

– Rozumiem.

W Vanhi wszystkiego jest dużo – ludzi, chat i słońca, ale także trudu, ubóstwa i smutku. Być może decyzja moich rodziców, aby mnie oddać mnichom, była błogosławieństwem.

– Czy radza wie, jak żyją jego ludzie?

Deven zniża głos:

– Radza dobrze o tym wie.

Rozglądam się ze zdumieniem. Radza Tarek pozwala swoim ludziom żyć w nędzy. Jak może nie chcieć im pomóc?

Marszczę brwi. Zbyt szybko go osądziłam. Siostry nie ukrywały jego wad. Mówiły, że jest surowy, żądny kobiet i władzy, ale też hojny i rozsądny, że jest człowiekiem religijnym. Lecz jaką cnotę mógłby w sobie umacniać, pozwalając swoim poddanym cierpieć biedę?

– Będziemy przechodzić przez targ. – Deven podaje mi dłoń. – Łatwo się tam zgubić.

Sądziłam, że nie zauważył mojego niedawnego ataku paniki, ale widocznie się myliłam. Ujmuję go za rękę i splatamy palce. Uśmiecha się i wkracza na tłoczny targ, lekko mnie za sobą pociągając. Yatin i Natesa idą za nami, a Manas na końcu.

Wąska uliczka jest zastawiona zadaszonymi straganami. Gapię się na mężczyznę z małpką na ramieniu, a kiedy przechodzimy obok talerza smażonej nerkówki, aż mi cieknie ślinka. Kupcy zachęcają nas do kupowania swoich towarów. Sprzedają wszystko – od glinianych naczyń, przez

przyprawy, aż po zwierzęce skóry. Deven nie zważa na ich nagabywanie, ale ma jeszcze mnie u swego boku.

Aż podskakuję, gdy rozlega się głośny łoskot.

– Co to było?

Moja nerwowość śmieszy Devena.

– Kuglarze. Bawią ludzi za pieniądze.

Wyciągam szyję i na niewielkim placu widzę gromadzących się ludzi, którzy się przyglądają, jak jakaś kobieta tańczy w rytm bębna. Jej ruchy są wyraziste i pewne, a teatralne spojrzenie spokojne i skupione. Dzwoneczki wokół kostek dzwonią przy każdym rytmicznym kroku. Gdy tancerka kieruje na mnie przenikliwy wzrok, odwracam głowę i wtedy dostrzegam kogoś po drugiej stronie ulicy. Kogoś o miodowych oczach. Zamieram w bezruchu, a Ognisty szczerzy do mnie zęby.

– Devenie. – Szarpię go za ramię. – Ognisty.

– Gdzie? – Jednym ruchem sięga po miecz i wpycha mnie za siebie.

Wyglądam zza jego pleców i wskazuję na miejsce, w którym go ujrzałam.

– Był tam. – Szukam jego twarzy w zmieniającym się tłumie gapiów. – Nosi ciemną chustę na głowie i ma złote oczy.

Deven rzuca mi szybkie spojrzenie.

– Złote oczy? – Znów czujnie obiega targowisko wzrokiem, a potem gwiżdże. Manas i Yatin natychmiast pojawiają się przy nas, a wraz z nimi Natesa. – Ognisty tu jest. Manasie, znajdź go. Yatin i ja zabierzemy dziewczęta do pałacu.

Manas rusza bez słowa, a my przepychamy się przez tłum na drugi koniec targowiska. Tam Deven płaci jakiemuś mężczyźnie za jego dwa konie, dając mu więcej monet, niż widziałam w całym życiu. Natesa jedzie z Yatinem. Ja siadam przed Devenem. Mknijemy pod górę, mijając walące się budynki i brudne twarze. Wypatruję Ognistego, ale wokół jest zbyt wiele ciemnych

zaułków, w których mógłby się ukrywać.

Na chwilę otwiera się przed nami wybrukowana droga wijąca się w dół, ku szerokiej błotnistej rzece, nad którą kłębi się tłum piorących ubrania i kąpiących się ludzi. Wracamy do krętych, zabudowanych uliczek i dalej się pniemy. W pobliżu szczytu tego górzystego miasta wznosi się pałac otoczony wysokim białym murem.

Na nasz widok pałacowa straż otwiera złote bramy. Wpadamy do środka i zatrzymujemy się gwałtownie, gdy Deven szarpie za cugle. Pomaga mi zsiąść i uspokajająco przesuwając mi ręką po plecach.

– Dobrze się czujesz?

Potakuję, choć przenika mnie zimny dreszcz na myśl, że Ognisty przybył tu, aby zażądać rewanżu za oszczędzenie mi życia. Ale czego może ode mnie chcieć? Pieniądzy? Ziemi? Kosztowności? Przecież wszystko, co mam, to ubranie na grzbiecie.

Deven chwyta mnie za ramiona.

– Już nic ci nie grozi, Kalindo.

Powinnam być wdzięczna, że stoję u progu pałacu radży Tarka, lecz jak mam dziękować bogom za bezpieczeństwo sparaliżowana trwogą przed tym, co mnie tu czeka?

Wspinamy się po marmurowych stopniach do głównego wejścia, a Yatin i Natesa podążają za nami w milczeniu.

Turkusowy Pałac jest jak bujna oaza pośród tego bezbarwnego miasta. Jego bielusińskie mury lśnią w słońcu. Z wysoko położonych balkonów powiewają szafirowe, kanarkowe i rubinowe draperie. Ciepłe powietrze, ciężkie od zapachu parującej porannej rosy i pustynnego kwiecia, miesza się z wiatrem. Do środka prowadzą wysokie posrebrzane odrzwia, ozdobione głowami słoni o złotych trąbach zwiniętych tak, że tworzą antaby*. Gdy strażnik pałacowy otwiera przed nami te okazałe podwoje, wkraczam do fortecy radży.

* Antaba – stały lub ruchomy uchwyt z metalu umieszczany na skrzyni, kufrze, drzwiach, bramie (przyp. tłum.).



Idąc za Devenem, mijamy dwustronną klatkę schodową i kierujemy się ku łukowemu wejściu, którego strzeże dwóch strażników w ciemnych uniformach, z przytroczonymi do pasa khandami. Wnętrze pomieszczenia zasłania delikatna draperia w kolorze miedzi. Serce podchodzi mi do gardła.

Może w środku czeka radża Tarek.

Nie tylko ja czuję się nieswojo. Yatin przestępuje z nogi na nogę, a Natesa miętosi spódnice.

Deven odsuwa muślinową zasłonę.

– Kalindo i Nateso, chodźcie za mną. Yatinie, możesz odejść.

Natesa obejmuje Yatina w pasie, zdumiewając mnie tą jawną czułością. Mężczyzna poklepuje ją po głowie.

– Wkrótce się zobaczymy, kwiatuszku.

Natesa wypuszcza go z objęć i wchodzimy do sali audiencyjnej. Nad naszymi głowami wiszą półprzezroczyste draperie, które obniżają wysoki sufit i przydają tej olbrzymiej komnacie przepychu i przytulności. Paw, którego dotąd widywałam tylko w książkach, przechadza się dumnie po dywanie, od czasu do czasu wydziobując z niego pchły piaskowe. Jego olśniewające pióra są równie barwne jak miriady rozrzuconych wszędzie wokół poduszek.

Deven klęka przed wysokim na trzy dłonie* podwyższeniem, gdzie na złotym, wysadzonym klejnotami tronie spoczywa w leniwej pozie oszałamiająca młoda kobieta. Przywołuje Natesę i mnie skinieniem palca zakończonym czerwonym paznokciem. Nagle zdaję sobie sprawę z każdego ziarnka piasku w moich włosach i każdego pyłku na ubraniu.

Do tronu prowadzi jedwabny kobierzec. Za podwyższeniem znajduje się szeroko otwarty balkon, przez który wpada mnóstwo słońca, ogrzewając gładki marmur podłogi. W jaśniejszym świetle zmieniam zdanie na temat wieku tej możnej pani. Ma jędrne krągłości i skórę nieskazitelną jak płatek róży, lecz cały jej wygląd świadczy o dojrzałości i wytworności kobiety, która ma za sobą czterdzieści wiosen.

Obok niej, oparta łokciem o tron, stoi dziewczyna w moim wieku. Jest sztywnie ubrana, a jej splecione w warkocz hebanowe włosy zdobią kalie.

– Przedstawisz nas, kapitanie? – Siedząca na tronie kobieta ma miękki, atłasowy głos.

Deven składa ukłon.

– Pokrewna Lakio i pani Anjali, oto ostatnia Viraji radży oraz jego najnowsza kurtyzana.

Zatem ta starsza kobieta to Lakia, czyli żona numer jeden i najniebezpieczniejsza rani w historii. Towarzysząca jej dziewczyna musi być jedną z kurtyzan radży.

Anjali mierzy Natesę wzrokiem.

– Więc to ty jesteś tą Viraji, w poszukiwaniu której Tarek zjeździł kraj wzdłuż i wszerz.

– Mylisz się – mówi Lakia, wskazując na mnie czerwonym paznokciem. – To ją powołał na rani.

Anjali przenosi wzrok na mnie.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna, że nie tobie podważać moje słowa, Anjali. – W głosie Lakii brzmi ostrzeżenie. – Może należysz do ulubienic mojego męża, ale jesteś tylko kurtyzaną. A teraz zostaw mnie samą z Viraji. Wyjdźcie wszyscy.

Służący, których dotąd nie zauważyłam, jakby byli niewidzialni, teraz czym prędzej opuszczają salę.

Anjali schodzi z podwyższenia i dumnym krokiem podchodzi do Natesy.

– Zaprowadzę cię do skrzydła dla kurtyzan – oświadcza. – Nie jest tak okazałe, jak skrzydło dla żon, ale i nie tak nudne. – Próbuje wziąć Natesę pod ramię, ale ona się wyrywa.

– Już niedługo będziesz ulubioną kurtyzaną radży – rzuca.

Anjali z kpiącym uśmiechem wpycha Natesie rękę pod ramię i unieruchamia je w zgięciu łokcia.

– Świetnie tu sobie poradzisz. – Ciągnie zeszywniałą Natesę do drzwi, a Deven rusza za nimi.

– Kapitanie – woła Lafia – odstaw je do ich skrzydła i dołącz do nas.

Deven waha się przez chwilę, po czym wymyka się z sali. Zbieram siły, aby się zmierzyć z twardym spojrzeniem błyszczących oczu Pokrewnej, i modłę się, by szybko wrócił.

Lafia zamaszystym ruchem odrzuca do tyłu jedwabne sari ze złotym haftem i schodzi z podwyższenia.

– Jak się nazywasz?

– Kalinda.

Obwiedzione kohlem oczy wydają się zwężone.

– Żadnego nazwiska?

– Na pewno jakieś mam, ale nigdy nie poznałam rodziców.

Lafia dotyka mojej zapiaszczonej chusty i otrzepuje dłonie.

– Zdejmij to.

Gdy wykonuję polecenie, włosy opadają mi luźno na ramiona. Lakia powoli mnie okrąża. Za moimi plecami przechadza się paw.

– Jestem Pokrewną. Wiesz, co to znaczy?

– Jesteś jedną z rani.

– Jestem główną rani. – Zatrzymuje się przede mną. Przewyższam ją o głowę. Na odsłoniętym ramieniu ma ciemną, wypukłą bliznę – zagojoną ranę po pchnięciu sztyletem – i drugą, cienką, białą, biegnącą wzdłuż linii szczęki. – Masz mnie nazywać Lakią. Dla Tarka i naszych ludzi jestem Pokrewną, ale dla ciebie nigdy nią nie będę. Moim zadaniem jest dbać o inne interesy męża. To ja zdecyduję o każdej karze, jaką otrzymasz. – Unosi głowę. – Ile masz lat?

– Osiemnaście.

– Przynajmniej pełnoletnia. Tarek zasmakował w młódkach. Anjali przybyła tu jako czternastolatka. – Wydyma wargi z niesmakiem.

– Skąd wiedziałaś, że to ja zostałam powołana na żonę Jego Wysokości, a nie Natesa?

Lakia chwyta garść moich włosów i szepcze mi do ucha:

– Znam własnego męża. – Jej oddech pachnie miętą, a skóra olejkiem cynamonowym. Powoli wypuszcza z dłoni po kilka moich pukli, które opadają mi na ramię. – Wszystkie jego żony łączy tylko jedna cecha: piękne włosy. – Wzdrygam się, gdy ostatni kosmyk uderza mnie w twarz.

– Kiedy ujrzę radzę? – pytam.

Ściska mnie za ramię, wbijając paznokcie w skórę. Wytrzymuję ból, aby się nie skrzywić dla jej przyjemności. Na grzbiecie jej dłoni widzę pojedynczą linię namalowaną henną. Na drugiej ręce ma taką samą. Nie znam tego symbolu.

– Wkrótce rozpoczną się przygotowania do turnieju. Będiesz... – Lakia rozluźnia uścisk. – Ach, kapitanie – mówi, odpływając z powrotem

w kierunku tronu.

Deven zbliża się do podwyższenia i klęka. Przywieram do niego spojrzeniem. Jest moją jedyną ostoją w tym wartkim potoku zmian.

– Wstań – poleca Lafia – i powiedz, cóż to za kłopot was spotkał w podróży.

– W dolnych Alpanach zaatakowali nas bhutowie. Zabili trzech z moich ludzi i śledzili nas aż do pustyni. Sądziłem, że ich zgubiliśmy, lecz Viraji wypatrzyła jednego z nich, Ognistego, na targowisku. Moi ludzie go szukają.

Lafia stuka paznokciami jednej dłoni o paznokcie drugiej.

– Tarek się tego spodziewał i dlatego prosi, abyś ponownie rozważył wstąpienie do straży pałacowej. Bhutowie zrobią wszystko, co w ich mocy, aby zakłócić turniej tronowy i nie dopuścić do koronowania setnej rani. Jesteś jednym z niewielu żołnierzy, którym Tarek ufa bezgranicznie. Pragnie, abyś to ty strzegł Viraji.

Aby ponownie rozważył? Więc radza już wcześniej prosił Devena, by wstąpił do straży pałacowej? Dlaczego odmówił?

Deven kłania się nisko.

– Z radością będę służył Jego Wysokości i Viraji. – Prostuje się, rzucając spojrzenie w moją stronę. – Będę ją chronił nawet za cenę własnego życia.

Stoję bez ruchu, nie okazując targających mną uczuć. Cieszę się, że Deven pozostanie moim strażnikiem, ale martwi mnie, czy zdołam utrzymać go z dala od siebie na tyle, abyśmy oboje byli bezpieczni.

– Zatem ustalone. Viraji, nie wolno ci opuszczać murów pałacu, a w ich obrębie zawsze musi ci towarzyszyć strażnik. Żonom nie zezwala się na odwiedzanie skrzydła dla kurtyzan i *vice versa*. Nie możesz wymieniać listów z nikim spoza pałacu. Za pogwałcenie tych reguł spotka cię szybka kara, o której surowości zdecyduję osobiście. – Wykonuje zamaszty ruch ręką i natychmiast pojawia się służąca nosząca długi czarny woal. – Asha będzie twoją osobistą służką. Zaprowadzi cię do twojej komnaty. Dziś wieczorem

zjesz wieczerzę z żonami.

Lakia odprawia nas machnięciem ręki.

Moja służka Asha wyprowadza Devena i mnie z sali audiencyjnej. Ledwo ją opuszczamy, gdy natykamy się na starszego oficera w granatowym mundurze wojskowym. Deven zastyga w miejscu i pręży się przed nim. Mężczyzna obrzuca mnie baczny spojrzeniem. Asha czeka kilka kroków dalej, ze spuszczonego wzrokiem.

– Generale Gautam – mówi Deven. – Szybko nas dogoniłeś.

– Nie spowalniała mnie karetą – odpowiada generał z gładkim uśmiechem. – Podobno był jakiś rwetes na targowisku.

Znam ten głos. General Gautam musi być jednym z mężczyzn, których podsłuchałam na niższym piętrze świątyni. Ale co miał na myśli Deven, mówiąc, że nas dogonił? Czyżby generał wyruszył z Samiyi po naszym wyjeździe? Byłam przekonana, że odjechał wcześniej, razem z radzą.

Deven stoi opanowany, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

– Widzieliśmy bhutę, to wszystko. Viraji jest w pałacu, bezpieczna.

Zastanawiam się, ile w tym prawdy, skoro radza poprosił Devena, aby nadal mnie strzegł.

– Nikt nie jest bezpieczny, dopóki bhutowie są na terenie imperium – stwierdza general Gautam. – Powinniśmy spalić pogórze, gdzie się ukrywają, i skończyć z nimi raz na zawsze.

– Wtedy bylibyśmy nie lepsi od nich – wtrącam.

Generał unosi brwi z rozbawieniem.

– Rozumiem, dlaczego radza cię powołał, Viraji. Lubi ogniste kobiety. Bogowie wiedzą czemu. Rozgląda się po sali. – Gdzie ta druga? Ta kurtyzana? Ładna. Chciałbym ją zobaczyć.

– Odprowadzono ją do skrzydła dla kurtyzan – odpowiada Deven. Wyraźną sztywność wyczuwam nie tylko w jego postawie, ale także w głosie.

– Na pewno złożę jej wizytę. – Generał mruga do mnie porozumiewawczo.

– Dlaczego miałby pan odwiedzać Natesę? – pytam.

Deven wciąga powietrze przez nos.

Generał tłumi chichot.

– Młoda Viraji, przyjmij radę człowieka, który zna radzę od wielu lat: nie zadawaj pytań.

Przechyliłam głowę i odpowiadam równie protekcjonalnym tonem:

– A ja radziłabym trzymać się z dala od kobiet radzy.

– Kalindo – ostrzega mnie Deven.

Rzucam mu gniewne spojrzenie za to, że bierze stronę generała.

General Gautam posyła mu chłodny uśmiech.

– Wciąż się nie nauczyłeś, jak trzymać kobietę w ryzach, synu?

Deven stoi bez ruchu. Wybałuszam oczy i przenoszę wzrok z niego na generała. Mają taki sam mocno zarysowany podbródek, takie same ciemne brwi, szerokie ramiona i długie ręce. Deven wspominał, że jego ojciec jest benefaktorem i oficerem. A więc jest nim ten generał.

– To przyjemność poznać cię, Viraji. – Generał Gautam składa ukłon, nie pochylając przy tym głowy. – Przekażę Natesie twoje pozdrowienia. – I wchodzi niespiesznie do sali audiencyjnej.

Milczenie Devena zniechęca do zadawania pytań. Asha rusza przed siebie, więc podążamy za nią. Popatruję na kamienny wyraz twarzy kapitana i w myślach odtwarzam nasze spotkanie z generałem. Wciąż nie rozumiem, co Gautam robił w świątyni ani dlaczego chce odwiedzić Natesę.

Skręcamy za róg i wchodzimy do mojej komnaty sypialnej. Jest dziesięciokrotnie większa niż ta, którą miałam w świątyni, a jej wystrój nie ustępuje przepychem reszcie pałacu. Łoże z baldachimem, które z łatwością

mieściłoby pięć osób, zarzucono jedwabnymi poduszkami. Stół przy kominku przystrojono wielką misą wypełnioną kulkami z kolorowego szkła, a odbijające się od nich światło rzuca tęcze refleksy na otynkowane ściany. Słońce i lekki wietrzyk wpadają do środka przez wychodzący na ogród balkon. Jaya byłaby zachwycona tym widokiem.

– Viraji, przygotuję ci kąpiel. – Ukłoniwszy się, Asha wycofuje się z komnaty i zostawia mnie samą z kapitanem.

– Przepraszam za ojca – mówi cicho Deven.

– Dlaczego generał chce się widzieć z Natesą? Mówiłeś, że radza karze mężczyzn rozmawiających z jego kobietami.

– Z żonami. Radza karze mężczyzn za rozmowy z jego żonami. Kurtyzany zabawiają cały dwór.

Cofam się o krok.

– Radza Tarek będzie się dzielił Natesą?

– Dzieli się wszystkimi kurtyzanami. – Deven zaczyna tracić opanowanie. W jego oczach pojawia się taki wyraz, jakby ktoś właśnie go kopnął w żebra. – Gautam nie weźmie jej od razu do łóżka. Pierwsza noc jest przywilejem radzy. Ale potem Natesa będzie spędzała czas z każdym, kto zażąda jej towarzystwa.

Na myśl o kobiecie przekazywanej sobie z rąk do rąk jak butelka apongu robi mi się niedobrze. Kurtyzany powinny należeć do jednego mężczyzny, tak jak wszystkie należały do Anu.

– Czy tak postępują wszyscy benefaktorzy?

– Tylko radza.

Rozglądam się po pokoju. Cóż to za nierządny świat, do którego przybyłam? Zaciskam szczęki.

– Radza Tarek to potwór.

Deven podchodzi blisko i uspokajająco ściska mnie za ramiona.

– Dla swoich rani jest lepszy. Musisz być mu posłuszna, dla własnego bezpieczeństwa.

– Czy każdy wybór sprowadza się do posłuszeństwa? – szepczę.

– Tak. – Ściska mnie jeszcze raz i się odsuwa. Pragnę, by wciąż mnie dotykał, ale tłumię pożądanie, zamykam je na cztery spusty.

– Wiesz, dlaczego generał został dłużej w świątyni?

– Przyjechał tam, aby towarzyszyć radży podczas Powołania, a podopieczni tak go urzekły, że sam również postanowił powołać jedną z nich.

Jaya. Żołądek podchodzi mi do gardła. Nie, to niemożliwe. Niemożliwe, by generał powołał Jayę, nie z jej oszpeconą twarzą i pokrzywką. Na pewno została w Samiyi. Na pewno. A jednak czuję się, jakby ziemia usuwała mi się spod stóp.

– Możesz się dowiedzieć, czy którąś powołał? Moja przyjaciółka Jaya, ta, której pomogłam podczas prób kunsztu, jest moją jedyną rodziną.

– Znam paru ludzi ojca. Zapytam o twoją przyjaciółkę.

– Powiedz mi, jak tylko się czegoś dowiesz.

– Dobrze. – Uśmiech Devena jest za słaby, by dodać mi otuchy.

Asha wraca z małą armią zawołanych służebnych dźwigających mosiężną wannę i wiadra wypełnione parującą wodą. Dla kapitana jest to sygnał do wyjścia.

– Wkrótce wrócę. – Kłania się i przeciska obok kobiet do drzwi. Powstrzymuję się, by nie przywołać go z powrotem. Nie czuję się gotowa, aby zostać tu sama.

Asha zaczyna mnie rozbierać, ale odsuwam się i czekam, aż pozostałe służące skończą przygotowywać kąpiel i wyjdą.

Szybko zdejmuję ubranie i wślizguję się do wanny. Ciepła woda wnika w pory skóry, rozluźnia zastane kości i zmywa dotyk rąk Devena z moich

ramion. Nie rozumiem, dlaczego zgodził się pozostać moim strażnikiem. Przecież zna ryzyko. A jednak jego bliskość nieco łagodzi mój lęk. Chcę, żeby był przy mnie, kiedy będę zmuszona stanąć w szranki turnieju.

Asha szoruje mi włosy kawałkiem mydła. Choć bardzo się staram, nie mogę przestać myśleć o Jayi. Nie mam prawa się uskarżać na radzę, gdy los mojej przyjaciółki jest tak niepewny. Nawet jeśli radża Tarek jest potworem, będę walczyła, aby go poślubić. A jeśli taka wola bogów – zwyciężę.

Nagle do mojej komnaty wchodzi bez pukania dwie młode kobiety.

- Jest wyższa, niż myślałam – mówi jedna.
- I chudsza – dodaje druga.
- Twarz ma nie najbrzydszą.
- Znośną. A te włosy! Tarek uwielbia piękne pukle.
- Zwłaszcza gdy są jedynym okryciem kobiety!

Podchodzą do mnie niespiesznie, chichocząc. Jedna z nich, ta o owalnych oczach i nadąsanych ustach, szorstkim ruchem podnosi mi dłoń z krawędzi wanny i psyka.

- Paznokcie masz straszne.

Druga kobieta ciągnie mnie za wystający z wody wielki palec u nogi.

– Nikt cię nie nauczył, że to zadbane paznokcie pokazują, czy dbasz o swój wygląd?

- To było pytanie do niej czy do mnie? – rzucam w jej stronę.

Pierwsza z nich odpowiada mi z całą powagą:

- Do ciebie.
- Zatem nie, nie dbam o swoje paznokcie.
- Widzę – prycha druga kobieta. – Jestem Eshana, a to jest Parisa.
- Kalinda. Jesteście kurtyzanami czy żonami?

– Żonami! – odpowiada Parisa, podnosząc rękę do gardła. – Musisz się nauczyć odróżniać jedne od drugich, bo inaczej znajdziesz w łóżku skorpiona.

Wybucham śmiechem, ale one się nie śmieją.

– Od jak dawna jesteście żonami radży? – pytam, odchrząknąwszy.

– Od roku. – Parisa siada na moim łóżku. Jej rysy przykuwają uwagę. Z radością narysowałabym tę szczupłą twarz i wysokie kości policzkowe. – Tarek powołał nas jednocześnie w świątyni Hiraani. Chętnie porzuciłyśmy Siostrzeństwo. Te stare wiedźmy zabraniały nam wszystkiego, co ekscytujące. Tutaj możemy robić, co chcemy, o ile nie wychodzimy poza teren pałacu...

– I jeśli nie zadajemy się z żadnym mężczyzną – dodaje Eshana. Jej uroda jest bardziej oczywista; ma nadąsane usta i szczupłą, owalną twarz. Nachyla się i szepcze z drugiego końca pokoju, co nie ma sensu: – Jedna z żon zbiegła. Ze strażnikiem.

W głowie roi mi się od myśli o Devenie, więc zupełnie nie jestem przygotowana, kiedy Asha wylewa mi wiadro wody na głowę. Osuwam się na dno wanny, po czym wynurzam głowę, głośno prychnąwszy.

Eshana się uśmiecha.

– Trema przed turniejem?

– Albo nerwy przed ślubem – mówi Parisa do przyjaciółki.

Eshana poważnieje.

– Ja bardziej bałam się turnieju tronowego.

– Arena jest przerażająca – przyznaje Parisa. – Ale pierwszy raz z mężczyzną jest dla niektórych straszniejszy.

Eshana się otrząsa i wybucha śmiechem, po czym rusza do drzwi.

Parisa poklepuje mnie po rękę.

– Jeśli przeżyjesz turniej, to podczas nocy poślubnej będziesz miała radzę

tylko dla siebie. To prezent Tarka dla jego nowych żon. Po tym pierwszym razie już nigdy nie będziesz z nim sam na sam.

Dogania Eshanę i razem idą do drzwi, po drodze komentując wielkość mojej komnaty i kolor draperii. Asha wylewa mi na głowę następne wiadro wody, a kiedy znów otwieram oczy, gadatliwego duetu już nie ma.

* Dłoń – dawna jednostka miary długości, równa ok. 7,44 cm (przyp. tłum.).



Asha obraca mnie przodem do lustra. Gapię się na własne odbicie i dotykam ozdobionej paciorkami choli*. Obcisła bluzeczka podkreśla moje nieznaczne krągłości. Bufiaste spodnie wiszą nisko na biodrach, a ich nogawki zwężają się przy kostkach. Talię częściowo zakrywa szal udrapowany na ramieniu i przerzucony ukośnie przez pierś. Oczy mam mocno obwiedzione kohlem, a kreski na górnych powiekach przypominają czarne skrzydła wyciągające się w kierunku skroni. Pozostałą część powiek i kości policzkowe zdobi złoty puder. Włosy są rozpuszczone i tak wyszczotkowane, że aż lśnią. Ciemna linia, którą kapłanka Mita namalowała henną na moim nosie, już wyblakła, lecz wciąż ją widać. Wydymam usta zabarwione czerwienią marakui. Asha splata dłonie, a w jej oku widzę błysk zadowolenia.

– Jesteś boginią, Viraji.

Jest bardzo wspaniałomyślna. Po wielogodzinnych przygotowaniach można by mnie uznać prawie za piękną. Ale potem przypominam sobie, co w trakcie naszej podróży powiedział mi Deven: „Jesteś piękna”.

Obejmuję się ramionami. Zrzuciłam z siebie nie tylko ubranie. Wydaje się, jakby nic już nie zostało po podopiecznej ze świątyni Samiyi, a jednak pod tą barwną maską wciąż jestem tamtą dziewczyną. Nie zapomnę o niej. Przetrzęsłam torbę, szukając tego, co pomoże mi pamiętać, kim jestem, ale napotykam pewien problem.

– Nie mam kieszeni. Gdzie schowam procę?

– Czy będzie ci potrzebna podczas wieczery, pani? – pyta Asha.

Do komnaty wchodzi urodziwy, niezwykle szykowny mężczyzna z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Moje żony bywają nieposkromione, ale nie popsują dobrego posiłku.

Zastygam w bezruchu. Radża Tarek nie musi mi się przedstawiać. Rozpoznaję głos, który słyszałam podczas prób kunsztu.

Asha z ukłonem opuszcza komnatę, a dwóch strażników pałacowych zajmuje posterunki przy drzwiach. Rozglądam się za Devenem, ale nie ma go tutaj.

– Masz na imię Kalinda, prawda? – Radża Tarek podchodzi do mnie, wyjmując mi z ręki procę i odkłada ją na bok.

Jest młodszy, niż sądziłam; to nie starzec, lecz mężczyzna w średnim wieku. Jego wypielęgnowany wygląd świadczy o częstym odwiedzaniu łaźni, gdzie zażywa kąpeli i masaży olejkami. Ciemne włosy ma przycięte niemal równie krótko jak brodę. Starannie przystrzyżony i dobrze ubrany – nosi się ze swobodą kogoś, kto doskonale wie, jak ważną pozycję zajmuje w świecie. Albo kogoś, kto cały świat ma u stóp.

Kłaniam się nisko.

– Wasza Wysokość.

– Założę się, że ci, którzy dobrze cię znają, mówią do ciebie Kali.

– Niektórzy.

– Więc i ja będę cię tak nazywał. – W jego oczach widzę błysk rozbawienia. – Wydajesz się zaskoczona.

– Myślałam, że będziesz...

– Starszy? Grubszy? Posiwiasty? – Kąciki jego ust lekko się unoszą.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie mogę przyznać, że właśnie tego się

spodziewałam: że będzie brzydki. Że wówczas bardziej pasowałby do tego wyobrażenia o nim, którego nabrałam podczas naszego krótkiego spotkania w komnacie Powołania.

Radza Tarek wodzi palcem po moim ramieniu, aż dostaję gęziej skórki.

– Kali, czy kapłanki powiedziały ci, dlaczego cię powołałem?

– Abym została twoją żoną.

– Nie zwyczajną żoną, lecz moją ostatnią rani. Swoim znaczeniem setna Viraji dorównuje Pokrewnej, a może nawet ją przewyższa. – Przeczesuje palcami moje włosy. – Dlatego potrzebuję młodej kobiety, z której będę mógł uczynić legendę, kogoś wartego tej roli.

Rzucam mu gniewne spojrzenie. Już nigdy nie będę tą, którą byłam kiedyś, ale skoro bogowie mnie tu przywiedli, to wiedzą, że się przed nim nie ugnę. Ani teraz, ani nigdy.

Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Oto kobieta, którą powołałem. Czuję to ogniste spojrzenie przez opaskę na oczach.

Tłumię wzdrygnięcie. Odznacza się niewiarygodną urodą, ale jego wyrachowane spojrzenie mrozi mi krew w żyłach. Jest jak zahipnotyzowana kobra, która w każdej chwili może się obudzić z transu i mnie ukąsić.

– Opowiedz mi o swojej dolegliwości.

Tak nieoczekiwane polecenie wytrąca mnie z równowagi. W pierwszym odruchu chcę skłamać, ale przecież uzdrowicielka Baka już go powiadomiła o mojej chorobie, więc mówię prawdę:

– Mam skłonność do gorączkowania.

– A inne słabości? – Radza wysuwa palce spomiędzy moich włosów i zaczyna gładzić mnie po podbródku. – Może duma? – Mocniej ściska mi szczękę. – A może nieposłuszeństwo?

Wyrywam się, a on tłumi chichot.

– Ja też nie lubię przyjmować rozkazów. – Zanim zdążę się odsunąć, jego dłoń błyskawicznie znów chwyta mój podbródek. Ani drgnę, gdy się ku mnie pochyla. – Generał Gautam mówił mi o twojej impertynencji. Nie zamierzam więcej słuchać o takiej krnąbrności. Jesteś moją faworytką. Będziesz się zachowywała należycie. Czy wyraziłem się jasno?

Jego groźba przyprawia mnie o drżenie kolan.

– Tak.

Rozluźnia uścisk, by zaraz znów mnie pochwycić. Kulę się w sobie.

– Ciii! – Muska mój policzek kłykciami. Jego gorący oddech cuchnie apongiem. – Nie chcę cię skrzywdzić.

Odsuwa mi włosy z czoła takim czułym gestem, jakby patrzył na kogoś innego. Na kogoś, kogo dobrze zna i na kim mu zależy.

– Będziesz broniła swojego tronu, zrobisz to dla mnie, prawda, moja miłości?

Potakuję, niezdolna wykrztusić słowa. Będę walczyła, dopóki nie zwyciężę, ale nie dla niego.

– Kapitanie Naik! – woła radża Tarek.

Gdy Deven wchodzi do komnaty, wzrok ma stosownie obojętny. Przebrał się i zamiast munduru ma na sobie ciemne, obcisłe spodnie i śliwkowy kaftan ze złotym haftem i stójką. To strój strażnika pałacowego.

Radża całuje moją dłoń. Czuję, jak jego suche wargi przez chwilę błędzą po mojej skórze. Podnosi na mnie wzrok i mówi do Devena:

– Nie muszę ci przypominać, jak ważne jest bezpieczeństwo Kali. Jest dla mnie najważniejsza na świecie. Niewielu ludziom powierzyłbym opiekę nad nią. Weź to sobie do serca.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

– Wkrótce się zobaczymy, moja miłości – zwraca się do mnie radża Tarek. Całuje mnie w policzek i wychodzi, a za nim odmaszerowują jego

dwaj strażnicy.

Osuwam się na łóżko i chowam drżące dłonie pod uda.

– Zrobił ci krzywdę? – dociera do mnie opanowany głos Devena.

– Nie. – Ból w szczęce minął. Spuszczam wzrok, w głowie mam mętlik. – Mówił do mnie, jakby... jakby mnie znał.

– Może czekał na ciebie przez całe życie i teraz czuje, że tak właśnie jest.

Cicha uwaga Devena sprawia, że unoszę głowę. Napotykam jego czułe spojrzenie i pierś zalewa mi ciepła fala bólu. Po spotkaniu z radzą Tarkiem nadal nie rozumiem, dlaczego mnie powołał. Związał mnie ze sobą, lecz moje serce wznosi się ponad rolę, do jakiej chciałby mnie przymusić. Gdy patrzę na Devena, to samo serce szepcze o pewności uczuć.

Bogowie przywiedli mnie tu do radży Tarka, ale ta ścieżka doprowadziła mnie także do Devena.

Spogląda na drzwi.

– Rani wkrótce zasiądą do wieczerzy.

Wychodzę za nim na korytarz, gdzie czeka jeszcze dwóch strażników pałacowych. Na mojej twarzy rozkwita uśmiech.

– Manas. Yatin. Co wy tu robicie?

– Kapitan nas mianował. – Manas stoi wyprężony jak struna, dumnie wypinając pierś.

– Mamy nadzieję, że to ci nie wadzi – dodaje Yatin.

– Ależ skąd. – Ciągnę za jego sztywny kołnierz, a on się nieśmiało uśmiecha. – I mam nadzieję, że te stroje wam nie przeszkadzają.

Manas szarpie za wysoką stójkę.

– Do kaftana trzeba będzie przywyknąć, ale proszę tylko spojrzeć. Jesteśmy strażnikami pałacowymi.

– Zasłużyliście – mówi Deven. – Odprowadźmy Viraji na wieczerzę.

Idzie przodem. Dzięki połączonym zdobieniom i zwiewnym, połyskliwym draperiom wszystkie korytarze w pałacu wyglądają podobnie. Dotąd nie widziałam jeszcze nigdzie turkusu – barwy, od której nazwano ten pałac.

Wychodzimy na zewnętrzny korytarz, gdzie po jednej stronie ciągnie się rząd drzwi z transenny**, a po drugiej rząd łukowych przejść, otwierających się na ogród i rozświetlone niebo. Wpadające tu światło wczesnego wieczoru połyskuje na alabastrowych ścianach. Zatrzymujemy się przed wejściem, nad którym wiszą draperie z czerwonego jedwabiu.

– Pawilon Tygrysic – oznajmia Deven. – Żony spędzają tu większość czasu.

– Wchodzisz? – pytam z wahaniem.

– Straży pałacowej nie wolno przekraczać tego progu. Jeśli będziesz nas potrzebowała, będziemy na posterunku przy tym wyjściu.

Przygryzam wewnątrz policzka. Być może wszystkie rani są takie jak Parisa i Eshana, bardziej zainteresowane własnymi paznokciami niż obgadywaniem, ale mogą też być, zgodnie ze swoją reputacją, próżne i złośliwe. Żadna z żon-wojowniczek nie zostanie moją rywalką podczas turnieju, ale to nie znaczy, że będą mi przyjazne. Nie przekonam się o tym, dopóki ich nie poznam, więc w końcu przekraczam próg.

* Choli – krótka bluzeczka noszona do sari lub spódnicy (przyp. tłum.).

** Transenna – cienko szlifowana lub ażurowa płyta, np. marmurowa, kamienna, alabastrowa, drewniana, stosowana najczęściej do wypełniania okien (przyp. tłum.).



Pawilon Tygrysic to niezadaszony dziedziniec w samym środku skrzydła dla żon. Przestrzeń wyłożoną czarno-białymi płytkami otacza portyk. Z okapu zwisają jedwabne tkaniny. W centrum patio kojąco pluska fontanna. Jej rzeźbiona podstawa pasuje do zewnętrznych ścian z gipsowym wizerunkiem skorpiona, który jest godłem Tarachandu.

Okrażam placyk, przechadzając się pod osłoniętym portykiem. Pawilon jest podzielony na dwie części. W jednej z nich młode kobiety wylegają się na podłogowych poduszkach, czytając książki i grając w gry. Druga część to arena treningowa. Przystaję przy jednej z kolumn portyku i wyglądam na dziedziniec. Kobiety dzierżą khandy, haladie, łuki, proce, włócznie o żelaznych grotach i tarcze, topory, oszczepy, a nawet urumi – miecze, które wyglądem przypominają bicze, bo składają się z kilku ostrych, giętkich wstęg. Uważane są za broń najtrudniejszą do opanowania. Wystarczy jedno smgnięcie urumi, aby ofiara doznała kilku głębokich ran, które mogą się okazać śmiertelne.

Tuż obok mnie przelatuje nóż i wbija się w najbliższą kolumnę. Cofam się o krok i wyglądam zza filara na Parisę. Zebrane z tyłu głowy włosy odsłaniają głęboką purpurową bliznę biegnącą od ucha do szyi. Ma odcięty kawałek małżowiny. Rzuca kolejnym sztyletem, którego ostrze zagłębia się w tarczy przypiętej do słupa.

– Za bardzo w lewo – ocenia Eshana z pobliskiej ławki. Wydaje się

skupiać uwagę na książce, którą położyła sobie na kolanach, ale jej uwaga jest celna. Parisa posłała sztylet na lewo od środka tarczy, i to o całą szerokość dłoni. – Bogini Ki nie pochwaliłaby cię za ten rzut.

– Więc może sama ruszysz kuper i zrobisz to lepiej? – Parisa rzuca jej wyzwanie.

Eshana wstaje i bierze nóż z ręki przyjaciółki, po czym przyjmuje odpowiednią pozycję i rzuca, wykazując się imponującą formą. Srebrne ostrze obraca się w powietrzu i błysnąwszy jak spadająca gwiazda, zatapia się w sam środek tarczy. Eshana z uśmiechem odwraca się do Parisy.

– Ki byłaby zadowolona.

Parisa dostrzega mnie w cieniu i wydyma usta.

– Wyszorowałaś się – stwierdza.

– Nie zwracaj uwagi na tę zrzędę – mówi Eshana. Podchodzi do mnie i wyciąga mnie na otwartą przestrzeń. – Radza przysłał dyspozycje na dzisiejszą noc i jej nazwiska nie było na liście. Już od sześciu miesięcy nie wzywał jej do komnaty sypialnej.

– Od pięciu! – woła Parisa za naszymi plecami.

Eshana porozumiewawczo kiwa głową w moim kierunku.

– Od sześciu, a kiedy była u niego ostatnio, musiała się dzielić nim z inną żoną i trzema kurtyzanami.

Wzdrygam się z odrazą i zerkam na Parisę, która właśnie rzuca kolejnym nożem. Wciąż za bardzo w lewo.

– Skąd ma tę bliznę? – pytam.

– Pamiątka po jej turnieju tronowym. – Eshana siada z powrotem na ławce, niedaleko dwóch rani ćwiczących fechtunek, a ja dostrzegam tytuł książki, którą ma na kolanach: *Setna rani Enlila*. Przypominam sobie recytację Jayi i ogarnia mnie tęsknota za przyjaciółką. – Wiele żon się ucieszy, kiedy te turnieje się skończą. Przy każdym z nich przypominamy

sobie o własnym. – Na grzbiecie dłoni, którą Eshana kładzie na książce, widzę namalowaną henną liczbę osiemdziesiąt dziewięć.

– Co to jest? – pytam, dotykając tatuażu.

– Moja ranga jako żony. Każda z nas ma swoją.

Przenoszę wzrok na kobiety przed nami, ale zamiast patrzeć na ich broń, próbuję dostrzec liczby na grzbietach dłoni. Zatem symbole, które widziałam u Lakii, nie były dziwnymi kreskami, lecz jedynekami. Spoglądam na własne ręce, wyobrażając sobie, jak będą wyglądały z wytatuowaną na nich liczbą sto.

Eshana gładzi okładkę książki.

– Większość ludzi najbardziej lubi ten fragment *Setnej rani Enlila*, w którym jego Viraji wygrywa turniej, ale ważniejsze było to, co się wydarzyło później. Znasz resztę tej opowieści?

Powoli kręcę głową. Nawet nie wiedziałam, że jest jakaś reszta.

– Ja nie znałam, dopóki nie znalazłam tego tekstu w pałacowej bibliotece – ciągnie Eshana. – Kiedy Enlil poślubił ostatnią Viraji, ludzie zaczęli naśladować bogów i urządzać własne turnieje tronowe. Ale wkrótce Ki się rozgniewała, że traci tak wiele córek, więc w sekrecie zebrała grupę młodych kobiet i nauczyła je walczyć. Jej uczennice stały się siostrami-wojowniczkami i tak bardzo się polubiły, że gdy wyprawiono następny turniej, odrzuciły broń i odmówiły walki. Dzięki łączącej je więzi stały się silniejsze, niż były osobno. Tradycja bogini ziemi nakazująca wychowywanie dziewcząt na wojowniczkami stała się kamieniem węgielnym Siostrzeństwa i jest kultywowana po dziś dzień.

Przeoglądam te nowe fragmenty książki, bo chcę je zobaczyć na własne oczy. Uczono nas, że Ki była założycielką Siostrzeństwa, ale nigdy nie ujawniono nam dalszego ciągu tej opowieści.

– Dlaczego siostry opowiadają nam tylko część tej historii? Dlaczego nie uczą nas pokoju, tak jak Ki uczyła siostry-wojowniczkami?

– Często sama się nad tym zastanawiam. – Eshana nie spuszcza oka z walczących żon. – Pewne jest jedno: cnoty siostrzeństwa nie pielęgnuje się tak gorliwie, jak tradycji turniejów.

Być może ma rację, ale przecież te rani są znamienitymi siostrami-wojowniczkami. Dzięki swemu przygotowaniu ocaliły życie na arenie.

– Czy każda z żon zamierza wyzwać inną na pojedynek? – pytam.

– Wszystkie rani mogą się ubiegać o rangę pierwszej żony, ale jeszcze żadna nie pokonała Lakii. – Eshana uśmiecha się smutno. – Wiele ćwicz, aby zapomnieć o walkach stoczonych w przeszłości. Wszystkie mamy swoje blizny.

Uważniej przyglądam się otaczającym mnie kobietom. Zapewne większość szram została zręcznie ukryta pod ubraniami, biżuterią i długimi włosami. A jednak spod tej maski nieskazitelności wyzierają ślady po zaciekłych starciach. Widzę niewyraźne blizny na ramionach i nogach. Nawet idealna Eshana ma na plecach zabliznioną ranę – jest widoczna pod bluzką i biegnie w dół, aż znika pod jedwabnym sari w okolicach talii.

Na dziedzińcu rozlega się gong. Rani odkładają broń na stojaki pod murem i przechodzą pod łukową pergolą porośniętą bujnie kwitnącym pnączem. Eshana i ja idziemy za nimi. Gdy mijamy stojaki na broń, pytam:

– Walczysz każdym orężem?

– Jak wszystkie cztery ulubienice radży: Lakia, ja (Eshana się rumieni) i dwie kurtyzany, Anjali i Mathura. Mathura mieszka w pałacu niemal równie długo jak Lakia; obie przybyły tu, gdy były w naszym wieku.

Za pergolą przechodzimy do części jadalnianej, którą oświetla blask świec. Służące zwawo napełniają kielichy winem. Żony klęczą na poduszkach wokół wysokich do kolan stołów, kunsztownie nakrytych i suto zastawionych apetycznymi potrawami pachnącymi kurkumą i kolendrą.

Parisa już zdążyła zająć miejsce.

– Eshana! Viraji!

Głowy zwracają się w moim kierunku i dobiegają mnie strzępy szeptów. Komentarze dotyczą mojej chudości i pospolitej urody. Nic, czego bym już nie słyszała, ale i tak boli. Skazy rani – ich pozostałe po walkach blizny – są niewidoczne. Ale mojej brzydoty nie zasłoni sari.

Eshana sadowi się obok Parisy, a ja klęczę naprzeciwko nich. Nachylają się ku sobie i coś sobie szepczą na ucho. Jakby niewiele ich łączyło z pozostałymi rani. Czy tak właśnie wyglądałyśmy z Jayą? Odcięte od innych w sali pełnej ludzi?

Wypełnia mnie uczucie pustki. „Proszę, niech Jaya będzie bezpieczna”. Nawet w modlitwie samolubnie pragnę, aby była tu ze mną. Liczę miejsca przy stole, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Dziesięć poduszek leży wokół każdego z dziesięciu stołów, ale przy pięciu widzę puste miejsca.

– Gdzie jest reszta żon? – pytam.

Parisa i Eshana są pochłonięte swoją rozmową, ale odpowiada mi młoda kobieta, która siedzi obok mnie:

– Trzy rani są ze swoimi dziećmi w dziecińcu. – Głaszcze się po swoim widocznym brzuchu. Odsuwam się, bo nigdy wcześniej nie widziałam kobiety w odmiennym stanie. Świątynia miała dwa dziecińce: jeden dla niemowląt, a drugi dla małych dziewczynek, ale nie było tam brzemiennych.

Młoda rani wybucha śmiechem.

– Pamiętam, kiedy pierwszy raz ujrzałam ciężarną. Wydawała mi się wielka jak słońca.

Wzdęty brzuch i chude nogi mojej rozmówczynie przywodzą mi na myśl raczej pajęczycę. Ma jednak ładną twarz, a jej ciemne włosy lśnią piękniej niż u innych kobiet przy naszym stole.

– Jestem Kalinda – przedstawiam się.

– Shyla. – Unosi dłoń, by pokazać mi swoją ranę. – Żona numer osiemdziesiąt jeden.

– Mogę... Mogę dotknąć twojego...?

Potakuje i kładzie sobie moją dłoń na brzuchu. Czuję dziwne drżenie, jakby trzepot, i aż wybałuszam oczy. Shyla promienieje.

– Mały cię lubi.

– Wiesz, że to chłopiec?

– Nie, ale jeśli nim będzie, to zostanie trzydziestym drugim pretendentem do tronu. Syn Lakii jest dziedzicem radży, ale nie zobaczysz go. Wychowują go mnisi, w jednej ze swoich świątyń.

Pamiętam jak przez mgłę, że tradycja nakazuje, aby szlachetnie urodzony dziedzic był wychowywany przez Bractwo. Mnich odpowiedzialny za jego szkolenie zostaje później nowym głównym doradcą radży.

Jeśli doradca radży Tarka służy w świątyni w Vanhi dostatecznie długo, to może zna okoliczności mojej adopcji. Jeśli ktokolwiek wie coś o mojej rodzinie, to na pewno mnisi.

Lakia wkracza na patio sprężystym krokiem, kołysząc biodrami i potrząsając włosami. Podchodzi do szczytu swojego stołu i podnosi kielich. Wszyscy milkną.

– Dzisiejszego wieczoru świętujemy przybycie ostatniej Viraji – ogłasza.
– Tarek powołał Kalinę jako swoją faworytkę. Będzie broniła swojego tronu podczas ostatniego turnieju.

Wszystkie żony kiwają głowami. To przełomowy moment. Od tej chwili nie będą musiały walczyć na arenie o swoją pozycję. Koniec z bliznami.

– Otwarcie turnieju nastąpi jutro wieczorem, kiedy to odbędzie się ceremonia deklaracji. Jeśli Kalinda obroni swoje prawo do tronu, dołączy do nas jako rani. Powitajmy naszą siostrę-królową. *Nush!*

– *Nush!* – pozdrawiają mnie, wznosząc kielichy.

Robię to samo, a wtedy Lakia zajmuje swoje miejsce przy stole. Odstawiamy kielichy i służba podaje salaterki z jedzeniem. Wieczór

rozbrzmiewa gwarem rozmów i pobrzękiwaniem srebra stołowego. Potrawy pachną wybornie, ale oświadczenie Lakii, że ceremonia deklaracji odbędzie się już jutro, pozbawiło mnie apetytu.

– Powinnaś coś zjeść. – Shyla nakłada sobie na talerz porcję ciecierzycy.

– Dziękuję, ale nie jestem głodna.

– Ja jestem, ale mam już niewiele miejsca. – Klepie się po brzuchu.

– Ile czasu pozostało ci do rozwiązania?

– Akuszerka twierdzi, że nastąpi lada dzień. – Shyla żuje kawałek serca palmowego*. U lewej dłoni brakuje jej dwóch palców. Usta robią mi się suche jak papier. Staram się nie patrzeć na kikuty, kończące się przy jej kłykciach. – Być może twój turniej mnie ominie. Brzemienne są zwolnione z walk, a dziecko może się urodzić w każdej chwili...

Jej usprawiedliwienia wywołują mój uśmiech.

– Oczywiście, nic na to nie poradzisz.

Parisa i Eshana przerywają pogaduszki i zawieszają wzrok gdzieś nad moim ramieniem.

– To dopiero przystojniak – mówi Eshana niezbyt cichym szeptem. – Skąd ja go znam?

Odwracam się i widzę Devena, który czeka przy drzwiach, z wysoko uniesioną głową i rękami założonymi za plecami. Rzeczywiście jest na co popatrzeć.

– To syn Mathury – odpowiada Parisa.

– Opowiadała mi o nim. – Drażni mnie ten zachwyt w głosie Eshany. – I nie przesadzała, on naprawdę jest urodziwy.

Moje ciało zastyga w bezruchu, ale myśli szaleją.

„Mathura jest jedną z czterech ulubienic radży”.

„Matka Devena jest kurtyzaną, a generał Gautam benefaktorem”.

„Radza dzieli się swoimi kurtyzanami z całym dworem. Podczas turnieju tronowego Deven oglądał walkę swojej matki”.

„Mathura jest matką Devena”.

Dlaczego mi o tym nie powiedział? Nie wiem, ale wątpię, że przyszedł tu, by rozmawiać o swoich rodzicach. Nie postawiłby stopy w Pawilonie Tygrysic, nie mając ku temu ważnego powodu.

Dostrzegły go niemal wszystkie rani siedzące przy naszym stole. Wstają i podchodzę do niego.

– Co ty wyprawiasz? – syczę.

– Prosiłaś o wieści o twojej przyjaciółce.

Ściska mi się żołądek. Jaya.

– Kapitanie Naik – woła Lakia z za swojego stołu – przerwałeś nam wieczerzę.

Deven wychodzi z cienia.

– Stokrotnie przepraszam, Pokrewna. Przynoszę wieści. W pobliżu pałacowych murów widziano bhutę. – Milkną rozmowy i słychać brzęk sztucców. – Żołnierze już rozpoczęli poszukiwania.

Lakia przesadnie przechyla głowę na bok.

– Jakże uprzejmie z twojej strony, że zechciałeś nas o tym uprzedzić i zadbać o nasze bezpieczeństwo.

Czuję, że brakuje mi powietrza w płucach. Więc jednak Ognisty przestraszył Devena, choć ten mnie zapewniał, że w pałacu jestem bezpieczna.

– Wybacz mi to najście, Pokrewna – mówi Deven z ukłonem i szepcze do mnie: – Czekałam na zewnątrz.

Wracając do stołu, widzę, że Parisa i Eshana pochylają ku sobie głowy. Kiedy się do nich zbliżam, odrywają się od siebie, a Eshana bacznie mi się

przygląda.

– Dobrze się znasz z tym swoim strażnikiem.

Unikam ich pytających spojrzeń i dłubię w talerzu, nie odzywając się. Po chwili kilka rani kończy posiłek i odchodzi od stołu, więc przeprosiwszy, również się oddalam. Shyla się ze mną żegna, a Parisa i Eshana znów zaczynają szeptać. Czuję mrowienie na plecach, gdy Lakia wbija we mnie wzrok.

Opuszczam pawilon tymi samymi drzwiami, przez które tu weszłam. Deven czeka na mnie w pustym korytarzu.

– Czego się dowiedziałeś o Jayi?

– Gautam jej nie powołał.

Przyciskam dłonie do serca.

– Dziękuję.

Jaya jest bezpieczna w Samiyi i tam pozostanie, bo turniej tronowy zwabi benefaktorów do Vanhi.

Uśmiech Devena blednie, a wtedy przypominam sobie drugi powód, dla którego tu przyszedł.

– Widziano Ognistego? – pytam.

– Tak. Znów zbiegł, ale pojmano poplecznika bhutów, który mu pomógł w ucieczce. – Wnętrznosci mi się wywracają, gdy sobie przypominam, jak blisko zdołał podejść do mnie Ognisty, nie zwracając mojej uwagi. Deven chwyta za rękojeść miecza. – Zdrajcę skłoniono, by wyjawiał kryjówkę bhuty w mieście. Już tam wysłano żołnierzy.

Nie wiem, co rozumie przez „skłonienie”, ale wątpię, by radża Tarek zadał więźniowi uprzejme pytanie.

– Ty też pojedziesz?

Deven wpatruje się w łukowe przejście. Słysząc nawołujące się majny** –

ich melodyjne głosy odbijają się echem w mrocznym ogrodzie, słabo oświetlonym przez migoczący na niebie półksiężyc.

– Jestem teraz strażnikiem pałacowym. Moje miejsce jest tutaj.

– A dlaczego nie zostałeś nim, kiedy poproszono cię o to po raz pierwszy?

Deven opiera się o kolumnę podtrzymującą łuk.

– Rok temu bhutowie urządzili zasadzkę na towarzyszący radży konwój wojskowy, którego byłem częścią. Wietrzny wywołał porywistą wicher, która zdmuchnęła wszystkich prócz mnie i radży, bo przywiązałem nas do głazu. Tylko my przeżyliśmy i radża Tarek zaoferował mi awans na strażnika pałacowego. Ja jednak wolałem przyjąć stanowisko kapitana w armii. – Głos zaczyna mu się łamać. – Opuściłem Bractwo i zostałem żołnierzem po to, aby być bliżej młodszego brata. On, Yatin i ja razem ćwiczyliśmy się w walce. Gdy konwój wpadł w zasadzkę, nie było z nami Yatina. Po zabezpieczeniu radży próbowałem wrócić po brata, ale już go nie znalazłem. Od tamtej pory poszukuję bhutów, którzy go zabili.

Ramiona uginają mu się pod ciężarem żalu. Nie jest winien śmierci brata, ale wiem, że gdybym to ja ocalił radżę zamiast Jayi, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Ale dlaczego teraz przyjąłeś ten awans?

– Wiele się zmieniło.

– To znaczy? – Choć intuicja podpowiada mi inaczej, chciałabym, aby wyznał, że pragnął pozostać bliżej mnie. Że to ja jestem tą zmianą.

Deven pociera sobie szczękę. Wątpię, czy choć raz spał dłużej niż godzinę, odkąd opuściliśmy Samiyę.

– Poluję na bhutów od wielu miesięcy, ale nigdy nie zbliżyłem się do nich tak bardzo, jak przez kilka ostatnich dni. Dopóki Ognisty krąży wokół ciebie, ja też zostanę w pobliżu.

– Rozumiem. – Tłumię rozczarowanie. – Jestem wabikiem.

Deven odwraca się ku mnie. W jego oczach błyska gniew.

– Nie przyjąłem tego awansu wyłącznie po to, by służyć imperium, Kali. Jesteś Viraji i faworytką ludu, lecz niech to będzie jasne: nie jesteś wabikiem.

Jego nagłe wzburzenie budzi mój niepokój. Przybieram potulną minę, która ma oznaczać, że źle go zrozumiałam, i przepraszam. Rozluźnia się, jak napięty łuk po wystrzeleniu strzały. Stopniowo opada z niego ten pancerz obojętności, który przywdział, a bruzda między brwiami powoli się wygładza.

W korytarzu rozlegają się kroki. Deven natychmiast się prostuje i znów jest powściągliwym kapitanem Naikiem. Ale pod tą maską rezerwy wciąż pozostaje Devenem.

* Serce palmowe – jarzyna pozyskiwana z rdzenia młodego pnia określonych gatunków palm (przyp. tłum.).

** Majna brunatna – gatunek ptaka z rodziny szpakowatych (przyp. tłum.).



Dzisiaj nie powinnam zapomnieć o zażyciu dawki toniku. Budzę się wcześniej, gdy złotawe światło brzasku sączy się do komnaty sypialnej, i pociągam łyk z jednej z pozostałych mi fiolek. Kręcę nosem, czując cierpki smak, i nagle dostrzegam leżącą po drugiej stronie łoża księgę, której tam nie było, kiedy zasypiałam.

Rozglądam się po pustym pomieszczeniu i sięgam po stary wolumin.

Prażródła bhutów. Na ramionach wyskakuje mi gęsia skórka. Odwracam okładkę i przeczuciwszy kilka kartek, zatrzymuję się na rycinie przedstawiającej Anu. Przed bogiem niebios klęczą cztery postacie, a on ofiarowuje im skrawki światła, które odciął słońcu swoją potężną khandą. Widziałam niezliczone podobizny Anu, ale tej jeszcze nigdy. Podpis głosi:

Anu obdarzył czterech śmiertelników promieniami swej mocy. Jego nawiedzenie opisano w Zhaleh, księdze dziedzictwa bhutów. Światło Anu uczyniło z tychże śmiertelników półbogów – najwyższą formę śmiertelnego wcielenia.

Do głowy ciśnie mi się mnóstwo pytań. Półbogowie? Ależ bhutowie to potomstwo demona Kura, władcy Otchłani. Przeglądam kolejne strony, na których przewijają się te same słowa i zwroty. *Bóg niebios. Bhutowie. Półbogowie.*

– Dzień dobry, Viraji.

Zatrząskuję księgę i podnoszę wzrok. Asha wnosi tacę ze śniadaniem i kładzie ją na nocnym stoliku. Chowam *Prażródła bhutów* w pościeli, czując coraz większy mętlik w myślach.

Jem śniadanie – miskę skropionego miodem jogurtu – podczas gdy Asha sprząta komnatę. Jej ciężki czarny woal zasłania wszystko z wyjątkiem spuszczonego oczu. Żadna inna służka nie zakrywa się w ten sposób, więc się zastanawiam, co ma do ukrycia.

Podnosi moją torbę, którą cisnęłam na kolumnienkę podtrzymującą baldachim łoża, a wtedy jedna z fiolek wypada i rozbija się na podłodze. Asha pada na kolana, aby uprzątnąć bałagan.

– Błagam o wybaczenie! – kaja się.

– Zostaw to. – Wychodzę z łoża, starając się nie nadepnąć na rozbite szkło. Asha nie przerywa pracy. – Powiedziałam: „zostaw”!

Obronny gestem zasłania twarz i z ukłonem wycofuje się z komnaty. Wzdycham i sprzątam odłamki. Asha rozbiła fiolkę nienaumyślnie, ale teraz zapas leku wystarczy mi na jakieś osiem dni. Została jedna pełna fiołka i resztkę toniku w drugiej.

Ubieram się, układając sari w plisy między kolanami, aby nie przeszkadzało podczas ćwiczeń, a potem wkładam do torby dziwną księgę i ostatnie dwie fiołki. Wyjmuję i przeglądam recepturę toniku. Większość tych ziół jest mi znana, lecz zastanawiają mnie dwa ostatnie składniki: czerniec biały i sadziec pomarszczony. Czytam jeszcze raz, ściągając brwi. Jaya hodowała i jedną roślinę, i drugą. Obie są trujące.

To nie ma sensu. Uzdrowicielka Baka nie mówiła mi, z czego składa się jej lek, ale przecież by mnie nie truła. Na pewno błędnie zapisała te nazwy.

Wraca Asha, w jej ruchach dostrzegam niepewność. Chowam recepturę za pas spodni.

– Przepraszam, że cię zbeształam – mówię.

Spogląda na mnie z wyraźnym zaskoczeniem.

– Nie ukarzesz mnie?

– Nie. To był wypadek.

– Bądź błogosławiona, Viraji.

Kiedy się na nią rozzłościłam, zasłoniła twarz, myśląc, że ją uderzę. Czy tak właśnie postępują inne rani?

– Jak trafiłaś na służbę, Asho? – pytam.

– Powołano mnie.

– Wychowywałaś się w Siostrzeństwie? – Patrzę w jej spokojne ciemne oczy i wyobrażam ją sobie w błękitnym sari, jakie noszą podopieczne.

– Pokrewna przybyła z radzą do mojej świątyni i powołała kilka z nas na służące rani. Jestem tu już prawie dwa lata.

A zatem mogę wrócić po Jayę i ją powołać. Serce bije mi mocniej na myśl, że nasz plan ma szansę się powieść, ale wstydzę się swojego zniecierpliwienia wobec Ashy. Była wychowywana tak samo jak ja. Mnie również ktoś mógł powołać na służącą.

– Naprawdę cię przepraszam.

Choć większość twarzy ma zakrytą, widzę ciepło w jej oczach. Zabiera tacę i wychodzi, a ja idę za nią.

W cichym korytarzu czeka Manas.

– Bądź pozdrowiona, Viraji.

Wygląda, jakby ledwo się trzymał na nogach. Musiał tu stać przez całą noc.

– Gdzie kapitan Naik? – pytam.

– Skończył służbę. Wcześniej wstałaś, Viraji. Większość rani śpi do późna. – Rzuca mi znaczące spojrzenie, subtelnie usiłując skłonić mnie do powrotu do komnaty. Mogłabym poczekać na Devena, ale jednak ruszam korytarzem przed siebie. Manas nie odstępował mnie na krok.

– Dokąd idziesz, Viraji?

Zerkam na swoje odbicie w lustrze wiszącym na ścianie. Linia z henny na moim nosie jeszcze bardziej wyblakła, ale wciąż widać, że jestem naznaczona symbolem rychłego zamążpójścia.

– Do Pawilonu Tygrysic. Muszę ćwiczyć.



Wirujący w powietrzu topór przecina dziedziniec i z potężnym, głuchym hukiem wbija się w słup. Skręcam za róg portyku i widzę Lakie, która właśnie się prostuje po wykonanym rzucie. Poza nami dwiema nie ma tu nikogo.

– Drugi ranny ptaszek. – W jej głosie pobrzmiwa rozdrażnienie. Zamaszystym krokiem podchodzi do słupa i wyrywa z niego swój topór. – Żadna inna nie wstała tak wcześnie jak ja, odkąd... – Jej przenikliwe oczy zmieniają się w wąskie szparki.

– Wrócę, kiedy...

Lakia ciska we mnie toporem, a ja odruchowo chwytam go w powietrzu.

– Wygadana ta nowa kurtyzana radży. To jej pierwsza noc tutaj, a już nakłoniła kilka kobiet, aby rzuciły ci wyzwanie, choć nie zamierzały tego robić. Podobno w dzieciństwie byłaś przykuta do łóżka i nie umiesz walczyć. – Mierzy mnie wzrokiem. – Powiedziała też, że wyglądasz jak bambusowa tyczka i jesteś tak samo bezbarwna.

Natesa. Zaciskam dłoń na trzonku.

– Umiem walczyć.

Lakia wyrywa mi topór z rąk.

– Więc wybierz broń.

– Mam walczyć z tobą? – Skręcają mi się wnętrzności. Lakia zabiła na arenie więcej rywalek niż jakakolwiek inna rani.

Kręci toporem przy boku.

– Przyszłaś ćwiczyć czy nie?

Starcie z Lakią nie może się dla mnie dobrze skończyć, ale jeśli odmówię, zaczną krążyć jeszcze gorsze plotki na mój temat. Reputacja marnej wojowniczkii i tchórza mi nie pomoże. Ze stojaka na broń wybieram kij.

Lakia odkłada topór ze znaczącym uśmiechem.

– Niech będzie uczciwie. – Ponagla mnie gestem. Jej bezwstydnie krótkie sari odsłania blizny na nogach. Zamierzam się kijem, celując w jej głowę, a ona robi unik. – Nie jesteś tak ładna, jak się spodziewałam.

– Ty jesteś. – Podnoszę kij, przygotowując się do obrony.

Lakia zachodzi mnie z boku.

– Wiesz, jak długo czekałam, aż Tarek wybierze swoją ostatnią żonę? Musiałam patrzeć, jak poślubia pięćdziesiąt pięć innych kobiet. Pięćdziesiąt pięć. – Jej pierwsze ataki są zbyt szybkie, bym mogła się uchylić. Cofam się, czując, jak piecze mnie szczeka.

– Chyba pięćdziesiąt osiem? Powołano cię razem ze starszą siostrą, prawda?

Lakia wymierza mi kopniaka pod zębra. Zataczam się na mur. Uderza mnie w brzuch, dokładnie tam, gdzie zostałam kopnięta. Chwytam się za obolałe miejsce, jęcząc przez zaciśnięte zęby.

– Nie wspominaj o niej. – Lakia wyrywa mi kij z dłoni i przyciska go do mojej szyi. – Nie jesteś jedyną, która musi walczyć o swoją rangę. Pozycja pierwszej żony jest najbardziej upragniona. Każda z żon może rzucić mi wyzwanie. – Odpycham ją, ale to ona ma przewagę, bo ogranicza mnie ściana za plecami. – Po tobie – ciągnie – nie będzie więcej turniejów. Ani rywalizacji. Ani żon. Nie będę musiała udowadniać swojego oddania.

Naciska kijem w żyłę szyjną, odcinając mi dopływ powietrza. Płuca rozpaczliwie walczą o oddech.

Przed pawilonem stoi Yatin, który zastąpił Manasa, kiedy dotarliśmy na

miejsce, ale z moich ust wydobywa się tylko niemy krzyk. Lakia całym swoim ciężarem napiera na moje gardło. Robi mi się ciemno przed oczami.

– Ty jesteś setną Viraji, w poszukiwaniu której Tarek zjeździł kraj wzdłuż i wszerz? – mówi. – Żałosne.

Puszcza mnie. Osuwam się na ziemię, oddychając chrapliwie.

Lakia rzuca kij, który ląduje ze stukotem przy mojej głowie.

– Tarek to mój mąż. Wygraj turniej, jeśli zdołasz, ale kiedy walki się skończą, już na zawsze będę jego Pokrewną.

Widzę jak przez mgłę, że oddala się dostojnym krokiem. Padam na ziemię, zanosząc się kaszlem.

– Kalindo? Kalindo?

Podnoszę wzrok i widzę pochyloną nade mną Shylę. Próbuję się odezwać, ale mam obolałą krtań. Rani pospiesznie się oddala, a ja się podnoszę do pozycji półsiedzącej. Gwałtownie wciągam i wypuszczam hausty powietrza.

– Kali! – Deven pędzi przez patio, a za nim ciężko stąpa Yatin. Deven pochyla się nade mną. – Co się stało?

Kaszel opóźnia moją odpowiedź.

– Lakia.

– Zaprowadzimy cię do uzdrowicielki. – Deven pomaga mi wstać, a Shyla trzyma się za swój okrągły brzuch, ciężko oddychając i wydymając policzki. Deven wskazuje kobietę Yatinowi. – Ją też lepiej zabierzmy.



Znajdująca się w środkowej części pałacu infirmeria pachnie znajomo – mielonym imbirem. Starsza kobieta zaparza mi filiżankę herbaty imbirowej i radzi, aby pić powoli.

Yatin poszedł odprowadzić Shylę do jej komnaty sypialnej, a uzdrowicielka wysłała za nimi akuszerkę. Jej zdaniem Shyla urodzi, nim nastanie wieczór. Deven pełni wartę przy moim łóżku. Jest nieogolony,

a wokół oczu ma czerwone obwódki. Pewnie zamiast spać, przez całą noc szukał Ognistego. Jakim sposobem wciąż się trzyma na nogach?

Uzdrowicielka wraca z drugą filiżanką gorącej herbaty imbirowej, którą mu podaje.

– Tobie też to dobrze zrobi, kapitanie.

Deven nie wyciąga ręki.

– Jestem na służbie.

– Ja również. – Uzdrowicielka mruży oczy i na jej twarzy przybývá zmarszczek.

Deven przyjmuje herbatę, a zachęcony przez uzdrowicielkę siada obok mnie na łóżku. Rozprostowuje nogi i krzyżuje stopy odziane w brudne buty. Smużki pary unoszące się z nad filiżanek przesłaniają nasze twarze.

– Co się stało? – pyta, gdy uzdrowicielka podchodzi do biurka, by zapisać coś w swoim rejestrze.

Pocieram obolałe gardło.

– Lakia kazała mi ze sobą walczyć.

Przez jego twarz przemyka grymas niepokoju.

– Nie po raz pierwszy jej zły humor wysyła kogoś do infirmerii. Co się między wami wydarzyło?

– Groziła mi, można by rzec. – Nie zależy mi na odebraniu Lakii jej pozycji. Niech sobie zatrzyma radzę dla siebie, byłabym tym uszczęśliwiona.

– Trzymaj się od niej z dala, Kali. Wszyscy w pałacu unikają Pokrewnej.

Potakuję, a Deven wielkimi dłońmi otacza swoją delikatną filiżankę.

– Nie powiedziałeś mi, że twoja matka jest kurtyzaną radży – mówię.

– Powiedziałem, że jest kurtyzaną. Nie wydawało mi się ważne czy ją. – W jego głosie nie słyhać frustracji, tylko rezygnację. – Nie wyzwie cię. Turniejowe walki ma już za sobą.

Rozluźniam palce na filizance. Dzięki, bogowie, że nie będę musiała wybierać między życiem jego matki i własnym.

– Jak często się z nią widzisz? – pytam.

– Rzadko. Kocham ją, ale kurtyzany nie wychowują własnych dzieci. Mnie i brata wychowały nianie. Przez długi czas to on był moją jedyną rodziną.

– Musiałeś bardzo go kochać. – Mówiąc to, myślę o Jayi.

– Tak. – Odstawia herbatę i rozpina górną część kaftana, aby wyzwolić szyję z oków duszącego kołnierzyka. – Wciąż ani śladu Ognistego – dodaje. – Podczas nalotu nie udało się go schwytać, ale radża zarządził dalsze poszukiwania. Uważa, że Ognisty może krążyć w pobliżu pałacu.

W pobliżu czy wewnątrz pałacu? Ognisty musi być mistrzem kamuflażu; każdy, kto na niego spojrzy, bez wątpienia zapamięta jego niezwykle oczy.

Czuję, że od naszego pierwszego spotkania wciąż jest niedaleko ode mnie. Może nawet tak blisko, by wśliznąć się do mojej komnaty i zostawić coś na moim łożu.

Ta myśl sprawia, że język staje mi kołkiem. Chcę powiedzieć Devenowi o *Prażródłach bhutów*, ale muszę z tym poczekać. Uzdrowicielka mogłaby nas podsłuchać.

W drzwiach pojawia się Yatin.

– Kapitanie, służąca szuka Viraji. Przyniosła południowy posiłek do jej komnaty.

Deven wstaje i zapina kaftan.

– Zaprowadzę ją.

Uzdrowicielka spieszy ku nam, grożąc Yatinowi palcem.

– Viraji musi dokończyć herbatę, a kapitan Naik potrzebuje odpoczynku.

– Odpocznę, jak tylko odprowadzę Viraji do jej komnaty – obiecuje Deven.

Choć stara uzdrowicielka jest o połowę od niego niższa i ze trzy razy starsza, nie poddaje się łatwo.

– Kapitanie, trafisz do infirmerii na dłużej, jeśli nie udasz się prosto do swojej kwatery.

– Idź – mówię do Devena. – Yatin mnie odprowadzi.

Deven przełyka ślinę i kiwa głową. Wychodzi na korytarz, by wydać rozkazy Yatinowi.

Uzdrowicielka podnosi dzbanek.

– Jeszcze herbaty, Viraji?

– Nie, dziękuję. – Staruszka nalewa sobie naparu, a ja przypominam sobie recepturę toniku, którą mam za pasem spodni. – Ale jeśli mogę zapytać, co wiesz o czerńcu białym i sadźcu pomarszczonym?

Uzdrowicielka podchodzi do mnie z filiżanką w ręku.

– To niezwykle rzadkie i bardzo trujące zioła. Kiedyś wierzono, że mogą powstrzymać moce bhutów. Ceglarze ucierali je na proszek i dodawali do gliny, z której wyrabiali cegły. Robili to dla ochrony. Mówi się, że niektóre miejsca w pałacu zbudowano z takich nasączonych trucizną cegieł.

– Czy rzeczywiście tłumią moce bhutów?

– Tego nie wiem. Długo zajmuję się medycyną, ale nigdy nie widziałam, aby użyto ich przeciwko bhutom. – Uzdrowicielka sięga po moją pustą filiżankę. – Do wieczornej ceremonii powinnaś się poczuć lepiej.

– Dziękuję. Gardło już tak nie boli.

Jednak nadal dręczy mnie niepokój. Uzdrowicielka Baka zdołała zdobyć te rzadkie zioła, ale wątpię, aby mnie się udało znaleźć je tutaj, na pałacowym terenie, więc w jakim celu dała mi tę recepturę? Bez tych składników nie sporządzą toniku. Uzdrowicielka Baka wiedziała, że lek będzie mi potrzebny,

by przetrwać turniej. Chciałabym do niej napisać, ale nie wolno mi wymieniać listów z nikim spoza pałacu.

Sądząc po tym, co przed chwilą usłyszałam, uzdrowicielka Baka musiała wiedzieć, że podaje mi truciznę. Ale jak to możliwe, że trawiłam toksyny przez ponad rok i nadal żyję?

Chyba że... Chyba że ten tonik nie tylko obniża mi gorączkę.

W drzwiach pojawia się Yatin.

– Jesteś gotowa, Viraji?

– Tak. – Zmuszam się do uśmiechu i odsuwam od siebie myśli o truciznach. Muszę się przygotować do wieczornej ceremonii.



Moi strażnicy zatrzymują się onieśmieleni przed wysokim łukowym wejściem do sali tronowej. Przyciskam dłoń do brzucha, czując, jak zbiera mi się na mdłości. Podobnie czułam się przed Powołaniem, ale wtedy była przy mnie Jaya. Nigdy nie tęskniłam za nią bardziej niż w tej chwili.

Deven utrzymuje między nami stosowną odległość, co wynagradza mi swoim kojącym głosem:

– Podejdź do tronu, a wówczas radza cię przyjmie.

Unoszę głowę i wchodzę do sali tronowej. Jest długa i okazała, a jej rozświetlone żyrandolami wnętrze wypełniają oszalamiające młode kobiety. Słyszę szelest tkanin, gdy niemal sto zawoalowanych żon i ponad dwieście kurtyzan klęczących na satynowych czerwono-złoty poduszkach odwraca się, aby ujrzeć, jak wkraczam do środka. Prowadzące przez środek sali przejście oddziela rani od kurtyzan. Pierwsze od drugich odróżniają nie tylko namalowane na grzbietach dłoni liczby, ale także rozpuszczone włosy i zasłonięte twarze – od nosa aż po podbródek. Ich woale symbolizują oddanie mężowi. Tylko on ma prawo oglądać ich usta, podobnie jak inne zakryte części ciała. Kurtyzany nie zasłaniają twarzy, bo nie są mężatkami. Włosy mają zaplecione w pojedyncze, opadające na plecy warkocze, a ich odsłaniające ciało stroje nie dorównują wytwornością tym, w które ubrane są rani.

Parisa i Eshana uśmiechają się do mnie ze swoich miejsc. Shyli tu nie ma, została ze swoim nowo narodzonym dzieckiem. Wkrótce po moim opuszczeniu infirmerii pałac obiegła wieść, że powiła dziewczynkę.

Z boku stoi tuzin mnichów, których szaty w kolorze kości słoniowej tchną siłą i spokojem. Karmazynowy dywan tłumi odgłos moich kroków, gdy idę przez sam środek sali. Na jej drugim końcu znajduje się złoty tron z wysokim oparciem, po którego obu stronach zwisają z sufitu purpurowe draperie. Na tronie spoczywa radża Tarek, niedbale podpierając się łokciem o poręcz, ale tej pozornej swobodzie przeczy jego przenikliwe spojrzenie. Nie mogę odwrócić od niego oczu.

Dywan kończy się przed podwyższeniem. Natesa klęczy po mojej lewej stronie, zwrócona ku radży. Nie kwapi się, aby na mnie spojrzeć, w przeciwieństwie do Lakii, która piorunuje mnie wzrokiem. Pokrewna zasiada na własnym tronie, obok radży. Stojący po mojej prawicy trzeci tron jest pusty.

Radża Tarek mierzy mnie od stóp do głów błyszczącymi oczami. Zaciskam zęby. Unosi dłoń zdobną w pierścienie wysadzane klejnotami.

– Uklęknij – zwraca się do mnie.

Posłusznie klękam i kłaniam się, dotykając czołem chłodnego marmuru. W sali zalega milczenie. Mój przyspieszony oddech pulsuje mi w uszach, jakby odmierzając czas.

– Po niestrudzonych poszukiwaniach – podejmuje po chwili radża – powołałem moją ostatnią Viraji. Kalindo, powstań.

Podnoszę się z kolan, a jeden z mnichów zbliża się do mnie, trzymając naczynie z henną. Poprawia wyblakłą linię na moim nosie, dla potwierdzenia, że zostałam powołana, aby zostać rani.

– Bracia błogosławią tę młodą kobietę – mówi mnich. – Modlimy się, żeby bogowie obdarzyli was szczęściem.

– Wasza przychylność nie pozostanie niedostrzeżona, bracie Shaanie –

oznajmia Tarek.

Brat Shaan wraca do reszty mnichów, a ja, rozpoznawszy jego imię, ukradkiem odprowadzam go wzrokiem. To jego pomoc Deven obiecał małemu żebrakowi.

Radza przywołuje mnie do siebie gestem. Wspinam się po sześciu stopniach prowadzących do podnóżka jego tronu. Otwiera aksamitną sakiewkę, z której wyjmuję bogato zdobiony naszyjnik wysadzany turkusami. Podnosi go i pokazuje wszystkim zgromadzonym.

– Szukając ostatniej rani, błagałem bogów o młodą kobietę, która będzie mi przypominała Yasmin, moją pierwszą żonę. Straciłem ją, gdy byliśmy bardzo młodzi, ale swoim krótkim życiem odmieniła mnie na zawsze. Przemierzyłem Tarachand w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby jej dorównać. Znalazłem kilka kandydatek, lecz żadna nie okazała ducha śmiałości i szlachetności godnego Yasmin z większym ogniem niż Kalinda.

Zapina mi naszyjnik, a ja czuję na obojczyku ciężar i chłód kamieni.

– Bogowie nauczają, że życie zatacza kręgi. Zatem należytą rzeczą będzie obdarowanie ostatniej żony atrybutem tej, która była moją pierwszą, aby odtąd Yasmin żyła poprzez Kalinę.

Radza Tarek ujmuje mnie za łokieć i prowadzi do trzeciego, pustego tronu. W oczach Lakii szklą się łzy gniewu. Stoję przed dworem rani i kurtyzan, których spojrzenia są równie dokuczliwe, jak ten duszący mnie naszyjnik. Oddzielił mnie od wszystkich swoich kobiet. Równie dobrze mógłby założyć mi obrozę i przywiązać do siebie rzemieniem.

Dłoń Tarka sunie po moich włosach.

– Wybrałem Viraji na swoją faworytkę, lecz jestem człowiekiem łaskawym. Każda kurtyzana, która sądzi, że zdoła pokonać Kalinę, może wystąpić i wyzwać ją na pojedynek. Niech te, które pragną walczyć o swoją rangę, powierzą swój los bogom.

Mnisi opuszczają salę tronową jeden za drugim, a naprzód występuje

kilka kobiet. Natesa wysuwa się na czoło tej grupy i wręcza mi kwadratową białą kopertę. Za przyzwalającym skinieniem Tarka otwieram ją i odczytuję: *Ja, Natesa, niniejszym wyzywam setną Viraji na pojedynek rangowy.*

– Viraji. – Kłania mi się drwiąco.

– Moja najnowsza kurtyzany – mówi Tarek z urokliwym uśmiechem – podejdź do mnie.

Natesa zbliża się do tronu, a on sadza ją sobie na kolanach. Służąca podaje radzy flaszkę, z której on wychyla łyk, pieszcząc przy tym udo swojej kurtyzany. Lakia udaje chłodną obojętność, choć płoną jej policzki, a skronie pulsują od zaciśniętych szczęk.

Wytrzeszczam oczy na widok wydłużającego się przede mną szeregu kobiet. Stoi w nim mniej kurtyzan, niż klęczy na poduszkach, ale więcej, niż się spodziewałam. Jedna po drugiej podchodzą do mnie i wręczają swoje deklaracje. Otwieram je i odczytuję kolejne imiona: *Ameya. Cala. Shanti. Manju.* Gdy dochodzę do tuzina, mam dość, przestaję liczyć i odkładam koperty na podolek, nie otwierając ich.

Wysoka młoda kobieta o krągłych kształtach zatrzymuje się przede mną i opiera sobie dłoń na biodrze.

– Nie wyglądasz na chorą.

– Nie jestem chora.

Mierzymy się wzrokiem. Ma mniej więcej tyle lat, co ja i jest ładna jak z obrazka.

– Słyszałam, że po starciu z Pokrewną trafiłaś do infirmerii.

– Z pewnością nie ja jedna.

Przenosi spojrzenie na Natesę, po czym znów patrzy na mnie.

– Czy twoja choroba jest zaraźliwa?

Zaciskam palce wokół poręczy tronu.

– Jeśli boisz się zanadto do mnie zbliżyć, możesz zrezygnować.

– Nie ma takiej potrzeby. – Rzuca mi na kolana swoją deklarację i odchodzi dostojnym krokiem.

Otwieram kopertę. *Fareeshah*. Mam przeczucie, że powinnam ją zapamiętać. Składam dłonie i prostuję się, aby dodać swojej postawie pewności.

Wkrótce na czoło szeregu dumnie wysuwa się Anjali, która całuje swoją deklarację i rzuca nią we mnie. Koperta uderza mnie w nogę i upada obok moich stóp. Anjali odchodzi powoli, kołysząc biodrami, a Tarek tłumi chichot.

Służąca napełnia jego flaszę. Radża unosi podbródek Natesy i wlewa jej trunek do gardła. Czuję w ustach gorączkę gniewu. Te kobiety gotowe są ryzykować życie, by poślubić Tarka, a on nawet podczas ceremonii nie może się obyć bez mocnego trunku i kobiety siedzącej mu na kolanach.

Podnoszę się z miejsca i zaciskam pięści. Sterta białych kopert sfruwa mi z kolan i rozsypuje się na stopniach. Zalega cisza, a Lafia prostuje się na swoim tronie.

Tarek posyła mi obojętny półuśmiech.

– Coś cię trapi, moja miłości?

Wyprostowuję palce.

– Nie przypuszczałam, że będę miała tyle rywalek.

– Jeszcze narzeka? – mamrocze jedna z kurtyzan w szeregu. – My stoimy, gdy ona zasiada na tronie.

Eshana ją ucisza, ale wtedy wszystkie czekające piorunują ją wzrokiem.

Tarek patrzy na deklaracje ze zmarszczonymi brwiami.

– To prawda, jest więcej chętnych, niż planowałem.

Musi zdawać sobie sprawę, jak niedorzeczna jest walka na śmierć i życie

z tyloma rywalkami.

– Czy muszę się zmierzyć ze wszystkimi? – pytam, wskazując na koperty.

– Reguły turnieju są wolą bogów – przypomina Tarek, ale na chwilę zatapia się w myślach, bawiąc się końcem warkocza Natesy, po czym z nagłą decyzją podnosi głowę.

– Z Viraji pragnie się zmierzyć więcej rywalek niż z jakąkolwiek inną faworytką. Walka z wszystkimi byłaby niesprawiedliwością, a ufam, że bogowie niechętnym okiem patrzyliby na poddawanie jej wartości nadmiernej próbie. – Spogląda na swoje kobiety spod zwężonych powiek. – Moją powinnością jest udzielać memu ludowi łask bogów, dlatego rywalki Viraji będą ciągnęły losy i walczyły między sobą w parach. Zwycięzcy każdego z tych pojedynków będzie losowała kolejną rywalkę spośród innych zwyciężczyń i potrwa to tak długo, dopóki nie zostaną tylko trzy. Turniej zakończy się walką Viraji z trzema najlepszymi kurtyzanami.

Salę wypełniają pomruki. Opadam na swój tron, czując, jak miękną mi kolana. Tarek zmienił reguły rządzące turniejem. Zamiast mierzyć się z każdą rywalką, będę musiała zwyciężyć w jednej walce z trzema naraz.

Część mnie chciałaby odrzucić jego pomoc – teraz jeszcze bardziej poróżnił mnie z całym dworem – ale trzymam język na wodzy.

– Ależ Tarku – odzywa się Lakia – Viraji musi walczyć z każdą z rywalek. Tak nakazuje tradycja.

Wszystkie kobiety milkną, a Natesa wyraźnie sztywnieje.

– Czyż nie mogę zmienić zasad? Czyż nie jestem radzą?

– Wybacz, mój mężu. – Lakia spuszcza wzrok, muskając rzesami zarumienione policzki.

Radza przenosi wzrok na moją twarz, a potem niżej, na zaciskający się na moim gardle naszyjnik.

– Bogowie wybrali Kalindę na moją faworytkę. Zapewnię jej każdą

niezbędną przewagę, aby obroniła swój tron.

Szaleje we mnie istna burza mdłości. Spuszczam wzrok na ozdobę zapiętą wokół mojej szyi, nieznacznie się przy tym krzywiąc. Czy Tarek widzi mnie czy Yasmin?

– Pojutrze wszystkie uczestniczki zademonstrują swój kunszt władania bronią przed widownią złożoną z benefaktorów i dworzan. Spodziewam się ujrzeć pokaz wielkiej waleczności. Wzbudźcie postrach wśród swoich przeciwniczek i podziw u widzów.

Pokaz waleczności. O bogowie, co mam zrobić? Przepelnia mnie uraza. Muszę walczyć o swoje życie. Zabawianie publiczności to najmniejsza z moich trosk.

– Jeśli któraś z was wciąż pragnie rzucić wyzwanie, niech zrobi to teraz. – Tarek zawiesza głos, palcami muskając udo Natesy. Nie zgłasza się nikt więcej. Te kurtyzany, które czekały na swoją kolej, wracają na miejsca zniechęcone zmianą reguł turnieju. Tarek uśmiecha się do nich szeroko, nieświadomy ich chłodnych min i oniemiałych spojrzeń. – Niniejszym zamykam ceremonię deklaracji – dodaje na koniec.

Przez chwilę panuje cisza, a potem wszystkie naraz wypuszczamy powietrze z płuc. Zwieszam ramiona, które dotąd niemal dotykały mi uszu. Bolesne napięcie u podstawy czaszki promieniuje aż za oczy. Część kobiet wychodzi, inne się ociągają, zbierają w grupki i gawędzą – rani po jednej stronie sali, kurtyzany po drugiej. Służąca zbiera do koszyka koperty rozrzucone u podnóżka mojego tronu. Według moich obliczeń jest ich dwadzieścia sześć. Mam walczyć tylko z trzema, lecz los każdej z tych kobiet ciąży mi na sercu.

Tarek przyciska usta do ucha Natesy, której głowa bezwładnie opiera się o jego ramię. Jej oczy zmętniały od nadmiaru mocnego napitku. Radza jest zbyt zajęty, by dostrzec, jak schodzę z podwyższenia i krocę przez salę, ignorując szepty, które słyszę za plecami. Na widok moich strażników czekających przed wejściem wypuszczam z płuc jeszcze jeden

wstrzymywany oddech.

– Dobrze się czujesz? – pyta Deven.

– Odprowadźcie mnie do komnaty.



Deven zwalnia Manasa na noc i pełni wartę z Yatinem. Zamykam drzwi i usiłuję zdjąć naszyjnik od Tarka, lecz nie mogę sobie poradzić z zapięciem. Ashy tu nie ma; zapewne myśli, że wciąż jestem na ceremonii. Próbuję jeszcze raz, ale sprzączka się zacięła. Szarpię ją, rozdrapując sobie skórę na szyi. Czuję się tak, jakby Tarek zaciskał mi dłonie na gardle. Gwałtownym ruchem otwieram drzwi.

– Devenie, ten naszyjnik. Nie potrafię...

Wchodzi do komnaty i staje za moimi plecami.

– Jest zaplątany. – Odsuwa mi włosy i odsłoniętą skórę owiewa jego ciepły oddech. Zamieram w bezruchu, przypominając sobie długie dni podróży w siodle i dotyk naszych przyciśniętych do siebie ciał. Uwalnia włosy, które uwięzły w sprzączce, i odpina naszyjnik, a ten zsuwa mi się do wyciągniętych rąk. Rzucam go na łóżko i pocieram sobie rozpaloną szyję.

– Dziękuję.

– Dobrze sobie poradziłaś podczas ceremonii. – Zza pleców dobiega mnie jego głos. – Nikt nie wątpi, że masz duszę rani.

„Nikt poza mną”. Odwracam się ku niemu i czuję jego spojrzenie na każdej części mojego ciała jednocześnie.

– Myślisz, że mogę zwyciężyć?

– Tak. – Deven poprawia mi włosy, aby spływały na plecy. – Musisz w to wierzyć, bo w przeciwnym razie już przegrałaś.

Kiedy muska palcami moje barki, wzdłuż ramion przebiegają mi rozkoszne dreszcze. Chłonę jego bliskość, a zmysły wyostrajają się w oczekiwaniu na coś więcej. Chcę go odepchnąć i przyciągnąć bliżej, kazać

mu odejść i błagać, by został na zawsze. Mój wzrok błądzi po jego twarzy: pełnych ustach, delikatnej linii kości policzkowych, ciemnych oczach. Ujmuję moje dłonie, a ja splatam palce z jego większymi i szorstkimi palcami, twardymi jak kamień, choć tak delikatnymi.

Deven się pochyla i przyciska mnie do siebie. Czuję zapach drzewa sandałowego i garbowanej skóry. Zatracam się w jego objęciach. Gdy zbliża ku mnie czoło, powieki same mi opadają, a serce podchodzi do gardła.

Stojący w drzwiach Yatin chrząka.

– Kapitanie.

– O bogowie! – Odrywam się od Devena i uciekam na balkon. Wyglądam na zewnątrz i z biciem serca zbieram siły, by się zmierzyć z potępieniem ze strony Yatina.

– Twoja matka jest gotowa.

– Dziękuję, Yatinie. Proszę, zaczekaj za drzwiami. – Deven powoli podchodzi do mnie od tyłu i kładzie mi dłonie na ramionach. – Yatin nikomu nie powie. Jest naszym przyjacielem.

Może Yatin będzie milczał, ale co, gdyby to był Manas? Albo Parisa, albo Eshana? Albo radża? Odsuwam się od Devena i przyciskam dłoń do obolałej piersi. Im bliżej niego jestem, tym bardziej się czuję winna. Ryzykuję życie – nie tylko własne, ale także jego i Jayi.

Deven wkłada ręce do kieszeni, jakby nie ufał, że będą się stosownie zachowywać.

– Moja matka pragnie się z tobą spotkać, ale będę musiał cię przemycić do skrzydła dla kurtyzan.

– Dobrze. – Nie przepuszczę okazji poznania jego matki. Podchodzę do swojej torby wiszącej na kolumience podtrzymującej baldachim łoża. – Ale zanim do niej pójdziemy, muszę ci coś pokazać. Znalazłam księgę leżącą na moim łóżku.

– Księgę?

– Niewiele zdążyłam przeczytać, ale to, co w niej znalazłam, jest... – „Niepokojące. Powodujące mętlik w głowie. Dające do myślenia”. – Interesujące.

Wyjmuję *Prażródła bhutów* z torby i wręczam mu.

– Nigdy wcześniej nie widziałem takiego woluminu – zauważa ostrożnie, choć w jego głosie słychać też nutkę podziwu. Przerzuca kilka stronic.

– Napisano tu, że bhutowie to półbogowie, a ich moce są darem Anu – mówię. – Jest też o księdze *Zhaleh*, którą według bhutów ukradł radża. Jeśli to prawda i *Zhaleh* istnieje, a bhutowie uważają, że Tarek ją ukrywa, to być może Ognisty zakrada się do pałacu, próbując ją odnaleźć.

Deven oddaje mi księgę.

– Nie dbam o to, co tu napisano o bhutach ani o ich przeklętej zaginionej księdze. Te demony zabiły mi brata.

Spuszczam wzrok na otwarty wolumin i odczytuję fragment tekstu:

Wszyscy śmiertelnicy, mężczyźni i kobiety, zostali stworzeni na podobieństwo bogów – w ich płucach niebo, ziemia pod stopami, ogień w duszy, a woda we krwi.

Skóra cierpi mi ze strachu. „Ogień w duszy”.

Deven odbiera mi księgę i zatrząskuje ją z hukiem.

– Nikt nie może się dowiedzieć, że ją masz, bo pomyśli, że jesteś poplecniczka bhutów. Kto ci ją dał?

Zanim ujrzałam wzburzenie Devena na widok księgi, zamierzałam mu powiedzieć, że moim zdaniem zostawił ją tu Ognisty, lecz nie mam na to żadnego dowodu, jedynie przeczucie, a supozycja, że gdzieś w pałacu może się czaić bhuta, na pewno mu się nie spodoba. I dlatego odpowiadam tylko:

– Nie wiem.

– Chcę ją pokazać bratu Shaanowi – mówi. – Możemy mu zaufać, on nam powie, czy to rzecz wiarygodna. Poproszę go, by się z nami spotkał. Do tego czasu... – Deven zanoszą *Prażródła bhutów* do stojącego przy drzwiach regału i wkłada wolumin między inne księgi. – To powinno wystarczyć. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać jej na widoku.

Potem przygląda mi się przez chwilę, a błysk w jego oczach wskazuje, że właśnie przyszedł mu do głowy jakiś pomysł.

– Umiesz zaplatać warkocze?



P przed łukowym wejściem prowadzącym do skrzydła dla kurtyzan odwracam się ku moim strażnikom. Warkocz kołysze mi się na plecach, a do tego, idąc za radą Yatina, przebrałam się w szkarłatne sari i posmarowałam usta różem. Ani on, ani Deven nie mogą iść ze mną. Wszyscy wiedzą, że są moimi strażnikami, więc w ich towarzystwie mogłabym zostać rozpoznana.

– Moja matka czeka na ciebie w łaźni – mówi Deven. – Nosi żółte sari. My przyjdziemy za kilka minut. Miej się na baczności. Benefaktorom wszystko jedno, kogo dotykają.

Pokonuję odrazę i pchnąwszy drzwi, ruszam naprzód.

Pawilon kurtyzan jest równie rozległy jak patio żon i mieści się pod gołym niebem. Przechodzę pod portykiem, wśród unoszących się w powietrzu smug dymu z fajek wodnych, zmierzając w kierunku, z którego dobiegają gromkie śmiechy i pobrzękiwanie kielichów. Na mrocznym patio widzę benefaktorów i żołnierzy w rozchełstanych ubraniach, którzy wylegają się na pluszowych poduszkach i sączą trunki nalewany z bursztynowych karafek. Niektórzy palą szisze – wysokie ceramiczne fajki wodne – wydmuchując kłęby dymu w nocne niebo. Lampy naftowe rozpraszają mrok tego miejsca, nie pozbawiając go jednak intymności – jeśli można uznać, że panuje tu intymność. Półnagie kurtyzany kręcą się wśród mężczyzn, leżą obok nich lub siedzą im na kolanach.

Niektóre stoją z boku. Jakiś mężczyzna podchodzi do jednej z nich i ujmuje ją za rękę. Kobieta idzie z nim i kładzie się na poduszce w cieniu. Kolejni mężczyźni wybierają sobie wolne kurtyzany. Żadna z nich nie odmawia – najwyraźniej im nie wolno. Nie mogą decydować, komu zaoferują swoje towarzystwo.

Przyciskam dłoń do brzucha, próbując powstrzymać mdłości. Czy oddawanie się innym mężczyznom niż ten, który je powołał, zagraża ich duszom? Tarek życzy sobie, aby usługiwały ludziom na jego dworze. Czy jego rozkazy uchylają boski nakaz wierności? Komu powinny być posłuszne kurtyzany?

Po drugiej stronie widzę wejście do łaźni. W przeciwieństwie do Pawilonu Tygrysic portyk nie otacza całego patio. Muszę przejść przez jego środek.

Trzymając się cienia, przemykam między wysokimi do kolan stolikami i wylegającymi się parami. Nagle jakiś benefaktor niosący baryłkę wina zachodzi mi drogę.

– Proszę o wybaczenie – mówię, spuszczaając głowę.

Dotyka moich odsłoniętych pleców i przesuwa dłoń nisko, w okolice krzyża.

– Dokąd się wybierasz, brzoskwinko?

Wykręcam mu nadgarstek.

– Chyba bierzesz mnie za kogoś innego.

Zaciska oczy i jęczy. Rozluźniam uścisk i odchodzę szybkim krokiem, by nieoczekiwanie znaleźć się za poduszką, na której leży Anjali przytulona do generała Gautama. Żadne z nich nie podnosi wzroku. Okrażam ich ostrożnie, po czym spieszę w stronę wejścia do łaźni.

Po drugiej stronie patio pojawiają się Yatin i Deven. Kapitan patrzy mi prosto w oczy, ale kiedy dostrzega ojca z Anjali, marszczy brwi.

Wślizguję się do łaźni i na chwilę oślepiam mnie wszechobecna para. Wdycham wilgotne powietrze i szybko mrugam. Kiedy zaczynam widzieć wyraźniej, moim oczom ukazują się wyłożone płytkami ceramicznymi sufity, zimne kamienne podłogi i obwiedziona szerokimi schodami fontanna w kształcie kwiatu lotosu.

W rogu, na ławce z plecionej trawy morskiej spoczywa w pozycji półleżącej szczupła kobieta w żółtym sari. Mathura jest dostojna, elegancka i nieco młodsza od Lakii – wygląda na niespełna czterdzieści lat. Jest też ładniejsza niż Pokrewna. Na jej obliczu maluje się życzliwość, nie zazdrość. Zbliżam się do niej, przyglądając się innym bywalczyńom łaźni.

– Nie martw się, że ktoś cię tu zauważy. Wszystkie zajmujemy się własnymi sprawami. – Mathura pali fajkę, a gdy rozprostowuje nogi, widzę bliznę na jej prawym kolanie, prześwitującą przez zwiewny materiał spodni. Kobieta dostrzega mój wzrok. – Podczas turnieju Lakia wyzwała mnie na pojedynek. Para pomaga złagodzić ból, a fajka zatrzeć wspomnienia.

– Myślałam, że rani pojedynkują się tylko z innymi rani.

Mathura pyka fajkę i wydmuchuje strużkę dymu w powietrze.

– Pokrewna może wyzwalać każdą kurtyzanę i rani, ale te ostatnie nie walczą na śmierć i życie, tylko do pierwszej krwi. Mogą się też poddać. Inaczej radza traciłyby podczas turniejów zbyt wiele żon. Lakia nie musi walczyć z kurtyzanami i robi to tylko dla sportu albo, jak w moim przypadku, aby czegoś dowieść. Mogłam odmówić, ale sposobność, by przetrącić jej kości, była zbyt kusząca. – Uśmiecha się i podaje mi fajkę.

– Nie, dziękuję. A czego Lakia chciała dowieść?

– Że jest najlepsza. Duch Yasmin zawsze będzie ją prześladował. Lakia nie została żoną Tarka, gdyby nie jej starsza siostra.

– Myślałam, że radza powołał je obie jednocześnie.

– Owszem, ale na prośbę Yasmin. Nie chciała zostawić młodszej siostry.

Chciałabym teraz przytulić Jayę. Wspominam nasze ostatnie wspólne

chwile w świątyni. „Muszę po nią wrócić”.

– Co się stało z Yasmin?

Mathura rzuca okiem na dwie osoby, które właśnie wchodzą do łaźni.

– Nie tutaj. Chodź za mną. – Prowadzi mnie, utykając, do bocznych drzwi, za którymi znajduje się cichy korytarz. Dziękuje mi, kiedy wsuwam jej rękę pod ramię, by ją podtrzymać. – Mój syn nie mijał się z prawdą, mówiąc o twoich zaletach, Viraji – dodaje.

– Jeśli kapitan twierdził, że mam jakieś zalety, to mijał się z prawdą.

Śmieje się.

– Podziwiam twoją skromność. Pokora to najbardziej niedoceniana z boskich cnót. – Teraz się krzywi. – Robi się ze mnie stara zrzęda. Pewnego dnia Tarek się mną znudzi i mnie sprzeda.

– Zrobiłby to?

– W rzadkich przypadkach, kiedy kurtyzana się zestarzeje, zachoruje albo odniesione rany nie pozwalają jej spełniać swoich powinności, może zostać uwolniona i otrzymać rentę za lata służby. Częściej jesteśmy sprzedawane albo przekazywane w darze mniej zamożnym benefaktorom. Ale nikt nie masuje stóp Tarkowi tak jak ja, więc wciąż mnie trzyma.

Zerkam z ukosa na urzekającą twarz Mathury i chłonę emanujący z niej spokój. Wątpię, by masaże stóp były jedynym powodem, dla którego radza chce mieć ją przy sobie.

Wychodzimy na balkon, z którego rozciąga się widok na Vanhi. Znajdujemy się tak wysoko, że szelest liści palmowych w ogrodzie dociera do nas z dołu. W porównaniu z bujnością Alpanów tutejszy krajobraz wydaje się jałowy, ale w miejscach, w których rozkwita życie, splendor pustyni nie ma sobie równych.

– Tu mogę być najbliżej miasta. – Oparta o krawędź balkonu wpatruje się w terakotowe dachy oświetlane blaskiem księżyca. – Tarek przywiózł mnie

tutaj, kiedy byłam w twoim wieku. Yasmin i ja wychowałyśmy się w tej samej świątyni. Była ode mnie starsza o dwa lata, a Lafia o rok.

– Jak zmarła?

– W połogu. – Po twarzy Mathury przemyka cień smutku. – Po porodzie zaszło jakieś nieporozumienie. Tarkowi powiedziano, że dziecko żyje, lecz kiedy przyszedł je zobaczyć, zastał Yasminę i syna martwych. Był niepokieszony. Pił, by ukoić ból serca, ale trunk jedynie wzmagił jego porywczosć. Po śmierci Yasmin zaczął wzywać do swojej komnaty kolejne kobiety i czerpał rozkosz z zadawania im bólu.

Obejmuję się i chwytam za łokcie, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Mathura patrzy na miasto niewidzącym wzrokiem.

– Pewnego dnia Tarek zebrał wszystkie kobiety ze swojego dworu i oznajmił, że przywraca turnieje tronowe. Jego przodek zakazał ich przed wieloma wiekami, kiedy siostry-wojowniczk bogini Ki odmówiły walki, lecz Tarek zmusił swoje liczne żony do wejścia na arenę.

Staram się nie uronić ani słowa z jej opowieści. Siostry nigdy nie wspominały, że turnieje zostały kiedyś zawieszane. Pozwoliły nam wierzyć, że istniały nieprzerwanie od czasów setnej rani Enlila.

– Kobiety nie chciały walczyć – ciągnie Mathura – więc Tarek rozkazał łucznikom strzelać do buntowniczek. To były mroczne czasy, ale dzisiaj po raz pierwszy ujrzałam radzę tak szczęśliwego jak wtedy, gdy Yasmin żyła.

Palcem dotykam obolałej tchawicy. Choć zdjęłam naszyjnik pierwszej rani Tarka, wydaje mi się, jakby wciąż ścisnął mi gardło.

Mathura bacznie mi się przygląda.

– Ludzie mówią, że jesteś reinkarnacją setnej żony Enlila i zostaniesz najwspanialszą rani w całym Tarachandzie.

Odsuwam się od balustrady.

– Ludzie mówią wiele bzdur.

– Mimo to kobiety cię obserwują. Tarek nigdy dla nikogo nie zmieniał reguł turnieju. Jego upodobanie do ciebie wzbudzi u niektórych zazdrość, a u innych złość. – Mathura wręcza mi sztylet w pochwie, który dotąd miała ukryty pod sari. Jego rękojeść ma taką samą turkusową barwę jak naszyjnik, który podarował mi Tarek. – Należał do Yasmin.

– Dlaczego mi go dajesz?

– Kiedy ujrzałam, jak przeciwstawiasz się Tarkowi podczas ceremonii deklaracji, wiedziałam, że zesłali cię bogowie. Jeszcze żadna czegoś takiego nie zrobiła, oprócz Yasmin. Powinnaś mieć ten sztylet. Noś go przy sobie. Podczas turnieju ważniejsze od tego, co się dzieje na arenie, jest to, co się dzieje w pałacu.

– Dziękuję. – Drżącymi palcami wsuwam broń za pas spodni przy biodrze. – Czy ktoś będzie próbował na mnie sabotażu?

– Prawie na pewno. – Mathura patrzy na miasto. – Nie wszystkie pochodzą ze świątyni. Anjali jest teraz zuchwałą, ale Tarek znalazł ją na ulicy, gdzie wygrzebywała resztki z rynsztoka. Zostanie kurtyzaną to dla większości odmiana na lepsze. Tutaj mamy jedzenie, schronienie, stroje. To więcej, niż miałyśmy, nim trafiłyśmy do pałacu. Gdyby nie rani, żadna z nas nie miałaby pojęcia, że życie może być jeszcze piękniejsze. Żadna nie marzyłaby o niczym więcej.

Zamyśla się. Ona i inne kurtyzany służą radzy z tego samego powodu, dla którego ja uczestniczyłam w obrzędzie Powołania. Wszystko zawdzięczam Siostrzeństwu i naszym benefaktorom, one zaś radzy Tarkowi. Nie rozumiem, dlaczego wolą bogów jest, aby każda kobieta musiała się powierzyć opiece mężczyzny. Może w przeciwnym razie nie godziłybyśmy się na to. Ale czy rzeczywiście ciche posłuszeństwo jest przeznaczoną nam przez bogów rolą? A może Tarek podważył fundament siły, na którym zbudowano Siostrzeństwo? Nie potrafię odróżnić woli bogów od woli człowieka; prawda wydaje się zbyt zagmatwana.

– Nie winię moich rywalek za to, że chcą czegoś więcej – stwierdzam. – Sama też bym chciała. – I chcę. Tego, czego zawsze pragnęłam: swobody decydowania o własnym losie i życia w spokoju.

– Nie zrozum mnie źle – mówi Mathura. – Twoim rywalkom chodzi nie tylko o poprawę losu. Walczą, aby okazać swoje oddanie bogom. Niektóre z nich wierzą, że Tarek zniweczył boski cel, żądając, by dotrzymywały towarzystwa mężczyznom na jego dworze. Wolałyby raczej zginąć za swoją wiarę, niż ryzykować utratę boskich względów.

Jej wyjaśnienie nieco porządkuje zamęt w moich myślach. Posłuszeństwo Tarkowi niekoniecznie oznacza posłuszeństwo bogom. Robię drżący wydech. „Jeśli to prawda, mogłabym zyskać swobodę...”

Mathura poklepuje moją dłoń matczynym gestem.

– Bogowie pragną, abyś została ostatnią rani, Kalindo. Broń swego tronu do ostatniego tchu.

Na balkon wychodzi Deven, za którym majaczy wielki cień Yatina. Musieli pójść za nami, gdy wyszliśmy z łaźni.

– Witaj, matko. – Deven całuje Mathurę w policzek. – Viraji musi już wracać. Gdzie twoja laska?

– Zostawiłam ją w komnacie.

– Yatin cię tam odprowadzi.

– Potrafię chodzić o własnych siłach. – Mathura opędza się od Yatina, gdy ten potężny mężczyzna ujmuje ją delikatnie pod ramię. Kobieta prychnęła z niezadowoleniem, w końcu jednak oddalają się razem.

Deven podaje mi pelerynę.

– Musimy iść. Słyszałem, że Anjali pytała strażnika o wysoką kobietę w czerwieni.

Nie wiem, jakie kary grożą za wtargnięcie do skrzydła dla kurtyzan, ale pewnie straszne, skoro wyznacza je Lakia.

– Czy Anjali na mnie doniesie?

Deven pomaga mi włożyć pelerynę.

– Przekonamy się, nim nastanie świt.



Odkąd wiem, że w moim toniku jest trucizna, nie zażywam go już tak chętnie, ale nie mogę go odstawić. Pytania, które zadała mi Fareeshah, potwierdziły, że muszę być w jak najlepszej formie, więc przełykam dawkę, starając się nie myśleć o tym, czym właśnie faszeruję swoje ciało.

Z korytarza dobiegają jakieś okrzyki. Chowam tonik i zrywam się na równe nogi, spodziewając się, że za chwilę do mojej komnaty wtargnie Lakia. Czekałam na nią przez całą noc, pewna, że Anjali mnie wydała, ale Pokrewna się nie zjawiała. Otwieram drzwi i widzę rani spieszące do głównej części pałacu.

– Co się dzieje? – pytam stojącego na warcie Manasa, ale odpowiada mi jedna z mijających mnie rani.

– Wietrzny zostanie stracony na dziedzińcu! – rzuca przez ramię.

Czuję, jak skręcają mi się wnętrzności. Kolejne dwie rani przebiegają obok, prowadząc starsze dzieci z dziecinnca. Manas aż się rwie, aby pójść za nimi, ale jest moim jedynym strażnikiem na służbie. Nie może iść, jeśli ja nie pójdę. Nie chcę oglądać egzekucji, ale to może być ten Wietrzny, który zabił rodzinę Manasa i zniszczył jego wioskę. Gdyby taka sama tragedia spadła na świątynię Samiyę, chciałabym spojrzeć winnemu w twarz.

– Wezmę tylko chustę, jest już jasno – mówię, ale przede wszystkim nie

chcę, by ktoś mnie rozpoznał i pomyślał, że przyszedłam na egzekucję dla rozrywki lub by triumfować. Idę tam tylko przez wzgląd na Manasa.

Zbiegamy ze schodów do głównego wejścia i wychodzimy na dziedziniec. Podążając za kobietami z dziećmi, okrążamy pałac i trafiamy na obsadzony limami mniejszy dziedziniec, na którym roi się od żołnierzy. Są tu dwie sterty kamieni – długie i płaskie, jak ołtarze. Dzieci podnoszą kawałki skał z wielkiego stosu piętrzącego się z boku i układają je na stercie znajdującej się najbliżej Manasa i mnie.

– Co one robią? – pytam.

Manas wskazuje na dół.

– Karzą demona.

Spod sterty wystają czubki palców.

Żołądek wywraca mi się na drugą stronę. Zakrywam usta, tłumiąc okrzyk odrzy, i odskakuję do tyłu. Pod gruzem widzę więcej fragmentów skóry.

– Kim... Kim oni są?

Odpowiada mi stojący nieopodal żołnierz:

– Ten to Trzęsiciel. Wywołał trzęsienie ziemi i pustynia pochłonęła cały oddział żołnierzy. Tamta to Wodna. Zesłała ulewy i utopiła trzech strażników.

Wpatruję się w palce już niemal całkowicie zasłonięte kamieniami i myślę o mocach bhutów, którymi demon Kur obdarzył czterech śmiertelników. Ognisty i Wietrzny. Trzęsiciel i Wodna.

Manas odprowadza mnie na bok.

– Tak wygląda kara dla bhutów i ich popleczników – mówi.

Powiew wiatru przynosi odór rozkładającego się ciała. Najwyraźniej bhutowie nie są ani nieśmiertelni, ani wszechmocni, ale jestem wstrząśnięta taką egzekucją.

– Dlaczego się nie uwolnią? – pytam.

– Moc bhutów kryje się w ich krwi. Dlatego przed kamienowaniem są wykrwawiani, a zanim zdążą odzyskać siły, giną pod przygniatającym ich ciężarem – wyjaśnia Manas z błyskiem w oku, delektując się myślą o długim cierpieniu bhutów. – Radża zatrzymuje kroplę ich krwi na znak triumfu nad tymi ohydnyimi demonami.

Naciągam chustę na nos, by nie czuć zapachu śmierci. Drżą mi usta, gdy uświadamiam sobie, że to samo mogłoby spotkać mnie. Gdyby ci ludzie widzieli, co zrobiłam z podłogą karety, nie czekaliby na wyjaśnienia o trawiących mnie gorączkach.

Straż pałacowa wynosi na dziedziniec bezwładną półnągą kobietę. Jej nogi ciągną się po ziemi. Upada na brzuch, gdy porzucają ją na środku placu. Nie porusza się, jeśli nie liczyć jej płytkiego oddechu i dziwnie drgających rzęs. Rany na nadgarstkach to ślady po upuszczaniu krwi, które pozbawiło ją mocy.

Wszystkim czekającym – dorosłym i dzieciom – strażnicy rozdają kamienie. Na wielu z nich widać plamy z zaschniętej krwi po poprzednich kamienowaniach. Uzbrojeni kaci otaczają ledwo poruszającą się Wietrzną.

– Czy to... Czy to ona? – pytam Manasa, modląc się, aby zaprzeczył. Chcę stąd odejść, zanim ktoś rzuci pierwszy kamień.

Manas wyciąga szyję, by się lepiej przyjrzeć, ale twarz kobiety zasłaniają włosy pozlepiane w strąki.

– Nie wiem. – Podnosi kamień i dołącza do kręgu katów, aby popatrzeć z bliska, a ja wycofuję się na skraj dziedzińca.

Strażnik unosi miecz na znak, by wystąpił pierwszy rząd katów. Gdy zacieśniają krąg wokół Wietrznej, całkowicie zasłaniają mi widok. Strażnik opuszcza miecz, błyska stal. Ludzie rzucają kamieniami. Każdy głuchy odgłos miażdży moją pierś. Wietrzna nie krzyczy z bólu, nie błaga o pomoc.

Anjali również odchodzi na bok, aż ku limom, skąd ogląda makabryczną scenę. Obie odcinamy się od egzekucji, stoimy dość daleko, by nie zabrudzić

sobie rąk, ale dostatecznie blisko, żeby ta brutalność skalala nas na wieki.

Manas, z kamieniem w ręku, przechodzi do pierwszego rzędu, a moją uwagę zwraca jakiś ruch u góry. Tarek i jego doradcy spoglądają z balkonu, popijając trunek ze złotych kielichów i gratulując sobie nawzajem z okazji pojmania bhuty.

W dziedziniec uderza potężny wiatr, który szarpie woale kobiet, a mężczyznom strąca turbany. Nade mną szumią gałęzie lim. Kurczowo ściskam chustę palcami i osłaniam oczy przed wiatrem i pyłem. Dzieci chowają twarze w spódnicach matek. Nagły wichur ucisza wszystko, przez chwilę słyhać tylko jego gwałtowne porywy, po czym ustaje równie szybko, jak się zerwał, a w zapadłej ciszy rozlega się słaby głos:

– Nie ustąpimy.

Ramiona pokrywa mi gęsia skórka. To przemówiła Wietrzna. W jej opróżnionych żyłach wciąż kryje się moc. Kaci się rozstępują i widzę ją, częściowo przysypaną stosem kamieni.

– Anu cię przeklnie. – Ochrypły głos wibruje w powietrzu i zdaje się dobiegać zewsząd.

Radza już się nie uśmiecha, a jego doradcy z niedowierzaniem patrzą na moc Wietrznej – wciąż potężnej, choć umierającej.

– To ty jesteś przeklęta, bhuto – krzyczy Tarek. Jego głos nie dociera tak daleko, jak jej. – Jesteś demonem. Pozbawionym duszy bękartem Otchłani.

– Wiesz, czym jesteśmy, radzo Tarku – odpowiada Wietrzna. – I zginiesz za swoje kłamstwa. Anu widzi mrok w twoim sercu. Nie skryjesz się przed mocą niebios.

Uroczysta przysięga Wietrznej sprawia, że serce zamiera mi w piersi.

Twarcz Tarka czerwienieje w porannym słońcu.

– Skończyć z nią! – rozkazuje i rozwścieczony opuszcza balkon.

Odwracam się, lecz nie dość szybko, by nie ujrzeć, jak strażnicy

przygniatają Wietrzną wielkimi głazami, czemu towarzyszy mrozący krew w żyłach odgłos miażdżonych kości. Pieśń wiatru ustaje i zapada ponura cisza.



Uciekam z dziedzińca. Biegnę kamienną ścieżką do ogrodów ciągnących się między pałacem i zewnętrznymi murami. Manasowi nie spodoba się, że tak zniknęłam, ale on też potrzebuje chwili samotności. Z jego niechętnego spojrzenia odgaduję, że to nie ta Wietrzna zabiła jego rodzinę.

„Nie skryjesz się przed mocą niebios”.

Ściga mnie ta upiorna obietnica. Śmierć Wietrznej wszystko zmienia, odbarwia. Zmywa bajeczny koloryt tej oazy, odsłaniając szarość. Bhuta przemawiała dzięki swoim nadnaturalnym mocom, ale jej słowa były też nasycone niezachwianą siłą, która mnie przeniknęła i zmroziła aż do szpiku kości. Wydając ostatnie tchnienie, zagroziła radzy zemstą, której jednak nie dokonają istoty jej podobne, lecz bogowie. Nie znam źródła jej mocy, lecz w moich uszach nie brzmiało to jak groźba pozbawionego duszy demona.

Kłucie w boku i rosnący upał poranka zmuszają mnie do zwolnienia kroku. Próbuję złapać oddech i aby uciec przed słońcem, skręcam na ścieżkę zacienioną drzewami miodli. Kręta alejka kończy się przy pieczołowicie utrzymanym kamiennym grobowcu porośniętym kwitnącym powojnikiem. Odczytuję napis na tablicy pamiątkowej.

YASMIN. UKOCHANA

PIERWSZA KRÓLOWA TARKA

Dotykam drzwi, wciąż chłodnych, bo cień rzucają na nie ogromne figowce bengalskie wznoszące się po obu stronach grobowca, jakby pełniły przy nim wartę. Żwir na ścieżce przede mną jest poruszony. Ktoś niedawno odwiedził miejsce pochówku pierwszej rani. Nie kusi mnie, by zajrzeć do środka. Nie naruszam spokoju zmarłych.

Za plecami słyszę szelest gałęzi. Odwracam się i lustruję ścieżkę usianą

jaśniejszymi plamami światła przenikającego przez korony drzew. Nikogo nie widzę, ale w uszach dźwięczy mi ostrzeżenie Mathury o sabotażu. Sięgam dłonią za plecy, w okolice krzyża, gdzie mam zatknięty za pas sztylet.

Gdzieś niedaleko rozlega się trzask łamanej gałązki. Nie czekając dłużej, odwracam się na pięcie i znikam między drzewami. Pospiesznie przedzieram się przez zarośla, przeskakując nad powykęcanyymi korzeniami i uchylając się przed nisko zwisającymi gałęziami. Modlę się, bym tą drogą zdołała szybciej dotrzeć do pałacu.

Drzewa się kończą, wybiegam na ścieżkę i zderzam się z kimś. Deven łapie mnie za ramiona.

– Kali?

W uszach słyszę swój nierówny oddech. Przyciskam ręce do piersi i próbuję nabrać więcej powietrza w płuca.

– Szukałem cię. Manas powiedział, że widział, jak biegniesz do ogrodów.
– Wodzi wzrokiem po drzewach, wypatrując wśród nich zagrożenia. – Co tu robisz?

Nie mam dowodu, że ktoś mnie śledził. Tylko lęk wzbudzony przestrogą Mathury. Wyprostowuję się i odzyskuję oddech.

– Nic mi nie jest.

– Nie znaleźliśmy jeszcze Ognistego – oznajmia szorstko Deven. – Nie powinnaś zapuszczać się tu sama.

„Sama”. To słowo odbija się echem w moim sercu, pustym i niepokieszonym. Kładę rękę na piersi Devena.

– Przykro mi, że się martwiłeś – mówię.

– Cieszę się, że jesteś bezpieczna – odpowiada. Moje palce przykrywa jego wielka, ciepła dłoń.

Pragnę więcej. Chcę czuć dotyk jego rąk na całym ciele. To samolubne życzenie. Potajemne marzenie. Ale się nie odsuwam. Nie puszczam go.

Opieram dłoń na jego ramieniu.

Deven nachyla się nade mną. Zaraz wymówi moje imię i powstrzyma moje nieme błaganie.

– Ka...

Wpijam się ustami w jego wargi, odciskam na nich swoje imię. Jego ciepło przenika mnie całą. Odurza umysł i napełnia bólem aż po czubki palców u nóg. Opadają ze mnie wszystkie lęki i samotność. Deven mnie obejmuje, z początku niepewnie, by po chwili mocno przycisnąć mnie do swego dudniącego serca. Nigdy nie czułam się bardziej wolna. Podnoszę dłoń do jego policzka i wodzę palcami wzdłuż linii szczęki, muskając grubą, miękką szczecinę. Z jego gardła wydobywa się niski pomruk, który rozpala moje zmysły. Deven jest słońcem i gwiazdami na moim niebie. Moim światłem.

Po chwili wypuszcza mnie z ramion i się odsuwa.

– Kali, zbyt wiele ryzykujemy.

Udaje mi się wykrztusić tylko jakieś urywane słowa. Powinnam przeprosić, ale byłoby to nieszczerze. Żałuję, że nas narażam, ale nie żałuję, że go pocałowałam.

– Musimy wracać. – Deven rusza szybkim krokiem. Idę za nim na uginających się nogach.

Wchodzimy do pałacu, a gdy docieramy do drzwi mojej komnaty, Deven patrzy mi w oczy.

– To, co się wydarzyło w ogrodzie...

– Tak? – Patrzę na jego usta, tęskniąc za ich ciepłem.

– Kali – ciągnie zboląłym szeptem – nie możemy.

Podrywam głowę.

– Mogę robić, co zechcę.

– Nie za cenę własnego bezpieczeństwa. Proszę cię, zapomnij o tym, co się stało. – Jego głos drży. Boi się o mnie. I o siebie. Gdybym miała choć odrobinę rozsądku, też bym się bała. W tym pałacu jest wiele rzeczy, które budzą mój lęk, ale Deven do nich nie należy. Czuję się jednak winna i nie mogę mu odmówić.

– Dobrze.

– Tak będzie lepiej – przekonuje.

W jego oczach widzę wspomnienie naszego pocałunku. Prośba, bym o nim zapomniała, sprawia mi zbyt wielki ból. Zostawiam go na korytarzu.



Gdy wchodzę do komnaty, Asha odwraca się ku mnie znad miednicy, w której obmywa sobie twarz. Jej woal leży obok. Szeroko otwieram oczy na widok czerwonych blizn na policzkach mojej służki, a ona szybko sięga po swoją chustę.

– Wybacz mi, Viraji. Dziś jest tak gorąco.

– Nie przepraszaaj. – Jej woal musi jeszcze potęgować ten niemiłosierny upał. Chcę zapytać, skąd się wzięły te szramy, ale Asha stoi z pochyloną głową, a ja nie zamierzam upokarzać jej jeszcze bardziej. – Czy dzisiaj mogłabyś przynosić mi posiłki tutaj?

– Naturalnie, Viraji.

Przemyka obok mnie zawstydzona. Pozwalam jej odejść, a sama siadam na łóżku. Przesuwam palcami po ustach. Nie czuję już ciepła warg Devena, ale jego smak pozostał.

Opuszczam rękę. Tuż za oczami nasila się ból głowy. Nie mogę już dziś oglądać Devena i nie mam ochoty na niczyje towarzystwo. Podczas wspólnych posiłków w Pawilonie Tygrysic rani z pewnością pytałyby mnie o pokaz sztuki walki, a ja nie wiem, czym miałabym się popisać.

Wyjmuję szkicownik z torby i zaczynam rysować. Pocieranie węgłem o pergamin ma w sobie coś z medytacji – łagodzi ból głowy i pomaga myśleć.

W trakcie pokazów sztuki muszę nad sobą panować. Uczono nas, aby w pełni wykorzystywać swoje siły na arenie. Siostry-wojowniczkę bogini Ki słynęły z doskonałego opanowania jednej umiejętności, tak jak Jaya wprawiała się w walce haladie. Żałuję, że nie posługuję się bronią sieczną. Najbardziej odpowiada mi proca, którą jednak nikogo nie przestraszę.

Asha przynosi mi tacę z lekkim południowym posiłkiem. Zjadam owoce, a resztę zostawiam. Później, gdy przychodzi z wieczerzą, zapala lampy naftowe, po czym znów opuszcza komnatę. Po zapadnięciu zmroku siadam wygodnie i rozmasowuję zmęczoną rysowaniem rękę.

Z kartki spogląda na mnie bogini ziemi. Stoi pośród spowitej mgłą dżungli. Zwraca ku mnie swoją czarną twarz w kształcie diamentu, a wokół jej szyi i ramion owinięta jest śmiertelnie jadowita smocza kobra. Korona z trującego pokrzyku wilczej jagody otacza jej głowę jak aureola. Proste ciemne włosy oplatają niczym pnącza jej potężne kobiece kształty – jest zarazem wojowniczką i boginią. Wpatruję się w oczy Ki, czekając, aby napełniła moją duszę mądrością.

Przenika mnie ciepły dreszcz. Podnoszę wzrok i patrzę na drugi koniec komnaty, gdzie na stole przy kominku stoi ozdobna misa wypełniona kulkami z kolorowego szkła. Czy to dobry pomysł?

Przyciskam szkicownik do piersi i zamykam oczy. W ciemnościach wyobrażam sobie pełne, aksamitne usta Devena. Rozluźniam się i z głową na poduszce wracam pamięcią do naszego pocałunku, pragnąc, aby to wspomnienie zostało ze mną przez całą noc.



Budzę się gwałtownie, z twarzą zroszoną kropelkami potu, przerażona, że pałac płonie. Z otwartego balkonu wpada do komnaty światło. Ani śladu dymu i ognia. Dotykam twarzy i odkrywam, że się pomyliłam. To ja płonę.

Moja torba wisi na kolumiencie. Sięgam do przedniej kieszeni po fiolkę z tonikiem i spostrzegam, że z moich dłoni promieniuje jakiś blask. Potykając się, podchodzę do lustra i patrzę na swoje odbicie. Twarz, ramiona i klatka piersiowa także lśnią. Kręci mi się w głowie, cały świat wiruje. Zachwiawszy się, wyciągam przed siebie rękę i opieram dłoń o leżący na toalecie grzebień. Srebrne zęby zwijają się i wykrzywiają. Wzdrygam się i odskakuję, natychmiast przypominając sobie Ognistego, który wygiął ostrze sztyletu Natesy.

„O święci bogowie, tylko nie to”.

Niepewnym krokiem podchodzę do łóżka i ostrożnie siadam na podłodze. Starając się jak najmniej dotykać torby, wygrzebuje fiolkę toniku. Czuję, jak szkło się rozgrzewa. Wyjmuję korek, który spala się w mojej dłoni na popiół. W uszach pulsuje mi tętno. Przyciskam fiolkę do drżących warg i wypijam resztkę toniku.

Dyszając, wyciągam przed siebie ręce. Blask powoli przygasa, a ja opieram się plecami o łóżko. Wszystko, co o sobie wiem, rozpada się w pył, jak ten korek przed chwilą. Żadna normalna osoba nie promieniuje blaskiem ani nie

wygina srebrnych grzebieni.

Przyciskam pięści do piekących oczu i spod powiek wypływają łzy. Uzdrowicielka Baka musiała wiedzieć. Zaciskam zęby, żeby nie płakać, a w piersi wzbiera mi złość. Dlaczego mi nie powiedziała? Całymi latami byłam przykuta do łóżka, a ona nie pisnęła ani słowa. Powinna była zrobić coś więcej, a ona tylko wręczyła mi recepturę na tonik i wysłała mnie tutaj. Na pewno wie, co radza robi bhutom. Wie, co mnie czeka, jeśli zostanę złapana.

Odpędzam łzy i wbijam wzrok w popiół na dłoni. „Wielki Anu, co mam robić?” Została mi ostatnia fiołka, więc toniku wystarczy na czas turnieju, ale co potem? Wycieram rękę o spódnicę. „Nie mogę tego zrobić. Nie mogę wygrać turnieju i być tym... Czym jestem? Demonem czy półboginią?”

Kieruję wzrok na drugą stronę pokoju, gdzie ukryte są *Prażródła bhutów*. Podnoszę się i na chwiejnych nogach podchodzę do regału, a potem siadam ze skrzyżowanymi nogami przed pustym kominkiem i przekartkowuję wolumin od początku. Powtarzające się na kolejnych stronicach wyrażenia zdają się do mnie krzyczeć. *Półbogowie. Boskie moce. Dzieci Anu.*

W drugiej połowie księgi poszczególne rozdziały są poświęcone różnym mocom bhutów. Przeglądam każdy z nich i w oczy rzucają mi się pewne stwierdzenia. *Wodni posiadają uzdrawiające wody. Trzęsiciela władają nieposkromioną siłą. Wietrzni słyszą sekrety wiatru.*

Zatrzymuję się na rozdziale o Ognistych.

Ogniści posiadli potężną moc ognia Enlila. Niektórzy, choć nieliczni, mają nawet złote oczy tego boga. Ogniści ścierają z powierzchni ziemi dobrych i złych, oczyszczając drogę, by nowe mogło się krzewić, a wiedza rozwijać. Są najrzadszymi bhutami, a ich moce mają kardynalne znaczenie i służą kontroli. Rozbłyski u młodych Ognistych mogą być niesłusznie uważane za gorączkę. Tych bhutów często uznaje się za chorych, a jeśli ich moce nie zostaną właściwie rozpoznane, będą się w nich tliły, a w końcu doprowadzą ich do samozniszczenia. Z tego względu wielu Ognistych umiera przed

osiągnięciem dojrzałości.

Zatrząskuję księgę, czując, jak drżą mi ręce i głowa. „Niesłusznie uważane za gorączkę”. Kieruję wzrok na ostatnią fiolkę z tonikiem. „Ich moce będą się w nich tliły, a w końcu doprowadzą ich do samozniszczenia”.

Gdy kończy się działanie dawki, wydaje mi się, jakby moje kości się paliły. Nigdy nie sądziłam, że tak jest w istocie.

Pytania przelatują przez mój umysł jak błyskawice przecinające niebo. Otwieram księgę i czytam dalej, szukając odpowiedzi, którą – obawiam się – już znam.



Wkrótce potem przychodzi po mnie Deven. Umyłam twarz i dłonie, a zniszczony grzebień ukryłam pod materacem. Choć wydaję się spokojna, myśli w mojej głowie kłębią się niczym kipieli u podstawy wodospadu.

– Brat Shaan przybył się z nami spotkać – oznajmia Deven.

Moje mięśnie są nadwyrężone i kruche, ale jestem gotowa. Wrzucam księgę do torby i opuszczamy komnatę.

Kaplica mieści się na niższym piętrze w głównej części pałacu, ale na uboczu, w spokojnym zakątku. Deven otwiera drzwi i wchodzimy do środka. Brat Shaan pochyla się w modlitwie przed ołtarzem, gdzie palą się suszone zioła i kwiaty – to ofiara dla bogów. Jego białe włosy pasują do jasnych szat, a po dziesiątkach lat pokornego klęczenia sylwetka przygarbiła się jak trzcina.

Na znak szacunku Deven zdejmuje turban. Uwolnione ciemne loki opadają mu na kark. Nigdy nie widziałam go bez turbanu. Staram się nie myśleć o jego falujących puklach, gdy klękam na poduszce obok brata Shaana.

– Niechaj niebo mnie prowadzi, ziemia da mi oparcie, ogień oczyści, a woda nakarmi – recytuję.

Deven klęka po drugiej stronie mnicha i powtarza tę samą modlitwę ochronną.

– Bracie Devenie – mówi brat Shaan – rzadko jeden mężczyzna jest stworzony i do modlitwy, i do fechtunku.

– Bracie Shaanie, pamiętasz Viraji.

– Gratuluję powołania – zwraca się do mnie mnich. – Uzdrowicielka Baka i ja znamy się od wieków. Nim została uzdrowicielką, była położną i pracowała w pałacu. Tu się poznaliśmy. Przysłała mi gołębia z wieścią, że przybędziesz. Otrzymałem ją tuż przed twoim przyjazdem. – Brat Shaan wodzi wzrokiem między Devenem a mną. – Lecz bardziej zaintrygowała mnie wiadomość od ciebie. Jak mogę ci pomóc?

Wsuwam dłoń do torby i przez chwilę się waham. *Prażródła bhutów* to księga, której nie powinnam posiadać, ale nie byłoby mnie tutaj, gdyby Deven nie ufał bratu Shaanowi. Podaję mu wolumin.

W oczach mnicha pojawia się błysk.

– Gdzie to znalazłaś? – Przesuwa dłonią po okładce.

– Być może Ognisty mi ją podrzucił.

Kątem oka widzę, że Deven sztywnieje.

– Czy poznajesz ten tytuł? – pytam.

– Czytywałem takie księgi w świątynnej sali studiów – odpowiada brat Shaan. – Sądziłem, że wszystkie zostały zniszczone. – Przegląda kolejne stronicę, zatrzymując się przy rycinie przedstawiającej Anu obdarzającego bhutów światłem. – Lecz prawda znajdzie sposób, by rozbłysnąć w ciemnościach.

– Miałeś kiedyś takie księgi w świątyni? – pyta Deven, przechylając na bok głowę. – Dlaczego?

Nie czekając na odpowiedź, zadaję pytanie zasadnicze:

– Czy bhutowie to półdemony czy półbogowie?

– Wszyscy jesteśmy półdemonami i półbogami – odpowiada brat Shaan. –

Demoniczna połowa to ta śmiertelna, która wciąż popełnia błędy, a boska to ta, która stara się doskonalić. W każdym wcieleniu usiłujemy podnieść swoją pozycję i zbliżyć się do wiecznej doskonałości.

Deven patrzy na brata Shaana, jakby ten postradał zmysły.

– Ale demony się nie rozwijają – mówię. – Więc czym są bhutowie?

Brat Shaan z szacunkiem kładzie dłoń na księdze.

– W swojej mądrości Anu stworzył śmiertelników na obraz bogów. W naszych płucach niebo, ziemia pod stopami, ogień w duszy, a woda we krwi. Kiedy pierwszych czterech śmiertelników dostąpiło najwyższej formy reinkarnacji, Anu powierzył im władzę nad tymi mocami. Boska ścieżka pierwszych bhutów miała pomóc ludzkości osiągnąć równowagę między swoimi wewnętrznymi żywiołami poprzez pięć boskich cnót. Byli oni naszymi Strażnikami Cnót. Później jednak ludzkość zwróciła się przeciwko swoim namaszczonej przewodnikom.

Jego słowa porządkują zamęt w mojej głowie. Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wiarygodna wydaje mi się myśl, że to Anu obdarzył bhutów ich mocami. Demon Kur jest panem Otchłani, ale nie ma władzy nad ogniem, wodą, ziemią i powietrzem. Zgodnie z naukami religii parijana są to sfery boskie.

Deven przyciska palce do skroni i przymyka oczy.

– Twierdzisz, że bhutowie są dobrzy?

Brat Shaan potakuje.

– Wkrótce po śmierci pierwszej żony radża Tarek wtargnął do domów bhutów mieszkających w Vanhi, by ich wymordować. Bhutowie się bronili, a wówczas Tarek odpowiedział jeszcze większym rozlewem krwi. Rozpoczął masową zagładę, a tych spośród swoich ludzi, którzy byli przeciwni wojnie, szybko się pozbył. Wdarł się do świątynnej sali studiów i zniszczył wszystkie księgi, w których stawiano bhutów nad człowiekiem. W ciągu kilku lat zniszczeniu uległy wielowiekowe nauki. Byłem wówczas prywatnym doradcą

Tarka. – Głos brata Shaana drży, a jego spojrzenie wyraża żal. – Wychowywałem go od małego. Zawsze był uparty, ale nigdy nie sądziłem, że...

– Mniej więcej wtedy Tarek przywrócił turnieje tronowe – dodaje.

– Obwinił bogów o śmierć Yasmin. Ostrzegłem go, że ci, którzy prześladują bhutów boga Anu, sprowadzą na siebie gniew niebios. Nie chciał słuchać i zmusił mnie do odejścia.

Deven siedzi jak rażony gromem.

– Dlaczego o tym wszystkim nie nauczysz, skoro to prawda?

– Przysięgałem, że tego nie zrobię. Tylko dzięki temu Tarek mnie oszczędził.

Deven zwiesza głowę i oparłszy czoło o kolana, zanurza palce we włosach.

Sięgam po wolumin.

– A księga *Zhaleh*? Czy radza odebrał ją bhutom?

– Tak. Moce bhutów przekazywane są z pokolenia na pokolenie – odpowiada brat Shaan. Zmuszam się, by nie odwrócić wzroku, a w płucach brakuje mi tchu. – W księdze *Zhaleh* został zapisany ich rodowód. To idealne źródło dla kogoś, kto pragnie zetrzeć bhutów z powierzchni ziemi.

– Radza używa rejestru ich rodowodów, aby ich wytropić?

– I to mu się udaje. Siedemnaście lat temu w Tarachandzie mieszkały tysiące bhutów. Ci, którzy nie uciekli poza granice, już nie żyją albo pozostają w ukryciu.

Deven podnosi głowę. W jego oczach widzę chłód.

– Skoro radza pragnie ich śmierci, dlaczego wszyscy nie uciekną i się nie ukryją?

– *Zhaleh* ostrzega o piątej mocy. – *Prażródła bhutów* wciąż są otwarte na

stronicy z ryciną przedstawiającą Anu. Brat Shaan wskazuje na kryjącą się w cieniu twarz, której wcześniej nie dostrzegłam. – Tego dnia bogu Anu towarzyszył demon Kur. Nie zgadzał się z decyzją, by obdarzyć śmiertelników boskimi mocami, więc postanowił przekazać własne moce piątemu człowiekowi. W tej godzinie ciemności stworzył Otchłańca, który potrafił oderwać niebo od ziemi i zniszczyć wszelkie życie. Misją pierwszych bhutów było pojmanie Otchłańca. Sposób, w jaki tego dokonali, zachowali w sekrecie, który powierzyli jedynie stronicom księgi *Zhaleh*. Lecz te same moce, które uwięziły Otchłańca, mogą go też uwolnić. Ktokolwiek posiada tę księgę, ma władzę potrzebną, by wyzwolić demona z oków. Każdy przywódca bhutów chronił *Zhaleh*, dopóki księgą nie zawładnął radża Tarek. Jeśli otworzy Otchłań...

Na myśl o pandemonium, jakie Tarek mógłby rozpętać, wstrząsa mną dreszcz.

Deven podnosi się z miejsca.

– Czas na nas, Kali. Wkrótce rozpoczną się pokazy kunsztu.

Brat Shaan wkłada księgę do mojej torby.

– Trzymaj ją w ukryciu. Jeśli będziesz miała więcej pytań, wiesz, gdzie mnie znaleźć. – Wstajemy, a mnich zwraca się do Devena: – Bracie Devenie...

– Kapitanie Naiku – poprawia go Deven.

– Kapitanie, rozumiem, jak trudno było ci tego słuchać, lecz mam nadzieję, że dostrzegasz, iż w oczach bogów ta wojna jest obrzydliwością.

Deven szorstko przytakuje i wychodzimy. Moje myśli wciąż zasnuwa mgła niepokoju. Liczyłam, że rozwieje ją potwierdzenie boskiego pochodzenia bhutów, ale głębia nienawiści Tarka do nich odebrała mi wszelkie szanse na spokój ducha.

Deven zatrzymuje mnie przed wejściem do skrzydła dla żon.

– Nie spodziewaj się niczego dobrego ze strony bhutów, Kali. Aktywnie

uczestniczyli w tej wojnie, tak samo jak radża. Nie są lojalni wobec nikogo, nawet wobec własnego rodzaju.

– Wciąż nie wierzysz, że bhutowie mogą być dobrzy? – Wstrzymuję oddech, modląc się, aby słowa brata Shaana złagodziły jego osąd.

Spojrzenie Devena jest pozbawione emocji.

– Wierzę w to, co widziałem w całym swoim życiu.

Kiwam głową i się przygarbiam. Brat Shaan należycie wyjaśnił, dlaczego bhutowie z nami walczą, ale nie powiedział, z jakiego powodu śmierć Yasmin wzbudziła w Tarku taką żądzę krwi. Wciąż nie znam całej historii.

Deven kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Przydzielę ci jeszcze jednego strażnika. Zawsze będzie ci towarzyszyło dwóch. Ognisty więcej się do ciebie nie zbliży.

Jeszcze raz potakuję, choć to nie Ognistego się obawiam, lecz siebie.

Ruszamy w stronę mojej komnaty, a z każdym krokiem nogi mam coraz cięższe. Żałuję, że nie mogę cofnąć tego, co się wydarzyło od pierwszego spotkania z Ognistym. Chciałabym wrócić do czasów, kiedy nie trapiło mnie nic poza gorączkami. Wolałabym znów być tamtą słabowitą dziewczyną ze świątyni. Wtedy wiedziałam, kim jestem. Teraz nie mogę ufać nawet własnym dłoniom.

„Anu, proszę, nie pozwól, aby to była prawda. Pozostanę wierna pięciu cnotom. Będę posłuszna wszystkim twoim rozkazom. Tylko nie pozwól, żebym była wrogiem radży, Devena i całego imperium”.

Wysłuchuję się w serce, ale zamiast odpowiedzi słyszę puls, który jak tykający czasomierz przypomina mi, że coraz bardziej zbliżam się do skraju przepaści, skąd nie ma ucieczki.



Ogrody przyszykowano do pokazów kunsztu. Dwór radży – benefaktorzy, rani i kurtyzany – tłoczy się pod jedwabnymi zadaszzeniami, kryjąc się przed słońcem jak jaszczurki pod kamieniami. Spoglądam z trybun na szeroki pas zieleni, na którym moje rywalki kolejno popisują się swoimi umiejętnościami. Mokra od potu bluzka przywiera mi do pleców, a gorący wiatr chłoszcze odkrytą skórę.

Parisa wręcza mi schłodzone wino korzenne.

– Potrzebujesz tego bardziej niż ja.

Przyjmuję kielich, którego chłód przyjemnie kąsa mi palce, ale nie kosztuję napoju. Podczas swojego pokazu muszę mieć jasny umysł. Mam wystąpić jako ostatnia i w ciągu trzydziestu sekund zadziwić ten kłębiący się tłum pijanych benefaktorów, aby potwierdzić, że zasługuję na miano faworytki radży. Czuję narastające napięcie u podstawy czaszki. Sztuka walki jest oznaką oddania Ki. Nie powinna służyć częściej rozrywce. Jednakże odmowa udziału pozbawiłaby mnie szansy udowodnienia, że nie jestem słabą wojowniczką.

Fareeshah ciska toporem i ścina czubek krzaka rosnącego na drugim końcu wyznaczonego pola.

Widownia wydaje okrzyk zachwytu.

– Jak tak dalej pójdzie, to Tarek straci wszystkie róże – mamrocze Parisa

do Eshany. Ich półprzezroczyste woale powiewają, muskane stęchłym popołudniowym wiatrem.

Wcześniej już ponad tuzin kurtyzan szatkował ogród różnymi ostrzami. Piękne listowie szybko posiekano na strzępy.

Kątem oka widzę Natesę. Kręci się w towarzystwie Anjali i Mathury, a służąca ochładza je wachlarzem ze strusich piór. Mieszkamy w oddzielnych skrzydłach pałacu, więc nie widziałam jej od ceremonii deklaracji. Jej twarz wydaje się bledsza i szczuplejsza, a oczy jakby większe. Ale jeśli niedomaga, to podczas swojego pokazu nie dała tego po sobie poznać. Wywijała khandą jak wytrawna wojowniczką.

Fareeshah swoim popisem zdobywa sobie aplauz widowni. Powłóczę nogami po płytkach z terakoty, a moje przekonanie, że zaimponuję tłumowi, rozsypuje się w pył. Chcę zaprezentować swoje umiejętności i skończyć tę komedię.

– Szkoda, że dwie kurtyzany już odpadły. – Eshana przysuwa się bliżej wachlarza z piór. Inna służąca rozdaje lód ze złotego wiaderka. Obie z Parisą biorą sobie po kawałku. – Podśluchałam, jak uzdrowicielka mówiła, że to zatrucie pokarmowe.

– Sabotaż – dodaje Parisa. Pociera sobie czoło chłodną bryłką. – To się zdarza przed każdym turniejem, ale rzadko kogoś przyłapują.

Eshana wkłada sobie lód do ust.

– Przynajmniej wiemy, że to nie Lakia. Nie mieszałyby się do jakichś pojedynków między kurtyzanami, zwłaszcza że musi myśleć o własnych.

– Kto ją wyzwiał? – pytam.

– Cztery szalone – odpowiada Eshana z kawałkiem lodu pod policzkiem. – Będą miały szczęście, jeśli Lakia rozpląta im gardła w środku nocy zamiast na arenie.

Czuję pot na karku. Zaczęło się sabotowanie. Dotykam ukrytego za pasem sztyletu Yasmin, wdzięczna, że mam broń do ochrony.

Jako następna zostaje wywołana Anjali, która występuje naprzód, aby przedstawić swój trzydziestosekundowy pokaz. Wyciągam szyję, żeby ją lepiej widzieć nad głowami zajmujących pierwsze rzędy benefaktorów. To moja najmłodsza przeciwniczka, jednak w jej postawie widać dojrzałość.

Anjali wybiera pęk czakramów – metalowych obręczy do rzucania o ostrej krawędzi zewnętrznej – i celuje w wypchaną pierzem kukłę ustawioną na drugim końcu trawnika.

Gdy klepsydra zostaje odwrócona, Anjali rzuca okrągłymi czakramami, raz za razem. Pierwszy trafia w stopę. Następny – w kostkę drugiej nogi. Kolejne dwa dyski odcinają dłonie w nadgarstkach. Piąty wbija się w brzuch kukły, a ostatni pozbawia ją głowy. Anjali się kłania i posyła całusy w stronę wiwatującej widowni.

– Ma talent – mówię.

– I wysokie mniemanie o sobie – dodaje Eshana z ironicznym uśmiechem.

– Zmierzysz się z nią podczas turnieju, Kalindo – stwierdza Parisa.

Eshana przytakuje.

– Anjali znajdzie się w ostatniej trójce.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Staram się nie wyobrażać sobie, jak czakramy Anjali obcinają mi ręce i nogi.

Parisa posyła mi pokrzepiający uśmiech.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Tarek mógłby poślubić każdą ze swoich kurtyzan, ale nie chce ich jako rani. Chce ciebie.

Gdybyż to było takim pocieszeniem, jakim miało być!

Eshana w zamyśleniu przeczesuje włosy palcami.

– Jaki talent ty zaprezentujesz, Kalindo?

– To niespodzianka.

Eshana i Parisa wymieniają zaskoczone spojrzenia.

– Cokolwiek zrobisz, niech to będzie widowiskowe. Lafia zażyczyła sobie wystąpić przed tobą.

Parisa wrzuca reszkę lodu za bluzkę.

– Ona uwielbia taki teatr.

Lafia próbuje na mnie swoich sztuczek. Nie pozwolę się zastraszyć. Mój wzrok błądzi ku podwyższeniu w centralnej części trybun, gdzie Pokrewna zasiada na tronie u boku Tarka. Radża mnie obserwuje. Z uśmiechem spogląda na moją szyję. Nie chciałam dziś zakładać naszyjnika Yasmin, ale Asha nalegała. Widząc teraz gniewną minę Lafii, cieszę się, że to zrobiłam. Niech posmakuje moich sztuczek.

– Kalindo? – Przez tłum przedziera się Shyla z niemowlęciem na ręku. – Przyszłyśmy życzyć ci powodzenia. – Nachyla się ku nam, żebym mogła zobaczyć buzię jej śpiącej córeczki.

– Jest taka maleńka – mówi Parisa.

– Jak ma na imię? – pyta Eshana.

– Rehan, po mojej matce. – Shyla podaje mi dziecko. – Chciałabyś ją potrzymać?

– Nie powinnam. – Nigdy wcześniej nie trzymałam dziecka w ramionach; moje gorączki nie pozwalały mi pracować w świątynnych dziecińcach. Rehan jest taka mała i delikatna, że nie wiedziałabym, co z nią począć. – Jest piękna. Tarek musi być z niej dumny.

– On poznaje swoje dzieci dopiero, kiedy podrosną. – Shyla podnosi wzrok na męża siedzącego na podwyższeniu i ścisza głos: – Wciąż rozpacza po stracie swojego pierworodnego.

Parisa i Eshana zgodnie przytakują. Mogę zrozumieć, że strata dziecka zraniła Tarka, ale nie pojmuję, dlaczego nie chce zobaczyć swojego nowo narodzonego potomka. Nie potrafię się powstrzymać, aby nie przeczesać ciemnych, kędzierzawych włosów jego córeczki.

– Powinnyśmy już wracać – mówi Shyla z uśmiechem. – Powodzenia, Kalindo.

– Dziękuję. – Jeszcze raz gładzę miękką główkę dziewczynki, zanim matka z córką znikają w tłumie.

Parisa wybałusza oczy.

– Prędko, tędy. – Pochyla głowę i chwyciwszy Eshanę i mnie za ramiona, ciągnie nas w przeciwnym kierunku niż ten, w którym przed chwilą patrzyła. – Jest tam generał Gautam. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, próbował mnie obmacywać. – Odwracam głowę, żeby go zobaczyć, ale tracimy go z oczu w tej ciżbie.

– Gautam jest okropny – stwierdza Eshana. – Nie chciałabym do niego należeć... Kalindo, szuka cię twój strażnik.

Deven wchodzi na kryte trybuny. Powinien czekać na zewnątrz, razem z innymi strażnikami. Próbuję go zniechęcić gniewnym spojrzeniem, ale on nie zwalnia kroku. Co w niego wstąpiło? Radza może go zobaczyć. Zerkam w górę na Tarka, sprawdzając, czy wciąż mi się przygląda, a wtedy rozlega się gong i tłum cichnie. Wszyscy patrzą na powstającego z tronu radzę.

– Dzisiejszego ranka odzyskałem swój skarb. – Tarek wyciąga rękę przed siebie i zebrani odwracają głowy. Dwóch żołnierzy wywleka jakąś umorusaną kobietę na środek trawnika i rzuca ją na kolana. Przez trybuny przebiegają szepty, jak nagły powiew wiatru. – Odnaleziono moją drogą żonę Taline. Niestety, strażnik, z którym uciekła, nie przeżył swego pojmania.

Jego udawany żal sprawia, że zaciskam szczęki.

Deven zbliża się do mnie i szepcze mi do ucha:

– Musimy porozmawiać.

– Nie teraz. – Nie mógł wybrać gorszej chwili. Zewsząd otaczają nas ludzie, radza mnie obserwuje, a nagłe pojawienie się zbiegłej rani oznacza, że zaraz stanie się coś strasznego.

Lakia wychodzi niespiesznie z namiotu do rozgrzewek i wkracza na arenę, trzymając w ręku urumi.

– Moja Pokrewna zaproponowała, że wymierzy Taline karę w ramach prezentacji swojego kunsztu – ciągnie Tarek.

„Wielki Anu, oni zamierzają ukarać tę kobietę na naszych oczach”.

– Ile razy jej zadasz? – woła ponad głowami widowni.

Lakia okrąża swoją ofiarę, a ostrza ciągną się po trawie jak srebrne żmije.

– Po jednym za każdy dzień poza pałacem.

– Mężu, błagam, wybacz mi! – krzyczy Taline. – Będę ci wierna. Będę posłuszna!

Tarek puszcza jej prośby mimo uszu. W jego oczach błyska zawziętość.

– Ile dni minęło od jej ucieczki, Lakio?

– Trzydzieści pięć.

Żółć parzy mnie w gardle. Urumi rozerwie Taline na strzępy, zanim spadnie na nią ostatni cios. To zbyt brutalna kara. Radża Tarek chce zrobić z niej przykład, ale przecież ona nie jest jego wrogiem, lecz żoną i zasługuje na więcej szacunku. Radża powinien okazać jej miłosierdzie i uśmiercić ją bezboleśnie.

– Devenie, musimy to przerwać – szepczę.

Zaciska palce na moim łokciu, aby przytrzymać mnie w miejscu.

– Nic nie możesz zrobić.

Lakia zatrzymuje się za plecami szlochającej kobiety.

– Będziemy odliczać uderzeniami gongu. – Unosi urumi, a stojący przy gongu służący chwyta za drewniany młotek.

Wyrywam się z uścisku Devena i przepycham przez tłum w stronę balkonu na trybunach.

– Tylko na tyle cię stać? – pytam.

Lakia podnosi na mnie wzrok, wciąż z bronią w górze.

– Taline to spory cel – ciągnę – a urumi ma wiele ostrzy. To nie najlepszy sposób na popisanie się swoim kunsztem.

Lakia opuszcza rękę.

– Chętnie zobaczę, jak ty uskakujesz przed moim urumi, Viraji.

– Czy proponujesz ciekawszy pokaz, moja faworytko? – woła Tarek ze swojego tronu.

Odwracam się ku niemu, czując, jak drżą mi palce.

– Tak, Wasza Wysokość. Pojedynek kunsztu między mną i Pokrewną.

Benefaktorzy mamroczą coś między sobą i kiwają głowami z uznaniem. Rani i kurtyzany szepczą zaskoczone. Deven kręci głową, każąc mi się wycofać. Zaciskam drżące palce w pięści. Nie pozwolę Lakii potraktować tej rani jak wypchanej kukły.

Radza Tarek przygląda mi się badawczo. Na pewno czuje, że próbuję opóźnić śmierć Taline i ocalić resztki jej godności. Ale ja chcę na chwilę odwrócić jego uwagę. Mój pojedynek z Lakią zakończy pokazy kunsztu, a wówczas będę błagała radzę w imieniu Taline o miłosierną, cichą egzekucję, stosowną do jej pozycji.

– Doskonale! – Tarek robi w moją stronę zachęcający gest. – Przedstaw nam swoją broń.

Daję znak Ashy, czekającej w namiocie do rozgrzewek. Wynosi stamtąd skrzynkę pełną pobrzękujących szklanych kulek i taszczy ją do ogrodu, a za nią podąża grupka służących. To te same, które przynoszą mi do komnaty wannę i wodę do kąpieli.

– Szklane kulki? – szydzi Lakia. – Chcesz ze mną walczyć tymi ozdóbkami?

Od strony tłumu dobiegają nerwowe chichoty.

– Są małe i lekkie. – Schodzę po stopniach. – Znacznie trudniejszy cel niż skuta więźniarka. – Taline klęczy na ziemi i cicho płacze. „Bogowie, ona jest chyba w moim wieku”. Zatrzymuję się między nią a Lakią. Serce wali mi tak mocno, jakby się chciało wyrwać z piersi. – Czy to zadanie ponad twoje siły?

Lakia głaszcze ręką urumi.

– Podaj warunki.

– Na dźwięk gongu służące rzucą szklane kulki, a każda z nas będzie miała trzydzieści sekund, aby je rozbić. Dwóch strażników będzie liczyło nasze trafienia. Wygrywa ta, która rozkruszy więcej. – Daję znak Ashy, aby otworzyła skrzynkę i rozdała służącym kulki. Każda z nich nabiera pełną garść. Asha przyniosła ich więcej, niż potrzeba.

Lakia rzuca spojrzenie w stronę urzeczonego tłumu, a potem przenosi wzrok na mnie, mrużąc oczy.

– Niech będzie, ale to ja wybiorę strażników.

Tłumię westchnienie ulgi. Jej duma jest niezawodna, to trzeba jej przyznać.

Żołnierze odprowadzają Taline na bok. Lakia wyznacza dwóch strażników do liczenia, po czym z urumi w ręku odwraca się w stronę areny. Ustawiam się nieopodal swojej przeciwniczki i wyjmuję procę z kieszeni.

Za plecami słyszę szydercze śmiechy. Stoję wyprostowana, ze wzrokiem wbitym przed siebie. Pokażę umiejętność, która mnie wyróżnia. Jestem pewna, że właśnie to doradziłyby mi bogini ziemi.

– Czyżbyś taką broń wybrała dla siebie, moja faworytko? – Tarkowi rzędnie mina.

– Tak, Wasza Wysokość. – Posyłam mu lekki uśmiech, prosząc o cierpliwość. – Nie zawiedziesz się.

Tarek kiwa palcem.

– Kontynuujcie.

– Twoja żalosna próba upokorzenia mnie skończy się fiaskiem – mówi Lakia pod nosem.

Kątem oka widzę, jak Taline drży. Pokrewna nie ma pojęcia o moich zamiarach.

Wyjmuję garść kamyków z kieszeni. Asha i pozostałe służące stają po obu moich stronach gotowe, by zacząć rzucać szklane kolorowe kulki. Ładuję procę pierwszym kamieniem i naciągam gumę. „Ki, poprowadź mnie prosto do celu”.

Rozlega się gong, klepsydra zaczyna odmierzać czas.

Służące wyrzucają szklane kulki w powietrze. Lakia robi zamach. Liczne ostrza urumi roztrzaskują trzy kulki, nim te odlecą za daleko. Ja strzelam do migoczącego w oddali celu, gdy już zakreśla łuk. Kulka się rozpada i szklane okruchy osypują się na ziemię jak zamrożone łzy.

Ładuję procę po raz drugi i wzrokiem szukam kolejnego obiektu. Wypuszczam kamień i kolejna kulka rozpada się na kawałki. Służące osłaniają twarze i rzucają kolejne kulki, a Lakia rozbija te najbliższej siebie. Ja na zmianę ładuję, naciągam i strzelam. Wdech – ładuję. Wydech – strzelam. Trawę pokrywają połyskujące odłamki i miazgi pyłu. Kolejne sekundy upływają wśród świstów urumi, trzasków procy i brzęku rozbijanego szkła.

Dźwięk gongu oznacza, że czas minął.

Lakia się rozgląda.

– Ile?

Jej strażnik liczy trafione kulki.

– Pokrewna rozbiła osiemnaście!

– Ile ustrzeliła Viraji? – pyta Tarek, pochylając się do przodu na tronie.

Lakia musiała rozbijać kulki, zanim odleciały zbyt wysoko, ale moja proca miała większy zasięg, więc mogłam trafiać w nie, gdy były już daleko w górze.

Widownia milknie w oczekiwaniu na odpowiedź drugiego strażnika.

– Viraji trafiła dwadzieścia jeden!

Tarek wydaje ryk triumfu, który wybija się ponad aplauz widowni.

– Przyprawadźcie Viraji do mnie!

Deven pojawia się w jednej chwili u mojego boku. Staram się nie patrzeć na jego zaciśnięte usta i zmarszczone brwi i idę za nim, mijając klaszczących benefaktorów. Kobiety powtarzają z uznaniem: „Więcej niż Pokrewna!” oraz „I to procą!”. Deven podprowadza mnie ku stopniom podwyższenia i wraca na swoje miejsce poza zadaszeniem.

Gdy docieram do tronu, Tarek mnie obejmuje, a potem odwraca twarzą do widowni.

– Moja faworytka!

Jego chełpliwość wywołuje słaby uśmiech na mojej twarzy. Po drugiej stronie areny Taline przykuca w pozycji obronnej, lecz głowę trzyma wysoko. Patrzę na zgromadzonych przede mną ludzi i czekam, aż Tarek przestanie się puszyć, abym mogła porozmawiać z nim o losie jego żony, gdy nagle dostrzegam generała. Gautam otacza ramieniem młodą kobietę, której dolną część twarzy przesłania woal. Włosy ma hebanowe, a w jej wielkich oczach dostrzegam pustkę. Stojąc u boku tego mężczyzny, wydaje się drobna, a jej skóra jest wręcz lodowato blada. Serce zamiera mi w piersi.

Jaya. Świat wiruje mi przed oczami, a zaraz potem zastyga. Jaya i generał Gautam odsuwają się do tyłu i tracę ich z oczu. Wyrrywam się z uścisku Tarka, a gdy zeskakuję z podwyższenia, czuję ból w kolanach. Rozglądam się, ale nigdzie nie widzę Jayi.

Podbiega do mnie Eshana.

– Kalindo! To było oszałamiające!

Chwytam ją za ramiona.

– Widziałaś generała Gautama?

– Chyba widziałam go gdzieś tam, jeszcze przed...

Przepycham się przez tłum. Ciemnogrnatowy mundur generała powinien się wyróżniać, a jednak nigdzie go nie widzę. Zatrzymuję się i rozglądam, przyciskając dłonie do skroni. Musieli pójść w głąb ogrodów.

Wybieram najbliższą ścieżkę i ruszam biegiem, oddalając się od namiotów i areny. Zawile i niekończące się alejki są puste. Zatrzymuję się i ciężko oddycham, czując wzbierające w oczach łzy.

– Kali! – Deven podbiega do mnie z tyłu.

Biję go pięściami w pierś.

– Powiedziałeś, że generał jej nie powołał!

– Jego ludzie mnie okłamali. – Deven unosi ręce, jakby błagał o litość. – Kiedy tylko ją ujrzałem, próbowałem cię uprzedzić.

– Dlaczego? – Znów go uderzam. – Po co Gautam miałby ją przede mną ukrywać?

– Aby cię ukarać, bo mu się przeciwstawiłaś. Widział cię z Jayą podczas prób kunsztu. Wiedział, że jesteście sobie bliskie.

– Powołał Jayę! – Zakrywam sobie usta obiema dłońmi. – Och, Devenie! Pozwoliłam jej na siebie czekać. Ale nie wiedziałam, że generał zostanie w Samiyi. Nie wiedziałam, że... – Głos mi się załamuje. Przyciskam nasady dłoni do oczu, aby odegnać od siebie obraz Jayi przyduszonej do boku generała, ale wciąż widzę tylko ją. Wydawała się taka... pusta. – Obiecałam, że po nią wrócę. Obiecałam!

– Przykro mi – mówi Deven. Opuszczam ręce i patrzę mu w oczy, w których szklą się łzy. – Przykro mi – powtarza z poszarzałą twarzą.

Od strony areny dobiega nas krzyk. Wyciągam szyję ponad zarośla i dostrzegam błysk opadających srebrnych ostrzy urumi. Kolejny przeraźliwy wrzask mrozi mi krew w żyłach. Lakia rozpoczęła egzekucję. Teraz nie zdołam już niczego wskórać u Tarka. Nie pomogłam ani Taline, ani Jayi. Biję

się pięściami w skronie i wydaję gardłowy jęk.

– Taline i tak miała zostać ukarana, Kali. Nie mogłaś tego zmienić – mówi Deven.

Wzdrygam się, słysząc trzecie smgnięcie i szloch, cichszy niż poprzedni.

Czuję piekące łzy w oczach.

– Więc zasłużyła sobie na karę? Na to upokorzenie i rozerwanie na strzępy? Bo odważyła się zrobić to, czego pragnęła? Bo odważyła się kochać kogoś, kogo sama wybrała?

Deven cofa się o krok, jakby odepchnięty moimi słowami.

Na arenie Lafia zadaje niewiernej żonie kolejny cios. Tym razem nie słychać już krzyku.



Przyglądając się przez balkonowe drzwi zachodzącemu słońcu, słyszę, jak Asha kręci się za moimi plecami.

– Viraji, czas przygotować się do uczyty.

– Nie idę – odpowiadam. To Tarek przywiózł ze sobą generała Gautama do Samiyi. To przez niego Jaya została powołana. Nie usiądę przy jednym stole z potworem.

Służące wnoszą wannę i wiadra z parującą wodą. Nie wchodzę do komnaty. Przygotowują mi kąpiel i wychodzą. Wciąż ani drgnę.

Asha się ociąga, stoi za mną jak milczący cień. Czeka, abym poddała się zmęczeniu ciała i umysłu, ale nic z tego. W końcu po cichu się oddala. Mój upór zwycięża.

Gdy niebo nad Vanhi przybiera popielatą barwę, zmrok rozpraszają łagodne żółte światła. To nie może być mój dom. Ja wolę śnieżne zimy od tego przemożnego upału. Tęsknię za jedynymi w swoim rodzaju spiczastymi wierzchołkami Alpanów, które przedkładam nad zakurzoną monotonię wydm. Ale już nigdy nie wrócę do Samiyi. Nie mam powodu, skoro Jaya wyjechała. Choć przez całe życie jestem sierotą, nigdy nie czułam, że nie mam domu ani rodziny – aż do teraz.

– Nie przebrałaś się do wieczery.

Odwracam się, słysząc głos Mathury. Złamała zasadę Pokrewnej,

przychodząc do skrzydła dla żon.

– Nie jestem głodna.

– Ani ja. – Podchodzi do drzwi, podpierając się laską. – Urządziłaś dziś wcale niezłe widowisko.

– Na nic się nie zdało. Taline i tak została stracona.

– Mówiłam o nowej żonie generała. I o moim synu.

„Jaya jest żoną Gautama?”

Odwracam zboląłą twarz od Mathury, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Jeśli zależy ci na moim synu, zostaw go.

Zamieram w bezruchu jak królik. Mathura musiała widzieć, jak Deven wchodzi za mną pod zadaszenie dla widzów, aby powiedzieć mi, czego się dowiedział o Jayi. Wolałabym nie wiedzieć, kto jeszcze go zauważył.

– Nie musisz się martwić – mówię. – Deven nigdy nie wybrałby mnie zamiast imperium.

Po pokazach sztuki odprowadził mnie do mojej komnaty i oddalił się bez słowa. Jestem pewna, że tak jak ja wciąż nie potrafi zapomnieć rozdzierającego krzyku Taline.

Mathura podchodzi do mnie.

– Ja też sądziłam, że mój syn wybierze imperium ponad wszystko inne, a potem ujrzałam, jak biegnie za tobą do ogrodu, ryzykując swoją karierę, reputację i życie. Dlaczego? – Przygląda mi się, szukając odpowiedzi w mojej twarzy. – Wtedy zrozumiałam. Dla Devena to ty stanowią imperium. Jesteś Viraji. Faworytką ludu. Jego faworytką. Oddanie Tarachandowi pomylił z obowiązkiem chronienia ciebie.

Moje serce zalewa fala druzgocącego bólu. Lojalność Devena to w istocie wyraz jego posłuszeństwa wobec radży. Ta świadomość zatruwa każdą chwilę bliskości między nami. Nie pocałował mnie – to ja pocałowałam jego, a on poprosił, by o tym zapomnieć. Wcześniej, za każdym razem, kiedy mnie

dotykał, robił to, pocieszając mnie albo zagrzewając do walki przed turniejem.

– Co więc powinnam zrobić? – szepczę. – Nie mogę poprosić, aby przydzielono mu inne zadanie. Nie mam powodu, by go odprawić. Jeśli wymyślę jakąś wymówkę, zniszczę jego pozycję w straży pałacowej.

Mathura ujmuje moje dłonie.

– Chroń go przed nim samym. Jeśli Tarek odkryje, że Devenowi na tobie zależy, nie zrozumie, że to wyraz jego lojalności wobec tronu. Straciłam już jednego syna. Nie mogę stracić drugiego.

Moje serce spowalnia, bije ciężko i głucho, a gardło mam napięte od wstrzymywania łez.

– Przypomnę Devenowi, że jestem Viraji Tarka.

– Nie proszę o nic więcej. – Mathura ściska mi palce.

Z następnym wydechem uchodzą ze mnie resztki sił, więc idę się położyć w nogach łóżka. Głowa pulsuje mi bólem, a w żołądku wzbierają mdłości. Chcę się wczłgać pod koc i zostać tam, dopóki nie wróci gorączka i mnie nie spali.

Mathura podchodzi do mnie.

– Powinnaś się przebrać przed wieczerzą. Tarek cię oczekuje.

– Nie mogę na niego patrzeć.

– Uczta jest na twoją cześć. Nieobecność zostanie uznana za oznakę słabości. – Podaje mi wieczorne sari, które Asha powiesiła na kolumience podtrzymującej baldachim. – Przebierz się. Twoja reputacja jest warta więcej niż chwila buntu.

– Nie dbam o to, co Tarek i jego dwór o mnie pomyślą. Nie chcę być ich faworytką.

– Ale nią jesteś. Jeśli nie możesz stanąć przed nimi dla siebie samej, zrób to dla swojej przyjaciółki. Ona i Gautam są zaproszeni.

Ściskam kurczowo sari leżące na moich kolanach.

– Nie powinien był powoływać Jayi. Przysięgam, że po nią wrócę.

– Żadna z nas nie dostała dzięki Powołaniu tego, czego pragnęła. – Mathura siada obok mnie, a jej twarz łagodnieje. – Kiedyś to dziewczęta wybierały sobie benefaktorów.

Gwałtownie podnoszę na nią wzrok.

– Jak to?

– Gdy byłam małą, zostanie podopieczną świątyni uważano za zaszczyt. Tylko nieliczne dziewczęta mogły zostać wychowane przez siostry. Wówczas Powołanie było nagrodą za ukończenie rygorystycznego szkolenia, symbolem kobiecości i oddania bogom.

Nagroda. Nigdy nie myślałam o Powołaniu inaczej niż o nieuniknionym obowiązku.

– Podopieczne były bardzo cenione jako kandydatki na żony. Nie praktykowano wtedy turniejów tronowych, a wychowanka świątyni mogła odrzucić prośbę benefaktora. – Mathura pochmurnieje. – Wtedy do naszej świątyni przybył Tarek. Zapragnął Yasmin, gdy tylko ją ujrzał. Ona odmówiła, lecz Tarek nie dbał o tradycję i powołał Yasmin wbrew jej woli. Wieść o tym, co zrobił, szybko się rozniosła i inni benefaktorzy uznali, że darowizny uprawniają ich do powołania każdej wychowanki, której sobie zażyczą. Kapłanki w świątyniach odmówiły wprowadzania zmian w obrzędzie, więc niektórzy benefaktorzy wycofali swoje prośby. Niestety większość wycofała też darowizny. Obawiając się zamknięcia świątyni, siostry uległy. Najbardziej zachłanni zaczęli powoływać dziewczęta na kurtyzany i służące. Liczba chętnych, by zostać podopiecznymi sióstr, gwałtownie spadła, więc bracia zaczęli przysyłać sieroty na wychowanie. – Mathura spuszcza wzrok na swoje dłonie. – Gdy dwa lata później osiągnęłam pełnoletność, nie miałam już wyboru.

Podnosi na mnie chłodny wzrok.

– Nie jesteś jedyną przerażoną życiem, do którego zostałam powołana, ty jednak dostałaś więcej niż większość. Owszem, musisz walczyć o swój tron, ale jeśli zwyciężysz, twoje dzieci zostaną dziedzicami imperium. Będziesz mogła je zatrzymać i wychować. Unikniesz tego bólu, jaki czuję ja na myśl o swoich synach.

Teraz ja spuszczam oczy, czując, że zostałam surowo napomniana, jednak mój problem pozostaje nierozwiązany.

– Ale jak mam ukryć nienawiść do Tarka?

– Gromadź furię. Użyjesz jej, kiedy będzie ci potrzebna. Nienawiść pomaga przetrwać. Wykorzystaj ją właściwie, a doda ci sił podczas turnieju i poprowadzi do triumfu. – Mathura poklepuje mnie po kolanie. – Tak przetrwałam ja. I tak przetrwasz ty. – Wstaje z godnością siostry-wojowniczkii. – Spotkamy się na ucztach.



Sala tronowa jest zastawiona długimi, niskimi stołami i oświetlona setkami świec łożowych. U szczytu usytuowanego na podwyższeniu stołu zasiada Tarek w otoczeniu swoich czterech ulubienic. Gestem przywołuje mnie do siebie. Posłusznie podchodzę, choć wolałabym raczej ucztować z wieprzami. Wokół stołów ustawionych niżej tłoczą się benefaktorzy, kurtyzany i rani, pochylając się nad wypełnionymi po brzegi półmiskami. Nie widzę Jayi ani Gautama.

– A oto moja faworytka! – Tarek wita mnie niedbałym pocałunkiem w policzek.

Wzdrygam się, czując w jego oddechu odór apongu, ale siadam ze skrzyżowanymi nogami na poduszce obok niego. Mathura, której laska jest oparta o stół, posyła mi powitalny uśmiech i dalej pyka fajkę. Obok siedzi Eshana, promieniejąc życzliwością, która niemal usypia mój niepokój z powodu dołączenia do ich elitarnej grupy. Anjali leży wsparta na łokciu i zajada się kawałkami ananasa, a Lakia zaborczo przysuwa się do Tarka z drugiej strony, jak zwykle niesubtelnie dając do zrozumienia, że nie

zamierza się nim dzielić.

Tarek sięga po kawałek podpłomyka i kładzie go na moim talerzu.

– Jedz, moja miłości. To wszystko na twoją cześć. Ten turniej, ta uczta...

– To wino – wtrąca Anjali, podnosząc kielich w moją stronę.

– Tak, wszystko na cześć Viraji. – Tarek dolewa sobie trunku, aby wznieść toast. Zdobynam się na nieznaczny uśmiech.

Po drugiej stronie podwyższenia muzycy grają na litofonach*. Między stołami wiruje tancerka, a każdy jej ruch jest precyzyjny i zrównoważony. Gesty rąk harmonizują z dźwiękami, a stopy wykonują niezwykle rytmiczny układ. Tarek postukuje palcami i wodzi wzrokiem za tańczącą kobietą jak jastrząb obserwujący mysz na polu.

Wciąż nigdzie nie widzę Jayi.

Wokół rozbrzmiewają śmiechy. Fareeshah szczyrzy zęby, usta ma pełne jedzenia. Czy ja też powinnam się delektować tą uczta, jakby to był mój ostatni posiłek? Wbijam wzrok w swój nietknięty talerz ze stygnącym już jedzeniem.

Po kolejnym daniu, którego nawet nie próbuję, służące przechodzą od stołu do stołu z koszykami wypełnionymi drewnianymi losami. Każda z moich rywalek wyjmuje jeden z nich i porównuje go z tymi wyciągniętymi przez jej sąsiadki. W ten sposób moje przeciwniczki zostaną dobrane w pary, w których zmierzą się w pojedynkach.

Służąca przynosi koszyk do Anjali, a ta zanurza w nim dłoń i wyciąga patyczek. Uśmiecha się szeroko i zaostrzonym końcem dłubie sobie w zębach.

Dławiony chichot Tarka dudni mi w uszach.

– Chodź – zaprasza ulubienicę, aby usiadła przy jego boku, a gdy ta wciska się między nas, ja z zadowoleniem się odsuwam, robiąc jej miejsce. – Walczysz jutro, moje słodkości?

Anjali pieści jego kark.

– Boisz się o mnie?

– O ciebie? Nigdy. – Składa na jej czole pocałunek, który ma zapewnić Anjali szczęście.

Jestem po części zniesmaczona, a po części zaintrygowana. Radza troszczy się o nią, a jednak chce, aby walczyła na śmierć i życie. I co niezwykle, choć nie powołał jej na swoją rani, ona go uwielbia. Widać Tarek zna jeszcze więcej sztuczek niż Lakia. Umie wykorzystać urok, brawurę i uczucia. Czy wszystkie te kobiety są gotowe umrzeć za jeden jego pocałunek? Czy może odgrywają swoje role, aby przetrwać? Radza uważa się za boga, ale nie boję się jego władzy bardziej niż potęgi bogów. I nie wierzę, że tylko ja jedna.

Z resztą uczy radzę sobie tak jak z długim dniem w uciążliwym słońcu pustyni. Eshana napełnia kielich Tarka, a Lakia i Anjali rywalizują o miejsce na jego kolanach. Ja się wymykam. Tylko Mathura dostrzega moje wyjście, ale dalej pali swoją fajkę. Manas i Yatin czekają na mnie w korytarzu, lecz nie ma z nimi Devena.

Przed wyjściem z sali tronowej dogania mnie Natesa.

– Kalindo, widziałaś Jayę? Słyszałam, że powołał ją generał.

Nigdy nie powiedziałabym jej, gdzie jest Jaya, po tym, co jej zrobiła, ale tę uwagę wolę przemilczeć.

Natesa ma rozmazany kohl wokół oczu, jakby przed chwilą płakała. Ochronnym gestem obejmuje się ramionami.

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy z nią wszystko w porządku. Uważasz, że mnie to nie obchodzi, wiem, ale to nieprawda.

Tak bardzo zaskakuje mnie jej szczerść, że odwdzięczam się tym samym.

– Nie wiem, gdzie ona jest. Widziałam ją z generałem na pokazach

kunsztu, ale od tamtej pory już nie.

Marszczy czoło, w jej oczach dostrzegam niepokój. Ledwie poznaję dawną Natesę w tej płacziwej młodej kobiecie.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

Ogląda się przez ramię na dwóch benefaktorów obserwujących ją ze swoich miejsc przy stole w głębi sali.

– Nic mi nie jest – odpowiada i dodaje z gburowatą miną: – Wracaj do swojego prywatnego skrzydła, gdzie masz święty spokój.

Serce zaczyna mi walić.

– Nateso, ja...

– Jeśli zobaczę Jayę, powiem jej, że jej szukasz.

Natesa wraca do czekających benefaktorów, którzy witają ją wygłodniałymi łapskami i przymilnymi uśmiechami. Gdy jej dotykają, oczy dziewczyny zachodzą łzami, co przypomina mi, jak Jaya zachowywała się u boku Gautama. Mam tak wysuszone gardło, że z trudem przełykam ślinę. Ruszam do swojej komnaty, a za mną podążają strażnicy. Staram się nie myśleć o niepokoju, z jakim Natesa pytała o Jayę, ale to uczucie już się we mnie zaległo. Martwię się o obie.

Zatrzymuję się pod drzwiami komnaty i odwracam wzrok od strażników.

– Przekażcie Ashy, żeby mi nie przeszkadzała dziś wieczorem.

– Viraji – mówi Yatin ze swoim lekko gardłowym „r” – potrzebujesz czegoś?

– Właściwie tak. Generał Gautam powołał nową żonę. Chciałabym się z nią spotkać. Przekażcie moją prośbę jej służącym.

Wchodzę do komnaty i zamykam za sobą drzwi. Góra satynowych poduszek przyzywa mnie do łóżka. Kładę się, ale kątem oka widzę koszyk wypełniony wyzwaniami. Zaciskam powieki. Może jeśli bardzo się postaram, uda mi się wyobrazić, że jestem z Jayą w naszej komnacie i właśnie

szykujemy się do snu. Nagle coś się porusza u moich stóp. Siadam, opierając się na łokciach, i widzę okrągłe wybrzuszenie pod narzutą.

Ześlizguję się z łóżka, nie spuszczać wzroku z tej wypukłości, która teraz zmienia kształt i przypomina długi, gruby sznur. Sięgam po sztylet Yasmin i staram się wyrównać oddech. Cokolwiek jest w moim łóżku, znalazło się tam po to, bym nigdy nie postawiła stopy na turniejowej arenie. Gwałtownym ruchem odrzucam narzutę, aż poduszki rozsypują się po komnacie jedwabnym deszczem.

W nogach łóżka zwija się czarny wąż, rozdrażniony utratą przytulnego legowiska. Cofam się o krok, celując czubkiem sztyletu w stronę cienkiej żmii. Wąż syczy, a ja nieruchomieję. Sztylet jest za krótki i na nic mi się nie przyda. Kolejny ruch może spowodować jadowitego gada do ataku, ale muszę spróbować. Powoli się wycofuję. Żmija otwiera paszczę i syczy głośniej, gotowa zanurzyć półprzezroczyste zęby jadowe w moim ciele.

– Nie ruszaj się – słyszę.

Ognisty wchodzi do środka przez otwarte drzwi balkonu i zbliża się do łóżka od drugiej strony. Wąż koncentruje się na mojej osobie, czujnie wodząc po mnie ciemnymi oczami. Ognisty podkrada się za nim i jednym machnięciem topora odrąbuje mu łeb. Ogon wije się przez chwilę, po czym nieruchomieje, martwy.

Ognisty wsuwa swój topór do skórzanej pochwy przytroczonej do pasa. Nie wypuszczając sztyletu z dłoni – choć widziałam, co bhuta potrafi zrobić gołymi rękami – robię krok do tyłu. Zastanawiam się, czy wezwać strażników, ale szczerze mówiąc, spodziewałam się tej wizyty.

Podnosi szczątki węża, wrzuca je do kominka i przykrywa podpałką.

– Ktoś chce cię zabić – mówi.

– Wielu ktosiów. – Kiwnięciem głowy wskazuję na koszyk z wyzwaniem. – Musisz stanąć w kolejce.

– Nie chcemy cię zabić, Viraji. Chcemy ci pomóc.

– My? – pytam.

Uśmiecha się tajemniczo. Z uśmiechem wydaje się mniej groźny, a nawet przystojny, ale wygląd to zawodny wykładnik charakteru. Radża Tarek też jest urodziwy.

– Znalazłam księgę, którą mi zostawiłeś.

– Przywódca chciał, byś ją miała. – Przyciska czubki palców do podpałki, która natychmiast zajmuje się ogniem. Płomienie trawią drewno i truchło węża. Ognisty otrzepuje ręce i się prostuje. Bez ciemnej peleryny wydaje się mniej zwalisty, przypomina raczej wygłodzonego wilka. Z kieszeni wyjmuje recepturę toniku i ostatnią fiolkę leku.

– Grzebałeś w mojej torbie!

– Powinnaś lepiej ją schować.

Ciska recepturę w ogień. Rzucam się naprzód i padam na kolana przed kominkiem. Wystarczy kilka sekund, by ogień pożarł papier. Ognisty odkopuje upuszczony przeze mnie sztylet na bok, aż pod łóżko. Fiolkę trzyma w dwóch palcach.

– Są tu dwie trucizny. Nie zastanawiałaś się, dlaczego cię nie zabiły? Zażyłaś to dziś rano, a jednak wciąż tu jesteś.

Zrywam się na równe nogi.

– Śledziłeś mnie.

Zbywa moje oskarżenie machnięciem ręki.

– Chodzi o to, że żyjesz. Twoje moce wypalają tonik, zanim cię otruje. To dlatego musisz zażywać go codziennie, aby nie trawiła się gorączka.

– Nie mam mocy. Mam ataki gorączki. – Nawet w moich uszach ten argument brzmi słabo.

– Nie bierze się trucizny każdego ranka w obawie przed gorączkowaniem. Boisz się tego, kim możesz być i co możesz robić bez jej codziennej dawki.

Mina mi rzednie, gdy słyszę swoje obawy wyrażone tak zwięźle. Spojrzenie Ognistego łagodnieje.

– Wiem, jak to jest, gdy musisz się ukrywać, ale nie możesz wiecznie tłumić tego, kim jesteś. Uodpornisz się na te trucizny, a wtedy twoje moce obrócą się przeciwko tobie. – Przed oczami pojawia mi się obraz wygiętego grzebienia i czuję bolesną suchość w ustach. – Możemy ci pomóc. Możemy też pomóc twojej przyjaciółce uciec od generała.

– Wiecie o Jayi? – szepczę.

Podchodzi do mnie z uśmiechem.

– Omówimy warunki naszej umowy, kiedy zgodzisz się przestać ukrywać, kim jesteś. – Gdy się ku mnie pochyla, czuję w uchu jego gorący oddech i mój puls przyspiesza. – Zostało nas tak niewiele. Gdy ujrzałem cię po raz pierwszy, myślałem, że to miraż, ale przecież stoisz przede mną, a w twoich żyłach płonie ogień.

W piersi wzbiera mi tęsknota. Ognisty jest taki jak ja. Przez całe życie te niebezpieczne gorączki oddzielały mnie od innych. Nigdy dotąd nie spotkałam nikogo z taką samą przypadłością.

Kładzie ostatnią fiolkę na stoliku nocnym.

– Nie masz zbyt wiele czasu. Musisz dokonać rzeźnięcia, zanim skończy ci się tonik.

Sięgam po fiolkę, nim Ognisty zmieni zdanie i ciśnie ją w ogień za recepturą. Rzeźnięcie, cokolwiek to oznacza, może się okazać moją jedyną ochroną przed gorączkami. Ale dlaczego Ognisty i przywódca bhutów chcieliby mi pomóc?

– Turniej zaczyna się jutro – odpowiadam wymijająco.

– Wciąż macie czas, ty i twoja przyjaciółka. – Ognisty oddala się zamaszystym krokiem w stronę balkonu. Gdy się odwraca, jego miodowe oczy lśnią w blasku księżyca. – Wrócę jutrzejszej nocy po twoją odpowiedź. Rozważ naszą propozycję dla dobra własnego i swojej przyjaciółki.

Przeskakuje przez balkon. Podbiegam do balustrady i spoglądam w dół na pogrążony w mroku ogród. Ognistego już nie ma, zniknął jak zduszony płomień, po którym nie pozostaje ani smużka dymu.

* Litofon – rodzaj instrumentu perkusyjnego samobrzmiącego. Dźwięki są wytwarzane przez uderzanie w kamienne sztaby o różnej wielkości i formie (przypr. tłum.).



Następnego ranka do komnaty przychodzi Yatin. Spieszę mu na spotkanie w drzwiach, gdy tylko Asha kończy szczotkować mi włosy.

– Znalazłeś Jayę?

– Przesyła przeprosiny. Jej mąż zakazuje jej spotkań z tobą, ale życzy ci szczęścia podczas turnieju.

Zaciskam szczęki. „Gautam zakazuje Jayi spotkań ze mną? Jeszcze się przekonamy”.

– Dziękuję, Yatinie. Jestem gotowa, możemy iść.

Rano zażyłam tonik. Choć wciąż w uszach rozbrzmiewa mi ostrzeżenie Ognistego, nie mogę dopuścić, by ogarnęła mnie gorączka.

Asha poprawia fałdę mojej spódnicy. Złote sari otacza mnie jak chmura, a srebrny haft tworzy wokół dekoltu choli eteryczną lamówkę. Kąciki oczu mam podkreślone kohlem, a usta zabarwione czerwonym sokiem. Asha przeszła samą siebie, ale to złudzenie urody nie jest w stanie ukoić mojego niepokoju. Dziś pierwszy dzień turnieju. Yatin i Manas odprowadzają mnie do głównego foyer. Strażnicy pałacowi są rozstawieni co kilka metrów na całej długości labiryntu korytarzy. Inni zajmują swoje stanowiska pod ścianami holu przy głównym wejściu, gdzie roi się od rani i kurtyzan, plotkujących o dzisiejszych walkach.

Jeśli chodzi o strażników, to zauważam dwie rzeczy. Po pierwsze, nie ma

wśród nich Devena, a po drugie, każdy z nich wydaje się spięty.

– Co się dzieje? – pytam Manasa.

Odpowiada nieco głośniejszym szeptem:

– Z samego rana jakiś intruz próbował się wdrzeć do komnat radży. Wciąż go szukamy.

Bacznie przyglądam się strażnikom. Czy po rozstaniu ze mną Ognisty postanowił się zakraść do komnat radży w poszukiwaniu księgi *Zhaleh*? Tak czy owak, nie wiem, jak uda nam się dzisiaj spotkać, skoro ściga go cała straż pałacowa.

Radża Tarek schodzi głównymi schodami w otoczeniu swojej eskorty. Jest wytwornie ubrany – ma na sobie złotą szatę ozdobioną srebrnym wzorem paisley, a pod nią ciemne spodnie. Głowę spowija mu satynowy turban. Sądziłam, że Asha stara się, abym wyglądała jak najurodziwiej dla mieszkańców Vanhi, ale teraz rozumiem, że wybrała dla mnie strój pasujący do szat naszego władcy.

Radża przyciąga uwagę każdej kobiety w holu, ale podchodzi do mnie.

– Z każdym dniem jesteś piękniejsza, moja miłości. – Gdy mnie całuje w policzek, czuję mdłości. Mimo tak wczesnej pory czuć od niego zapach apongu zmieszany z kobiecymi perfumami. Tarek masuje mi biodro kolistym ruchem dłoni.

– Jestem cierpliwym mężczyzną, lecz nie wiem, czy zdołam się powstrzymać do naszej nocy poślubnej.

Spuszczam wzrok, czując ogarniający mnie niesmak. „Ja mogę czekać choćby przez tysiąc wcieleń”.

Położywszy dłoń na mojej talii, kieruje mnie ku schodom prowadzącym na dziedziniec. Na wschodnim niebie poranne słońce wznosi się coraz wyżej, w chwale godnej boga pustyni. Zgromadzony tłum napiera na bramy, wznosząc okrzyki na cześć rani i kurtyzan, wylewających się z pałacu za nami. Oglądam się przez ramię, bo czuję się nieswojo, mając rywalki za

plecami. Każda z nich mogła podłożyć mi do łóżka żmiję. Nie znam ich na tyle dobrze, by mieć co do tego pewność, ale najprawdopodobniej zrobiła to Anjali. Wczoraj wieczorem nie schodziła z kolan Tarka i bez wątplenia pragnie zostać jedną z jego żon.

Widzę, jak rozmawia z grupą innych kurtyzan. Szukam na jej twarzy zaskoczenia, że widzi mnie żywą, ale ona nawet nie zerka w moją stronę.

Dziedziniec roi się od służących, żołnierzy i strażników pałacowych. Są tu też egzotyczne zwierzęta, które znam tylko z książek. Tarek przystaje przed słoniem, który jest niemal tak wysoki, jak mur obronny. Do grzbietu bestii przymocowano lektykę z baldachimem z czerwonego jedwabiu, zwaną howdah.

– Mamy jechać na tym? – pytam Tarka, przekrzykując gwar.

– Zapewniam cię, że to bezpieczne.

Służący przysuwają do boku słonia schodki, po których wspinamy się na chwiejące się wysoko siedzenie udekorowane połyskującymi rubinami. Usadowiwszy się w ciężkim howdah, oglądam się za siebie i widzę jeszcze cztery słonie. Wszystkie mają przymocowane do grzbietów lektyki przeznaczone dla czterech ulubienic radży.

Lakia właśnie wspina się po stopniach na swojego słonia. Nienawidzi mnie bardziej niż moje pozostałe rywalki razem wzięte, ale to nie ona włożyła mi węża do łóżka. Lakia pragnie zakończenia turniejów niemal równie mocno, jak ja. Na razie nie jestem żoną radży, a zabicie mnie przed ślubem zmusiłoby Tarka do znalezienia sobie innej Viraji, która zostałaby jego ostatnią rani. Wówczas całe to wielkie widowisko śmierci zaczęłoby się od nowa.

Straż pałacowa gromadzi resztę rani i kurtyzan. Albo pójdą do amfiteatru pieszo, albo pojadą na wielbłądach, zasiadłszy w siodłach udekorowanych złotymi frędzlami. Z wysokości mojego miejsca rozglądam się po całym tym rozgardiaszu, szukając swoich strażników. Yatin znalazł Natesę i krąży wokół niej. Manas dzierży sztandar ze skorpionem – godłem Imperium Tarachandu.

Nie widzę Devena. Jego nieobecność nie powinna mnie martwić, ale wczoraj rozstaliśmy się dość raptownie, więc mógł pomyśleć, że się na niego gniewam. Może po egzekucji Taline zmienił zdanie i już nie jest moim strażnikiem.

Tarek bierze łyk z flaszki, czekającej w lektyce.

– Ucichłś, Kali.

Jego obojętny ton sprawia, że cała się spinam i natychmiast rozluźniam czoło.

– Poprosiłam strażników, aby przekazali żonie Gautama, że chcę się z nią spotkać. Generał poślubił moją przyjaciółkę Jayę. Pamiętasz ją z prób kunsztu?

– Ach, tak. Natesa skaleczyła ją w policzek.

„Przez ciebie”. Tłumię w sobie urazę, zanim zdąży się wylać z moich ust.

– Bardzo chciałabym się z nią zobaczyć. Czy mógłbyś mi w tym pomóc?

Całuje mnie w policzek.

– Dla ciebie, moja miłości, czego tylko zapragniesz.

Grymas wdzięczności przemienia się w szeroki uśmiech triumfu. Teraz Gautam będzie musiał zezwolić na nasze spotkanie.

Rozlega się gong i tuzin służących otwiera złote bramy pałacu. Oddział konnicy oczyszcza drogę, odsuwając ludzi na boki. Niebo i ziemia zdają się trząść, gdy howdah kołysze się na prawo i lewo przy każdym imponującym kroku słonia. Trzymam się kurczowo drążka przed sobą, modląc się, by nie wypaść. Tarek uśmiecha się szeroko z chłopięcą radością. Trudno uwierzyć, że jest budzącym lęk radzą Imperium Tarachandu.

Ulice Vanhi są prawie nieprzejezdne. Wieśniacy – mężczyźni, kobiety i dzieci – wylegli przed swoje glinianki i stojąc ramię w ramię wzdłuż całej drogi, przepychają się, aby zapewnić sobie lepszy widok.

– Viraji! – krzyczą, powiewając czerwono-czarnymi flagami imperium.

Zdumiewa mnie ich uwielbienie. Jeszcze niedawno byłam skromną podopieczną świątyni. Nie osiągnęłam niczego, co mogłoby uzasadniać taką uwagę.

– Pomachaj do swoich admiratorów – mówi Tarek. – Wierzą, że jesteś wcieleniem setnej rani Enlila. Stałaś się żywą legendą.

Tłumię chęć zmarszczenia czoła. Chciałabym im wszystkim powiedzieć, że nie jestem bohaterką, lecz powstrzymuje mnie ich wiara w to, co sobą symbolizuję. Nie mogę ich ograbić z wiary w bogów. Uśmiecham się z przymusem i macham w stronę zwróconych ku mnie brudnych twarzy. Wielu z pozdrawiających mnie ludzi ma ramiona chude jak patyki, a w ich szatach jest więcej dziur niż w drogach. Zawstydzają mnie to krzykliwe bogactwo naszego orszaku. Za jeden rubin zdobity howdah można by żywić całą rodzinę przez wiele miesięcy, a jednak żaden z wieśniaków nie ośmiela się przedrzeć przez kordon uzbrojonych żołnierzy, aby go zdobyć. Nie potrafię jak Tarek zasiadać na złotym tronie, nie czując do siebie odrazy.

Gdy radza nie patrzy, wyrywam garść klejnotów z boku howdah i rzuca je w tłum. Rubiny spadają na ludzi, którzy szybko uświadamiają sobie, co się dzieje, i jeden przez drugiego rzucają się na drogocенności z wyciągniętymi rękami. Żołnierze zeskakują z koni i przepychają się przez gmatwaninę ciał, by uspokoić zamieszanie.

– Co to za rejwach? – woła radza do jednego ze strażników.

– Viraji rzuciła rubiny na ulicę – odpowiada zapytany.

Tarek mnie obejmuje.

– Czyż nie jest miłosierna? – wykrzykuje, aby wszyscy go usłyszeli. Strażnicy wracają do swoich obowiązków, a on zaciska dłoń na moim ramieniu. – Chcesz mnie rozgniewać?

– Chcę zaskarbić ci ich oddanie, Wasza Wysokość. – Kłamstwo smakuje jak kurz na języku. Kolejni żołnierze się zatrzymują, aby rozpędzić tłum.

– Nie trzeba rzucać im klejnotów, by zdobyć ich oddanie. Moi ludzie

mnie kochają. Czy wiesz dlaczego? – Radza Tarek całuje mnie w ucho, po czym jeszcze przez chwilę muska je wargami. Cały świat widzi w nas kochanków pogrążonych w intymnej rozmowie. – Daję im to, czego najbardziej pragną. Nie chleba, ubrań czy pieniędzy. – Jego natarczywy głos dźwięczy w mojej głowie. – Daję im turnieje tronowe. Daję im krew.



Niemal godzinę po opuszczeniu pałacu na horyzoncie pojawiają się okrągłe mury amfiteatru. Widzowie napływają do środka przez otwarte bramy rozmieszczone wokół tej potężnej budowli z kamienia i cegły. Nasz słoń zatrzymuje się przed wysokim łukowym wejściem, a służba podsuwa stopnie, po których schodzimy na ziemię.

Otacza mnie mnóstwo ludzi – wokoło widzę tyle twarzy, ile jest ziarenek piasku. Tarek bierze mnie za rękę i podnosi ją wysoko. Nasza widownia wiwatuje, a my przechodzimy na czele orszaku dworskiego przez bramę i wkraczamy w półmrok korytarzy amfiteatru.

Cesarska loża znajduje się pośrodku jednego z węższych końców owalnego stadionu, oddzielona solidnymi kamiennymi murami od pozostałych kondygnacji. Pod nami rozciąga się płaska marmurowa platforma – podium. Żony i kurtyzany Tarka zajmują miejsca w pierwszych rzędach, rywalizując o najlepszy widok na arenę. Z prawej i lewej strony ciągną się dwie kolejne kondygnacje, które otaczają cały stadion. Benefaktorzy zajmują miejsca na środkowych trybunach. Mimo porannej pory większość z nich zdążyła już głęboko zajrzeć do kielicha. Trzecia i najwyższa z kondygnacji jest przeznaczona dla klas niższych.

Obszarpany baldachim osłania część siedzeń, a ponad tym lichym zadaszeniem lśnią jak złote księżycy mosiężne gongi. Ze zdumieniem spoglądam na ten niebywałych rozmiarów amfiteatr i morze ludzi. Musieli się tu zgromadzić wszyscy mieszkańcy Miasta Klejnotów. Tarek zasiada na tronie i gestem nakazuje mi zająć drugi, po swojej lewej stronie. Lacia siedzi na tronie po jego prawicy. Reszta dworu będzie oglądała turniej z trybun pod nami.

Z podziemnej kondygnacji, wychodząc przez żelazne bramy, wyłaniają się dobosze. Wybijając marszowy rytm, wkraczają na arenę, a dźwięki muzyki uciszają tłum. Dobosze formują rząd przed cesarską lożą, gdzie kończą występ.

W tej nagle zapadłej ciszy radża Tarek podchodzi do balustrady i zwraca się do swoich poddanych:

– Witajcie na turnieju tronowym mojej setnej Viraji!

Odpowiada mu ogłuszający aplauz tysięcy widzów. Benefaktorzy wiwatują najgłośniej, a przy tym tupią. To przez nich Deven nie chciał, abym myślała, że turnieje sprawiają mu przyjemność. Nie pasuje tutaj.

Tarek czeka, aż hałas ucichnie, po czym mówi dalej:

– Imperium Tarachandu przygotowuje się do objęcia najwyższej władzy. Wkrótce zostanę najpotężniejszym monarchą na całym kontynencie. Przysięgam wam, że skończą się czasy pobłażliwości. Mocą swojego pierwszego dekretu uwolnię nasze wspaniałe imperium od dręczących go demonów. Potem ruszymy dalej w świat, aby raz na zawsze wytepić plemię bhutów!

Jego podwładni tupią z aprobatą, napełniając mnie lękiem. Imperium Tarachandu ma najsilniejszą armię na kontynencie. Na razie Tarek potrzebuje jej do walki z bhutami na własnym terytorium. Jednak po ich wytepieniu w swoim kraju będzie mógł rozpocząć podbój innych terenów.

– Niech rozpocznie się turniej! – wykrzykuje radża.

Mężczyźni w wieżach uderzają w gongi, które rozbrzmiewają unisono. Przez bramy poniżej wkraczają na arenę dwie kurtyzany uzbrojone w żelazne tarcze i hełmy. Mogą walczyć gołymi rękami, kijami lub bronią sieczną.

Prowadzący turniej ogłasza, że pojedynek stoczą Ameya i Shanti. Na dźwięk swojego imienia każda z kobiet wznosi broń. Ledwo je widzę z tak odległego miejsca, ale ich imiona brzmią znajomo. Ameya wydaje się wyjątkowo drobna. Uzbrojona jest w haladie, sztylet o dwóch ostrzach.

Mądry wybór. Wątpię, by miała dość sił, aby wymachiwać czymś cięższym. Mimo to nie sędzę, aby pokonała swoją większą rywalkę. Modlę się, by dowiodła, że się mylę.

Dziś rano Asha wyjaśniła mi reguły rządzące turniejem. Codziennie odbędą się cztery pojedynki, w których osiem uczestniczek będzie walczyło ze sobą w parach. Następnie cztery zwyciężczynie zmierzą się ze sobą w walce finałowej. Ostatnia z kobiet, która pozostanie przy życiu, zdobędzie tytuł mistrzyni dnia. Tak będzie przez trzy pierwsze dni, a czwartego trzy mistrzynie zmierzą się ze mną w ostatecznej walce. Te zasady napawają mnie odrazą. Tylko trzy z dwudziestu czterech kobiet przeżyją, żeby stanąć do walki ze mną.

– Szybciej! – Lakia popędza służące wachlujące ją strusimi piórami. Ona też będzie walczyła dopiero w ostatnim dniu. Zmierzy się ze swoimi rywalkami tuż przed moją walką.

Inne służące wachlują siedzące niżej żony i kurtyzany. Te zawodniczki, które dziś nie będą się pojedynkowały, siedzą na swoich miejscach, pochylając się do przodu. Wkrótce nadejdzie ich kolej. Każda z kobiet na arenie może któregoś dnia zostać ich – lub moją – przeciwniczką.

Rozlega się gong, sygnalizując rozpoczęcie pojedynku. Wyższa i silniejsza Shanti rzuca się na swoją rywalkę. Drobną Ameya porusza się zwinnie i żwawo. Uchyła się przed ostrzem khandy i blokuje ciosy swoim haladzie. Shanti kaleczy ją w rękę i Ameya się wycofuje. Chciałabym zamknąć oczy i odgrodzić się od tej krwi, ale choć te kobiety walczą między sobą, to mnie wyzwały na pojedynek. Nie będę mogła odwracać wzroku, gdy znajdę się na arenie, i nie będę tego robiła teraz.

Shanti okrąża Ameyę. Zaciskam palce na poręczach tronu. Ameya atakuje i udaje jej się zadrasnąć plecy przeciwniczki. Shanti zerka badawczo na niegroźną ranę i bierze odwet. Ameya uchyła się przed ciosem, ale Shanti przewiduje jej unik w bok. Ostrze zawraca i wbija się w brzuch Ameyi. Drobną kobietą zgina się wpół jak przedarta papierowa lalka i zakrwawiona

pada bezwładnie na ziemię.

Od powstrzymywanych łez kręci mnie w nosie. Przewidziałam taki koniec tej walki, ale przeraża mnie ta rzeź, ta zgroza i przyprawiający o mdłości odór krwi unoszący się nad areną.

Lakia ziewa.

– Mam nadzieję, że nie wszystkie twoje kurtyzany dają się tak łatwo pokonać.

– Tak, zapowiada się nudny dzień – odpowiada Tarek i pociąga łyk ze swojej flaszki.

Piorunuję ich wzrokiem. Ameya właśnie poświęciła swoje życie. Tak bardzo pragnęła wolności, że wolała śmierć od losu kurtyzany. Mam ochotę podrapać wymuskaną twarz Tarka, ale zamiast tego idę za radą Mathury. Sycę się nienawiścią, przeobrażam ją w coś większego, groźniejszego, bardziej złowrogięgo.

Poczekam.

Przyczaję się w mroku, a gdy nadejdzie właściwy czas, pożrę radzę Tarka żywcem.

Służący wtaczają na arenę wózek i wrzucają do niego ciało Ameyi.

– Dokąd ją zabierają? – pytam.

– A jak myślisz? – Lakia przygląda się swoim pomalowanym paznokciom. – Radzy już się na nic nie przyda. To śmieć.

– Trzeba odmówić modły nad jej ciałem, zanim zostanie pochowane – oburzam się.

– Bogowie nie dbają o martwe ladacznice – odpowiada znudzona Lakia.

– Bogowie dbają o honor i siostrzeństwo, a nie o ten festiwal śmierci. –
Osuwam się z tronu na kolana i skłaniam głowę.

– Wstań! – syczy Lakia.

– Najpierw się pomodłę.

– Kalindo. – Tarek mówi cichym, martwym głosem. – Usiądź.

Zwiesiwszy głowę, spoglądam przez tralki balustrady na niższy balkon. Natesa podnosi na mnie wzrok, w jej oczach widzę łzy. Pewnie myśli o starszej siostrze, zastanawia się, czy ktoś odprawił modły nad jej ciałem. Pochylam głowę i mówię:

– Bogowie, pobłogosławcie duszę Ameyi, aby dotarła do bram, za którymi znajdzie spokój i wieczne światło.

Pod nami Natesa powtarza modlitwę o spoczynek, a Shyla błogosławi duszę Ameyi. Potem przyłączają się Eshana i Parisa. Milkną cicho pogwarki, zastąpione cichym pomrukiem. Modlitwę podchwytyją inne rani, skłaniając głowy na znak szacunku. Każda kurtyzana i rani, poza Lakią, oddaje cześć poległej młodej kobiecie. Nagły przypływ dumy każe mi się podnieść i wrócić na tron.

Tarek pochyla się ku mnie i poklepuje mnie po kolanie.

– Uwważaj, Kali – ostrzega mnie cicho. – Nie chcesz, by zmęczyła mnie twoja zuchwałość. Nadal mnie bawisz, ale to się może szybko zmienić.

Odsuwam się od niego, czując, jak burzy się we mnie krew. Tylko Tarek mógł uznać modlitwę za przejaw buntu, ale nie muszę więcej okazywać wsparcia dla pokonanych. Moje przesłanie już dotarło do jego dworu. Kobiety, które zginą podczas tego turnieju, nie są śmieciami. To nasze siostry.

Znów rozlegają się gongi i prowadzący ogłasza rozpoczęcie drugiego pojedynku. Przyglądanie się rzezi podczas kolejnych dwóch walk wcale nie przychodzi mi łatwiej, za to uśmiech Lakii jest coraz szerszy, bo dla niej każda śmierć oznacza mniej rywalek, z którymi musi się dzielić mężem.

W południe następuje przerwa na posiłek. Każę zabrać tacę z jedzeniem, bo nie jestem w stanie niczego przełknąć. Klepisko areny, do niedawna brunatne, teraz jest zbryzgane krwią. Nie wiem, jak znajdę w sobie odwagę,

by przyłożyć rękę do tej jatki, gdy nadejdzie mój czas.

Po skończonym posiłku do czwartej walki zostają wezwane Anjali i Cala. Tarek siedzi zadowolony na swoim tronie, nie okazując niepokoju o najmłodszą ze swoich czterech ulubienic. Na dźwięk gongów Cala rzuca się naprzód. Anjali odcina jej ramię już pierwszym ciosem. Cala pada na kolana z rozdzierającym krzykiem, który jej rywalka ucisza kolejnym ciosem, prosto w serce.

Tarek głośno klaszcze, a Lakia rzuca mu gniewne spojrzenie. Odsuwam się od nich ze wstrętem. Widząc, jak walczy Anjali, jestem pewna, że może mnie pokonać. Ktoś, kto potrafi to, co ona, nie musi się uciekać do podstępów. Jakaś inna kurtyzana musiała podrzucić mi żmiję do łóżka, a skoro cztery z moich rywalek już są martwe, być może nigdy nie odkryję winowajczynie.

Cztery zwyciężczynie zostają wezwane do dzisiejszej walki finałowej. Wszystkie poza Anjali odniosły rany w poprzednich pojedynkach. Samolubnie pragnę, by zginęły jak najszybciej, kończąc tę jatkę.

Tłum milknie. Dźwięk gongów przenika mnie aż do szpiku kości. Przeciwniczki zaczynają atakować. Zmęczone ramiona wymachują ciężką bronią. Panującą na trybunach ciszę przerywają jedynie jęki bólu dobiegające z areny. Gdy pierwsza z czterech kobiet pada pokonana, widownia się ożywia. Potem ginie druga. Wybucho szaleńczy aplauz. Na arenie pozostają już tylko Anjali i Shanti.

Tarek pochyła się do przodu, wbijając wzrok w Anjali. Jego ulubiona kurtyzana okrąża rywalkę, ale kuleje i ma opuszczoną rękę, w której trzyma khandę. Wyraźnie traci siły. Shanti zamierza się na nią, lecz Anjali robi unik i kopie przeciwniczkę w rzepkę. Shanti pada na ziemię.

Wzdrygam się, a publiczność wyje. Anjali wywija mieczem, popisując się przed tłumem, po czym staje nad ranną rywalką i wbija ostrze między jej oczy. To bezlitosny triumf, na widok którego moja dusza truchleje.



Podczas powrotnej podróży do Turkusowego Pałacu bronię się przed błędzącymi dłońmi Tarka i jego niedbałymi pocałunkami. Zawsze tak się zachowuje, kiedy jest pijany, ale ma wtedy spowolnione reakcje. Zostawiam go przy howdah i pędzę przez zatłoczony dziedziniec do pałacu, wyprzedzając nawet swoich strażników.

Jak we śnie przebiegam korytarzami i wpadam do swojej komnaty, gotowa krzyczeć i płakać. Deven odwraca się plecami do balkonu, z którego przed chwilą oglądał przybycie orszaku, i patrzy na mnie ze współczuciem. Na jego widok opada ze mnie napięcie, które dręczyło mnie przez cały dzień. Ciepłe łzy spływają mi po policzkach. Deven otwiera ramiona, a ja zatapiam się w nich, szlochając.

– Patrzyłam, jak te kobiety umierają, i nic nie zrobiłam.

Głaszczę mnie po plecach, a jego pieszczoty są tak delikatne, jak jego głos.

– One chciały walczyć.

Łzy płyną mi coraz obficie. Deven ma rację, ale to nie umniejsza piętna, jakie śmierć odcisnęła na moim sercu. Otaczające mnie pałacowe mury zdają się rozrzedzać i czuję Zaświaty. Mam świadomość własnej kruchej śmiertelności, tej cienkiej granicy oddzielającej życie od śmierci. Deven tuli mnie do siebie, dopóki nie uchodzi ze mnie cały smutek.

Ocieram mokre policzki.

– Myślałam, że już mnie nie ochraniasz.

– Myślałem, że tego sobie życzyłaś.

– Nie – szepczę. – Nie chcę, abyś odszedł. – Obiecałam Mathurze, że przypomnę Devenowi o mojej pozycji na dworze, ale przecież on wie, że jestem Viraji, a jednak go to nie zniechęca. Wtulam policzek w jego masywną pierś i rozkoszuję się nim, wdychając kojący zapach drzewa sandałowego.

– Przepraszam, że mnie tam dzisiaj nie było – mówi. Jego łagodność wywołuje u mnie kolejne strumienie łez. – Jayi też jest przykro. Rozmawiałem z nią, kiedy cię nie było. Mieszka tutaj, w pałacu.

Podnoszę na niego wzrok, czując, jak robi mi się lżej na sercu.

– Widziałeś się z Jayą?

– Zostałem chwilę dłużej, żeby ją odnaleźć.

Zarzucam mu rękę na szyję i jeszcze mocniej przytulam do siebie.

– Dziękuję.

Deven odsuwa nas od balkonu, w stronę ściany.

– Nie jesteśmy bezpieczni, Kali.

– I nigdy nie będziemy. – Po całym dniu gryzienia się w język tak bardzo cieszy mnie brak skrępowania, że słowa same płyną mi z ust: – Nie mogę zapomnieć o naszym pocałunku.

Deven wciąga mnie za jedwabne draperie, które spowijają nas przytulnym kokonem. Przywieram do niego.

– Ja też nie mogę zapomnieć, ale nie chcę, aby tak to wyglądało. Nie chcę czuć na tobie jego zapachu, nie chcę ciągle się oglądać za siebie w obawie, że każda chwila, którą spędzamy razem, może być moją ostatnią. Pragnę, żebyś była tylko moja, Kali.

Moje palce muskają miękkie włoski na jego karku, tuż pod turbanem.

– Ja też tego pragnę.

Nachyla się nade mną, nasze czoła się stykają. Wiem, że lada chwila się opamięta. Poczucie moralności każe mu się zatrzymać, a wtedy usłyszę, że nigdy więcej nie możemy się dotknąć. Ale Deven zdaje się wchłaniać mnie z każdym oddechem, jednocześnie przyciskając wargi do moich ust. Całuje mnie niecierpliwie, nie dbając ani o moralne zasady, ani o ryzyko. Przeczesuje moje włosy palcami, a ja rozumiem każde jego niewypowiedziane słowo. Powinnam to przerwać. Powinnam być tą rozsądną. Ale w moich uczuciach do Devena próżno szukać rozsądku.

Oddaję mu pieszczoty, a zrzuciwszy jego turban na ziemię, zanurzam palce w jedwabiste włosy. Deven obejmuje mnie mocno w talii, a jego pocałunki stają się głębsze. Po chwili rozluźnia uścisk i zaczyna mnie delikatnie głaskać. Powoli, bardzo powoli odsuwa wargi od moich ust.

Gwałtownie wypuszcza powietrze.

– Jaya czeka na ciebie w ogrodzie ziołowym. Yatin wskaże ci drogę.

Nie wiem, jak długo ukrywamy się za tą zasłoną, ale chcę pozostać w tym jedwabnym kokonie na zawsze.

– Ty mnie zaprowadź. – Przesuwam paznokciem wzdłuż linii jego szczęki ku dolnej wardze.

Ujmuje moją dłoń, całuje czubki palców i odsuwa ją od ust. Drugą ręką gładzi mnie po włosach. Jego zarumienioną twarz okala zmierzwiona czupryna miękkich loków.

– Radża widział, że podszedłem do ciebie podczas pokazów sztuki. Nie przyciągajmy więcej jego uwagi. – Deven jeszcze raz mnie całuje i uśmiecha się, by rozwiać mój niepokój. – Nic mi nie będzie. Idź do przyjaciółki.



– Kali! – Jaya zarzuca mi ręce na szyję i zamyka mnie w uścisku, który przypomina mi o ciemnych, zatęchłych korytarzach świątynnych, gdzie bezustannie paliły się kadzidła. – Przepraszam za tamtą wiadomość. To były

słowa Gautama.

– Wiedziałam, że nie twoje. – Odsuwam się, by jej się przyjrzeć i aż serce mi się kraje. Jest taka chuda – chudsza nawet ode mnie. Dzięki mistrzowskim szwom uzdrowicielki Baki jej policzek zagoił się tak, że została tylko ledwo widoczna blizna, ale na podbródku widzę ciemny siniak. Wściekłość na generała wypełnia mnie jak szalejący ogień, który aż parzy moje wnętrze.

– Mamy mało czasu – mówi Jaya. Przysiadamy na krawędzi podwyższonego klombu. Yatin dyskretnie czeka na drugim końcu ścieżki. – Gautam myśli, że jestem w swojej komnacie.

Uważnie przyglądam się jej twarzy, chłonąc każdy szczegół, każdą zmianę od naszego rozstania.

– Jak się miewasz?

– Trudno było mi opuścić Samiyę. Gautam nie jest człowiekiem łagodnym, ale staram się go nie rozgniewać. – Pociera posiniaczony podbródek i posyła mi fałszywie optymistyczny uśmiech. – Jak ci się wiedzie w pałacu?

– Mam zszargane nerwy. – Czuję się niezręcznie, narzekając, podczas gdy ona cierpiała znacznie większe katusze. – Nie przetrwałabym bez Devena, mojego strażnika. I muszę ci tyle opowiedzieć o Tarku – Jaya wybałusza oczy, słysząc, jak poufale wyrażam się o radży – i o jego rani, i kurtyzanach.

– Chcę o nich wszystkich posłuchać, a zwłaszcza o twoim strażniku, ale najpierw ja muszę ci o czymś powiedzieć. – Patrzy na mnie ze śmiertelną powagą. – Tej nocy, kiedy przybyliśmy do Vanhi, generał spotkał się z radżą. Podśluchiwałam pod drzwiami, gdy przez godzinę rozmawiali o jakiejś księdze, która nie powinna wpaść w ręce bhutów.

– O księdze *Zhaleh*.

– Tak właśnie ją nazywali. – Marszczy brwi, widząc, jak blednę. – To *Zhaleh* jest powodem tej wojny, prawda?

– Tak. Bhutowie chcą ją odzyskać. Wiesz, gdzie jest?

– Nie, ale Gautam i radza mówili, że gdzieś tutaj.

Więc *Zhaleh* naprawdę ukryto w pałacu. Może właśnie tego chcą ode mnie bhutowie – żebym odnalazła księgę.

– Mogłabym śledzić generała i coś odkryć – mówię.

– Nie. Gautam spotkał się z Pokrewną. Wymienili twoje imię, ale potem za daleko odeszli, bym mogła usłyszeć resztę. Obserwują cię.

Konszachty Lakii z Gautamem nie wróżą niczego dobrego. Muszę wyrwać Jayę z ich szponów i z tego miejsca.

W krzakach porusza się jakiś ptak. Jaya zerka na ścieżkę.

– Powinnam już iść.

Chwytam ją za rękę. Jej powrót do Gautama sprawia mi ból, jakby ktoś wbijał mi sztylet w bok, ale dzięki niej dowiedziałam się czegoś, co pozwoli mi zrobić następny krok.

– Wszystko będzie dobrze – obiecuję.

– Czyżby? – W jej oczach widzę zwątpienie.

– Bhutowie chcą mojej pomocy. W zamian wywiozą cię z Vanhi.

Jaya kręci głową.

– Zawsze to ty próbujesz chronić mnie. Pozwól, że tym razem ja pomogę tobie. Wiele się dowiedziałam, podsłuchując pod drzwiami. Zgódź się, żebym pomogła ci znaleźć *Zhaleh*.

– To zbyt niebezpieczne – odpowiadam stanowczo. – Nie możesz się w to mieszać.

– Już się wmieszałam.

Ma rację, a obwiniać o to mogę tylko siebie.

– Wybacz mi. Gdybyś na mnie nie czekała...

– Przecież właśnie tego chcieliśmy. Znów jesteśmy razem. – Uśmiecha

się i obejmuje mnie kościstymi ramionami. Próbuję wykrzesać z siebie trochę radości, ale wiem, że dopóki jest z Gautamem, będę się martwiła o jej bezpieczeństwo.

Jaya wypuszcza mnie z objęć i wciska mi do ręki jakąś buteleczkę.

– Sporządziłam olejek z jednej z moich roślin. Nałóż odrobinę na skórę, a każdy, kto cię dotknie, zachoruje.

„Z jednej z jej roślin. To jest trucizna”.

– Czy ja też się rozchoruję?

– Będzie cię bolała głowa dzień lub dwa. – Kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu. – Ale jego też.

Ściskam ją za rękę. Na pewno użyła tej mikstury przeciwko Gautamowi. Gdyby odkrył, że podała mu truciznę, nie skończyłoby się na posiniaczonej szczęce.

– Bądź ostrożna, Jayu.

– Ty też. Tak bardzo się o ciebie martwiłam. – Mocniej ściska moją dłoń. – I wtedy ujrzałam cię na pokazach sztuki. Nie mogłam w to uwierzyć... Jesteś stworzona do tego miejsca, Kali. Jesteś stworzona, by zostać rani.

Nie mówiłaby tak, gdyby wiedziała, jak jest mi trudno. Mam jej do powiedzenia znacznie więcej, ale Jaya całuje mnie w policzek i biegnie do pałacu, zostawiając mnie samą, z sercem, które przenika chłód.



Jem wieczerzę w swojej komnacie, a potem każę Ashy zabrać tacę i zostawić mnie samą. W pałacu wciąż roi się od strażników w stanie najwyższej gotowości, ale Ognisty przyjdzie. Musi, bo w przeciwnym razie zabraknie nam czasu.

Rysuję, aby wyciszyć umysł, lecz wciąż nie potrafię wymyślić kłamstwa, które opowiem Devenowi. Nie wiem, jak ukryć przed nim to, co muszę zrobić – nie mam jednak wyboru, bo wiem, że by tego nie zrozumiał.

– Pięknie rysujesz. – Deven siada przy mnie na łóżku i przygląda się mojemu dziełu. – Gdzie to jest?

– To oczko wodne do medytacji w Samiyi. – Zamykam szkicownik; głupio się czuję. – Nie mam pojęcia, dlaczego pomyślałam o mojej świątyni. Już nigdy jej nie zobaczę.

– Tego nie możesz wiedzieć. – Deven wyjmuję mi szkicownik z ręki i otwiera go. Przerzuca kolejne strony, aż zatrzymuje się przy portrecie boga ognia Enlila, który narysowałam zeszłego wieczoru, po wyjściu Ognistego. O bogu ognia wiadomo mniej; jego dzieje spowija mgła. Dlatego narysowałam go w chmurze dymu, ale nie udało mi się oddać jego rozżarzonych oczu.

Odbieram Devenowi szkicownik i odkładam go poza zasięg jego rąk. Chwyta się za kolana i patrzy na swoje dłonie.

– Myślałem o nas od naszego ostatniego spotkania i postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli po zakończeniu turnieju poproszę o przydzielenie mi innego zadania.

Przez chwilę jego słowa do mnie nie docierają, a potem opadam na stertę poduszek.

– Przecież mówiłeś...

– To było porywcze i samolubne. Nie powinienem był cię zwodzić. Jestem żołnierzem. Tego oczekują ode mnie bogowie. A ty... – Podnosi na mnie oczy, w których widzę zachwyt i żal. – Tobie przeznaczony jest los rani. Nie będę ci przeszkodą.

– Ależ nie jesteś. W tobie mam jedyłą ostoję.

– Nie możemy być razem, Kali. – Czubki jego palców wpijają się w kolana. – Nie mógłbym patrzeć, jak go poślubiasz. Nie mógłbym odprowadzać się co noc do sypialni twojego męża. Nie mógłbym cię przed nim chronić.

– To ty postanowiłeś zostać, by mnie strzec – przypominam stalowym tonem.

– Źle zrobiłem. Jako twój strażnik muszę być gotów wykonać wszystkie rozkazy, a nie mogę oddzielić tego, co do ciebie czuję, od swoich obowiązków. Nie mogę być tym, kogo potrzebujesz. – Głos mu się załamuje. – Zostanę przy tobie na czas turnieju. Ale kiedy dobiegnie końca, proszę, nie próbuj mnie zatrzymywać.

Jego słowa pozbawiają mnie tchu.

– Nie będę cię zatrzymywała. Chcę... – Mówię spokojnym tonem, choć czuję, jak wnętrzości się we mnie wywracają. – Życzę ci wszelkiego szczęścia, Devenie.

Jego pierś unosi się i opada w nierównym rytmie.

– A ja tobie – szepcze w odpowiedzi.

Przez drzwi balkonowe wchodzi do komnaty Ognisty.

– Najdroższy bracie, wciąż poświęcasz własne szczęście dla dobra imperium.

Deven zrywa się na równe nogi i chwyta za swoją khandę. I otwiera usta ze zdumienia.

– Brac?

Ognisty składa ukłon.

– Mam spotkanie z Viraji.

Uwaga Devena przenosi się na mnie.

– Rozmawiałaś z nim?

– Znasz go? – odpowiadam pytaniem, zdumiona tak samo jak on.

Brac kpiącym gestem przyciska sobie dłoń do piersi.

– Czuję się urażony – zwraca się do Devena. – Sądziłem, że opowiedziałeś jej o swoim martwym młodszym bracie.

– Przyrodnim bracie – poprawia ostro Deven. – I żywym, nie martwym, jeśli nie zauważyłeś.

„Bracia”. Wodzę wzrokiem od jednego do drugiego. Mają podobny nos, ale poza tym są zupełnie różni. Brac odznacza się miedzianą karnacją i jest żyłasty, a Deven muskularny. Obaj jednak mają w sobie coś z Mathury – Deven jej duże ciemne oczy, a Brac szeroki, promienny uśmiech. Ale najbardziej zdumiewa mnie to, co u Braca niewidoczne. Brat Devena jest bhutą.

– Jesteś zdrajcą – cedzi Deven przez zaciśnięte zęby. – Udawałeś żołnierza, a byłeś na usługach przywódcy bhutów. Wiedziałaś, że Wietrzny planuje atak. Inaczej nie zdołałbyś przetrwać.

– Na moje szczęście. – W półmroku płowe oczy Braca zdają się płonąć. – Bo porzuciłeś mnie na pewną śmierć.

Deven aż się cofa, oskarżenie uderza go jak obuchem.

– Zdradziłeś nasz oddział. Pozwoliłeś mi myśleć, że zginąłeś. Kali wspominała, że Ognisty, którego spotkała, miał złote oczy, ale nie chciałem uwierzyć, że mogłeś mi to zrobić.

– Nie było to gorsze od tego, co ty zrobiłeś mnie. Mogłeś przywiązać brata do tego głazu, ale wolałeś ocalić radzę. – Brac zbliża się bez lęku do wyciągniętego ku sobie ostrza. – Przez całe życie wolałeś nie widzieć tego, kim jestem. Kiedy w cudowny sposób pokonałem gorączki, nie spytałeś, jak to możliwe. Ale z pewnością widzisz korupcję Tarka, jego brutalność i kłamstwa. Nie możesz być aż tak ślepy.

Deven robi krok naprzód i czubkiem khandy dotyka piersi Braca.

– Widzę tchórza ukrywającego się w pałacu i demona próbującego przejednać strażnika.

– Opuść miecz, a przekonamy się, jak dobrym jesteś strażnikiem.

– Dość. – Staję obok Devena. Nie ma serca, by zabić brata, ale to nie znaczy, że go nie zrani. Patrzę na Braca. – Przystaję na twoją ofertę.

– Jaką ofertę? – dopytuje się Deven, podnosząc głos.

– Nie powiedziała ci? – Brac szczyrzy zęby w uśmiechu. Chciałabym zasłonić mu usta obiema rękami, gdy dodaje: – Viraji jest bhutą. Ognistą, mówiąc ściślej.

Deven patrzy na mnie z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczami. Nie potrafię wyrzec ani słowa na swoją obronę, nie mogę powiedzieć mu nawet o gorączkach, które dręczyły w dzieciństwie również Braca.

– Kali nie jest... – wyrzuca z siebie Deven.

– Zapewniam cię, że jest tak, jak mówię. – Brac drwi ze starszego brata. – Oskarżasz mnie o ukrywanie się w pałacu, do którego sam sprowadziłeś bhutę.

– Teraz się nie ukrywasz – ripostuje Deven. – Wystarczy jeden okrzyk,

a jeszcze przed świtem będziesz ukamienowany.

Wesołość znika z twarzy Braca.

– A Viraji? Ją też wydasz? Twoja lojalność jest ślepa, ale sądziłem, że choć dla tej Ognistej poświęcisz to swoje przeklęte poczucie obowiązku.

– Brac. – Piorunuję go wzrokiem. Nie chodzi o ich zerwaną braterską więź, ale o jego stwierdzenie, że jestem bhutą. – Nie dowiodłeś tego, kim jestem.

– Dowiodę, gdy tylko przestanie działać ostatnia dawka toniku.

– Co nie nastąpi przed wschodem słońca.

Do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Wątpię, że ci dwaj wytrzymają tak długo, nie rzucając się do bitki.

– Jest i szybsze rozwiązanie: rzezanie – mówi Brac. – Upuścimy ci krwi. – Bledną mi policzki. Deven groźnie się napina i mocno zaciska dłoń na mieczu. – Brzmi nieprzyjemnie, prawda? – dodaje Brac z uśmiechem bez cienia wesołości. – Ale lepiej, abym to ja cię okaleczył, a nie radża. Ja nie pozwolę ci się wykrwawić.

– Stracisz głowę, nim zdążysz tknąć Viraji – cedzi słowa Deven.

– Na pewno nie chcesz z nią być, braciszku? Wyraźnie jesteś w niej zadurzony. – Brac posyła Devenowi prowokujący uśmiech, po czym zwraca się do mnie: – Rzezanie, czyli puszczenie krwi, to najbezpieczniejszy sposób uwalniania stłumionych mocy. Zajmie godzinę. Najwyżej dwie. Musimy ruszać, jeśli masz wrócić przed świtem.

– Nie. – Deven podnosi miecz przeciwko bratu. – Kali, nie możesz mu ufać.

– A tobie może? – odparowuje Brac. – Przecież ty ją wydasz.

Deven aż się wzdryga, słysząc tę zniewagę.

– Nie zrobię tego.

– Jeśli nie pomożemy Kali, jej moce ją zniszczą. To jedyny sposób na zachowanie jej przy życiu.

Słowa Braca potwierdzają to, co przeczytałam w *Prażródłach bhutów*. Bez obniżającego gorączkę toniku moje moce zniszczą mnie szybciej niż kamienujący tłum. Rzezanie przeraża mnie bardziej niż wypicie tysiąca fiolek toniku, ale jeśli działa tak, jak twierdzi Brac, nigdy więcej nie będę potrzebowała innego leku.

– Czego żądasz od niej w zamian? – pyta Deven.

Brac sznuruje usta.

– Warunki omówi z nią przywódca.

Deven dźga go khandą.

– To nie wystarczy.

Rozdzielam ich, zanim Deven zdąży odciąć bratu głowę. Żądanie przywódcy bhutów w zamian za pomoc w pozbyciu się gorączek może się okazać trudne do spełnienia, ale ja też czegoś od niego potrzebuję.

– Nie wycofuję się. – Unikam wzroku Devena. – Pójdę z tobą i... i poddam się rzezaniu, a ty pomożesz Jayi uciec z pałacu jeszcze przed końcem turnieju.

– Zgoda. Przysięgam na Anu, że będziesz bezpieczna – zapewnia Brac, rzucając bratu poważne spojrzenie.

Deven daje za wygraną i opuszcza miecz. Na pewno się zastanawia, czy to prawda, czy jestem jego wrogiem. Dotykam jego napiętego ramienia, szukając zrozumienia. Nie odsuwa się, ale jego odpowiedź nie pozostawia wątpliwości.

– Jeśli chcesz iść, musisz pójść sama.

Targają mną wątpliwości. To on jest moim oparciem, źródłem bezpieczeństwa. Pragnę wpełznąć w jego ramiona i otoczyć się jego dobrocią, ale nie mogę prosić go, by zdradził radzę, tak jak nie mogę go zmusić, by

pozostał moim strażnikiem. Gładzę go po ramieniu, wiedząc, że prawdopodobnie nigdy mi nie wybaczy.

– Rób, co trzeba – mówię – ale wiedz, że ja muszę iść. – Walcząc z pokusą pozostania przy nim, ruszam ku Bracowi.

– Kali, proszę. – Deven rzuca mi rozpaczliwe spojrzenie. – Nie możesz im ufać.

Brac opiera się niedbale o ścianę.

– Idę o zakład, że zdołam zmienić twoje zdanie w tej sprawie.

Twarz Devena tężeje.

– Jesteś zwykłym trupem udającym kogoś, na kim kiedyś mi zależało. Dlaczego sądzisz, że twoje słowa są w stanie mnie poruszyć?

– Matka ma zostać zamordowana – mówi Brac. Serce zamiera mi w piersi, a wzrok Devena przywiera do brata. – Według *Setnej rani Enlila* wszystkie kurtyzany, które przeżyły, zostały utopione. Nasz informator w pałacu dowiedział się, że Tarek planuje zabić naszą matkę i resztę kurtyzan, zgodnie z przekazem tej opowieści. Wierzy, że to głos przeznaczenia.

Zakrywam usta dłonią.

– Dlaczego? Przecież kurtyzany są oznaką jego władzy.

Brac pogardliwie wygina usta.

– Tarek obawia się gniewu bogów, jeśli wydarzenia opisane w tej historii się nie powtórzą. To dlatego walczysz w turnieju mimo uwielbienia, jakim cię darzy. Musisz odegrać swoją rolę.

Wracam pamięcią do pewnego odrażającego wspomnienia. W dniu, w którym przybyłam do pałacu, Tarek powiedział mi, że mam jakąś rolę do odegrania.

– Twój informator kłamie – mówi Deven. – Ty kłamiesz.

– W jakim celu? Mathura jest także moją matką.

Devenowi wystarczą cztery potężne kroki, by przemierzyć komnatę i przyprzeć Braca do ściany.

– Nie mów o matce. Opłakiwała cię. Wciąż cię opłakuje.

Brac go odpycha.

– Ja też straciłem rodzinę.

– To był twój wybór. – Deven odwraca się od brata, gotując się ze złości.

Przyglądam mu się kątem oka i pytam Braca:

– Kiedy?

– Skrzydło dla kurtyzan zostanie opróżnione następnego ranka po ślubie – odpowiada, po czym zwraca się do brata: – Jeśli wciąż mi nie wierzysz, chodź z nami, a usłyszysz to samo od kogoś, komu ufasz.

Deven rzuca mi pytające spojrzenie, ale ja nie wiem, kim może być ta zaufana osoba. Też się obawiam, że mogę wpaść w pułapkę. Wierzę, że Bracowi zależy na bracie i że nie pozwoliłby nas skrzywdzić. Ale zdaję sobie sprawę, że przede wszystkim jest lojalny wobec swoich. Nawet mimo przysięgi, którą złożył, boję się, że przede wszystkim ma na uwadze dobro bhutów.

Deven piorunuje brata wzrokiem.

– Czy wasz przywódca ma plan ocalenia matki?

– W przeciwnym razie bym ci o tym nie wspominał.

W milczeniu błagam Devena, by poszedł ze mną. Ale to musi być jego wybór.

Kiwa głową.

– Dobrze. Pójdę.

Szeroki uśmiech niemal przecina twarz Braca na pół.

– Spotkamy się w kaplicy. – Podchodzi do balkonu, przeskakuje przez balustradę i znika nam z oczu.

Deven odwraca się do mnie plecami.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że spotkałaś Braca?

– Nie wiedziałam, że to twój brat.

– A gdybyś wiedziała?

Milczę. Wątpię, czy nawet wówczas powiedziałabym o tym Devenowi.

Wzdycha ze znużeniem i zwraca się twarzą do mnie.

– Masz jakąś broń?

Poklepuję się po sztylcie ukrytym w okolicach krzyża. To bezużyteczne zabezpieczenie, bo nie ochroni nas przed mocami bhutów. Miecz Devena też nie, ale zapobiegawczo chowa go do pochwy. Nie oponuję, choć wiem, że kiedy staniemy twarzą w twarz z przywódcą bhutów, będziemy zdani na jego łaskę.



Zanim ruszymy na spotkanie z Brakiem, musimy przejść obok Manasa i Yatina, którzy trzymają straż przy drzwiach. Wymyślamy krótką wymówkę i wychodzimy z komnaty.

– Kapitan zaoferował się odprowadzić mnie do kaplicy – mówię, pociągając nosem, jakbym przed chwilą płakała. – Abym się mogła tam pomodlić za swoje rywalki, które zginęły na arenie.

Yatin przytakuje ze zrozumieniem. Manas przygląda nam się uważniej, niezupełnie przekonany.

– Czy mamy pójść z wami? – pyta.

– W kaplicy nikt nie będzie niepokoił Viraji – odpowiada Deven. – Jeden strażnik wystarczy. Obaj jesteście zwolnieni z posterunku do rana.

Yatin posyła mi współczujący uśmiech. Manas podejrzliwie patrzy na kapitana spod zmarszczonych brwi. Deven tak długo wbija wzrok w młodego strażnika, aż ten pochyła głowę i wtedy ruszamy.

Brac czeka na nas w tylnej części kaplicy. Zanim zdążę zapytać, po co tu przyszliśmy, unosi dolny róg długiego gobelinu wiszącego na ścianie, odsłaniając ukryte pod nim przejście. Deven wchodzi jako pierwszy, bez śladu zaskoczenia czy niepokoju. Moja dłoń zawisa nad ukrytym za plecami sztyletem, gdy wkraczam w tę mroczną przestrzeń.

Brac prowadzi nas wiodącymi w dół kamiennymi schodami, oświetlając

drogę lampą naftową. Biciu mojego serca wtóruje odgłos kroków.

– Skąd wiedziałaś o tym miejscu? – pytam szeptem.

– Razem z Devenem odkryliśmy je w dzieciństwie. Te korytarze oplatają cały pałac. Kiedyś wymykaliśmy się nimi z dziecińca. Gdy byliśmy starsi, chowaliśmy się tu, aby uniknąć dyżurów w kuchni.

Deven patrzy prosto przed siebie nieporuszony snutymi przez brata wspomnieniami. Brac musiał też korzystać z tych tuneli, aby niepostrzeżenie krążyć po pałacu, gdy przychodził się ze mną spotkać.

Kamienne schody prowadzą do stromej żwirowej ścieżki. Luźne kamyki chrzęszczą mi pod stopami, a korytarz się zwęża i przekształca w tunel o niskim suficie. Z błotnistych ścian spływa woda, tworząc strumyczki u naszych stóp. Omal nie upadam, pośliznąwszy się na mokrych kamieniach, a wtedy Deven błyskawicznie znajduje się u mojego boku.

– Weź mnie za rękę – mówi. Mocno ściskam jego dłoń. Marzyłam o chwili sam na sam z Devenem w ciemnościach, ale nie tak ją sobie wyobrażałam.

Schodzimy coraz niżej, wilgotne powietrze kładzie się na mojej skórze ciężką warstewką. Stopniowo mrok zaczyna się rozjaśniać. Szum wody robi się głośniejszy, aż huczy w uszach. Brac gasi lampę, a Deven puszcza moją dłoń. Pozbawione jego kojącego dotyku palce drżą niepewnie.

Wzrok przyzwyczajają mi się do półmroku i przed nami dostrzegam sylwetkę Braca. Tunel otwiera się na olbrzymi podziemny szyb. Przez wąskie otwory w wysokim suficie sączą się do środka promienie światła z rozciągającego się nad nami miasta.

– Co to za miejsce? – Mój głos odbija się od ścian i wraca do mnie.

– To ostatnia z kopalń turkusów – odpowiada Deven. – Prowadzi tu kilka korytarzy, w większości dawno zapomnianych. Żyły turkusów ciągną się w tych skałach wzdłuż brzegów podwodnej rzeki. Z biegiem czasu wiele z nich się wyczerpało i kopalnie zamknięto.

Nasza ścieżka skręca na półkę skalną biegnącą wzdłuż rzeki i w górę urwistej pochyłości. Moją uwagę przyciąga jakiś błysk. W ścianie widoczne są cienkie zielonkawoniebieskie żyłki, pozostałości po żyłach turkusów. Wspinamy się wystarczająco długo, abym poczuła zmęczenie w nogach, aż wreszcie docieramy do drewnianych drzwi. Za nimi może być właściwie wszystko.

– Viraji, gdy przekroczysz ten próg, nie będzie już odwrotu.

Bracowi chodzi o to, że nie będę się już mogła wycofać z naszej umowy, ale mnie bardziej niepokoi rzezanie niż plany bhutów. Na myśl o puszczeniu krwi wywracają mi się wnętrzności.

– Kali – mówi cicho Deven – czy aby na pewno tego chcesz?

Niezdecydowanie mnie paraliżuje. Przeraża mnie to, co się może stać, gdy nie będę zażywała toniku, ale boję się też tego, co się wydarzy, jeśli się nie poddam rzezaniu. Przenoszę wzrok z drzwi na Devena.

– A co, jeśli Brac ma rację co do mnie?

– O to nie musisz się martwić, Kali.

– Ale ja się martwię. – Nie pozwolę, aby zlekceważył tę sprawę na fali niechęci do brata. – Może się okazać, że jestem bhutą. – Wzdryga się na to słowo. – Nienawidzisz ich. Przecież tego nie zignorujesz.

– Oczywiście, że zignoruje – ripostuje Brac.

Deven rzuca bratu gniewne spojrzenie, po czym przenosi wzrok na mnie.

– Nie nienawidzę bhutów. Wojna wymaga opowiedzenia się po jednej stronie, a ja wybrałem imperium. To nie oznacza, że przestało mi zależeć na ludziach, którzy są dla mnie najważniejsi.

Brac spuszcza wzrok i marszczy brwi.

– Wiem, jak to jest uciekać przed tym, kim się jest. – Deven urywa, szukając właściwych słów. – Sam próbowałem to zrobić, gdy wstąpiłem do Bractwa, choć pisane mi było zostać żołnierzem.

– Właśnie o to mi chodzi – mówię ochrypłym z obawy głosem. – Jeśli jestem bhutą, zostaniemy...

– Wrogami – kończy Brac, patrząc na Devena spod uniesionych brwi. – Jeszcze nie jest za późno, aby zawrócić. Viraji poradzi sobie bez ciebie.

Może w geście sprzeciwu wobec sugestii brata, a może pragnąc mnie wesprzeć, Deven odpowiada bez wahania:

– Nie. – Delikatnie muska mój policzek i dodaje: – Jestem z tobą.

Chciałabym, aby jego obietnica była na zawsze, ale swoją obecnością tutaj Deven ryzykuje wszystko. Nie mogę prosić go o więcej. Przyciskam jego dłoń do policzka, upajając się płynącą z niej siłą, po czym zwracam się do Braca:

– Jestem gotowa.

Brac mamrocze coś niezrozumiale i otwiera drzwi. Wychodzimy na kamienną klatkę schodową oświetloną pochodniami. Korytarz prowadzi w górę, do zasłoniętego wyjścia. Brac unosi kolejnym strategicznie rozwieszony gobelin i gestem zaprasza mnie do środka. Przechodzę przez tajne wejście i znajduję się w jakiejś kaplicy. Nade mną wznosi się wysoki sufit. Ogromne malowidła na ścianach przedstawiają sceny z Zaświatów, a w przedniej części sali, za kamiennym ołtarzem, cicho szemrze oczko wodne do medytacji, o kryształowo błękitnej wodzie. Całość tak bardzo przypomina mi kaplicę w Samiyi, że mam wrażenie, jakby tamten tunel przeprowadził nas pod górami aż do domu.

Brat Shaan podnosi się z klęczek przy ołtarzu. Zapewne to on jest tym, komu, według zapewnień Braca, Deven może zaufać.

– Viraji, czekaliśmy na ciebie. – Brat Shaan uśmiecha się, mrużąc oczy. – Okazałaś odwagę, przychodząc tutaj.

– Jestem przerażona – szepczę.

– A czymże jest odwaga bez lęku? – Wita Devena przyjacielskim uściskiem dłoni. – Bracie Devenie, co za niespodzianka.

Deven szybko odsuwa rękę.

– Mógłbym rzec to samo. Od jak dawna Bractwo pomaga przywódcy bhutów?

Brat Shaan odpiesza zarzut łaskawym uśmiechem.

– Pomagamy tym, którzy są w potrzebie. Bhutom, żebrakom i żołnierzom.
– Zaprasza mnie gestem. – Chodźcie. Już czekają.

Podążając za leciwym bratem, opuszczamy kaplicę i schodzimy po schodach do niewielkiej komnaty o ceglanych ścianach. Z krzeseł podnoszą się mężczyzna i młoda kobieta, ale nie przyciągają mojej uwagi na długo. Pośrodku pomieszczenia znajduje się stół przykryty nieskazitelnym obrusem w kolorze kości słoniowej. Pod przeciwległą ścianą, na krótszym drewnianym stoliku leży zestaw lśniących noży chirurgicznych.

– Nie spodziewaliśmy się tu ciebie, kapitanie – mówi starszy mężczyzna. Słońce przyciemniło mu skórę, której powierzchnia wygląda jak popękana, za to włosy wokół uszu rozjaśniło na śnieżną biel. Ma ostro zarysowaną szczękę, a w hebanowych oczach – budzący respekt błysk inteligencji. Nie chciałabym spotkać tego człowieka w innej sytuacji, a już na pewno nie chciałabym go rozgniewać.

Młoda kobieta u jego boku przygląda mi się w milczeniu. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam.

Deven zaciska dłoń na rękojeści khandy.

– Idę wszędzie tam, gdzie Viraji.

Mężczyzna odchyła głowę do tyłu i mierzy go wzrokiem przez kilka długich sekund.

– A zatem witaj.

Jego zaproszenie nie uspokaja Devena, który nadal gotów jest sięgnąć po miecz, choćby tylko światło lampy krzywo padło na jeden z leżących nieopodal sztyletów.

– Viraji, to jest Hastin. – Brat Shaan z miłym, dyplomatycznym uśmiechem przedstawia nam przywódcę bhutów. Z podobną kurtuazją wskazuje na młodą kobietę. – A oto jego prawa ręka Indira, Wodna. Dzisiaj pomoże przy rzezaniu. Zaraz zaczniemy, połóż się, proszę.

– Nie. – Zapieram się w miejscu. – Najpierw muszę poznać warunki naszej umowy.

Hastin przygląda mi się z wyraźnym zainteresowaniem, jakby próbował mnie wy badać i ocenić. Z ledwo widocznym uśmiechem podnosi krzesło, które przed chwilą zajmowała Indira, i ustawia je przede mną. Sam wraca na swoje miejsce i czeka, abym także usiadła.

Opadam na krzesło, czując, że poca mi się dłonie. Czegokolwiek Hastin ode mnie zażąda, muszę się zgodzić. Mogę się już tylko modlić, aby bogowie dali mi dość siły, bym zdołała spełnić życzenie przywódcy bhutów, a jeśli moje zadanie będzie dla nich obrażą, żeby ulitowali się nad moją duszą.

– Nasza umowa opiera się na jednej prośbie. Możesz wyznaczyć własne warunki, kiedy zgodzisz się na nasze.

– Jak one brzmią?

– Prosimy tylko o jedno. – Hastin unosi głowę. – Życzymy sobie, abyś zabiła radzę.

Wlepiam wzrok w jego spokojną twarz. Życzy sobie, żebym zrobiła co?!

– Nie mogę zabić Tarka. – Słyszę własną odpowiedź i przypominam sobie, że właśnie to chciałam zrobić dziś w amfiteatrze. Ale to było jedynie nierealne marzenie. – Nie jestem zabójczynią. Wynajmijcie kogoś wyszkolonego.

– Nie potrzebujemy zabójcy. Potrzebujemy ciebie. – Hastin splata dłonie przed sobą. – Tarek prawie nigdy nie jest sam. Noce spędza w towarzystwie kilku kobiet i jest nieustannie chroniony przez licznych strażników. Tylko przy jednej okazji bywa z kimś sam na sam.

– Podczas nocy poślubnej – szepczę.

Hastin potakuje.

– Jako ostatnia oblubienica radży będziesz tą, z którą po raz ostatni spędzi noc bez świadków.

Kurczowo zaciskam palce na siedzisku krzesła. Hastin naprawdę prosi o to mnie. Nie jedną z doświadczonych w walce żon Tarka i nie bhutę, który mógłby się wśliznąć po cichu do pałacu, ale właśnie mnie.

Teraz wszystko nabiera sensu. Kiedy bhutowie zaatakowali moją karetkę, Brac darował mi życie, aby Hastin mógł się mną posłużyć. Oszczędzili mnie, żebym zabiła radżę.

W gardle czuję gulę śmiechu. Jeszcze nie wygrałam turnieju i nie zdobyłam tronu, ale oni tak rozpaczliwie pragną zakończenia tej wojny, że już teraz proszą o moją pomoc. A może źle to zrozumiałam. Może nie chodzi o zakończenie wojny. Może chodzi o to, co ją rozpoczęło.

– Chcecie księgę *Zhaleh*. – Szeroko rozkładam ramiona. – Przyjdźcie i znajdźcie ją! Zrównajcie pałac z ziemią. Spalcie go. Zalejcie wodą. Zróbcie, co trzeba, aby ją odzyskać.

– Ryzykując jej zniszczenie? – pyta Hastin kpiąco. – Szukaliśmy jej wszędzie. Radża dobrze ją ukrył.

– Wyślijcie kogoś, kto zmusi go do mówienia.

– Nie możemy dłużej czekać. Radża zamierza najechać sułtanat Janardan i dopaść bhutów-uchodźców. Armia Janardanu jest mniej liczna i słabsza. Ich ludzie są już zmęczeni ukrywaniem naszych rodzin. Wydadzą wszystkich, by uniknąć wojny. Radża Tarek wie, że zechcemy mu przeszkodzić, ale nie będzie się spodziewał ciebie. – Hastin pochyla się do przodu, aby skupić na sobie całą moją uwagę. – Musisz wygrać ten turniej i poślubić radżę.

To jego „musisz” sprawia, że odwracam wzrok. Nie wygram turnieju ani dla Tarka, ani dla Hastina. Ale potrzebuję pomocy, aby uwolnić Jayę, więc pytam ostrożnie:

– Przypuszczam, że macie plan, dzięki któremu zdołam wygrać?

– Twoje moce zapewnią ci zwycięstwo.

Znów mam wrażenie, że pokłada we mnie zbyt wiele nadziei. Jeszcze nie dowiedli, że jestem jedną z nich.

– Powiedzmy, że się na to zgodzę – mówię. – Jeśli użyję swoich mocy na arenie, ujrzy to cały Tarachand. – Kręcę głową, bo po przywódcy bhutów spodziewałam się czegoś więcej. – Tarek mnie zabije. Nic mnie nie ocali, nawet pamięć o jego pierwszej żonie.

Na wspomnienie o Yasmin w oczach Hastina pojawia się ból, ale znika tak szybko, że zaczynam wątpić, czy w ogóle go widziałam.

– Brac nauczy cię, jak używać ich w niedostrzegalny sposób.

Skinieniem głowy Ognisty potwierdza, że będzie mnie szkolił, o ile zawrzemy umowę.

W tej chwili mam ochotę stąd wyjść, nie oglądając się za siebie. Chcę pomóc Jayi, ale Hastin prosi, abym wywalczyła sobie prawo do poślubienia radży tylko po to, by go zabić, ryzykując przy tym własne życie. Najpewniej sądzi, że zrobię wszystko, żeby ocalić przyjaciółkę, ale Jaya nigdy by mnie o coś takiego nie poprosiła. Wolałaby, abym znalazła inny sposób, którego powodzenie nie opiera się na słowie przywódcy bhutów.

Deven kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Co się stanie po śmierci radży Tarka? – Jego spokojny ton koi moje skołatane nerwy.

– Tron odziedziczy książę Ashwin, a wówczas będziemy nalegać, aby przywrócił Strażników Cnót, radę bhutów, która istniała w dawnych czasach. Bhutowie odzyskają należne im miejsce u władzy i zadbają o to, by nigdy więcej nie doszło do podobnej katastrofy.

Plan Hastina wydaje się rozsądny, ale czegoś mi w nim brakuje. Próbuję dociec, w czym tkwi problem, lecz czuję się zbyt przytłoczona jego żądaniem, aby uchwycić to, co mi umyka.

– A moc ukryta w księdze *Zhaleh*? – pyta Deven. Serce przepętnia mi wdzięczność za jego krzepiące opanowanie. – Moc wyzwolenia Otchłāńca?

Mimo panującego w pokoju ciepła przenika mnie dreszcz na wspomnienie tego, co brat Shaan mówił o stworzonym przez demona Kura półdemonie zdolnym rozdrzeć świat na strzępy. Hastin spogląda na brata Shaana, a ten odpowiada:

– Otchłāniec wyświadczy przysługę każdemu, kto go uwolni. Lecz jego mroczne moce służą często mrocznym celom, takim nawet, jak przywracanie martwych do życia. – Zniża głos, jakby wypowiadał bluźnierstwo. – Obawiamy się, że radza pragnie ożywić Yasmin.

Przez twarz Hastina znów przemyka cień smutku. „Znał Yasmin”.

– Nikt nie może przywrócić zmarłych do życia – protestuje Deven. – Tą mocą nie włada żaden śmiertelnik, nawet półdemon.

– Otchłāniec zrodził się z Otchłāni – wyjaśnia brat Shaan. – Nie imają się go granice czasu i przestrzeni. Może przywołać Yasmin z Zaświatów, lecz sprowadzi na ziemię tylko jej duszę. Bez śmiertelnej formy nie zdoła jej tu zatrzymać. Dusza musi zamieszkać w ciele.

Hastin wbija we mnie milczący wzrok.

Odbiera mi mowę.

„W moim”.

„Tarek zamierza umieścić duszę Yasmin w moim ciele”.

Deven pokrzepiająco ściska moje ramię, zawierając w tym geście niewypowiedzianą obietnicę. Nie pozwoli, aby Tarek się mną posłużył. Przenoszę całą uwagę na dotyk Devena, szukając w nim oparcia, ale świat wiruje mi przed oczami na myśl o jakiejś obcej duszy, która przejmuje moje ciało, i o moim duchu pozbawionym materialnej powłoki.

– Jak temu zapobiegniemy? – pyta Deven.

– Dokładny przebieg rytuału jest nieznany – odpowiada brat Shaan. –

Przepisywanie go zostało zakazane, więc potrzebujemy księgi *Zhaleh*, aby w pełni zrozumieć, co się wydarzy. Wiemy jednak, że radża rozpoczął gromadzenie niezbędnych składników.

– Krew bhutów – wtrąca Hastin z gniewem. – Radża zebrał krople krwi setek bhutów, których kazał stracić. Czekał siedemnaście lat, aby zgromadzić jej wystarczającą ilość, a potem rozpoczął poszukiwania ostatniego elementu: cielesnej powłoki dla Yasmin.

„Dziewiętnaście lat. Tarek przygotowuje się do tego od śmierci Yasmin”.
Z trudem wydobywam głos ze ściśniętego gardła:

– Co się stanie ze mną, jeśli Tarkowi się powiedzie?

– Twoja dusza przeniesie się w Zaświaty – odpowiada brat Shaan.

Dłoń Devena zaciska się na moim ramieniu, jakby swoją niezłomną wolą mógł zatrzymać mnie w tym życiu. Ledwo czuję jego dotyk, bo nienawiść do Tarka tak bardzo zaprzęta moje zmysły. Powołując mnie, radża odebrał mi wolność, ale to mu nie wystarczyło. Chce mi odebrać wszystko, co mam, wszystko, czym jestem, aby nie pozostał po mnie żaden ślad.

Hastin wraca do bieżącej kwestii:

– Kiedy Tarek rozpocznie rytuał, otworzy się Otchłań i już nic nie zdoła go powstrzymać. Kalinda będzie musiała go zabić, gdy tylko zobaczy *Zhaleh*.

Pełne napięcia milczenie Devena jest jak wycie wiatru za plecami. Nie muszę się oglądać, by wiedzieć, że druga ręka kapitana spoczywa na rękojeści miecza, gotowa do walki, by nas stąd wyprowadzić. Ale mój umysł zdążył już na tyle ochłonać, bym wyraźniej niż kiedykolwiek ujrzała otwierającą się przede mną drogę.

Tarek poświęcił wiele istnień, aby przywrócić do życia jedną duszę. Nie dbam o to, jak droga była mu Yasmin. Nikt nie jest wart tak wielkiego bólu serca i rozlewu krwi, jakich zaznał jego lud. Ale czy sprostim temu zadaniu? Czy zdołam odebrać Tarkowi życie?

Unoszę głowę i patrzę z góry na przywódcę bhutów, próbując przybrać

nieustraszoną minę, choć cała drzę.

– Jeśli to zrobię, chcę, aby moja przyjaciółka Jaya została bezpiecznie wywieziona z miasta jeszcze przed moją ostateczną walką. Ukryjcie ją i będziecie strzec do końca jej dni. Ponadto ocalicie pozostałe przy życiu kurtyzany. Żadna z nich nie może zostać utopiona ani w inny sposób skrzywdzona.

Hastin zaciska usta.

– Prosisz o wiele, Viraji.

– O tyle, ile potrzeba, abym spełniła wasze warunki – odpowiadam chłodno. – Ocalicie kurtyzany i Jayę, albo nie ma umowy.

Hastin mruży oczy w wąskie szparki.

– Masz moje słowo.

Przywódca bhutów wzbudza we mnie złe przeczucia, ale nasza umowa jest uczciwa. Odnajdując w sobie resztki odwagi, dodaję:

– A zatem zabiję radzę.



Hastin i Wodna przygotowują się do rytuału, czyszcząc sztylety i układając je w równym rzędku. Deven rozmawia przy drzwiach z bratem Shaanem. Czekam na przykrytym obrusem stole, a Brac dotrzymuje mi towarzystwa.

– Żałuję, że nie ma czasu, abyś wypociała swoje moce w szałasie, tak jak ja to zrobiłem – mówi. Przeprosiny uzupełnia uśmiechem. – To był długi dzień.

Jeśli chce mi dodać otuchy, to mu się nie udaje.

– Czy to naprawdę konieczne? A jeśli się co do mnie mylisz?

– Po pierwsze, wiesz, że się nie mylę, bo inaczej by cię tu nie było. Po drugie, gdybyś się przestała martwić tym, co myśli Deven, wiedziałabyś, że to prawda. – Otwieram usta, by podkreślić, że moje obawy dotyczą czegoś więcej niż opinia Devena, ale Brac mówi dalej: – Po trzecie, wszyscy bhutowie muszą się poddawać rzezaniu, kiedy osiągają dojrzałość. Ty czekałaś dłużej niż większość z nas, więc teraz ból może być silniejszy.

Krzywię się, a w jego uśmiechu pojawia się napięcie.

– Wkrótce się zobaczymy – mówi. – Kiedy już będziesz prawdziwą Ognistą. – Odchodzi na bok i zwraca się do brata: – Powinieneś poczekać na zewnątrz, razem ze mną i bratem Shaanem.

– Zostanę – decyduje Deven. Nie prosiłam go o to, ale nie chce zostawić mnie samej z Hastinem. Brat Shaan i Brac opuszczają pokój i zamykają za

sobą drzwi.

– Viraji, podwiń sari i połóż się na brzuchu – poleca Hastin.

Odwracam się, aby rozluźnić sari, i kładę się na stole. Staram się nie myśleć o tym równiusieńkim rządku sztyletów, ale widzę, jak ich zimne, onieśmielające ostrza połyskują w świetle lampy. Wyciągam rękę do stojącego przy mojej głowie Devena, który zamyka moją drżącą dłoń w mocnym uścisku.

– Nie zbliżałbym się do niej zbyt blisko – ostrzega Hastin.

Deven ściska mnie jeszcze mocniej.

– Nie skrzywdzi mnie.

Wpatrując się w nasze połączone palce, przypominam sobie osmalone ślady na podłodze karety.

– Może jednak powinienes się odsunąć.

Deven puszcza moją dłoń, ale się nie odsuwa. Indira rozpina mi bluzkę i odsłania kręgosłup. Przeciera mi plecy wodą i obmywa je kostką imbirowo-lawendowego mydła.

Z tyłu słyszę głos Hastina, którego pająkowaty cień pełźnie po ścianie.

– Będzie bolało, ze względu na toksyny we krwi.

Przyciskam podbródek do ramienia, szykując się na ból.

– Skąd się wziął ten tonik? – pytam.

– Bogini ziemi nie zgadzała się z Anu, który oddał boskie zdolności śmiertelnikom, więc stworzyła rośliny zdolne poskromić moce bhutów i przekazała ich sekrety mnichom.

Zatem to ktoś z Bractwa musiał przesłać uzdrowicielce Bace recepturę. Podejrzewała, że jestem bhutą, a jednak całymi latami leczyła mnie, jakbym była chora. Mój lęk oplata mnie coraz ciaśniej, a ja nie mam pewności, czy jestem gotowa poznać ostateczną prawdę.

– Gdy zaczniemy, nie będziemy mogli przerwać – uprzedza Hastin. – Rozumiesz?

– Tak – odpowiadamy równocześnie z Devenem.

Kątem oka widzę Hastina.

– Kalindo, zamknij oczy.

Robię uspokajający wdech i wykonuję jego polecenie.

– Ile światła widzisz? – Dudniący głos brzmi tak, jakby przywódca bhutów miał w gardle kamienie.

– Dziesiątki.

– To ogień płonący w twojej duszy. Widzi je każdy śmiertelnik, gdy zamknie oczy. W przypadku Ognistych to znak stłumionych mocy.

– Ile światła powinna widzieć? – pyta Deven.

– Po zakończonym rzezaniu pozostanie jeden doskonały blask, czysta esencja jej ognistej duszy. Viraji, skup się na wybranym jasnym punkcie.

Koncentruję się na jednej gwiazdzie i czuję, jak moje ciało zaczyna ogarniać żar, jakby węgielek upadł na stertę suchych liści. Rozgrzane mięśnie skwierczą. Deven odskakuje od fali gorąca, a ja jestem tak zaskoczona, że pozwalam, aby wymknął mi się maleńki błysk.

– Nie wypuszczaj tego światła – nakazuje Hastin. – Trzymaj je tak, jakby to była lampa naftowa.

Wyobrażam sobie, że otaczam tę lśniąca gwiazdę dłońmi. Wkrótce moja skóra zaczyna emanować jasnym żarem. Nie mogę odgadnąć, czy płonie ten pokój, czy ja. Płomienie są wokół mnie, na mnie, we mnie.

Plecy przeszywa mi ostry ból. Krzyczę i wraz ze strużką krwi wypływa ze mnie niewielki przebłysk światła.

– Dobrze – mówi Hastin. – Wybierz następne światło.

– Ile razy muszę to powtarzać? – dyszę.

– Dopóki nie pozostanie tylko jedno. Musisz się pozbyć nadmiaru ognia. Gdy tak się stanie, ulotnią się również toksyny.

Skupiam się na kolejnej gwiazdce, choć już nie tak chętnie, bo wiem, jakie męki mnie czekają. Pożar, który we mnie wybucha, zaczyna ogarniać moje żyły, jakby nagle zmieniły się w suchy chrust. Przytrzymuję w sobie to parzące światło, chociaż każda cząstka mojego ciała domaga się, by je wypuścić.

Kolejne nacięcie na moich plecach. Zaciskam zęby, żeby nie krzyknąć. Rozbłysk bólu przypomina parzące pod skórą promienie słońca.

– Dość! Proszę, przestańcie! – Wbijam paznokcie w stół. Czuję się tak, jakby mnie zanurzano w płynnym ogniu. „Nie wytrzymam dłużej. Nie dam rady”.

– Ma dość – mówi Deven. – Wystarczy.

– Bramy zostały otwarte – odpowiada Hastin. – Nie możemy przestać, bo spali się na popiół.

Czy on nie widzi, że już się spalam? Otwieram oczy i widzę szydercze cienie. W powietrzu unosi się para, w której rozmywa się światło. Indira rękami zatacza kręgi i rozpyła lekką mgiełkę, aby ochłodzić pokój, ale woda wyparowuje, zanim do mnie dotrze.

Deven pochyla się nad moją głowę, marszcząc brwi. Pot skapuje mu z nosa, a policzki ma czerwone od gorąca.

– Kali, zamknij oczy.

– Nie mogę.

– Musisz to dokończyć! – ponagla mnie, tracąc swoją zimną krew.

Łzy, które wypływają mi z oczu, wyparowują, zanim zdążą się stoczyć po policzkach. Kłatkę piersiową mam tak gorącą, jakby ktoś zmienił mi serce w płonący węgiel.

– Zamknij oczy i wybierz światło. – Jego ton jest teraz bardziej

opanowany. I bardziej nagłący. – Uda ci się, Kali.

Poddaję się jego woli i światło eksploduje, gdy czuję trzy nacięcia raz za razem. Wierzgam i wyję jak dzikie zwierzę. Ból przywiera do kręgosłupa. Przytrzymują mnie czyjeś dłonie. Zamiast słów z udrezonego gardła wydobywa się tylko szloch, który wybucha z głębi trzewi. Gwiazdy pod powiekami pędzą ku mnie. Brak mi sił, by się przed nimi ukryć. Fale gorąca uderzają we mnie jedna po drugiej, a każdy wir ognia zapowiada kolejne szybkie i precyzyjne nacięcie na plecach. Krwawienie łagodzi ten szalejący pożar, a ból stopniowo słabnie, aż wreszcie zamiast cierpienia czuję ukojenie.

Moje ciało wciąż emanuje gorącem, ale już mniejszym, łagodniejszym. Jak przygaszone ognisko. Jak stygnący w garnku wrzątek. Ciepło, które zamiast niszczyć, przydaje sił.

Czyjaś dłoń gładzi mnie czule po wilgotnej twarzy.

– Kali, już po wszystkim.

Otwieram jedno oko i widzę zatroskany wzrok Devena.

– Skrzywdziłam cię? – pytam.

Chowa dłonie, ale i tak widzę, że są pokryte pęcherzami. Jeden kącik jego ust się unosi.

– Ten dotyk był tego wart.

Uśmiecham się ostatkiem sił; potem zamykam oczy i odpływam w blasku jednej, doskonałej gwiazdy. Nie wiem, czy trwa to dziesięć minut, czy dziesięć sekund, ale kiedy się budzę, plecy już mi nie płoną. Naprzeciw mnie Indira opatruje Devenowi dłoń. Obok nich, na stole leżą zakrwawione ręczniki i pusty dzbanek na wodę.

– Dobrze się spisałaś – mówi stojący za mną Hastin. Odwracam głowę, by na niego spojrzeć. Dotyka moich loków. – Tarek zawsze miał słabość do kobiecych włosów. Twoje są jak niebo o północy, Yasmin też takie miała.

– Znałeś ją?

– Łączyła ją bliska więź z naszym poprzednim przywódcą Kishanem. – Odsuwa dłoń. – Był Ognistym, jak ty.

– A kim jesteś ty?

– Trzęsicielem.

Pamiętam, co czytałam o Trzęsicielach. Orężem Hastina jest ziemia. Świadoma tego, jak może być groźny, zmieniam temat.

– Jak się poznali Yasmin i Kishan?

– Radża Tarek zaprosił nas do Vanhi, aby omówić przywrócenie Strażników Cnót. Bhutowie współtworzyli radę każdego radży do czasu, kiedy pradziadek Tarka to zmienił. Kishan poznał Yasmin, gdy prowadziliśmy rozmowy w sprawie powrotu na łono rady. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Ani ja, ani nikt inny nie mógł utrzymać go z dala od niej. – Hastin zatapia się na chwilę we wspomnieniach. – Niedługo potem Yasmin była przy nadziei. Tarek uważał, że żona nosi jego dziedzica, ale ona wiedziała, że to Kishan jest ojcem. Oboje mieli świadomość, że po porodzie prawda wyjdzie na jaw, bo dziecko będzie bhutą, dlatego tuż przed rozwiązaniem Yasmin i Kishan próbowali zbiec. Tarek przyłapał ich, zanim zdążyli opuścić pałac. Żonę zamknął w jej komnatach, a Kishana uśmiercił. Rozpacz Yasmin po stracie ukochanego przyspieszyła poród, podczas którego umarła i ona, i ich syn.

Nie mogę uwierzyć, że nie słyszałam o tym skandalu. Tarek mówi o pierwszej żonie z takim uwielbieniem. Nigdy bym nie zgadła, że Yasmin go zdradziła.

– Kishan miał przy sobie *Zhaleh*, kiedy go pojmano. Nie wiedzieliśmy, że nie żyje, dopóki nie wpadliśmy w pułapkę, którą Tarek zastawił na naszą grupę pokojową. Tylko mnie udało się uciec. Od tamtej pory Tarek ukrywa *Zhaleh* i ściga naszych ludzi. – Hebanowe oczy przywódcy, jak dwa granitowe kamyki, spotykają się z moimi. – Yasmin przewidziała, że Tarek doprowadzi Tarachand do upadku. Chciał wykorzystać nasze moce, aby powiększyć swoje imperium. Nigdy nie darzył bhutów miłością ani

szacunkiem tak jak ona. – Hastin wyjmuję sztylet. – Należał do niej. Chciałaby, aby miała go osoba, która zabije Tarka.

Kładzie nóż obok mojej twarzy – jest identyczny jak ten, który dała mi Mathura. Patrzę na jego turkusową rękojeść, a przed oczami pojawiają mi się sceny, które wypełniają luki w przeszłości Tarka. Nie mam pojęcia, czy zdołam wygrać w starciu z jego nienawiścią do bhutów, ale wiem, że w pełni popieram Hastina.

Chcę mu zadać jeszcze tylko jedno pytanie.

– Nigdy nie poznałam swoich rodziców. Znałeś ich?

Hastin kręci głową, a zawiedziona nadzieja przygniata mnie jak ciężka stopa miażdżąca pierś. Jeżeli ani mnisi, ani bhutowie nie mogą powiedzieć mi nic o moich rodzicach, wątpię, czy kiedykolwiek dowiem się czegoś o nich.

– Bez względu na to, kim są twoi rodzice, byliby z ciebie dumni – mówi Hastin. – A ty powinnaś być dumna ze swojego dziedzictwa.

Jeszcze za wcześnie, bym mogła powiedzieć, co czuję. Moi rodzice, a przynajmniej jedno z nich, przekazali mi swoje moce – dziedzictwo, które naznaczyło mnie niewidzialnym piętnem, lecz jednoczy mnie z Hastinem, Indirą i Brakiem. Może nie znalazłam rodziny, ale znalazłam swoich.

Do pokoju wchodzi Brac i macha sobie dłonią przed twarzą.

– Gorąco tu – stwierdza. – Viraji, pora iść.

Deven pomaga mi zejść ze stołu.

– Indira zamknęła wszystkie nacięcia, ale pozostały po nich płytkie zadrapania. Do jutra powinny zniknąć.

– A twoja ręka? – pytam.

– Rano będzie wyglądała lepiej.

Dziękuję Indirze, a Deven pomaga mi szybko poprawić sari, pod którym ukrywam drugi sztylet, przymocowując go do pasa. Plecy mam zeszywniałe, a skóra wydaje się napięta, ale już prawie nie czuję bólu. Po prostu brak mi

się. Gdy wracamy po schodach do kaplicy, Deven mnie podtrzymuje.

Brat Shaan rozmawia z jakąś dziewczyną, która się odwraca.

Anjali?

Staję jak wryta, a Anjali kłania mi się z uśmiechem na ustach. Mój wzrok przeskakuje z jednej twarzy na drugą, szukając jakiegoś wyjaśnienia jej obecności. Deven szybciej łączy fakty.

– Anjali jest twoją informatorką? – zwraca się do brata.

Brac wzrusza ramionami.

– Mogłem trafić gorzej.

– Trafiłeś, jeśli mnie pamięć nie myli.

Brac rzuca bratu znaczące spojrzenie.

– Nie wszyscy możemy być z Viraji.

Deven się rumieni, a ja piorunuję Braca wzrokiem, aby go uciszyć. Spieszy ku nam brat Shaan.

– Wiedzą, że Viraji zniknęła. Musisz natychmiast wracać.

Deven pomaga mi pokonać drogę. Anjali dotrzymuje nam kroku.

– Więc zawarłaś porozumienie z moim ojcem – stwierdza.

Unoszę brwi. „Hastin jest ojcem Anjali?” Bogowie... Przyglądam się jej profilowi, szukając podobieństwa do niego, ale go nie znajduję. A jednak jest coś, co musi ich łączyć. Anjali również jest bhutą, prawdopodobnie Trzęsicielką, jak jej ojciec.

– To chyba oznacza, że nie mogę cię zabić – ciągnie Anjali. Wydyma usta z niezadowoleniem i wyprzedziwszy nas, podchodzi do Braca.

Łypię na nią spode łba.

– Mathura powiedziała, że Tarek przygarnął Anjali z ulicy. Jak mogła to zaplanować?

– Przypuszczam, że oczarowała radzę za namową ojca. – Deven kręci głową. – Powinienem był podejrzewać, że jest w to zamieszana. Tarek nie dopuszcza do siebie żebraczek.

Fakt, że Hastin jest tak bardzo oddany sprawie, niepokoi mnie i nadwątlą moje zaufanie co do zawartej z nim umowy. Z własnej córki uczynił przynętę, aby móc infiltrować pałac. Widać nie cofnie się przed niczym, byle tylko zdetronizować Tarka.

– Dlaczego Hastin nie kazał Anjali zabić radży? – pytam.

– Radża nie zamierza umieścić w jej ciele duszy Yasmin – wyjaśnia Deven. – Anjali mogłaby spróbować zwyciężyć w turnieju i poślubić radżę, ale nie miałyby to znaczenia, skoro Tarek i tak nie zdradziłby jej, gdzie ukrył *Zhaleh*.

Oczywiście. Głównym celem Hastina nie jest zabicie radży, lecz odzyskanie księgi. Uważa, że Tarek wydobędzie ją tylko wtedy, gdy mnie poślubi. Wstrząsa mną dreszcz, a lęk mrozi mi krew żyłach. Poślubieniem radży będę się martwić, gdy już zapewnię sobie tron.

Razem z Devenem wkraczamy do podziemnego tunelu za Anjali i Brakiem. Szybko docieramy do pałacu, ale Brac mija wejście do kaplicy i idzie dalej. Z ubitej ziemi wchodzimy na kamienne schody, które stanowią prawdziwe wyzwanie dla moich drżących nóg.

Anjali zatrzymuje się przy następnych drzwiach.

– Kapitanie, znajdźcie z Brakiem inne wejście. Viraji i ja wejdziemy tędy. Jeśli ktoś zapyta, powiedz, że ci się wymknęła. Spotkamy się w Pawilonie Tygrysic za pięć minut.

Wątpię, by Anjali doprowadziła nas aż tutaj, by teraz nas zdradzić, ale Deven ma wątpliwości. Delikatnie dotyka dłonią sztyletów, które mam ukryte na plecach, przypominając mi w ten sposób, że jestem uzbrojona, na wypadek gdyby Anjali okazała się niegodna zaufania. Próbuję dodać mu otuchy krótkim uśmiechem i przechodzę za Anjali przez drzwi.

Znajdujemy się w południowym portyku Pawilonu Tygrysic. Anjali spieszy przez otwarte, pogrążone w ciemnościach patio i podchodzi do znajdujących się pod murem stojaków z bronią.

– Wybierz coś – mówi. – Jeśli ktoś nas tu zastanie, musi sądzić, że ćwiczymy. – W porę wyszarpuję sztylety Yasmin i uchylam się przed khandą wymierzoną w moją twarz. Anjali szczyrzy zęby w uśmiechu. – Nie bój się. Gdybym chciała cię zabić, już byś nie żyła.

– Myślałam, że podłożyłaś mi zmiję do łóżka.

– To raczej Lakia. – Anjali się obraca i nasze ostrza zderzają się ze sobą. – Zaskoczona?

– Tak. – Napiera tak mocno, że ramiona prawie mi się uginają. Nawet gdybym nie była osłabiona, ona jest silniejsza, szybsza i bardziej doświadczona. – Lakia chce, aby turnieje się skończyły.

– Nie bardziej, niż zachować swoją pozycję. Uważa, że odbierzesz jej pierwszeństwo. – Anjali kopie mnie w udo. Zataczam się na mur i opieram się o niego, próbując odzyskać oddech.

– Ale zgodnie z porządkiem turnieju nie będę walczyła z Lakią.

– Okazuje się, że nikt nie będzie z nią walczył. Dziś wieczorem ktoś podłożył skorpiony do komnat jej rywalek. Dwie zmogła gorączka. Jedna straci palec u nogi, w który została użądlna. Druga już straciła całą rękę. – Anjali robi wypad naprzód, aż jej warkocz śmiga w powietrzu. Powstrzymuję atak, blokując jej obosieczny miecz dwoma sztyletami naraz. – Gdy znaleziono użądlnone rani, Lakia rozkazała sprawdzić wszystkie łóżka i wtedy odkryto, że zniknęłaś.

– Ale mówiłaś, że to ona podłożyła te skorpiony.

– Nikt na nią nie doniesie, nawet jeśli to zrobiła. – Anjali przybliży twarz do naszych szczepionych ostrzy. – Słyszałam, co mówiliście o moim ojcu. Mylicie się co do niego. Jestem tu na własne życzenie.

Zgrzyta metal, gdy odpycham jej miecz sztyletami i się odsuwam.

– Słyszałaś nas? – Deven i ja szeptaliśmy, a ona stała daleko od nas.

– Słyszę wszystko, co przynosi mi wiatr.

Ze zdumienia aż otwieram usta. Sądziłam, że Anjali jest Trzęsicielką, ale to Wietrznym wiatr powierza swoje sekrety. Hastin jest bystrzejszy, niż przypuszczałam. Dzięki swoim mocom jego córka jest doskonałą informatorką.

Anjali nadstawia ucha w kierunku wiatru.

– Ktoś nadchodzi.

Ja niczego nie słyszę, ale ona już zamierza się na mnie mieczem. Ledwo udaje mi się zablokować cios. Uderza ponownie, gdy z ciemności dobiega nas głęboki głos:

– Znalazłem ją.

Opuszczam sztylety i w cieniu widzę jednego ze strażników pałacowych Pokrewnej. Stoi bez ruchu, twarz ma pozbawioną wyrazu.

Zza jego pleców wyłania się Lakia i uważnie przygląda się naszej broni.

– Co robisz w skrzydle dla żon, Anjali? – Nie umiałabym naśladować władczej postawy Pokrewnej. Przez te wszystkie lata doprowadziła ją do perfekcji.

– Ćwiczę. – Anjali kręci mieczem, uśmiechając się butnie. – Kalinda mnie zaprosiła.

– Radza byłby urażony, gdybyś zabiła jego Viraji bez świadków. – Ton Lakii graniczy z pogardą. – Wracaj do skrzydła dla kurtyzan, gdzie twoje miejsce.

Anjali odkłada broń na stojak i rzuca mi uśmieszek.

– Zobaczymy się na arenie.

Lakia podchodzi do mnie.

– Cóż za wyjątkowa para sztyletów. – Podnosi moją rękę, by jej się

przyjrzeć w blasku księżyca. Nie odsuwam się i zachowuję kamienny wyraz twarzy. Stojący za nią strażnik nie spuszcza nas z oka, ale wątpię, by pospieszył mi z pomocą. – Skąd je masz?

– To prezent.

– Należały do Yasmin. – Lafia mruży oczy. – Nie widziałam ich, odkąd moja siostra próbowała zbiec.

– Byłaś przy tym?

– To ja ostrzegłam Tarka o jej zdradzie. Chciała uciec z jego dziedzicem.

Wyszarpuję rękę z jej uścisku.

– Zdradziłaś własną siostrę.

Lafia sięga do wypukłości przy boku, gdzie ukrywa nóż.

– Tutaj żadna nie jest lojalna wobec swoich sióstr.

– Czy można się im dziwić, skoro mają przywódczynię, która je sabotuje?

Lafia syczy jak żmija, którą podłożyła mi do łóżka. Widząc srebrny błysk przy jej udzie, przybieram pozycję do walki, ale ona już przystawia mi nóż do gardła. Zaciskam dłonie na rękojeściach sztyletów, lecz równie dobrze mogłabym ich nie trzymać. Zanim zdążyłabym je unieść, przeciągnęłaby mi ostrzem po gardle.

W ciemnych oczach pojawia się wyraz nieskończonej pustki.

– Będę spała spokojniej, wiedząc, że zdechłaś.

– Pokrewna! Znalazłaś ją.

Lafia ogląda się na wkraczającego na patio Devena. On i jej strażnik kładą dłonie na rękojeściach swoich mieczy. Gra w zastraszenie. Lafia uśmiecha się szyderczo i opuszcza nóż. Ja wciąż zaciskam palce na sztylcie, gdy chwiejnym krokiem ruszam w stronę Devena.

Lafia staje mi na drodze.

– Dowiem się, co dziś knułaś. Tutaj nie ma sekretów.

Całą siłą woli staram się powściągnąć ogarniający mnie lęk. Omijam ją i wbijając w nią chłodny wzrok, wołam przez ramię:

– Może w pałacu nie ma siostrzeństwa, ale sekretów w nim nie brakuje.



Gdy zbliżamy się do mojej komnaty, czekający pod jej drzwiami Manas staje na baczność.

– Myślałam, że skończyłeś służbę – mówię.

– Myślałem, że byłeś w kaplicy – odparowuje Manas.

– Żołnierzu – ostrzega go Deven – czy trzeba ci przypomnieć, że to Viraji?

Manas patrzy w oczy dowódcy.

– Nie, sir. A czy panu trzeba o tym przypomnieć?

Żyła na czole Devena zaczyna pulsować.

– Zwalniam cię z posterunku do odwołania.

Manas cofa się z urażoną miną. Jest wyraźnie zdezorientowany zachowaniem kapitana. Spieszę mu z pomocą.

– Kapitanie, to jedynie z troski...

– Viraji – przerywa mi ostro Manas, po czym skłania głowę i odmaszerowuje.

– Święci bogowie, on oszalał – mówię, patrząc za nim, póki nie skręca za róg. Wchodzimy z Devenem do komnaty, a przy każdym kroku głowa pulsuje mi z bólu.

– Mundur straży pałacowej go otumaniał. – Deven wzdycha, żałując, że się zdenerwował. – Manas jest zmęczony. Za dużo od niego wymagałem.

– Jak sądzisz, wie, że opuściliśmy pałac?

– Wątpię, ale musimy być ostrożniejsi. Manas zawdzięcza radzy wszystko. Nie będzie milczał, jeśli uzna, że chcemy go podejść. – Deven pomaga mi się położyć na łóżku i poprawia mi poduszki. Pościel pachnie słońcem i lawendą. – Ten układ wyjdzie nam wszystkim na dobre. Manas odpocznie, a ja znów wyznaczę Yatina do ochrony Natesy w skrzydle dla kurtyzan. Kiedy się ich pozbędę, poszukam księgi.

Podnoszę na niego wzrok.

– Zamierzasz szukać *Zhalehu*?

Zdejmuje turban i kładzie się obok, obrócony twarzą do mnie.

– Gdy ją odnajdę, będziemy negocjować z Hastinem, aby pomógł ci opuścić miasto.

„Opuścić Vanhi? To oznaczałoby uniknięcie ostatecznej walki, ślubu i ryzyka uwolnienia Otchłańca...” Postanawiam się odezwać, nim narobię sobie zbyt wielkich nadziei.

– Jak zrobisz w dwa dni to, czego Hastinowi nie udało się dokonać przez dziewiętnaście lat?

– Mam większą motywację. – Deven ujmuje moją dłoń. – Chcę być z tobą, Kali. Pragnę cię od chwili, kiedy ujrzałem, jak podsłuchiwałaś w świątyni.

Jego głęboki głos przenika mnie słodkim bólem. Właśnie to chciałam usłyszeć.

– Ale wcześniej mówiłeś, że...

– Próbowałem postąpić tak, jak należało. Teraz wszystko się zmieniło. Jesteś... – kulę się w środku, spodziewając się, że dokończy: „demonem”, „złem”, „brudną bhutą” – ...niezwykła. Nigdy nie spotkam drugiej takiej jak

ty.

– Nie przeszkadza ci, że jestem Ognistą?

Deven patrzy na moją dłoń, przygląda się każdej linii i krągłości. Na połowę jego twarzy pada łagodne światło lampy, nadając jej złocisty odcień.

– Przez całe życie wiedziałem, że Brac jest bhutą. Sądziłem, że oszczędzę mu bólu, udając, że jest inaczej, ale kiedy potrzebował mnie najbardziej, odwróciłem się od niego. Nie popełnię tego samego błędu względem ciebie. – Unosi moją dłoń do swojego policzka. – Byłabyś wspaniałą rani, ale masz inny wybór. Chcę z tobą uciec. Możemy wrócić w Alpany i tam się ukryć. Możemy być panami własnego losu.

Od balkonu powiewa lekki wietrzyk, wraz z którym dobiega nas cichy szelest palmowych liści. Przysuwam się do Devena.

– Naturalnie Jaya ucieknie razem z nami – dodaje.

Moja twarz rozkwita uśmiechem. On wie, że nie opuściłabym Jayi, ale muszę jeszcze myśleć o innych.

– A co z twoją matką i resztą kurtyzan?

Deven całuje czubki moich palców i czuję, jak serce mi przyspiesza.

– Bhutowie uwolnią je, gdy tylko odnajdziemy księgę. Wtedy my już będziemy daleko. – Gdy przyciska wargi do wrażliwego miejsca na mojej dłoni, umysł zaczyna mi zachodzić mgłą. – Zbuduję dla nas skromny domek z niszą modlitewną. Przed domem będzie oczko wodne do medytacji.

– I ogród dla Jayi, żeby mogła hodować kwiaty.

Deven z uśmiechem całuje mój pulsujący nadgarstek.

– Będziemy mieli mnóstwo zielonych pól dla naszych owiec i wodopój, w którym będziemy mogli pływać. Co wieczór rozpalę ogień, byś mogła szkicować przy jego świetle, a twoimi rysunkami ozdobimy ściany. Będziemy wychodzić przed dom i wypatrywać świateł Samiyi w oddali.

Swoimi słowami odmalował piękniejszy obraz, niż mogłabym to zrobić

na pergaminie. Widzę, jak Jaya przycina swoje kwiaty, a Deven pilnuje naszych owiec. Wyobrażam sobie ciepłe posiłki przy ognisku i Alpany, które wznoszą się wokół nas, strzegąc naszego spokoju przed zewnętrznym światem. Kusi mnie ucieczka do tego życia, które opisuje, do tej obietnicy szczęścia, czekającego, by się w nim zanurzyć. Mogłabym opuścić ten pałac i odejść, nie oglądając się za siebie, ale nie jestem pewna, czy Deven mógłby postąpić tak samo.

Przeczესuję jego miękkie włosy palcami.

– Porzuciłbyś żołnierskie życie? To twoje przeznaczenie.

– To część mojego przeznaczenia. Być strażnikiem imperium to wielki zaszczyt, ale jeszcze większym byłoby wspólne życie z tobą. Podczas rzezania niemal cię straciłem... – Głos mu się załamuje. – Nie mogę... Nie mogę pozwolić ci odejść.

Odwracam jego opatrzoną dłoń, wciąż niezagojoną w miejscu, w którym go poparzyłam. Trwanie przy mnie już mu zaszkodziło. Czy mogę pozwolić, by porzucił rodzinę, karierę, żołnierską tożsamość?

Błądżę dłońmi po jego twarzy i gładżę go po policzku.

– Nie wiem, Devenie. Skoro bogowie nas tutaj przywiedli, czy nie powinniśmy być im posłuszni?

Obawiam się jego odpowiedzi, ale nie mogę mu niczego obiecywać, dopóki nie wyzbędę się wątpliwości, że on naprawdę tego właśnie pragnie. Uzdrowicielka Baka zwykła mawiać, że nie ma większego spokoju ducha nad poczucie spełnienia zamysłu bogów. Nigdy nie byłam dość pewna, czego ode mnie chcą, by ich wola mogła mi w czymś przeszkodzić, ale Deven czuł, że zna boski cel. Nie ograbię go z tej pewności.

Leżymy obok siebie, a on przyciąga mnie jeszcze bliżej.

– Być może posłuszeństwo jest największą cnotą, ale bogowie nie oczekują od nas poświęcenia tego, co daje nam szczęście, a mnie nic tak nie uszczęśliwia jak ty.

Stykamy się czołami.

– Ucieknijmy stąd, Kali. – Jego wypowiedziana szeptem prośba rozświetla najgłębsze zakamarki mojej duszy. Właśnie tego pragnęłam: aby Deven wziął mnie za rękę i poprowadził do labiryntu swego serca. Moglibyśmy pielęgnować nasze marzenie o spokoju i rodzinie. Ale ta nadzieja jest zbyt cenna, zbyt barwna, by poczynać sobie z nią tak śmiało.

– Ja...

„Chcę tego. Potrzebuję. Ale nie mogę”.

Deven ujmuje moją twarz w dłonie i nasze spojrzenia się spotykają.

– Uciekniesz ze mną?

Wpatrzona w jego szczerze oczy zbliżam się ku tej cudownej otchłani i pozwalam jej się porwać.

– Tak.

Deven przyciąga mnie do siebie, jego wargi dotykają moich ust. Całuje mnie powoli, potem coraz niecierpliwiej. Całuje i dotyka mnie, a ja dotykam jego. Całuje, a moje usta i serce pragną, by świt nigdy nie nadszedł.



Wbrew moim błaganiom słońce wstaje jak co dzień, na niebie poprzetykanym rdzawymi smugami. Pierwsze promienie brzasku powoli rozjaśniają mrok komnaty. Wtulam się w bok Devena i dotykam jego twarzy.

– Nie wychodź – szepczę.

Całuje moją dłoń.

– Muszę szukać *Zhalehu*.

– Szkoda, że nie mogę zostać z tobą, zamiast iść na turniej.

– Przykro mi, że mnie tam nie będzie. – Gładzi moje włosy. – Ale ty musisz pójść. Musisz grać rolę Viraji, Kali. Radza musi wierzyć, że jesteś jego faworytką.

Wolałabym być sobą, ale to jest możliwe tylko przy Devenie. Gdy wstaje, po jego stronie łoża zostaje tylko zimno. Siadam i całuję go.

– Kiedy cię zobaczę?

– Wkrótce – obiecuje, ledwo odrywając wargi od moich ust. Ubiera się i podchodzi do drzwi. Nim wychodzi, posyła mi uśmiech, który otula mnie uczuciem błogości.

Moszczę się w łożu z głębokim westchnieniem. Czuję się inaczej, ale nie tylko z powodu nocy spędzonej w ramionach Devena. Umysł mam jasny i nie bolą mnie kości.

Sięgam ręką do pleców, szukając blizn, ale wszystkie zniknęły. Zamykam oczy i widzę jedną gwiazdę płonącą pośród czarnego, aksamitnego nieba. Wreszcie czuję się tak, jak miałam nadzieję za każdym razem, kiedy uzdrowicielka Baka przekonywała mnie do wypróbowania nowej kuracji – zdrowa i w pełni sił. Jeśli mój pierwszy dzień jako pełnoprawnej bhuty ma być oznaką tego, co mnie czeka, to może jednak nie będzie tak źle, jak się obawiałam.

Do komnaty wchodzi Asha ze śniadaniem na tacy. Wyciągam się po drugiej stronie łoża, udając, że tam spałam.

– Dzień dobry, Viraji. – Asha kładzie tacę na stole i mi się przygląda.

– Tak? – pytam.

Marszczy brwi.

– Cała lśniesz.

– Miałam cudowny sen – odpowiadam z uśmiechem.

– Hmm – mówi tylko i zaczyna się krzątać po komnacie.

Wstaję i wkładam szlafrok. Kątem oka widzę jakiś ruch na balkonie. Odwracam się i widzę szeroki uśmiech Braca. Korzystając z tego, że Asha rozkłada narzutę na łóżku i jest odwrócona do nas plecami, podkradam się do niego, wpycham go za tę samą draperię, za którą chowałam się z Devenem,

i wślizguję się za nim.

W oczach Braca widzę figlarny błysk.

– Już tak robiłaś?

Oblewam się rumieńcem.

– Po co przyszedłeś?

– Dać ci lekcję.

– To musi poczekać – szepczę. – Wkrótce wyruszam na turniej.

Stoi tak blisko mnie, że niemal się dotykamy. Jego skóra pachnie mydłem, a miedziane, nieco wilgotne włosy przybrały ciemniejszą barwę przydymionego bursztynu.

– To nie potrwa długo. Możemy poćwiczyć na twojej służącej.

– Nie! Nie skrzywdzisz Ashy.

– Nie zrobię jej krzywdy. Kiedyś ciągle ćwiczyłem na Devenie.

Zerkam na niego spod przymrużonych powiek.

– Pozwalał ci na to?

Brac wzrusza ramieniem.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby go zapytać. Musisz się nauczyć korzystać ze swoich mocy. Nie możesz pozwolić, by się marnowały. – Zanim zdążę go powstrzymać, wślizguje się zza draperii i podkrada do Ashy od tyłu. Patrzą z za zasłony, bojąc się poruszyć, by nie przyciągnąć jej uwagi. Brac kładzie dłonie na jej ramionach. Ułamek sekundy później dziewczyna pada twarzą na łóżko.

– Ty głupku! Coś ty zrobił? – Podbiegam do leżącej bezwładnie Ashy.

– Tylko ją przygasiłem, tak jak tamtą kurtyzanę w karecie. – Brac nachyla się nad nią. Wszystko wskazuje na to, że Asha śpi. – Widzisz? Oddycha. Przygaszenie nie robi krzywdy, a jeśli mnie nie zobaczy, to nie zapamięta. Wkrótce zacznie się budzić, a wtedy ty spróbujesz.

– Nie będę...

Trzepoczą jej powieki. Brac znów kładzie na niej dłonie, a ona osuwa się twarzą na łożo.

– Teraz pośpi trochę dłużej. – Odwraca jej głowę, aby mogła oddychać. – Kiedy zaczniesz się budzić, połóż dłonie na jej skórze. Każdy śmiertelnik nosi w sobie ogień, esencję tego, kim jesteśmy. Znajdź ten ogień duszy i wydobądź go.

– Nic z tego nie rozumiem!

– Znajdź mój. – Ujmuje moje dłonie. – Czujesz gorąco? Niektórzy twierdzą, że ogień duszy buzuje albo łaskocze.

Koncentruję się na emanującym z niego ciepłe i zaczynam czuć łaskotanie.

– Chyba tak.

Asha pojękuje. Brac kładzie moją dłoń na jej ramieniu.

– No dalej. Wydobądź jej ogień.

Szukam wewnętrznego płomienia Ashy i wyczuwam źródło buzującego ciepła. Skupiam się na nim i wchłaniam je, aż wypełnia mnie potężne lśnienie.

Blask jest zbyt silny. Nie mogąc go w sobie utrzymać, odpycham go ku niej.

Brac szarpnięciem odsuwa moją dłoń z ciała Ashy, a mnie kręci się w głowie. Chwyta mnie, gdy się zataczam.

– Pchnęłaś, zamiast pociągnąć. Dobrze, że tu byłem, bo mogłabyś ją spopielić. – Sprawdza jej oddech. – Nic jej nie jest.

Opieram się o kolumnkę i czekam, aż znikną mi białe punkciki przed oczu.

– Spopielić?

– Tak jak ja spopielilem twojego woźnicę – odpowiada Brac, rzucając mi ponure spojrzenie.

– Och. – Ma na myśli Jeevana. Powinam być zła, ale wtedy Brac i ja byliśmy wrogami. Patrzę na Ashę, wyobrażając ją sobie jako kupkę popiołu, i jego słowa uderzają mnie jeszcze mocniej. – Więc prawie ją zabiłam?

– Nie pozwoliłbym na to. Wiem, że niełatwo jest zapanować nad swoim ogniem, ale musisz się tego nauczyć. Nigdy nie ujawniaj swoich mocy. Dobry Ognisty...

– Ognisty?

– Ognista przygasi wroga, osłabi go, wydobywając jego ogień duszy, i zakończy walkę, a nikt nawet nie zauważy, co zrobiła.

Przebiegłe, lecz także pomysłowe. Mogę osłabić rywalki i zabić je tak, by nikt nie odgadł, że zwycięstwo zawdzięczam swoim mocom. Ten plan ma jednak jedną wadę.

– A jeśli mój wróg jest uzbrojony? Jak mam podejść na tyle blisko, by dotknąć jego skóry?

– To już twoje zmartwienie. Moim zadaniem jest nauczyć cię władania mocami Ognistej. – Skupiony na swoim obowiązku Brac przeczesuje wilgotne włosy palcami. – Jest coś jeszcze. Możesz się wypalić, jeśli nie będziesz ostrożna. Ogień potrzebuje paliwa, my też. Jedzenie wzmacnia moce, ale ty i tak powinnaś więcej jeść. – Szczypie mnie w chude ramię. Odskakuję, a on szczyrzy się do mnie. – Możesz się też sparzyć, jeśli wchłoniesz za dużo wewnętrznego ognia innych. Jego nadmiaru musisz się pozbyć w postaci fal. Wyobraź sobie emanujące od ognia ciepło. Nie widzisz go, ale kiedy podejdziesz zbyt blisko, czujesz, jak parzy. To fala ciepła. Do tego ćwiczenia będziemy potrzebowali bezpieczniejszego miejsca... Takiego, gdzie będzie mniej tkanin. I ludzi. – Brac spuszcza wzrok na Ashę i zaczyna unosić jej woal. – Ciekawe, czy jest ładna.

Dostaje ode mnie po łapie.

– Pomóż mi ją podnieść. – Układamy Ashę wygodniej i odsuwamy się od łóżka. – Wygląda tak spokojnie.

– Obudzi się z okropnym bólem głowy.

Rzucam Bracowi ukradkowe spojrzenie. Choć wydaje się taki niefrasobliwy, na pewno było mu ciężko porzucić rodzinę i przyłączyć się do bhutów.

– Kto ciebie nauczył posługiwać się mocami?

– Nikt. Ognisci są najrzadszymi i najbardziej niszczycielskimi bhutami, więc radza chciał nas zlikwidować w pierwszej kolejności. Moja matka wiedziała, kim jestem, i ukrywała to. Wszyscy myśleli, że gorączkuję, ale kiedy podrosłem, Hastin mnie znalazł. Szukał bhutów żyjących w ukryciu i rozpoznał moje objawy. Pomógł mi dokonać rzeźnia. O podstawach mocy Ognistych dowiedziałem się z lektury prywatnych dzienników Kishana. Reszty nauczyłem się metodą prób i błędów.

Dobiegają nas hałasy i głosy ludzi gromadzących się na dziedzińcu przed wyruszeniem do amfiteatru. Brac zerka w kierunku balkonu.

– Nie powinno cię tam być?

Z gardła wydobywa mi się jęk. Doskonale wie, że muszę być na turnieju.

– Nie dziwię się, że Deven za tobą nie tęsknił.

– A nie tęsknił? – Brac ściąga brwi wyraźnie dotknięty.

– Owszem, ale obwinił się o twoją śmierć, więc daj mu trochę czasu.

Brac rusza w stronę balkonu.

– Gdzie mój starszy brat jest teraz?

– Szuka księgi.

– *Zhalehu*? – Brac zatrzymuje się w pół kroku i opiera o ścianę. – Takiego Devena nie poznaję.

– Pomożesz mu? – Nie dodaję, że stawka jest wyższa niż moja umowa

z Hastinem. Niech sam Deven zdecyduje, czy zdradzić bratu nasze plany opuszczenia Vanhi.

– Prędzej wydoicie skorpiona, niż znajdziecie tę księgę. Przetrzęsnałem już każdy kąt.

– Szukaj dalej. I jeszcze jedno. – Owijam się ciasniej szlafrokiem. – Jaya podsłuchiwała rozmowy Gautama z Tarkiem. Być może dowiedziała się, gdzie znaleźć tę księgę.

Kręci głową.

– Nie powinnaś była mieszać w to przyjaciółki, ale skoro już tak się stało, złożymy jej wizytę. Ty powinnaś dziś ćwiczyć przygaszanie.

– Podczas turnieju?

– Byle ukradkiem. Jeśli uda ci się tam kogoś przygasić i pozostać niezauważoną, będziesz to mogła robić wszędzie.

Po tym, co zrobiłam Ashy, boję się używać swoich nowo odkrytych talentów, ale jeśli Deven nie znajdzie *Zhalehu*, to właśnie dzięki tym mocom wzrosną moje szanse na zwycięstwo w ostatecznej walce turnieju.

Mimo to obawiam się, że używając ich, mogłabym się zdradzić albo, co gorsza, przypadkowo kogoś spopielić. Patrząc na nieruchomą postać Ashy i jeszcze żarliwiej modłę się, aby Devenowi się powiodło.



Radzę Tarka spotykam przy głównym wejściu.

– Witaj, moja miłości. – Całuje mnie w policzek, po czym odchyła się do tyłu i marszczy brwi. – Wyglądasz na zmęczoną.

Wyglądam jak ja. Mam na sobie mniej makijażu niż kiedykolwiek od chwili przybycia do pałacu. Asha obudziła się tuż przed moim wyjściem. Była zakłopotana swoim zaśnięciem i raz po raz przepraszała mnie za lenistwo. Nie pamiętała, że została przygaszona. Czułam się winna, pozwalając jej myśleć, że zaniedbała swoje obowiązki, więc wybiegłam z komnaty, zanim zdążyła mnie odpowiednio przygotować.

– Wstałam wcześniej, aby ćwiczyć.

Tarek cmoka językiem.

– Nie powinnaś się tak niepokoić. Jesteś moją faworytką. Pokładam w tobie wiarę. – Kładzie mi dłoń na krzyżu i lekko popycha w stronę wyjścia.

Na gwarnym dziedzińcu czeka rząd słoni. Wdrapuję się do howdah na pierwszym z nich i zauważam, że w miejsce wyrwanych przeze mnie rubinów przyszyto nowe.

Tarek również to dostrzega.

– Ach, odzyskali moje klejnoty.

Staram się nie okazywać żadnej reakcji. Żołnierze je odzyskali. To nie

są nowe kamienie, lecz te same, które rzuciłam w tłum. Teraz żałuję, że to zrobiłam. Nie chcę myśleć o tym, ilu ludzi musiało ucierpieć, zanim żołnierze je odzyskali, ale wiem, że Tarek zrobił to, abym już nigdy mu się nie sprzeciwiła.

Orszak jest równie okazały jak wczoraj. Na ulicy tłoczy się jeszcze więcej ludzi, wszyscy wiwatują i machają rękami. Uświadamiam sobie, że Brac zażądał niemożliwego. Nie mogę ćwiczyć przygaszania, kiedy patrzy na mnie tyle oczu. Jednak gdybym mogła, wypróbowałabym swoje moce na Tarku.

Kładzie dłoń na moim kolanie i nie zdejmuje jej przez całą drogę. Popatruję na nią od czasu do czasu, spodziewając się, że przesunie ją wyżej, a jednak ani drgnie, aż docieramy do amfiteatru. Podejrzewam, że tak samo siedział z Yasmin. Tym bardziej brzydzę się jego bliskością.

Tarek, Lakia i ja udajemy się do górującej nad areną cesarskiej loży. Pierwszy pojedynek stoczy dziś Fareeshah, czyli ta kurtyzana, która podczas ceremonii deklaracji pytała o moje zdrowie. Będzie walczyła z Manju, niespełna trzydziestoletnią kurtyzaną. Rozlegają się wszystkie cztery gongi, aż wstrząsa mną dreszcz.

Fareeshah atakuje pierwsza. Porusza się jak dzika tygrysica podchodząca swoją zdobycz. Boję się o jej starszą rywalkę, która czeka, aż Fareeshah rzuci się na nią z ostrymi sztyletami. Krąży coraz bliżej. Jak było do przewidzenia, atakuje i Manju upada, pokonana szybkością i precyzją przeciwniczki. Fareeshah wznosi zakrwawione noże, prezentując je tłumowi.

Tarek wtóruje wiwatującym, a mnie z obrzydzenia aż bulgocze w brzuchu. Fareeshah musi jeszcze wygrać pojedynek zwycięzczyń, zanim zyska prawo walki ze mną. Choć to bezduszne, życzę jej, by przegrała, abym nie musiała mierzyć się z nią na arenie.

Turniej toczy się dalej. Czas na drugi pojedynek – kolejny krwawy i żenujący pokaz. Przez większość poranka nie mam gdzie podziać wzroku. Nie jestem w stanie oglądać walk na arenie i nie mogę patrzeć na siedzące niżej kurtyzany, nie myśląc jednocześnie, że Tarek zamierza je utopić,

a kiedy spoglądam na radzę, zastanawiam się, czy ma świadomość, że właśnie w tej chwili ktoś przeszukuje jego twierdzę.

Nie podoba mi się, że Deven przeczesuje pałac beze mnie, ale gdy tylko odnajdzie *Zhaleh*, będziemy mogli uciec z pomocą Hastina. Kiedy wyjadę, reszta moich rywalek nie będzie miała z kim walczyć o tron. Nie sądzę, aby Hastin pozwolił Tarkowi żyć na tyle długo, by ten zdążył powołać nową ostatnią Viraji, więc turniej zostanie przerwany. Muszę tylko zrobić, co do mnie należy. Muszę tu zostać i odegrać narzuconą mi przez Tarka rolę.

Podczas południowego posiłku, który składa się z pieczonej jagnięciny, a który odsyłam, żeby się nie udławić, do cesarskiej loży wchodzi posłaniec. Śledzę go kątem oka, kiedy szepcze coś radzy do ucha. Tarek patrzy na mnie i znów na posłańca. Mój niepokój gwałtownie wzrasta. Czyżby coś się stało Jayi albo Devenowi?

Posłaniec się oddala, a Tarek wraca do pieczonej jagnięciny, krojąc ją na równe kęsy. Udaje milczącego. Nie chcę grać w jego grę, ale nie mogę tu spokojnie siedzieć, nie wiedząc, co się dzieje w pałacu.

– Wasza Wysokość, czyżbyś otrzymał złe wieści?

– Dlaczego tak myślisz? – Wrzuca sobie kawałek mięsa do ust i bacznie mi się przygląda.

– Zwykle posłaniec przynosi pilną wiadomość – odpowiadam, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

Z uśmiechem poklepuje się po kolanie.

– Usiądź tu, to ci powiem.

Nie mogę odmówić władcy. Podchodzę, a on sadza mnie sobie na kolanach. Pachnie ciepłym olejkiem eukaliptusowym i przyprawami, którymi doprawiono mięso. Lakia wydyma wargi i odwraca się do nas plecami, trzymając w ręku talerz z jedzeniem.

– Może zechcesz mi towarzyszyć przy dzisiejszej wieczerzy? – Tarek bawi się moimi włosami, owijając sobie ich końcówki wokół nadgarstka.

Próbuję się rozluźnić w jego ramionach.

– Wieczery?

– Zaproszenie przyjęli już generał Gautam i jego nowa żona.

– To bardzo wielkoduszne, Wasza Wysokość. – Nie przepuszczę okazji, by się zobaczyć z Jayą, ale jeśli wiadomość dotyczyła wieczery, to dlaczego Tarek miałby ją przede mną taić?

Odgarnia mi włosy i całuje mnie za uchem.

– Kiedy wyjdą, możemy zostać sami. – Spuszczam wzrok, aby ukryć, że się krzywię. Radża unosi mój podbródek i nagle napotykam jego zimny wzrok. – Nie zwodziłabyś mnie, prawda, moja miłości?

– N-nie, Wasza Wysokość.

Wciąż piorunując mnie wzrokiem, przyciska wargi do moich ust i porusza nimi, jakby przeżuwał mięso. Ten brutalny pocałunek naznacza mnie w taki sam sposób, jak numer na ręce. Wstrzymuję oddech, a z obrzydzenia ściska mnie w żołądku. Tarek wreszcie przestaje mnie całować i opiera swoje czoło o moje. Kilka godzin temu Deven zrobił to samo, ale wtedy chciałam, aby mnie dotykał.

– Wkrótce będziemy razem, moja miłości – szepcze, znów bawiąc się moimi włosami.

Duszę się tą jego wymuszoną czułością. Nie mówi do mnie, lecz do Yasmin. Ja jestem tylko naczyniem dla kobiety, której pożąda. Zapach olejków na jego wypielegnowanej skórze zmieszany z odorem przeżutego mięsa w nieświeżym oddechu sprawia, że wywracają mi się wnętrzności. Muszę stąd uciec.

Wstaję i nagle skóra mojej głowy eksploduje bólem. Tarek wciąż ma moje włosy owinięte wokół nadgarstka. Szarpie za nie jak za sznur i padam przed nim na kolana. Służący i strażnicy ani drgną. Lacia się odwraca, by na nas spojrzeć.

– Dzisiaj pachniesz inaczej. – Tarek podnosi moje włosy do nosa. Czyżby wyczuwał na mnie zapach Devena? – Czy to nowe mydło? – pyta.

Chodzi mu o imbirowo-lawendowy zapach, który pozostał na mojej skórze, gdy Wodna obmyła mi plecy.

– T-tak, Wasza Wysokość. Podoba ci się?

– Bardzo. – Puszczą moje włosy, lecz minę ma nieufną. – Yasmin też je lubiła.

Próbuję się uśmiechnąć, udając, że ta makabryczna zbieżność mi schlebia, po czym wracam na swój tron. Przez resztę posiłku rzucam ukradkowe spojrzenia na radzę, ale on mnie ignoruje. Ta obojętność niepokoi mnie niemal równie mocno jak podejrzenie, że wiadomość, którą przyniósł mu służący, nie dotyczyła wieczerzy.



Pojedynek zwycięzczyń odbywa się w dusznym upale późnego popołudnia. Gdy Fareeshah zabija ostatnią ze swoich rywalek i zdobywa tytuł mistrzyni dnia, moje nerwy są już w strzępach. Tarek znów patrzy na mnie ciepłej, ale jest czymś zaprzątnięty. Dopiero gdy opuszczamy amfiteatr, uświadamiam sobie, że dzisiaj nie wypił ani łyku mocnego trunku.

Powrót do pałacu zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Zamierzam się uwolnić od Tarka, gdy tylko dotrzemy do bram, ale on przytrzymuje mnie za rękę i razem schodzimy po przysuniętych do boku słonia stopniach. Na dziedzińcu wciąż mnie nie puszcza.

– Wkrótce podają wieczerzę – mówi.

– Czy zdążę się przebrać? – Udaję strapioną. Muszę się od niego uwolnić na wystarczająco długą chwilę, aby się zobaczyć z Devenem i usłyszeć, jak poszły poszukiwania.

Tarek uśmiecha się szeroko.

– Odprowadzę cię do twojej komnaty i poczekam na ciebie.

W jego obecności gęstnieje powietrze, a ściany zdają się napierać na mnie ze wszystkich stron. Przez całą drogę nie odstępuję mnie na krok, a za nami maszerują jego strażnicy. Przed moimi drzwiami nie ma nikogo. Modlę się, abyśmy w środku nie ujrzeli Devena.

Asha wita nas niskim ukłonem.

– Wasza Wysokość. Viraji.

Obrzucam całą komnatę wzrokiem i nieco się uspokajam. Devena tu nie ma.

– Asho, muszę się przebrać do wieczery. Przyniesiesz mi to sari w kolorze jadeitu?

Asha spieszy po strój, a strażnicy Tarka zajmują posterunki przy drzwiach. Wchodzę za parawan i powoli wydecham powietrze. Bez tej nieznośnej bliskości radży oddycha mi się łatwiej, ale wciąż dzieli nas zbyt niewielka odległość. Słyszę, jak się przechadza po pokoju.

Asha wraca z sari. Z jej niespokojnych oczu wyczytuję, że coś jest nie w porządku.

– Co się stało? – pytam szeptem.

– Aresztowano kapitana Naika.

Krew mi się ścina w żyłach.

– Za co?

– Nie wiem, ale jest w lochach.

Paralizujący żal wyciska mi łyzy z oczu. Nieważne, dlaczego go pojmano, to musi mieć związek ze mną.

– Jesteś ubrana? – pyta Tarek. – Nie chcemy, aby nasi goście czekali.

– Jeszcze chwilkę – udaje mi się wykrztusić.

Asha upina zakładki na moim ramieniu i ociera mi oczy rękawem.

– Ukryj swój ból – szepcze. – Radża się śmiał, kiedy Pokrewna chlusnęła

mi w twarz gorącą oliwą za to, że za późno przyniosłam wieczerzę. Nie obchodzą go twoje łzy. – Wkłada ozdobny koniec sari za halkę na wysokości talii. – Szybko.

Bardzo mi żal Ashy, ale odpędzam lęk, który sprawia, że trzęsą mi się ręce. „Graj swoją rolę. Bądź Viraji”. Zbieram wszystkie strzępy odwagi, jakie mi pozostały, i wychodzę z za parawanu.

Tarek pożera mnie wzrokiem. Podchodzi bliżej i poprawia kohl, który musiała rozmazać łza.

– Czy coś cię smuci, moja miłości? – Jego troska graniczy z kpina.

„Wie, że już się dowiedziałam o Devenie”.

Kusi mnie, by go dotknąć i wepchnąć w niego cały swój ogień, by została po nim tylko kupka popiołu. Jestem pewna, że mam w sobie dość nienawiści, żeby go skrzywdzić, ale czy wystarczająco, aby zabić? Nawet gdybym zdołała go spopielić i umknąć jego strażnikom, nie mogę ryzykować, dopóki się nie dowiem, co zrobił Devenowi.

Wpatruję się w niego z napiętym uśmiechem.

– Ani trochę.

Kącik jego ust unosi się lekko. Radża ujmuję mnie pod ramię i prowadzi do zacisznego atrium w skrzydle dla żon. Otoczoną wysokimi ścianami przestrzeń porasta bujna roślinność. W nastrojowym ogrodzie unosi się zapach hibiskusów, a przed promieniami zachodzącego słońca osłaniają go kwitnące magnolie. Gdy tylko wchodzę do środka, mój wewnętrzny ogień przygasa. Choć pustynny wieczór nie mógłby być cieplejszy, strach przejmuje mnie chłodem.

Moje ogniste moce zniknęły.

Tak długo żyłam bez nich, że natychmiast rozpoznaję ten stan. Czy Tarek wie? Może przywiódł mnie tutaj, aby mnie obezwładnić, ale przecież przez cały dzień mi towarzyszył, w żaden sposób nie dając po sobie poznać, że wie, kim jestem.

Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo, bo widzę Gautama i Jayę. Odejmuje mi mowę. Moja przyjaciółka ma pękniętą wargę i twarz posiniaczoną jeszcze bardziej niż przedtem. Blizna na policzku znów jest otwarta – i to celowo, precyzyjnym cięciem. Tulę Jayę w ramionach.

– Co on ci zrobił?

– Radża wie – odpowiada szeptem.

Ściska mnie w gardle. Co wie? Że jestem Ognistą? O Devenie i o mnie? Że szukamy *Zhalehu*? Że pomagam przywódcy bhutów? Mam tyle sekretów, że nie wiem, z którego powinnam się teraz wytłumaczyć.

Tarek zaprasza nas do stołu. On i ja klęczymy na poduszkach obok siebie, a Gautam i Jaya naprzeciwko nas. Stół nakryto wytworną zastawą i srebrem; są tu noże do krojenia mięsa, złote kielichy i satynowe obrusy. Jako przystawkę przygotowano półmisek z chlebem i miodem. Nie tykam niczego.

Jaya trzyma ręce i nogi blisko ciała, jak skulony owad. Żałuję, że nie możemy się chwycić za ręce pod stołem jak kiedyś, w Samiyi. Mogłabym wypatroszyć Gautama za to, co jej zrobił. Rana na policzku Jayi się zagoiła, ale teraz zostawi po sobie szpecącą bliznę.

Służąca proponuje radży wino. Odsyła ją machnięciem ręki i sięga po porcję sera, którą kładzie na moim talerzu.

– Dziś były dobre walki, nieprawdaż, generale?

– Większości nie zdołałem obejrzeć, bo z rana zmógł mnie ból głowy – odpowiada Gautam.

Opieram się pokusie spojrzenia na Jayę. Chętnie pochwalilibym ją za przebiegłe trucie męża, ale o ile wiem, przyłapał ją i odpłacił tymi nowymi ranami.

– Widziałem jednak pojedynek zwycięzczyń. Ta twoja kurtyzana Fareeshah po mistrzowsku posługuje się sztyletami. Viraji będzie musiała skalać ręce mieczem. Na arenie proca nie wystarczy.

– Może więc będę walczyć pięściami, jak mężczyzna? – pytam, patrząc znacząco na rozciętą wargę Jayi.

Tarek gładzi moje ramię, aby mnie uciszyć.

– Widzicie, jak moja Viraji rwie się do walki? Powiedz nam, Jayu – moja przyjaciółka kuli się w sobie, gdy radża kieruje na nią uwagę – jak ci się podoba pobyt w pałacu?

– Bardzo, Wasza Wysokość. Są tu przepiękne ogrody.

– Powinnaś zwiedzić znacznie więcej, obejrzeć mój dziedziniec do egzekucji.

– Z pewnością są przyjemniejsze miejsca, które mogłaby odwiedzić – mówię z lekkim śmiechem.

– Doprawdy? – Radża zadaje to pytanie, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Chciałabym go przygasić, by padł nieprzytomny, za to, że groził mojej przyjaciółce. Kiedy mi powie, że aresztował Devena? Na co czeka?

Tarek pochyla się ku mnie, tłumiąc chichot.

– Pioruny w twoich oczach zaraz zedrą ze mnie skórę. Rozluźnij się i naciesz tym przyjemnym wieczorem.

Mogłabym się bardziej rozluźnić w legowisku wilków.

Służące podają pieczoną gęś. Nad nami rozognione niebo przybiera chłodniejszą barwę atramentowego błękitu, a Tarek z generałem dalej wymieniają się uwagami o turnieju. Jaya zaciska palce wokół noża i skubie jedzenie na swoim talerzu. Próbuje przyciągnąć jej wzrok, ale bezskutecznie.

Pod koniec tej nieznośnej wieczerzy Tarek wyciera usta serwetką i się uśmiecha.

– Przygotowałem też rozrywkę.

Jaya gwałtownie podnosi na mnie wzrok. Znam to przerażone spojrzenie. Kiedy widziałam je po raz ostatni, znajdowałyśmy się poza murami świątyni

i właśnie ruszyła lawina, a Jaya krzyknęła, żebym uciekała do środka. Ale teraz nie ma czasu na ucieczkę. Lawina właśnie na nas runęła.

Przerażenie przenika mnie do szpiku kości, gdy do atrium wkracza kilku strażników pałacowych. Prowadzą zakutego w kajdany Devena.



Nie ma na sobie munduru, jego koszula jest rozdarta, a ręce za plecami są skute łańcuchami. Zmasakrowana twarz jest niemal nie do rozpoznania. Wargi, które całowały mnie tego ranka, są opuchnięte i zakrwawione. A jednak Deven stoi z podniesioną głową i wzrokiem utkwionym przed siebie.

Za nim, jakby się unosiła na chmurze własnej arogancji, kroczy Lakia. A tuż za nią idzie...

„Bogowie, nie”. Manas.

– Kapitanie Naik, nie wyglądasz najlepiej – mówi radza. Gautam tłumi chichot, a ja rzucam mu ostre spojrzenie. „To twój syn!” – Słyszałem, że myszkowałeś w pałacu. Znalazłeś coś ciekawego?

Deven patrzy przed siebie.

Gautam odpowiada za niego:

– Przyłapaliśmy go na spiskowaniu z Ognistym.

Panika uderza we mnie jak taran. Więc dopadli także Braca.

– Chyba nie pomagałeś zbuntowanym bhutom, kapitanie? – pyta Tarek. – Nie ty, najbardziej lojalny z moich żołnierzy, który podczas ataku Wietrznego przywiązał mnie do głazu. Nie człowiek, któremu zaufałem na tyle, by powierzyć mu życie własne i Viraji.

– Powinienem był pozwolić ci zginąć – odzywa się Deven, kierując wzrok na radzę.

Tarek wybucha sardonicznym śmiechem.

– Będziesz mnie błagał o wybaczenie za te słowa, kiedy zaczną cię przygniatać. – Zaciska dłoń na moim ramieniu. – Viraji uczyni nam zaszczyt i rzuci pierwszy kamień.

Serce podchodzi mi do gardła. Nigdy nie mogłabym ukamienować Devena.

– Viraji jest tak samo winna jak kapitan. – Lakia unosi księgę. – To było w jej komnacie. – Kładzie *Prażródła bhutów* przed radzą.

– To należy do mnie – oznajmia Deven. – Ukryłem księgę w komnacie Viraji, na półce przy drzwiach.

Tarek rzuca Lakii pytające spojrzenie, a ona niechętnie potakuje. Właśnie tam znalazła tę księgę.

– Ukrywałaś ją na polecenie swojego współnika bhuty? – dopytuje się Tarek.

– Tak, Wasza Wysokość. Viraji nic o tym nie wiedziała.

Nie mogę tego słuchać. „Dlaczego to robisz?” – krzyczą moje utkwione w Devenie oczy.

W jego wzroku widzę odpowiedź. Nauczyłam się czytać w jego myślach tak samo, jak w myślach Jayi, i wiem, o co mnie teraz prosi. „Ocal siebie”. Nie chce, żebym wszczyniała zamieszanie. Mam pozwolić, aby go stąd wywlekli, choć jego jedynym przewinieniem jest pragnienie bycia ze mną.

– Kapitanie – mówi Tarek – za spiskowanie przeciwko tronowi niniejszym pozbawiam cię dowództwa i skazuję na śmierć. – Aby to uczcić, nalewa sobie wina i się szczyrzy, zadowolony jak ryś z sobolem w pysku. – Twoja egzekucja odbędzie się o świcie.

Deven w milczeniu oblizuje zakrwawioną wargę, a spojrzenie ma tak

odległe, jakby stał na drugim krańcu pustyni. Radza przygląda mi się badawczo, czekając na jakąś reakcję. Mój instynkt krzyczy, aby go spopielić, ale wciąż nie mam swoich mocy. Żołnierze wyprowadzają Devena, odprawieni przez Tarka machnięciem ręki. Przywieram wzrokiem do ukochanego, błagając w milczeniu, by na mnie spojrzął, ale on nie ogląda się za siebie.

– Radzo, dziękuję za posiłek. – Gautam ociera tłuste usta serwetką. – Czy weźmiesz udział w egzekucji kapitana?

– Przyjdziemy oboje, Viraji i ja. – Okrutny uśmiech Tarka wbija mi się w plecy niczym nóż. – I jeszcze jedno, generale, oczekuję, że zapanujesz nad swoją żoną. Jej kolejne potknięcie będzie ostatnim.

Gautam skłania głowę.

– Najmocniej przepraszam, Wasza Wysokość.

Jaya spuszcza załzawione oczy. Co się stało? Przyłapano ją z Devenem i Brakiem? Czy to dlatego nie umie na mnie spojrzeć? Czy to była jej wina?

Generał ciągnie Jayę za ramię. Gdy wychodzą, zauważam, że z jej nakrycia zniknął nóż. Ostatnio widziałam, jak trzymała go w ręku. Ogarnia mnie podziw dla jej odwagi. „Wielki Anu, chroń ją”.

Lakia zostaje, a towarzyszy jej Manas. Zapewne uczestniczył w pojmaniu swojego kapitana. Deven mnie ostrzegął, że chłopak na niego doniesie, ale nie chciałam wierzyć, że imperium będzie znaczyło dla niego więcej niż przyjaźń.

– Manasie – zwraca się do niego Tarek – twoja lojalność jest godna pochwały. Dopilnuję, abyś odwiedził skrzydło dla kurtyzan i odebrał swoją nagrodę.

Żołnierz kłania się z wdzięcznością. Odwracam wzrok, bo mdli mnie na jego widok.

– Tarku – Lakia jest wściekła – jaką karę zadasz Viraji? Manas doniósł, że ostatnią noc spędziła z kapi...

– Nic nie zrobię – ucina Tarek krótko. – To moja faworytka. Za dwa dni będzie broniła swojego miejsca na tronie i do tego czasu pozostanie nietknięta.

– Poślubiłbyś kogoś tak niewiernego? – pyta Lakia z szeroko otwartymi oczami.

– Poślubiłbym ją natychmiast, gdyby to nie rozgniewało bogów. To Anu ustanowił ten turniej i podobnie jak jego syn Enlil uczynię Viraji swoją faworytką. – Chwyta mnie za ramię i ciągnie za sobą. Opuszczamy pawilon w eskorcie jego strażników, którzy podążają za nami.

Próbuję się wyrwać, ale trzyma mnie mocno.

– Zakosztuj mojej cierpliwości – mówi. – Dwa tuziny kobiet są gotowe umrzeć za twój tron, a ty narażasz jego utratę dla jakiegoś nic niewartego żołdaka.

– Nigdy nie udawałam, że cię pragnę – wyrzucam z siebie zdyszonym głosem, starając się nadążyć za jego szybkim krokiem. – Nikt mnie nie pytał, czego chcę.

– Nie dbam o to, czego pragniesz. Jestem radzą. A ty jesteś moją wybranką. Będziesz mi posłuszna.

Przenika mnie nagły ogień, gorący i dziki. Moje moce wróciły. Nim jednak zdążę ich użyć, Tarek wtrąca mnie do mojej komnaty. Udaje mi się zachować równowagę i nie upadam.

– Dziękuj bogom, że boję się ich gniewu – woła. – Gdyby było inaczej, zakończyłbym turniej i poślubił cię jeszcze dzisiaj.

Kurczowo zaciskam palce na sari. Ta groźba przeraża mnie najbardziej.

– Nie pozwólcie jej wyjść – rozkazuje Tarek strażnikom. – Pilnujcie komnaty i balkonu. Zabijcie każdego, kto spróbuje się dostać do środka. Ma tu być, kiedy wrócę.

Zatrząskuję drzwi i przyciskam dłonie do oczu. „Deven”. Widzę go

posiniaczonego, zakrwawionego i zakutego w kajdany. Poddał się, ale ja nie zamierzam. Nie mogę pozwolić na jego egzekucję.

– Wieczera się udała?

Opuszczam ręce i moim oczom ukazuje się Brac, który wyłania się zza balkonowej draperii.

– Brac. – Oddycham z ulgą. – Myślałam, że cię aresztowali.

Uśmiecha się.

– Nie tak łatwo mnie złapać. – Na plecach ma przewieszoną khandę, a przy każdym biodrze topór. Wygląda groźnie, jak wtedy, kiedy ujrzałam go po raz pierwszy. – Czekam na ciebie, odkąd wyszłaś na wieczerzę.

Zerkam w stronę drzwi, spodziewając się, że strażnicy wpadną tu lada moment.

– Co się stało? Jak schwytali Devena? – pytam szeptem.

– Odwiedziliśmy Jayę, a potem Deven zaproponował, abyśmy wszyscy poszli do grobowca Yasmin. Sądził, że skoro radza próbuje przywrócić jej życie, to mógł ukryć księgę gdzieś blisko niej. Powiedział, że na miejscu Tarka tak właśnie by postąpił.

Czuję piknięcie w piersi. To bardzo przenikliwe spostrzeżenie. Sama powinnam była o tym pomyśleć. W dniu, w którym spacerowałam po ogrodach, zauważyłam, że grobowiec był niedawno otwierany.

– Czekalem przed wejściem, a oni weszli do środka – ciągnie Brac. – Manas nas śledził i sprowadził więcej żołnierzy. Ostrzegłem Devena, że nadchodzą, ale on i Jaya zostali z tyłu.

Aż mnie ręce swędzą, by udusić Manasa.

– Czy Hastin wie? Przyjdzie ktoś jeszcze?

Brac cedzi każde słowo przez zaciśnięte zęby:

– Hastin uważa, że Deven nie jest wart ryzyka.

– A Anjali?

– Popiera ojca. Jak reszta buntowników.

Zaciskam dłonie w pięści. Deven nie jest częścią naszych ustaleń, ale go nie porzucę. Hastin może zapomnieć o naszej umowie. O księdze *Zhaleh*. O turnieju. Niech przywódca bhutów sam zabije radzę.

– Zabieram Devena i Jayę – mówię. – Dziś w nocy uciekniemy. – Chwytam sztylety Yasmin spoczywające w szufladzie stolika nocnego. Dłonie mnie parzą, w żyłach gotuje się krew. Oddycham, by się uspokoić, i siłą woli studzę rosnące gorąco. Potrzebuję każdej iskiej mocy, aby uwolnić Devena.

– Idę z tobą – oświadcza Brac.

Zatrzymuję się i oglądam na niego.

– Ale ty trzymasz z buntownikami.

– Trzymam z moim bratem – poprawia, rzucając mi zdecydowane spojrzenie.

Opieram się pokusie, by go uściskać, po czym wsuwam jeden ze sztyletów za pas spodni. Chowam też procę, a sakiewkę z kamieniami przywiązuję do boku.

– Tarek rozstawił strażę – przypominam.

– Ćwiczyłaś dzisiaj?

– Nie, ale poradzę sobie. – Gwoli ścisłości: eksploduję, jeśli nie wyrzucę z siebie pulsującego we mnie żaru. W jedną dłoń ujmuję sztylet, drugą pozostawiając wolną, po czym podchodzę do drzwi.

Brac chwyta za topór.

– Gotowa?

Potakuję, a wtedy on otwiera drzwi na oścież.

Manas i trzech innych strażników sięgają po miecze. Brac rzuca się na

tamtą trójkę. Ja chwytam Manasa za ramię. „Wciągaj. Nie wypychaj”. Wyczuwam jego wewnętrzne ciepło i szarpie je ku sobie. Między nami formuje się złota nitka, przez którą jego ogień spływa do mnie smużka po smużce, płomień po płomieniu. Mój wewnętrzny żar rozpala się coraz mocniej i robi się coraz gorętszy, aż Manas pada na ziemię. Brac przygasza dwóch strażników, a trzeciemu roztrzaskuje głowę tępą stroną topora.

Spuszczam wzrok na poszarzałą skórę Manasa, czując, jak w moich żyłach płonie nadmiar jego ognia duszy.

– Wydobrzeje?

– Powinien. Następnym razem skończ nieco szybciej, jeśli nie chcesz wysuszyć przeciwnika na wiór. – Brac stopą odpycha nogę jednego ze strażników, żeby zrobić sobie przejście. – Dokąd teraz?

– Najpierw Jaya.

Brat Devena naprawdę potrafi się skradać. Prowadzi mnie pustymi korytarzami, schodzimy trzy kondygnacje i docieramy do lekko uchylonych drzwi. Przywieramy do ściany. Wychodzi służący, którego Brac chwytą za kark. Mężczyzna osuwa się w jego ramiona. Odciągamy go z przejścia i wślizgujemy się do pogrążonej w ciszy komnaty.

Wychodzę zza rogu, wyciągając przed siebie sztylet. W środku czeka Jaya, gotowa do ataku nożem, który zabrała ze stołu. Policzek ma opatrzony, a białka oczu pasują do koloru bandaża.

– Kali. – Opuszcza broń z westchnieniem ulgi.

Brac zagląda do pozostałych komnat, trzymając uniesiony topór.

– Gdzie jest generał?

– Nie ma go. Dlaczego tu przyszliście?

– Pomożemy uciec tobie i Devenowi – odpowiadam.

Jayi opadają ramiona.

– Chciałam ci powiedzieć przy wieczerzy, co się stało. Kapitan miał rację.

Księga była w grobowcu. Trzymaliśmy ją w rękach, kiedy nadbiegli strażnicy, ale spódnica zaplątała mi się w drzwiach. Kapitan Naik zawrócił, by mi pomóc. Straż nas pojmała i wtrąciła go do lochów.

– Co się stało z księgą? – pytam.

– Gautam zwrócił ją radzy. Na pewno zdążył znów ją gdzieś ukryć.

Z gardła wyrywa mi się jęk. Deven miał *Zhaleh* w rękę. Tak niewiele brakowało, byśmy mogli uciec z pałacu i spełnić nasze marzenie.

– Kali, Gautam zamknął mnie tu po wieczery i poszedł do lochów. – Jaya patrzy na mnie przepaszającym wzrokiem. – Przesłuchuje kapitana Naika w sprawie przywódcy bhutów.

– Ale Deven o niczym nie wie!

– To nieważne. – Wbija sobie palce we włosy. – Gautam i tak będzie go torturował.

Brac milczy, ale ja wiem, że jego zdaniem najpierw należało uwolnić Devena. To ja zdecydowałam, żeby przyjść tutaj, po Jayę. A teraz może być już za późno.



Jaya i ja schodzimy w ciemność, podążając za Brakiem po śliskich schodach prowadzących do lochów. Przytrzymuję się ściany, czując pulsujące w czubkach palców napięcie. Dotarłszy już prawie na sam dół, Brac zatrzymuje się i gestem daje nam znak, żeby na niego poczekać. Znika za rogiem, skąd dobiega nas głucho uderzenie. Wychylam się i widzę na ziemi przygaszonego strażnika. Jaya wychodzi za mną i przygląda się leżącemu.

Brac przykłada dłonie do drzwi tuż nad zasuwą.

– Viraji, pomożesz mi?

Domyślam się, że chce, bym je spaliła. To jedyny sposób, abym się pozbyła nadmiaru ognia, który wchłonęłam.

Dołączam do niego i kładę dłonie na drewnie.

– Mów mi Kali.

– Spal je, Kali.

Próbuję to zrobić, chcę wypchnąć z siebie buzujące we mnie moce, ale nic się nie dzieje.

Brac rzuca przekleństwo pod nosem.

– W glinianych ceglach są te same trujące zioła, co w twoim toniku. Aby uwięzieni w lochach bhutowie nie mogli uciec. Takimi samymi ceglami

musieli otoczyć te drzwi. – Wali w nie toporem.

Jaya blednie.

– On wie o toksynach w twoim toniku?

– A ty? – Na jej twarzy maluje się poczucie winy.

– Pomogłam uzdrowicielce Bace je wyhodować. Na początku się martwiłam, ale wyjaśniła mi, że taka ich mieszanka cię nie skrzywdzi. I miała rację. Tonik obniżył twoje gorączki.

– Zrobił znacznie więcej. – Brac wyrąbuje wystarczająco wielką dziurę, żeby móc włożyć w nią rękę i odblokować zasuwę.

Drzwi się otwierają i Brac wkracza do środka. Jaya rusza za nim, a ja idę na końcu. Znajdujemy się w ciemnym, podobnym do tunelu korytarzu. Natychmiast ogarnia mnie wrażenie, jakbym się zanurzyła w lodowatej wodzie. Czuję, jak toksyny w ścianach osłabiają moje moce, które teraz przypominają maleńki, bezużyteczny węgielek, dokładnie tak samo, jak w atrium.

Brac na zmianę zaciska pięści i rozprostowuje palce, marszcząc przy tym brwi.

– Czy tak właśnie czują się śmiertelni? Jak oni to wytrzymują?

– Ciii – ucisza go Jaya. – Coś słyszę.

Z celi na końcu korytarza dobiegają nas niewyraźne głosy. Jaya pokazuje wzrokiem, że mam iść, więc ruszam przodem. Przekradamy się obok cel zamkniętych żelaznymi kratami i cuchnących ludzkimi odchodami oraz wymiocinami. Sięgam po procę i grzebię w sakiewce, by wyjąć kamień. Ostatnia cela jest otwarta, a ze środka dochodzi głos Gautama:

– Dałem ci już wiele szans. Mów, gdzie ukrywa się Hastin.

Podkradam się do drzwi. Wydobywające się z celi światło świecy kładzie się żółtawą poświatą na obskurnej podłodze.

– Nie wiem – szepcze słabym głosem Deven.

Następuje seria głuchych odgłosów zakończona jękiem bólu.

Nie potrzebuję swoich mocy, by poczuć rosnącą wściekłość. Ładuję procę i naciągam gumę. Brac daje mi znak głową, że mam się wstrzymać, bo nie wiemy, kto jeszcze jest w środku, ale zamierzam zaryzykować.

– Mów, co wiesz! – Głos Gautama twardnieje.

Kolejne mocne uderzenie i jęk Devena. Dość już usłyszałam.

Staję w oświetlonych drzwiach. Deven jest przywiązany do krzesła, twarz ma całą we krwi. Gautam i jego dwaj strażnicy sięgają po broń. Mój kamień trafia jednego z nich w oko. Strażnik pada na ziemię. Brac rzuca toporem w pierś drugiego. Jego brutalność wstrząsa mną tak, jakby to mnie dosięgnął ten cios. Cieszę się, że jest po naszej stronie.

Brac zamierza się drugim toporem na Gautama.

– Odłóż broń.

Generał miota przekleństwa i rzuca miecz. Brac przypiera go do ściany i przystawia mu topór do gardła, a potem rozbija pierwszego strażnika, odkopując jego miecz, by nie mógł go dosięgnąć. Strażnik leży na ziemi, trzymając się za zranione oko.

Podbiegam do Devena. Z bliska jego twarz wygląda jeszcze gorzej. Krew leci mu z nosa prosto na piaszczystą podłogę wokół krzesła. Rozwiązuję mu nadgarstki, starając się nie myśleć o tym, jakie musi cierpieć katusze.

– Miałem ją, Kali – szepcze umęczonym głosem. – Miałem *Zhaleh* w ręku.

– To już nieważne. – Uwalniam go z więzów i podtrzymuję, gdy ramiona opadają mu bezwładnie wzdłuż ciała. – Uciekamy stąd.

– Żadne z was żywe nie opuści pałacu – mówi Gautam.

Jaya wchodzi z impetem do celi.

– Mylisz się.

Generał zaciska pięści.

– Jesteś moją żoną. Rozkazuję ci zostać.

– Jestem wierna bogom – odpowiada Jaya. – Nie będę ci posłuszna.

Gautam rzuca się w stronę powalonego strażnika i wrywa zatopiony w jego piersi topór. Drugi żołnierz sypie Bracowi piaskiem w twarz, oślepiając go na krótką chwilę, po czym chwyta za swój miecz i mierzy nim w Braca. Zrywam się ze sztyletem w dłoni, a Deven wyciąga drugi, który mam na biodrze.

Gautam łapie Jayę za włosy i przykłada jej ostrze topora do gardła.

– Poddajcie się albo ona zginie.

Deven mierzy w niego sztyletem, ale nie może nim rzucić, bo Gautam zasłania się Jayą.

– Nie masz krzty lojalności? – mówi. – To twoja żona.

– A ty jesteś moim synem. Myślisz, że to coś znaczy? Mathura postanowiła cię zatrzymać. Ja nigdy nie chciałem bezużytecznego bękarta.

Brac próbuje się pozbyć piasku z łzawiących oczu.

– Nie mogłeś znieść więcej niż jednego w rodzinie?

– Oszczędź sobie tych obelg, demonie. – Gautam mocniej przyciska ostrze topora do gardła Jayi. Moja przyjaciółka trzyma w dłoni nóż, który przyciska do boku, pod fałdami sari. – Rzućcie broń – rozkazuje generał.

– Najpierw puść Jayę – odpowiadam.

– Młoda Viraji. – Gautam wymawia mój tytuł drwiącym głosem. – Jeszcze się nie nauczyłaś, gdzie twoje miejsce.

– Ja też nie. – Jaya się odwraca i widzę błysk srebra, gdy zatapia krótkie ostrze noża w gardle męża.

Gautam zatacza się do tyłu, a w jego szeroko otwartych oczach widać wstrząs. Pada na kolana i sięga dłonią do rączki głęboko wbitego w ciało

noża. Dławi się własną krwią. To nie będzie szybka śmierć, ale właśnie na taką sobie zasłużył.

Żołnierz, którego postrzeliłam w oko, zamierza się na Braca. Kiedy odwraca się do nas plecami, Deven rzuca w niego sztyletem, szybko i precyzyjnie. Ostrze wbija się w kręgosłup, a żołnierz zgina się w pałąk. Brac odskakuje, a wtedy strażnik gwałtownie pada twarzą na ziemię.

Brac przypina swoje topory do pasa.

– Dałbym sobie radę – zauważa.

– Naturalnie – odpowiada Deven, przyciskając dłoń do boku. – Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę.

– Ja ciebie też nie. Mój starszy brat, najbardziej lojalny z żołnierzy, w lochach. Czasy naprawdę się zmieniają. – Brac wyszarpuje mój bliźniaczy sztylet z pleców strażnika i podchodzi do Devena. – Możesz chodzić?

– Poradzę sobie. – Deven podnosi jeden z leżących na ziemi mieczy, uważając, aby nie nadwyrężyć pokiereszowanej klatki piersiowej, i odwraca się do brata. – Jeśli to ma jakieś znaczenie – dodaje – to zawsze wiedziałem, że jesteś Ognistym. Jeżeli udawałem, że jest inaczej, to nie dlatego, że się ciebie wstydziłem. Trzymałem to w sekrecie, bo sądziłem, że tak cię ochronię.

Brac krzepiąco kładzie dłoń na plecach brata.

– A ja cię chroniłem, ukrywając przed tobą swoje moce.

Deven ściska ramię Braca.

– Cieszę się, że nie zginąłeś.

Brac szczerzy zęby w uśmiechu.

– Dobrze, że ty też żyjesz.

Zostawiam ich i podchodzę do Jayi. Stoi nad Gautamem, wbijając pusty wzrok w jego martwe oczy. Tulę jej drżące ciało.

– Już po wszystkim.

– Musiałam to zrobić.

– Wiem. – Wciska twarz w moje ramię, a ja głaszczę ją po włosach. – Dobrze zrobiłaś.

Brac wygląda na korytarz.

– Czysto.

Gdy wyprowadzam Jayę z celi, ani razu nie ogląda się na martwego męża. Brac wiezie nas ciemnym korytarzem do wyjścia.

– Na syna skorpiona – mówi. – Nie ma strażnika.

Patrzę w górę klatki schodowej; wkrótce nie będzie taka pusta. Już podniesiono alarm. Tarek wie, że tu jesteśmy.

– Najbliższe sekretne przejście jest w kaplicy – oznajmia Deven. – Uciekniemy z Vanhi, idąc z biegiem podziemnej rzeki.

Wspinamy się po schodach. Czuję, jak w żyłach mojego roztrzęsionego ciała pulsuje adrenalina. Deven idzie, mocno przechylając się w prawo, lecz nie zostaje w tyle. Gdy docieramy do podestu, wciąż panuje spokój. Wyglądam za róg, ale Deven ciągnie mnie do tyłu. Sekundę później w ścianę nad moją głową wbija się strzała.

Brac wchodzi na linię ognia i ciska toporami. Kładzie dwóch łuczników, ale wtedy do ataku ruszają kolejni strażnicy. Brac posyła Devenowi obłąkańczy uśmiech.

– Jak za dawnych czasów – rzuca.

– Jak zawsze porywczy – odpowiada jego brat, jedną ręką wznosząc miecz, a drugą trzymając się za obolały bok. Staje obok Braca naprzeciwko szarżującej na nas watahy strażników.

Bracia odwracają uwagę napastników, zgodnie wywijając ostrzami. Deven na chwilę traci rytm i jednemu strażnikowi udaje się go wyminąć. Rzuca się z mieczem prosto na mnie, a gdy robię unik i unikam ciosu,

zmienia kierunek i mierzy w Jayę. Wskakuję mu na plecy i zaciskam dłonie na jego twarzy. Znajduję źródło światła i wciągam je. Natychmiast czuję, jak ogarnia mnie ożywcza fala gorąca. Puszczam strażnika dopiero wtedy, kiedy bezwładnie osuwa się na ziemię. Podnoszę wzrok i widzę gapiącą się na mnie Jayę.

– Jestem Ognistą – wyjaśniam.

Wyciąga do mnie rękę, by pomóc mi się podnieść.

– To wiele wyjaśnia.

– Boisz się?

– Ciebie? Nigdy.

Ściskam jej dłoń. Oddaje mi uścisk, ale szybko cofa rękę. Nie czuję urazy. Sama wciąż się przyzwyczajam do nowej tożsamości.

Brac skręca za róg i niemal potyka się o nieprzytomnego strażnika.

– Pamiętałaś, żeby przerwać – zwraca się do mnie.

– Chcę zostać twoją najlepszą uczennicą.

Uśmiecha się.

– To nie powinno być trudne. Jesteś jedyną.

Przenoszę wzrok na Devena. Jest z nim gorzej, gwałtownie traci siły. Rękę, w której trzyma broń, opuścił tak nisko, że czubek miecza wlecze się po ziemi. Obejmuję go w pasie i spieszymy do kaplicy.

Wszystkie korytarze są puste. Zmęczony oddech huczy mi w uszach głośniejszy niż echo naszych kroków. Im dalej się posuwamy nieatakowani przez strażników, tym bardziej rośnie mój niepokój. Pałac jest zbyt cichy, ale jesteśmy już tak blisko. Musimy tylko dotrzeć do przejścia, aby bezpiecznie stąd uciec. Czuję, że Deven stawia kolejne kroki tylko dzięki sile woli. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Przekraczamy próg kaplicy i stajemy jak wryci. Podziemne przejście

blokuje Tarek. Zanim udaje nam się zawrócić, drogę do wyjścia odcina nam straż z Manasem na czele. Tarek musiał przewidzieć, że tu przyjdziemy; to przejście znajduje się najbliżej lochów. Moje moce rozbłyskują, zaczyna emanować ze mnie fala ciepła.

– Kali, nie rób tego – mówi stojący obok mnie Deven.

Tarek podchodzi bliżej, ale zatrzymuje się w bezpiecznej odległości.

– Czego ma nie robić, kapitanie? Włamywać się do lochów, by cię ratować? Przypomina mi to tamtą noc, kiedy schwytałem moją pierwszą żonę, która próbowała ode mnie uciec. Ona też porzuciła mnie dla człowieka, który chował się za jej siłą, zamiast wykazać się własną.

Deven dumnie unosi głowę.

– Czasem więcej siły potrzeba, by zrobić krok w tył niż w przód.

– Czyżby? – Tarek odsuwa się na bok.

Tłumię swój wewnętrzny ogień. Moje moce to ostatni atut, którym wciąż mogę go zaskoczyć.

– Oto, co się zaraz wydarzy, kapitanie – ciągnie radża. – Twoi kompani oddadzą broń, a Viraji pójdzie ze mną. Strażnicy eskortują ciebie i tego plugawego bhutę do lochów, a o świcie obaj zostanieie ukamienowani.

– Mam lepszy pomysł. – Brac robi obrót i tnie strażników swoimi toporami. Jego dzikość pochłania dwie ofiary. Jaya błyskawicznie chwyta za miecz powalonego żołnierza i razem z Brakiem stawiają czoła reszcie przeciwników.

Tarek zamierza się swoim haladie na Devena, który blokuje cios mieczem, krzywiąc się z bólu wywołanego gwałtownym ruchem. Radża zadaje szybkie pchnięcie. Devenowi udaje się zasłonić, ale widać, że słabnie. Nie jest w stanie walczyć. Za chwilę runie na ziemię.

Chwytam za sztylet. Uderzam, gdy tylko Deven znajduje się poza zasięgiem ciosów przeciwnika. Czubek ostrza wbija się w nogę radży. Mój

błąd. Mierzyłam wyżej, w jego serce.

Tarek zatacza się do tyłu, jego twarz blednie. Wyszarpuje zakrwawiony sztylet z uda i gapi się na turkusową rękojeść.

– Yasmin – mówi.

Rzucamy się w stronę gobelinu, a Deven woła brata. Brac wyciąga przed siebie ręce i w strażników uderza ściana gorąca, odrzucając ich do tyłu.

Jaya biegnie za nami do ukrytych drzwi, mijając Tarka, który ciska za nią haladie. Sztylet wiruje w powietrzu i kiedy już wydaje mi się, że Jaya uniknie ciosu, jedno z ostrzy wbija się w jej plecy, a ona pada na ziemię.

– Nie! – krzyczę, biegnąc ku niej.

Brac się odwraca i atakuje jeszcze jedną falą gorąca, którą przykuwa Tarka do ściany.

Padam na kolana obok przyjaciółki. „Bogowie. Sztylet”. Jaya krzyczy, kiedy go z niej wyszarpuję. Odrzucam haladie na bok, a ją układam na plecach. Wyciąga do mnie rękę, którą natychmiast przyciskam sobie do piersi.

– Wszystko będzie dobrze. Zaraz stąd uciekniemy.

Czuję jej słaby uścisk. Oznacza „kocham cię”. Ten ruch, choć ledwo wyczuwalny, dodaje mi otuchy. Mogę ją stąd wynieść. Mogę znaleźć uzdrowiciela albo Wodną. Mogę...

– Kali. – Jej powieki trzepoczą przez chwilę, a potem w oczach pojawia się pustka.

– Jaya? – Ściskam jej dłoń. Nie odpowiada uściskiem jak zwykle. A przecież zawsze to robi. Zawsze. – Nie, nie, nie!

Szukam jej pulsu, ale słyszę jedynie własne serce obijające się o żebra. Ciepła krew rozlewa się pod nią niczym karmazynowe skrzydła i wsiąka w moją spódnicę. Wciąż nasłuchuję oznak, że Jaya jeszcze tu jest. Nie może odejść. Nie zostawiłaby mnie.

Brac ciągnie mnie do wyjścia, ale ja kurczowo trzymam się Jayi, więc odwraca się do mnie plecami i ciska kolejną silną falą gorąca, aby unieruchomić strażników i Tarka.

Umysł każe mi zostawić Jayę i uciekać, ale ja czekam z nadzieją, że się poruszy. Zanoszę do bogów rozpaczliwe modły i usilne błagania, a każda sekunda dłuży się w nieskończoność. Wkrótce opadają ze mnie resztki nadziei. Nie oddycha. Serce przestało bić. Nie żyje.

Odeszła.

Puszczam jej bezwładną rękę, gdy Brac mnie chwytą i ciągnie za Devenem do sekretnego przejścia. Wyszarpuję się i odwracam, by spojrzeć na gobelin. Z piersi wyrywa mi się szloch.

Z okrzykiem wściekłości padam na kolana i wyrzucam ręce w górę. Z rozżarzonych palców ulatuje fala ciepła, a gorący podmuch niszczy gobelin, który wybucha osłepiającym płomieniem. Kulę się, by ochronić twarz, a kiedy odsłaniam oczy, nie widzę już płonącego wejścia. Cegły są osmalone czarnymi plamami, a w powietrzu unosi się swąd przypalonych włosów i płonącego kurzu.

Ogień przygasa, a wraz z nim słabnie mój wewnętrzny płomień, który teraz wydaje się tylko małą iskierką. Radża Tarek pomyśli, że to Brac wyzwolił kolejną falę gorąca. Ale ja chcę, by wiedział, że to moje dzieło. Chcę, żeby bał się mnie.

Deven podnosi mnie z ziemi, lecz odsuwam się od niego. Załzawione oczy pieką od rzednącego dymu. Po drugiej stronie wejścia radża rozkazuje strażnikom nas ścigać. Żyły wypełnia mi wściekłość. Tarek musi za to zapłacić.

– Kali, trzeba iść – ponagla mnie Deven.

Jego twarz nabiera ostrości – widzę przed sobą krwawą maskę, która kiedyś zachwycała piękną linią szczęki i ustami. Nie mogę znów ryzykować jego życia. Pewnego dnia rzucę się Tarkowi do gardła. Sprawię, że będzie

cierpiał. Pewnego dnia, ale nie dzisiaj.

Biegniemy z Brakiem i Devenem tajnym przejściem. Ogarnia mnie coraz większy żal, gdy oddalamy się od sekretnych drzwi, od kaplicy, od Jayi. Bez pochodni mrok wydaje się jeszcze ciemniejszy, a szum wody tak głośny, że huczy mi w uszach jak burza o północy. Deven przytrzymuje się mnie, by nie stracić równowagi, a ja przywieram do niego, ufając jego sile tak, jak on ufa mojej. Z każdym krokiem wspiera się na mnie coraz mocniej.

Gdzieś w ciemnościach za nami rozlegają się kroki. Zbliżają się do nas małe punkty świetlne – pochodnie.

Tunel prowadzi nas do ciemnej jaskini. Brac zbiega z pochyłości w stronę wytryskującej w dole granatowoczarnej rzeki. Deven i ja próbujemy dotrzymać mu kroku, ale tracimy równowagę. Potykamy się o siebie nawzajem i staczamy aż na sam dół, zatrzymując się tuż nad brzegiem.

Brac stoi po kolana w rwącej wodzie.

– Biegiem!

Z przejścia nad nami wylewają się żołnierze. Łucznicy ustawiają się w szeregu i napinają łuki. Podtrzymuję Devena i chwiejąc się, wchodzimy do rzeki; poprowadzi nas w dół i uciekniemy szybciej, niż idąc jej brzegiem. Po kilku krokach Deven się na mnie osuwa. Uginam się pod jego ciężarem, ale nieco łagodzę jego upadek. Gdy odsuwam rękę, jest śliska od krwi.

– Dobrzy bogowie – szepczę. Z jego ramienia wystaje strzała. Ząbkowany grot tkwi głęboko w ciele.

Deven marszczy czoło z bólu.

– Kali, mam dość.

– Nie! – Drżącymi palcami wczepiam się w jego pierś. – Musisz wstać.

Przekręca się na bok, a krew spływa mu po plecach.

– Zostaw mnie.

Jego polecenie wyzwala we mnie błysk paniki.

– Nie. Nie poradzę sobie bez ciebie.

– Poradzisz sobie ze wszystkim, jeśli pragniesz tego całym sercem. –
Odpycha mnie.

Z tunelu wybiegają kolejni żołnierze uzbrojeni w łuki i strzały. Biegący za nimi Tarek woła:

– Zatrzymać ich!

Łucznicy wypuszczają rój strzał, które wbijają się w grunt i nieomal przebijają mi stopę. Chwytam Devena za kostkę i ciągnę go, wciąż leżącego na boku, wzdłuż błotnistego brzegu rzeki. Jęczy i każe mi się zatrzymać. Ignoruję go, tak jak i ślad ze świeżej krwi, który za sobą zostawia.

Brac spieszy nam z pomocą, rozchlapując wodę. Ujmuje brata pod ramiona, a ja ciągnę za nogi. Opływa go chłodna woda, ale przy brzegu nie jest dość głęboka. Za nami słychać tupot nadbiegających żołnierzy. Przyciskam usta do warg Devena i szybko odmawiam modlitwę ochronną:

– Niechaj niebo cię prowadzi, ziemia da ci oparcie, ogień oczyści, a woda nakarmi.

Coś mruczy, ale nie rozumiem słów.

– Pójdę za tobą – obiecuję i wpycham Devena do rzeki. Brac chwyta go i przytrzymując mu głowę nad powierzchnią, ciągnie w kierunku rzeczno-prądu. Rwący nurt porywa ich ze sobą.

Brnę w lodowatej wodzie za nimi. Przedemną lądują kolejne strzały, blokując drogę. Deven i Brac znikają mi z oczu. Podążam za nimi, trzymając się blisko brzegu.

– Brać ją!

Woda sięga mi do pasa, a prąd rzeki ciągnie mnie ze sobą. Poruszam rękami w przód i w tył, tuż pod powierzchnią, aby utrzymać głowę nieco wyżej. Nagle za plecami słyszę pluski i dopada mnie Manas. Próbuję się uwolnić kopniakami, ale jest lepszym pływakiem niż ja i nie puszcza. Na

zmianę się zanurzam i wynurzam. Manas ciągnie mnie z powrotem do brzegu, a ja młóczę powietrze rękami i nogami.

Krztuszę się wodą, wszystkie członki mam mokre i ciężkie. Manas i jeszcze jeden strażnik wloką mnie przed oblicze Tarka i rzucają przed nim na kolana. Zwieszam głowę, próbując odzyskać oddech, ale widzę, że radza przyciska dłoń do krwawiącego uda, w które go dźgnęłam. Rana jest na poziomie moich oczu.

– Kapitan mi umknął – mówi – ale nie przeżyje dzisiejszej nocy.

Podrywam głowę. Tarek odebrał mi wszystkich, których kochałam. Zbyt długo byłam posłuszna. Odtąd nie będę już milczała.

– Nienawidzę cię – oświadczam i sięgam do swoich mocy, ślubując przed sobą, że chwila, w której Tarek uświadomi sobie, że jestem bhutą, będzie jego ostatnią. Ale już wyczerpałam swój wewnętrzny ogień. Mogłabym zdobyć paliwo, odbierając mu ogień duszy i zarazem go przygaszając, ale musiałabym się znaleźć wystarczająco blisko, by móc dotknąć jego skóry. Dzięki temu straciłby przytomność na dość długo, abym pchnęła w niego z powrotem jego własny ogień i w ten sposób go spopieliała. Wyjmuję sztylet i wstaję.

Tarek unosi palec, powstrzymując łucznika przed zastrzeleniem mnie.

– Nie zabijesz mnie, moja miłości.

– Mylisz się. Nie jestem Yasmin. Jestem Kalindą, a ty zapłacisz za wszystko. – Unoszę sztylet, jakbym zamierzała zedrzeć mu z twarzy ten zadowolony uśmiech, a następnie wyciągam ku niemu wolną rękę. Ale zanim udaje mi się go dotknąć, kątem oka dostrzegam jakiś niewyraźny kształt zbliżający się do mojej głowy – a potem wszystko znika.



Budzi mnie ohydny smród. Unoszę głowę, by się rozejrzeć, i zaraz znów przyciskam policzek do piaszczystej podłogi. Lochy cuchną tak potwornie, jak zapamiętałam.

Nie podnoszę się, aby usiąść, gdy strażnik wnosi do celi tacę ze śniadaniem, i nawet nie drgnę, kiedy wychodzi, zamykając za sobą żelazną kratę. Leżę na boku i czekam, aż zjawi się Tarek, by zmusić mnie do uczestnictwa w turnieju.

Zamiast niego przychodzą szczury. Podchodzą blisko, obwąchują moje stopy, poruszając wąsami. Wtedy też leżę bez ruchu. W końcu nabierają śmiałości i częstują się moim nietkniętym jedzeniem. Pozwalam im na to.

Piasek dostaje mi się pod ubranie i drażni skórę, a mnie brak chęci, by się podrapać. Gapię się na dłonie. Swoje bezwartościowe dłonie. Tkwiąc w tych zatrutych kazamatach, mogę tylko myśleć. Mam dość czasu, by się zastanawiać nad tym, co poszło źle, ale to niepotrzebne. Wiem, dlaczego tu jestem. To kara zesłana przez bogów. Zboczyłam z ich ścieżki, więc zdusili moje buntownicze mrzonki.

– Przywiędłaś dzisiaj, moja miłości.

Tarek przyciąga krzesło do krat i siada naprzeciwko mnie. Jest ubrany w wytworną, udekorowaną klejnotami kurtę i turban. Karmazynowe rubiny połyskują w przyćmionym świetle. Albo już wie, że jestem bhutą i nie mam

tu mocy, albo nie podejrzewa, kim jestem. Wątpię, aby to miało jakieś znaczenie. Prawdopodobnie i tak znalazłby sposób, żeby mnie poskromić, zakładając mi na szyję obrozę z trującymi ziołami.

– Strażnicy powiedzieli, że nie chcesz jeść. Powinnaś. Podczas jutrzejszej walki będziesz potrzebowała sił. – Wpatruję się w ziemię, a on dodaje: – Trzecią finalistką została Natesa. Twoje rywalki zdecydowały się walczyć bronią sieczną. Ty możesz wybrać inną, jeśli chcesz.

Nie dziwi mnie wieść, że Natesa zwyciężyła, ale jego propozycja wyboru broni jest nedorzeczna. Nie ma znaczenia, co wybiorę, bo wszystkie finalistki walczą lepiej niż ja. Każda może mnie pokonać. Czuję rozgoryczenie. Niech Tarek zmusi mnie do wejścia na arenę. Niech mnie wystawi do walki przeciwko trzem najsilniejszym rywkom. Niech mnie posiekają na kawałki. Wolę umrzeć, niż pozwolić, aby ujrzał, jak przelewam niewinną krew.

– Nie będę walczyła.

Rozsiada się wygodnie na krześle, ale jego spokój mnie nie zwiedzie. Gdy pije, jest nieprzewidywalny, a nawet stąd czuję od niego apong.

– Będziesz walczyła, albo spalę twoją świątynię. Z Samiyi pozostanie jedynie słup dymu widoczny na horyzoncie.

Wybucham gorzkim śmiechem.

– Odebrałeś mi już wszystko inne, więc dlaczegoż by nie mój dom?

– Ofiarowuję ci imperium. Zostaniesz moją żoną, moją królową. Czego jeszcze mogłabyś zażądać?

– Rodziny. Domu. – Mój zdradziecki głos drży, gdy wypowiadam ostatnie słowo: – Miłości.

– Mówimy o tym samym.

Pogarda podrywa mnie z miejsca.

– Twój dwór to nie rodzina. Te kobiety służą ci tylko dlatego, że chcą przetrwać. Twój dom nie jest moim domem. To więzienie pełne sekretów

i kłamstw. I nigdy cię nie pokocham, ani w tym życiu, ani w następnym.

W jego oczach błyska złość.

– Jeśli wciąż żywisz nadzieję, że kapitan Naik żyje, to tracisz czas na swoje modły. Jest martwy, a jego ciało rzeka wyrzuciła gdzieś na brzeg. Ptaki i ryby zżerają jego twarz.

Podbródek mi drży, gdy słucham tych okrutnych słów. To nie może być prawda. Deven żył, kiedy uciekali z Brakiem. Pokonali dziki nurt rzeczny i Wodna go uzdrowiła.

– Kłamiesz.

Tarek przechyla głowę, wykrzywiając usta w uśmiechu.

– Czy potrzebne mi kłamstwa, gdy lepiej służy mi prawda?

Nie chcę mu wierzyć, a mimo to opadają mnie czarne myśli. Ronię łyzy, choć obiecywałam sobie nie robić tego w obecności Tarka. Odwracam się od niego.

– Zostaw mnie.

– Turniej rozpoczyna się jutro w samo południe. Spodziewam się, że kiedy tu wrócę, będziesz posłuszna. Im szybciej poddasz się mojej woli, tym wcześniej będziesz szczęśliwa.

Odwracam się, by rzucić mu gniewne spojrzenie.

– Tak szczęśliwa jak Yasmin przy tobie?

Tarek zrywa się gwałtownie, przewracając krzesło.

– Nic nie wiesz o Yasmin.

Robię krok w jego stronę. Kraty między nami dodają mi odwagi.

– Wiem, że próbowała od ciebie uciec. Wiem, że nigdy cię nie kochała. Kochała Kishana...

– Nigdy nie wypowiadaj jego imienia! – Tarek zaciska pięści na prętach celi. Twarz mu czerwienieje, a w oczach lśnią łyzy. Choć to jego słowa

skłoniły mnie do płaczu, nie czuję satysfakcji, sprawiając mu podobny ból.

Jego policzki bledną. Prostuje się i szarpie za mankiety swojego kaftana.

– Ukarzę cię za to.

Skończyłam z nim i ze wszystkim. Wracam do kąta celi i przykucam skulona. Tarek odchodzi, odkładając karę na inną okazję, kiedy jego wygrana nie będzie już przesądzona, a ja nie będę już pokonana.



Krata mojej celi uchyla się ze skrzypnięciem i strażnik wnosi do środka tacę z wieczerzą.

– Viraji?

– Odejdź. – Siedzę skulona w kącie, ze zwieszoną głową. – Nie będę jadła. Nie obchodzi mnie, co powiedział radża.

– Nie przysłał mnie radża. – Lekko gardłowe „r” w głosie strażnika brzmi znajomo. – Natesa mnie o to poprosiła. I przyprowadziłem gościa.

Inny głos dodaje:

– Przychodzimy sprawdzić, jak sobie radzisz.

Podnoszę wzrok i w wejściu do celi widzę Yatina, a za nim brata Shaana.

Potężny żołnierz lustruje mnie łagodnym wzrokiem.

– Natesa się zaniepokoiła, kiedy nie pojawiłaś się na dzisiejszym turnieju.

Wycieram mokry nos i opieram podbródek na kolanach.

– Powiedz jej... Powiedz jej, że jestem... – „Sama. Przerażona”. – Tutaj.

Yatin posyła mi współczujący uśmiech i stawia przede mną tacę. Wychodzi z celi, zamyka kratę na klucz i oddala się korytarzem, aż tracę go z oczu.

Brat Shaan podnosi krzesło, które niedawno wywrócił Tarek, i siada.

– Zadbalem o pogrzeb twojej przyjaciółki. Jaya leży we własnym grobie.

Myśl o Jayi leżącej w grobie pozbawia mnie resztek hartu ducha. Jeszcze bardziej wciskam się w ścianę, a wezbrane łzy wylewają się z oczu i toczą po policzkach. Wdzięczność za dobroć brata Shaana miesza się ze smutkiem. Większość żon jest grzebana ze swoimi mężami, lecz Jaya nie chciałaby spoczywać obok Gautama. Chciałaby pozostać wolna.

– Przyjmij moje wyrazy współczucia z powodu podwójnej straty – dodaje łagodnym głosem. Najchętniej zasłoniłabym uszy, aby nie usłyszeć, jaką jeszcze stratę poniosłam, ale nie jestem dość szybka. – Deven był dobrym człowiekiem, jednym z nielicznych w Vanhi.

Z moich ust wydobywa się jęk. Wciąż jeszcze tliła się we mnie nadzieja, że Tarek kłamał. Ale chyba jednak nie musiał i prawda rzeczywiście służyła mu lepiej.

Serce ściska mi się z bólu na myśl o utracie Devena. Jeszcze mocniej przyciskam kolana do piersi i wspominam nasze ostatnie wspólne chwile. Nie wiedziałam, że posyłam go do wodnego grobu. Nie wiedziałam, że już nigdy go nie zobaczę. Gorące łzy płyną mi po twarzy i skapują z brody na piasek, który robi się ciemniejszy od wilgoci.

– Przykro mi, Viraji – mówi cicho brat Shaan.

Mnie też. Nawet nie wie, jak bardzo. Przykro mi, że nie ocalałam Jayi. Przykro mi, że nie popłynęłam w dół rzeki razem z Devenem. Przykro mi, że już nigdy więcej nie ujrzę tych dwojga.

– Sądzisz, że głodząc się, ukarzesz radzę? – pyta brat Shaan.

– Nie – cedzę przez zaciśnięte zęby. Nie podoba mi się, że cały mój ból sprowadza się do niego. Nienawidzę go jeszcze bardziej niż zeszłej nocy. Nienawidzę go tak mocno, jak kocham Jayę i Devena. Wiecznie i bezwarunkowo. – Odmowa jedzenia czegoś dowiedzie.

– Czego mianowicie?

– Że nie słucham rozkazów Tarka.

– Rozumiem. – Brat Shaan rozgląda się po lochu, jakby się spodziewał

zobaczyć w nim coś więcej niż plugawe ściany, piaszczystą podłogę i załamana dziewczynę. – Jak jednak zamierzasz zwyciężyć w pojedynku, jeśli o siebie nie zadbasz?

– Nie zamierzam zwyciężać – odpowiadam, rzucając mu ostre spojrzenie. Potem swoją odrazę w stosunku do Tarka przenoszę na Hastina. Przywódca bhutów zostawił Devena na śmierć. Jego też obwiniam.

– Jaki cel ma, twoim zdaniem, ten turniej? – pyta brat Shaan z namysłem.

– Zdobycie tronu.

– Naprawdę? Ja zaś sądzę, że chodzi o zmianę porządku rzeczy.

Kręcę głową.

– Nie możemy go zmienić.

Brat Shaan krzyżuje ramiona na piersi.

– W *Setnej rani Enlila* decyzję o tym, kto przeżyje, a kto umrze, pozostawiono żonom i kurtyzantom boga ognia. Turniej odbył się dlatego, że nie potrafiły uzgodnić, kto się zrzeknie swojego miejsca u boku Enlila.

– To jasne. Żadna z nich nie chciała umrzeć.

– Być może. Albo też miały szansę wybrać pokój, a wybrały wojnę.

Unoszę brwi.

– Sądzisz, że Anu oszczędziłyby je, gdyby odmówiły walki?

– Nigdy się tego nie dowiemy. Każda z nich walczyła tylko o własne życie. Gdyby się zjednoczyły ze sobą jak siostry, wierzę, że Anu zlitowałaby się nad nimi i pozwolił im żyć. Ki uważała, że cnota siostrzeństwa stanowiła rozwiązanie. Założyła Siostrzeństwo, zbudowała świątynie i ustanowiła cały zastęp kobiet, które miały nauczać następne pokolenia. Te ideały zostały zapomniane, lecz nie utracone. – Odpycha się dłońmi od kolan, by pomóc sobie wstać. – Pomyśl tylko, jak kurtyzany Enlila zmieniłyby świat, gdyby wybrały pokój.

Odwraca się, by odejść. Wstaję i podchodzę do krat.

– Czy naprawdę sądzisz, że turnieje można zmienić?

– Wszystko mogą zmienić ci, którym starczy odwagi, aby przecierać nowe szlaki.

– Lecz którym szlakiem mamy podążać według bogów? Ich czy naszym?

– Chwytam za kraty, niecierpliwie oczekując odpowiedzi.

Brat Shaan przeszywa mnie wzrokiem.

– Zakładasz, że twoja ścieżka wiedzie w innym kierunku niż boska. Ale w rzeczywistości nie ma między nimi różnicy.

Jedna ścieżka. Myślałam, że moje przeznaczenie zostało ustalone dawno temu i że nie mogę go zmienić. A co, jeśli nigdy nie odebrano mi władzy nad własnym życiem? Co, jeśli moje życie jest w moich rękach?

Brat Shaan się uśmiecha, bo tajemnice bogów rozumie nieskończenie lepiej ode mnie. Składa mi ukłon.

– Viraji.

Stoję przyciśnięta do krat celi, wsłuchując się w odgłos oddalających się kroków. Brat Shaan dał mi do zrozumienia, że bogowie chcą tego, czego i ja pragnę. A ja chciałabym przywrócić życie Jayi i Devenowi. Chciałabym trzymać ją za rękę, a jego gładzić po policzku.

Jednak sprowadzenie kogoś z Zaświatów wykracza nawet poza moce Anu. Przytłacza mnie ciężar bóleści. Skoro nie mogę odzyskać Jayi i Devena, cóż mi pozostaje? Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo. Chcę tego, czego pragnęłam każdego dnia w całym swoim życiu – pokoju. Jednak przywrócenie prostego, spokojnego życia będzie trudnym zadaniem. Radza się nie podda. Moje rywalki nie dają się łatwo pokonać. Mam takie same szanse na zwycięstwo w turnieju, jak Jaya i Deven na powstanie z grobu.

Powłócząc nogami, wracam do kąta i zwijam się w kłębek. Szczury znów się zbliżają do tacy z moim posiłkiem. Popiskują, zmawiając się, jak podejść

do jedzenia bez zwracania mojej uwagi. Jaya zawsze zaczynała od ułożenia strategii i przewidywania decyzji przeciwnika. Gdyby była tu ze mną, powiedziałyby, że choć jestem niedoświadczoną wojowniczką, to jednak mam o co walczyć. Powiedziałyby, że moja broń nie ma ostrzy, ale pięcioma cnotami potrafię zdziałać więcej niż ktokolwiek inny mieczem. Deven rzekłby, że choćby moim przeznaczeniem była śmierć na arenie, mogę umrzeć z honorem. Nie jestem gotowa na śmierć. Gdybym pozwoliła, aby Tarek mnie pokonał, znaczyłoby to, że Jaya i Deven umarli nadaremno.

To właśnie jest moje przeznaczenie – walczyć, stawić czoło tradycji, dokończyć to, czego Yasmin skończyć nie zdołała.

Podpełzam do tacy z wieczerzą i odpędziwszy szczury, zaczynam jeść.



Tarek zjawia się po mnie następnego ranka. Zlizuję jogurt z palca, a on przygląda mi się ze zdumieniem.

– Jednak się opamiętałaś – mówi.

Strażnik otwiera kratę i wychodzę z celi. Tarek całuje mnie w policzek z większą niż zwykle rezerwą. Już nie wierzy w moją pokorę, ale znów zacznie, bo on chce mi zaufać.

– Czas przygotować cię na arenę. Będziesz posłuszna?

– Tak, Wasza Wysokość.

W jego oczach błyska pożądanie. Przyciąga mnie do siebie i całuje. Moje policzki płoną z wysiłku, gdy staram się go nie odepchnąć.

– Te rumieńce ci służą, moja miłości – oznajmia na ten widok. – Mam nadzieję, że będę je częściej widywał.

Odprowadza mnie do skrzydła dla żon i czeka w mojej komnacie, gdy Asha przygotowuje mnie do turnieju. Dziś mam inną rolę do odegrania i będzie to moje najtrudniejsze przedstawienie. Muszę się wcielić w postać wojowniczkę.

Za parawanem Asha owija wokół moich piersi tkaninę w kolorze kości słoniowej, przyciskając je do żeber, a potem podsuwa mi do włożenia spodnie z workowatymi nogawkami, które luźno zwisają od bioder do kostek. Rzemienie solidnych, płaskich sandałów owijają golenie, a skórzane mankiety wzmacniają nadgarstki. Asha maluje mi twarz, nadając mi groźny wygląd. Usta mam krwistoczerwone, policzki pokryte różem, a oczy podkreślone szerokimi ciemnymi obwódkami. Następnie wplata mi we włosy paski materiału w takim samym kolorze, jak mój strój. Pył pokryje mnie od stóp do głów, gdy tylko wkroczę na arenę, ale ta biel robi wielkie wrażenie na tle orszaku.

Przyglądam się sobie w lustrze, szukając jakiejś skazy, ale Asha dobrze się spisała. Gdybym siebie nie znała, uwierzyłabym, że jestem faworytką radży. Postanawiam zapamiętać to spostrzeżenie.

– Niech bogowie będą z tobą – szepcze Asha.

Wychodzę z za parawanu, by się pokazać Tarkowi. Kiwa głową z aprobatą i lekkim uznaniem, po czym wyprowadza mnie głównym wejściem. Dworzanie i żołnierze przygotowują się do ostatniej podróży do amfiteatru. Ludzie za bramami wiwatują na cześć swojej faworytki. Mam nadzieję, że dzisiejszy dzień uczyni mnie wartą tego tytułu.

Śledzi nas wiele oczu, gdy kroczymy przez dziedziniec w kierunku oczekujących słoni. Ludzie musieli słyszeć o mojej nieudanej próbie ucieczki z pałacu, lecz nawet jeśli nie zgadzali się z decyzją Tarka, aby zatrzymać niewierną Viraji, nikt nie ośmielił się powiedzieć tego na głos.

Napotykam wzrok Mathury, która stoi z boku, razem z pozostałymi ulubienicami. Postarzała się, jakby w jednej chwili przygniół ją ciężar całego życia. Spodziewam się jej gniewu, ale w oczach widzę ten sam milczący wyraz miłości, którą Deven zawarł w swoich ostatnich słowach. „Poradzisz sobie ze wszystkim, jeśli pragniesz tego całym sercem”. Mathura promienieje taką samą pewnością siebie. Żadne słowa nie pocieszą jej po stracie syna, ale może rozumie, że próbowałam go ocalić. Może ma już dość śmierci, tak jak

ja. Może wie, że walczę za nas wszystkie.

Nim zdążę wejść po stopniach do howdah, Tarek mnie zatrzymuje.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

Strażnicy prowadzą do mnie starego pasterza i jego żonę, którzy pomogli mi podczas podróży do Vanhi. Para staruszków składa mi ukłon.

– Viraji – witają mnie z uśmiechem.

Obejmuję ich oboje. Pachną Alpanami, budzącymi się do życia wiosennymi trawami i chłodnymi, rozgwieżdżonymi nocami. Ale dlaczego Tarek ich tu sprowadził? Mój sztuczny uśmiech skrywa niepokój o ich bezpieczeństwo.

– Cieszę się, że was widzę.

– Gdy tylko cię ujrzeliśmy, wiedzieliśmy, że jesteś rani. – Staruszek mówi z dziwnym akcentem, przeciągając „r”. – Niech ci bogowie błogosławią.

Dziękuję im jeszcze raz. Potrzebuję ich modlitw bardziej, niż mogą sobie wyobrazić.

– Znajdź im miejsca w amfiteatrze i zadbaj o ich wygodę – nakazuje Tarek strażnikowi.

Staruszkowie kłaniają się z wdzięcznością i odchodzą powoli, trzymając się pod rękę. Radza pomagają mi się wspinać do howdah.

– Jak ich znalazłeś? – zadaję mu pytanie.

– Pytali o ciebie przy bramie. Pomyślałem, że ucieszy cię ich widok.

Tarek niczego nie robi z dobroci. Chce dowieść, że może mi dać rodzinę, dom i miłość. Nie chcę mu zawdzięczać niczego, ale muszę go przekonać, że jestem uległą młodą kobietą, którą chce mnie uczynić.

Całuję go w policzek i szepczę podziękowanie.

Rozpromieniony otwiera flaszkę mocnego trunku. Nasze słonie brną przez zatłoczone ulice, a ja zachęcam Tarka do częstego raczenia się napitkiem.

Chcę, aby dzisiaj pił. Jeśli ma mi się udać, musi być dobrze podpity.



Zwyższych rzędów amfiteatru opada pył. Wiwaty i tupot stóp widowni zagłuszają gwałtowne bicie mojego serca. Rusznikarz przypina mi do ramienia ciężką tarczę. Chłodny metal wpija mi się w skórę, a ja drzę w południowym upale.

Zewnętrzne światło wpada do prowadzącego na arenę i przypominającego jaskinię tunelu, tworząc złocistą ścieżkę, którą zmierzam na spotkanie ze swoim przeznaczeniem lub klęską. Okrzyki dobiegające z widowni osiągnęły apogeum na pograniczu hysterii i żądzy krwi. Nieważne, czyja krew się poleje, byle przed końcem dnia arenę pokryła karmazynowa posoka.

Na głowę opada mi żelazny hełm, który przygniata mnie z siłą tysięcznego żalu. Nie powinno mnie tutaj być. Nie powinno było do tego dojść. Jaya powinna być bezpieczna w Samiyi. Deven powinien służyć imperium. Ale oni nie żyją, a ja tu jestem.

Zrobię to dla nich. Zrobię to dla każdego, kto będzie cierpiał, jeśli poniosę porażkę.

Na drugim końcu ziejącego przede mną tunelu widzę ostatni cios zadany w walce poprzedzającej mój pojedynek. Ponieważ Lakia pozbyła się swoich rywalek, zanim mogły się zmierzyć z nią na arenie, radza pozwolił jej zademonstrować swój kunszt w pojedynku ze służącą złodziejką. Lakia powala ją na ziemię i zadaje ostateczne pchnięcie w klatkę piersiową. Krew wylewa się z pokonanej, jakby jej serce było przewróconym wiadrzem.

Na trybunach wybucha entuzjizm, wśród którego rozlega się głos radzy:

– Oto moja Pokrewna w całej swojej chwale!

Lakia unosi ręce w zwycięskim geście i opuszcza arenę wyjściem z przeciwnej strony. Ja nie wiwatuję. Jej żądza krwi jest odrażająca.

Pokonaną złodziejkę wywożą na wózku, a rusznikarz dwukrotnie sprawdza, czy moja tarcza i hełm są dobrze przypięte. Rozlegają się cztery gongi i tłum przycicha.

Tarek przemawia z wyżyn cesarskiej łoży:

– Witajcie na pojedynku mistrzyń!

Widownia wyraża entuzjizm gromkimi okrzykami.

– W tym turnieju stanęło w szranki więcej wojowniczek niż kiedykolwiek w całej historii naszego imperium. Każda z nich walczyła dzielnie o koronę mojej ostatniej rani, lecz tylko trzy zdobyły prawo, by dzisiaj stanąć na arenie. Anjali, Fareeshah i Natesa dowiodły, że są godnymi rywalkami dla mojej Viraji.

Trójka moich przeciwniczek wychodzi przez drzwi naprzeciwko mnie, witana wrzawą tłumu.

– Teraz zmierzą się z faworytką bogów, żywą reinkarnacją setnej rani Enlila. Z nieustraszoną Kalindą!

Moje imię niesie się echem po całej arenie, każda sylaba odbija się od ścian i wraca do mnie z siłą uderzenia topora. Robię powolny wdech, mój puls przyspiesza. „Pamiętaj o bogach. Pamiętaj o swojej ścieżce”.

Miecznik wręcza mi khandę i ponagla do wyjścia. Toczę wojnę z opierającymi się kolanami, bo całe moje ciało sparaliżowała trwoga. Ale wiem, że wystarczy jeden krok, aby nabrać rozpędu. Więc nabieram oddechu, próbując się uspokoić i stłumić ten potworny lęk, uczynić go mniej groźnym przeciwnikiem, a potem przejść przez tę ziejącą bramę na zalaną słońcem arenę.

Oślepia mnie jaskrawe światło, ogłusza aplauz. Gdy mój wzrok odzyskuje ostrość, widzę sylwetki swoich rywalek wychodzących na środek areny. Narysowany kredą okrąg wyznacza miejsce rozpoczęcia pojedynku.

Ring do walki.

Rusznikarz zatrzaskuje za mną bramę i opuszcza dźwignię, zamykając mnie w środku. W gardle wzbiera mi szloch, ale krzyk jest bezcelowy.

Anjali pierwsza wkracza na ring. Następna jest Fareeshah, a po niej Natesa. Wszystkie są ubrane tak jak ja – na czarno. Mają silne, umięśnione ciała i twarze wykrzywione agresją. Stojąc przed tymi doświadczonymi wojowniczkami, przypominam sobie każdą brutalną walkę, którą oglądałam. Wiem, czego się spodziewać, a mimo to wzdrygam się, gdy rozlegają się gongi.

Anjali odwraca się i atakuje Fareeshah. Sądziłam, że wszystkie rzucą się na mnie, ale Anjali udaje się odciągnąć Fareeshah. Mnie zostaje Natesa.

– Długo na to czekałam – mówi moja rywalka i przypuszcza atak.

Odparowuję cios.

– Nie musimy walczyć – odpowiadam. Unoszę tarczę, by odeprzeć uderzenie jej miecza. Moim ramieniem wstrząsają wibracje. Wycofuję się z zaznaczonego kredą ringu, oddalając się od Anjali i Fareeshah. Podnoszę głos, aby przekrzyczeć wiwaty widowni: – Nie chcę z tobą walczyć!

– Tylko jedna z nas może wygrać, i będę to ja.

– Jest inny sposób. Poddaj się, a ja dopilnuję, aby zwrócono ci wolność. – Prycha drwiąco i zadaje kolejny cios. Blokuję go i gdy nasze ostrza stykają się ze sobą, nachylam się ku niej. – Zaufaj mi. Mogę cię ocalić.

– Sama mogę to zrobić.

Natesa odpycha moją khandę i szybko mnie okrąża. Czubkiem miecza dosięga mojego ramienia. Krew z otwartej rany spływa mi na nadgarstek. Cofam się, próbując zignorować ostry ból. Podejrzewałam, że to właśnie

Natesę będzie najtrudniej przekonać. Łaknie bezpieczeństwa, które może zapewnić jej mój tron.

Nieopodal Anjali i Fareeshah na zmianę ścierają się ze sobą i odskakują. Fareeshah próbuje ominąć rywalkę, lecz Anjali jej na to nie pozwala. Trzyma ją z dala ode mnie. Jest po mojej stronie, ale bez Natesy nic nie zdołałam.

Moja przeciwniczka zbliża się do mnie o krok.

– Zakończmy to, Kalindo. – Wie, że przewyższa mnie umiejętnościami i siłą.

Przygaszę ją, jeśli będę musiała, ale nie chcę zmuszać jej do zawarcia pokoju. Zanoszę modły, by się zmieniła, by dostrzegła, że możemy to zakończyć bez rozlewu krwi.

Odrzucam miecz na bok.

– Nie będę walczyć.

Krzywi się z wściekłością. Uderza mnie tarczą w twarz.

– Podnieś miecz!

Zdejmuję tarczę oraz hełm i również rzucam je na ziemię.

– Broń się! – Kopie mnie w brzuch. Upadam, trzymając się za bolące miejsce. Kątem oka widzę, że Tarek zszedł z tronu i stoi przy krawędzi balkonu. Tłum robi się niespokojny, zamiast wiwatów słychać pomruki wzburzenia. Natesa kopie mnie w bok, popychając w stronę porzuconego miecza. – Podnieś to!

– Nie. – Spoglądam na nią, oddychając nierówno. – Jesteś jedyną siostrą, jaka mi pozostała.

W jej oczach błyska coś pomiędzy nienawiścią a miłością. Solidarność. Tutaj, gdzie każda kobieta dba tylko o siebie, takie poczucie wspólnoty jest czymś cennym.

Klękam przed nią, pozbawiona zbroi i broni.

– To mnie pragnie Tarek. Poddaj się, a ja cię ochronię. Przysięgam na bogów, że odejdiesz wolno.

Anjali krzyczy. Za plecami Natesy widzę, jak Fareeshah wrywa miecz z górnej części uda rywalki, po czym unosi go, by zadać zabójczy cios. Zrywam się i rzucam na nią, nim zdąży zabić Anjali.

– Przestań! Nie musimy walczyć! Możemy się zjednoczyć i ocalić nas wszystkie!

Fareeshah robi obrót i zamierza się na mnie, celując w szyję. Zataczam się do tyłu, by uniknąć ciosu, i potykam się o porzucony hełm. Boleśnie uderzam siedzeniem o ziemię. Mój miecz leży za daleko, bym mogła go dosięgnąć.

Fareeshah wybucha śmiechem.

– Gorsza z ciebie wojowniczką, niż mi mówiono.

– Złóż broń, a ślubuję na swoje życie, że cię ochronię – przyrzekam, choć panika ściska mi gardło.

Fareeshah unosi khandę nad głowę.

– Jakie życie?

Broń wypada jej z ręki, a ona sama aż się zatacza do przodu, gdy jej pierś znienacka zostaje przeszyta mieczem. Za jej plecami spodziewam się ujrzeć Anjali, ale gdy podnoszę wzrok, widzę Natesę wyszarpującą swoją khandę z ciała Fareeshah. Martwa kurtyzana pada na arenę, a w powietrze wzbija się tuman kurzu.

Pokonanie pierwszej finalistki wywołuje szaleńczy aplauz widowni. Natesa wymierza we mnie miecz. Nieruchomieję wpatrzona w zakrwawione ostrze.

– Przysięgasz, że odzyskam wolność? – pyta.

– Na Ki i każdą siostrę-wojowniczkę, która kiedykolwiek stąpała po ziemi, przysięgam.

Wciąż celuje we mnie czubkiem miecza. Oddycham chrapliwie, czując

pieczenie w płucach. Natesa gwałtownym ruchem wbija khandę w ziemię, zaledwie o włos od mojego kolana, po czym wznosi ręce w kierunku widowni.

– Poddaję się! – wykrzykuje.

Anjali podnosi się z trudem, uważając na zranioną nogę.

– Poddaję się! – powtarza za Natesą.

Machają do stojącego w cesarskiej loży Tarka. Wstają, trzymając się za skaleczone ramie i starając się odzyskać oddech. Oklaski cichną, widownia zaczyna wznosić oburzone okrzyki. Rozbrzmiewają gongi, a Tarek gestem nakazuje ciszę.

– Cóż to ma znaczyć? – woła.

– Moje rywalki się poddały! – Mój głos niesie się po owalnej arenie, docierając do wszystkich trzech rzędów trybun. – Wycofały swoje wyzwania!

– Czy to prawda?

– Tak jest, Wasza Wysokość – odpowiadają zgodnie Anjali i Natesa.

– Kłamstwa! – Z wyjścia za nami wybiega Lafia. – Viraji obiecała im bogactwa i przychyłność, jeśli odstąpią od walki.

– Udział w turnieju był ich wyborem – odparowuję. – Ich wolą było wyzwąć mnie na pojedynek, a teraz ich wolą jest rezygnacja z walki.

Z oddali widzę, jak Tarek rozważa znaczenie tak niespodziewanego finału. Lud domagał się mistrzyni, która zmiażdżyłaby swoje przeciwniczki. Ja zachowałam swój tytuł z braku rywalek, lecz mimo to zostałam zwyciężczynią. Turniej się skończył. Tarek zdobył to, czego chciał. Mnie.

– Wojowniczkę dobrowolnie weszły na arenę – ogłasza – i jeśli taka ich wola, mogą z niej zejść. – Falszywy ton żalu w jego głosie jest podszyty zadowoleniem. Cieszy się, że może przyspieszyć nasz ślub. – Skoro nie ma więcej rywalek, turniej zostaje zakończony. Viraji jest naszą prawowitą mistrzynią!

Widownia odpowiada wiewatami i buczeniem. Ci, którzy oczekiwali mojej wygranej, są radzi, lecz pozostali czują się zawiedzeni.

Anjali podchodzi do mnie, utykając, i opiera się o moje ramię.

– Jesteś pomyłona.

Natesa obejmuje Anjali w pasie, podtrzymując ją z drugiej strony.

– I odważna.

– Dziękuję, że mi zaufałyście – odpowiadam, a Natesa nachyla się ku mnie zza Anjali i dodaje:

– Po prostu dotrzymanj słowa.

– Dotrzymam. – Jestem zdumiona, że Natesa się poddała. Do samego końca, dopóki nie wbiła miecza w ziemię, byłam przekonana, że mnie zabije, ale życie kurtyzany ją zmieniło.

Obok nas przejeżdża wózek, na który zostają wrzucone zwłoki Fareeshah. Przenika mnie dotkliwy żal po niej i po innych kurtyzanach, które zginęły. Skłaniam głowę i zaczynam odmawiać modlitwę o spoczynek, a Natesa i Anjali do niej dołączają. Podnoszę wzrok na żony i kurtyzany obserwujące nas z tarasu. To początek nowego siostrzeństwa w Tarachandzie.

Ruszamy do wyjścia, podtrzymując kuśtykającą Anjali, ale już po kilku krokach zatrzymuje nas czyjś głos:

– Wyzywam Viraji na pojedynek!



Wcałym amfiteatrze zalega ogłuszająca cisza.

Lakia wpada jak burza na środek ringu i powtarza swoją deklarację:

– Wyzywam Viraji na pojedynek!

Jej głos przeszywa moje serce włócznią lęku. Lakia zazwyczaj nie przejmuje się żonami o niższym statusie, ale już raz duma wzięła w niej górę nad rozwąga, kiedy rzuciła wyzwanie Mathurze. Walka skończyła się wówczas triumfem Lakii, a kurtyzana kuleje po dziś dzień. Żywiłam podejrzenia, że moja walka o zapewnienie sobie tronu może skłonić Pokrewną do ponownego wstąpienia na ring, ale teraz, kiedy tak się właśnie stało, nie potrafię przewidzieć, jak to się skończy.

Zgromadzeni na trybunach tupią, domagając się przedłużenia turnieju, ale nie wiem, czy Tarek jest już wystarczająco mocno oszołomiony apongiem, by zezwolić na tę walkę. Lakia chce się mnie pozbyć z pałacu męża i to pragnienie jest tak silne, że nie zawaha się zaryzykować swojego statusu Pokrewniej. Nie mam wątpliwości, że wyzwala mnie przekonana, że ze mną wygra, tak jak wygrała z Mathurą. Lakia zamierza zwyciężyć, utrzymać swoją pozycję i pozbyć się mnie na dobre.

– Życzysz sobie walczyć z moją Viraji? – zwraca się Tarek do żony numer jeden.

– Jako Pokrewna mam prawo wyzwąć na pojedynek każdą żonę i kurtyzanę.

– Prawem Viraji zaś jest ci odmówić – przypomina jej radża.

Więc Mathura mogła odrzucić wyzwanie Pokrewnej, a jednak tego nie zrobiła. Ja też tego nie uczynię.

– Przyjmuję! – wołam. – Pod dwoma warunkami. Zmierzymy się w walce wręcz, bez broni, a jeśli wygram, twoje kurtyzany odzyskają wolność.

– Zgadzam się na te warunki – odkrzykuje Lakia – lecz i ja mam jeden. Jeśli Viraji przegra, twoje kurtyzany umrą.

Przeklinam ją pod nosem. Tarek i tak zamierzał je zabić, ale teraz będzie mógł to zrobić z poparciem wszystkich ludzi na trybunach, a winę za ich śmierć poniosę ja.

Kurtyzany radży krzyczą oburzone. Nie wiedzą, że Tarek ma zamiar się ich pozbyć. Przepatruję grupę protestujących, dopóki nie natrafiam na wzrok Mathury, która spogląda na mnie w milczeniu. Jest za daleko, abym mogła odczytać wyraz jej twarzy, ale modłę się, by zrozumiała, że walczę także o jej życie.

Radża unosi rękę, nakazując ciszę. Rozwścieczone kurtyzany milkną jako ostatnie. Natesa i Anjali stoją przy mnie, w napięciu oczekując na jego decyzję. Próżność Tarka, który okrzyknął mnie swoją faworytką, została narażona na szwank, gdy moje rywalki się poddały. Dlatego muszę przelać dzisiaj dość krwi, aby potwierdzić, że wybrał wojowniczkę godną miana setnej rani Enlila, ale teraz, kiedy wreszcie mam się stać jego żoną, może nie pozwolić mi na dalsze walki.

– Zgadzam się – odpowiada, ostatecznie opuszczając rękę. – Pojedynek zakończy się z chwilą, gdy jedna z was się podda.

Ogarnia mnie panika. Będę walczyła z Pokrewną. „Wielki Anu, mam nadzieję, że podjęłam słuszną decyzję”.

Tarek znów zasiada na swoim tronie, a Natesa i Anjali przysuwają się

jeszcze bliżej mnie.

– Wiedziałaś, że Lakią rzuci ci wyzwanie? – pyta Natesa.

– Przypuszczałam, że może to zrobić. Jest tak samo próżna jak Tarek.

Anjali spogląda na radzę, marszcząc brwi.

– Mam nadzieję, że masz jakiś plan – mówi.

Mój układ z Lakią zagraża ich życiu, ale podejrzewam, że Anjali niepokoi coś innego. Do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z umową, którą zawarłam z jej ojcem, lecz teraz ryzykuję, że księga *Zhaleh* nie zostanie odzyskana.

Jednak dla mnie to nie ona ma największe znaczenie. Hastin i bhutowie porzucili Devena i pozwoliliby go ukamienować. Już nie ufam, że wyzwolą kurtyzany.

Natesa owija moje skaleczone ramię kawałkiem materiału podanym jej przez uzdrowicielkę.

– Wiesz, co robisz? – pyta.

– Robię to, czego życzyłaby sobie Ki. Pomódl się za mnie.

Z poważną miną zawiązuje opatrunek.

– Już to zrobiłam.

Lakia czeka na mnie na ringu. Jej spodnie są poplamione krwią złodziejki, którą zabiła. Mój strój zbrązował od pyłu. Staję przed nią, próbując dzielnie zmierzyć się z własnym lękiem. Straciłam przychylność tłumu; jej imię skandują głośniejsz niż moje.

Obrzuca mnie złośliwym uśmiechem.

– Ty naiwna dziewucho. Naprawdę myślisz, że możesz mnie pokonać?

– Boisz się, że mi się uda? – Przykucam, przyjmując swoją pozycję walki.

– Lepiej się o to pomódl. – Biję od niej gorąco tysiąca słońc.

Dźwięczą gongi. Lafia rzuca się na mnie i chwyta moje włosy, po czym obraca mną tak gwałtownie, że aż mi gwiazdy rozbłyskują przed oczami.

– Jestem jedyną żoną, jakiej potrzeba Tarkowi – syczy. Kopie mnie kolanem w plecy, a ja się zataczam do przodu.

Robię kilka niepewnych kroków i odwracam się.

– On nie kocha ani ciebie, ani mnie. Kochał tylko Yasmin. – Wykonuję koziołka i uderzam ją stopami w podbrzusze. Chwieje się, ale utrzymuje na nogach.

– Jestem Pokrewną. Nikt nie odbierze mi mojej pozycji, a na pewno nie córka Yasmin.

Zamierza się na mnie, ale jestem zbyt ogłuszona jej słowami, by zrobić unik. Prawą pięścią trafia mnie w podbródek, a lewą uderza prosto w brzuch. Tracę dech i zginam się wół, a wtedy ona zaciska mi ramię wokół szyi.

– Nie wiedziałaś. – Zadaje mi cios pięścią w bok, miażdżąc żebra. – Gdy tylko ujrzałam tego martwego chłopca leżącego obok ciała Yasmin, wiedziałam, że to nie jej dziecko.

Lafia kopie mnie kolanem w twarz. Padam na czworaka, z nosa tryska mi krew. Wymierza mi kopniaka w bok. Ból poraża cały tułów, dosięgając do płuc. Każdy oddech przypomina wciąganie opiłków żelaza.

– Tarkowi i mnie powiedziano, że urodziła się zdrowa dziewczynka, ale kiedy dotarliśmy do sypialni Yasmin, w łóżu zastaliśmy martwego chłopca. Położna mówiła, że wszystko jej się pomyliło, ale ja wiedziałam, że kłamie. Byłoby dla mnie zbyt wielkim szczęściem stracić i siostrę, i dziedziczkę Tarka. – Dostaję kolejnego kopniaka w żebra.

Z głośnym jękiem przetaczam się na bok.

– Wiedziałam, że wrócisz – ciągnie. – A kiedy weszłaś i wyglądałaś jak Yasmin, z tymi długimi włosami – tak mocno szarpie za mój warkocz, że znów widzę gwiazdy przed oczami – wiedziałam, że pora zacząć walczyć o swoje.

Lakia mocno następuje na moje przedramię, które zraniła Natesa. Rana eksploduje bólem. Pokrewna popycha mnie na plecy i siada mi na piersi. Pod jej ciężarem z gardła wyrywa mi się charkot.

– Mówiłam Tarkowi, że jesteś córką Yasmin, jego córką, ale nie chciał mnie słuchać. – Wbija mi kolano w bok, miażdżąc uszkodzone żebra. W głowie kręci mi się tak, jakbym się staczała ze wzgórza. – Nie widzi tego, co ma przed nosem, zadurzony głupiec.

Lakia ściska mnie za gardło, odcinając mi dopływ powietrza. Chwytam ją za odsłonięte barki i próbuję zepchnąć, ale nie potrafię. Płuca mi płoną, domagając się powietrza. Wpijam palce w jej skórę, szukając wewnętrznego ognia, a potem delikatnie zaczynam go wydobywać. Przykurcza palce, puszcza moją szyję i wreszcie mogę złapać oddech.

– Nawet jeśli masz rację, że jestem córką Yasmin, to mylisz się, co do jednego. – Spowijam jej ogień duszy swoimi mocami. Jej ciało wiotczeje, a twarz szarzeje. – Nie jestem córką Tarka. Jestem córką bhuty.

Puszczam ją, a ona z jękiem upada na plecy. Siadam okrakiem na jej biodrach i przytrzymuję ją na ziemi.

– Poddaj się, a pozwolę ci żyć. Piśniesz słowo o tym, kim jestem, a twoje kości posłużą mi za podpałkę.

Lakia na mnie pluje.

– Nigdy.

Kładę dłonie na twarzy rywalki i napełniam ją swoim wewnętrznym ogniem. Widzę, jak rozszerzają jej się oczy i wysychają obwódki. Pękają usta, a skóra się łuszczy. Ręce trzęsą mi się z wysiłku, gdy staram się pohamować swoje moce.

– Poddaj się.

Gdybym pchnęła w nią jeszcze trochę ognia, zamieniłaby się w popiół, ale przytrzymuję ją tak blisko swojego płomienia, jak to możliwe.

Mimo to ona się nie poddaje. Wokół unosi się już swąd przypalonych włosów, a jej skóra robi się wręcz pergaminowa. Palce zaczynają mi lśnić. Muszę się wycofać, bo inaczej ją zabiję i wszyscy się dowiedzą, kim jestem.

– Poddaj się – na wpół błagam, na wpół żądam.

Lakia kiwa głową.

Odpycham się od niej i wstaję, a tłum wiwatuje. Czuję zawrót głowy. Pochylam się do przodu i opieram dłonie na kolanach. Ból wewnątrz czaszki przybiera postać ostrych igiełek kłujących mnie w oczy. Przymykam powieki i błagam o nagłe omdlenie.

– Za tobą! – krzyczy Natesa.

Odwracam się i widzę Lakie, która rzuca się na mnie ze sztyletem. Chwytam ją za nadgarstek i się z nią mociuję. Słaniam się na nogach i stopniowo ulegam sile napastniczki. Przybliża ostrze do mojej szyi, a ja nie mam już mocy, aby ją przygasić.

Wysilek, żeby jej nie spopielić, pozbawił mnie paliwa i zmniejszył mój ogień.

Upadam na kolana. „Ki, pomóż mi”.

Lakia pochyla się nade mną, zbliża twarz do mojej. Czubek sztyletu kłuje mnie w gardło, z rany wypływa ciepła strużka krwi.

– Pora, byś dołączyła do Yasmin.

„I do Jayi oraz Devena”.

Kusi mnie, by pozwolić jej to zakończyć i wysłać mnie w Zaświaty do tych, których kocham, ale to jeszcze nie ten czas. Nie mogę opuścić tego życia, nie wypełniwszy celu, który wyznaczyli mi bogowie.

Czynię ostatnią próbę i resztkami sił odpycham Lakie. Prostuję się i ogłuszam ją, uderzając czołem w jej czoło, a potem odwracam sztylet i wbijam go w jej pierś.

Pokrewna wybałusza oczy. W moich wzbierają łzy. Przez nasze złączone

palce przecieka jej krew, gorąca i lepka. Jeśli mówiła prawdę, jest nie tylko Pokrewną radży, ale także moją. Jest siostrą mojej matki. Ostatnim członkiem mojej rodziny.

Chwytam ją, zanim upada na twarz. Powoli osuwam się na kolana i układam ją na plecach. Z trudem łapie powietrze, jej oddech spowalnia, staje się chrapliwy, a po chwili ustaje.

Rozlega się ryk owacji. Podnoszę wzrok na lożę cesarską i widzę Tarka, który klaszcze najmocniej. Lacia byłaby zdruzgotana, widząc, jak oklaskuje jej klęskę. Zawsze pragnęła tylko jego miłości, chciała być dla niego tą jedyną. Jego prawdziwą Pokrewną.

Siadam ciężko przy pokonanej rani. Kładę dłoń na jej nieruchomej piersi i ślę modlitwę dziękczynną do bogów za to, że mnie oszczędzili. Dopięłam swego. Poślubię tego potwora z Imperium Tarachandu. Zostanę setną królową radży.



Nieustający głośny aplauz towarzyszy naszemu orszakowi przez całą drogę powrotną do pałacu. Z wyżyn howdah macham do ludzi wykrzykujących moje imię. Chociaż zdobyłam tron i pozycję Pokrewnej – dokonując wyczynu, który nie udał się żadnej innej Viraji – szybko męczy mnie to uwielbienie. Obojętnieję na ten pochwalny harmider, nim Tarek odprowadza mnie do drzwi mojej komnaty.

– Jutro o zachodzie słońca będziesz moja po wsze czasy – mówi, przeczesując mi włosy palcami.

Czuję kwaśność w ustach. Prześladują mnie słowa Lakkii na temat mojego pochodzenia. Chciałabym uznać tę historyjkę o znikającym noworodku za paplaninę zazdrosnej kobiety, ale jej przekonanie, że jestem córką Yasmin i Tarka, wydawało się źródłem jej nienawiści do mnie. Umarła, wierząc, że to prawda.

Ale Yasmin nie urodziła się bhutą. Tarek też nim nie jest. A skoro to ona była moją matką, moce bhuty musiałam odziedziczyć po ojcu.

Oczywiście mogłabym być córką Tarka, o ile on sam jest bhutą. Może ukrywa przede mną swoje moce, tak jak ja ukrywam swoje przed nim.

Ogarnia mnie fala mdłości. Dopóki się nie dowiem, kim są moi rodzice, nie mogę wykluczyć, że Lakkia miała rację. Możliwe, że jestem rodzoną córką Tarka.

– Muszę... Muszę się położyć – mówię. Żegnam się z radzą i spieszę do swojej komnaty.

Żółć parzy mnie w gardle. Ominąwszy Ashę, podbiegam do miednicy i opróżniam żołądek. Asha obmywa mi twarz i pomaga położyć się do łóżka.

Uzdrowicielka opatruje mi ramię i obwiązuje mnie pasem z miękkiego materiału.

– Dwa żebra są złamane. Powiem radzy, że lepiej nie zdejmować bandażu.

Twarcz oblewa mi rumieniec wstydu. Zdaniem uzdrowicielki powinnam nosić opatrunki podczas nocy poślubnej. Perspektywa znalezienia się z Tarkiem w tak intymnej sytuacji zawsze napawała mnie wstrętem, ale teraz, kiedy wiem, że może być moim ojcem, chciałabym wymiotować tak długo, jak trzeba, by pozbyć się tej myśli.

Uzdrowicielka pakuje swoje rzeczy i wychodzi. Asha ubiera mnie w szatę podobną do tej, którą nosiłam podczas Powołania.

– Powinnaś się udać do kaplicy po ślubne tatuaże – mówi.

Znam drogę, ale Manas i drugi strażnik idą tuż za mną. Ignoruję Manasa, bo jego nieznośna obecność przypomina mi, że nas zdradził.

Gdy docieramy pod drzwi kaplicy, odchrząkuje.

– Gratulacje, Viraji – mówi.

Przypieram go do ściany, choć cały bok przeszywa mi ostry ból.

– Zdrajco – syczę. – Nie waż się do mnie odzywać.

– To Deven był zdrajcą.

– Deven był dobry.

Przyciskam go do muru tak mocno, że oczy zachodzą mu łzami.

– Deven był lepszy niż ty i ja razem wzięci.

Wyczerpanie łagodzi mój gniew, odsuwam ręce i wypuszczam go

z uścisku. Drugi strażnik opuszcza miecz – nawet nie zauważyłam, że go wyjął. Mieszkańcy pałacu muszą wiedzieć o mojej nieudanej ucieczce, ale Tarek woli udawać, że nic takiego nie miało miejsca, a Deven nigdy nie istniał.

W kaplicy czekają na mnie trzy nieznane mi siostry. Zgodnie z ich wskazówkami zdejmuję szatę i kładę się na brzuchu na ołtarzu przykrytym obrusem. Podchodzą do mnie z glinianymi naczyniami i cienkimi pędzelkami. Leżę nieruchomo, wdychając cierpki zapach henny. Czuję łaskotanie na ramionach i plecach, gdy malują na nich zawile symbole niebiańskiej chwały. Siostry pracują przez całą noc, a ich delikatne dłonie i ciche modlitwy koją mnie i usypiają.

W chwilach większej przytomności umysłu wraca wspomnienie słów Lakkii o moim pochodzeniu. Staram się ich nie rozpamiętywać, ale myśl, że być może właśnie przygotowuję się do poślubienia własnego ojca, napełnia mnie grozą. Muszę wiedzieć, czy Tarek rzeczywiście nim jest. A jeśli tak... Czuję kolejną falę mdłości. Jeżeli tak się okaże, to wówczas się tym zajmę.

O świcie moje ręce, stopy, ramiona i nogi są już pokryte misternymi symbolami słońca, księżyca i gwiazd. Na grzbietach dłoni siostry namalowały cyfrę jeden – pokonując Lakkę, odebrałam jej rangę pierwszej żony. Ścierają wyschniętą hennę, odsłaniając zabarwioną skórę, i ubierają mnie w moją szatę. Siadam na ołtarzu i trzymając się za obolały bok, wysyłam je po brata Shaana. Wyjaśniam, że pragnę jego błogosławieństwa.

W oczekiwaniu na jego przybycie próbuję nie patrzeć na miejsce, w którym zginęła Jaya, ale oczy same kierują się w tamtą stronę i widzę, że jej krew została dokładnie zmyta. Ostrzegałaby mnie, abym się nie poddawała smutkowi, ale ja nie potrafię się otrząsnąć z myśli o jej śmierci.

Brat Shaan wchodzi do kaplicy i zamyka za sobą drzwi.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Lakkia powiedziała, że jestem córką Yasmin i Tarka. Jeśli to prawda, to nie pojmuję, dlaczego stałam się podopieczną świątyni. Sądzę jednak, że ty to

wiesz.

– Uzdrowicielka Baka uprzedzała, że dotrzesz do sedna. – Podchodzi do ołtarza. – Prosiła, żebym ci wszystko wyznał, ale złożyłem przysięgę milczenia.

– Powiedz, co ma z tym wspólnego uzdrowicielka Baka. Zasługuję na prawdę.

Brat Shaan siada przy mnie na ołtarzu z głębokim westchnieniem.

– Zapewne masz rację. – Splata przed sobą ogorzałe dłonie. – Nie jesteś córką Tarka.

Z piersi wyrywa mi się westchnienie ulgi.

– Czyją więc córką jestem?

– Yasmin i Kishana.

Przenika mnie ciche echo jego odpowiedzi. Więc Lafia miała po części rację. Jestem córką Yasmin. Jednakże zaślepiona zazdrością nie dostrzegała tego, co widzieli wszyscy inni: że jej siostra kochała Kishana, przywódcę bhutów, z którym próbowała uciec. To jego dziecko nosiła i nie był to ani chłopiec, ani dziedzic Tarka, jak wielu przypuszczało. Urodziła dziewczynkę, która była Ognistą, jak jej ojciec.

– Wyjaśnij mi więc – podnoszę głos – dlaczego zostałam podopieczną świątyni.

– Tej nocy, kiedy zmarła Yasmin, czuwało przy niej dwoje ludzi: uzdrowicielka Baka, która wtedy była położną, i ja. Yasmin chorowała w czasie ciąży. Dla śmiertelnej kobiety urodzenie dziecka bhuty nie jest łatwe i często kosztuje ją życie. Gdy Yasmin usłyszała o śmierci Kishana, jej kruche ciało nie poradziło sobie z tak bolesną wieścią. Próbowaliśmy spowolnić poród, ale ona była zbyt zrozpaczona. Urodziła zdrową dziewczynkę. Jednak ten wysiłek całkowicie pozbawił ją sił, których już nie zdołała odzyskać. Wkrótce potem odeszła na zawsze. Ale wcześniej błagała nas, abyśmy ukryli jej córkę przed radzą.

Serce ściska mi się z ogromnego bólu. Słyszałam, jak inni mówili o Yasmin, i widziałam jej grobowiec, ale nigdy dotąd nie opłakiwałam jej śmierci. Była moją matką, a ja nigdy jej nie poznam. Wydając ostatnie tchnienie, błagała o bezpieczeństwo dla mnie, a ja nigdy nie usłyszę jej głosu.

Smutek naznaczył starą twarz brata Shaana wieloma zmarszczkami.

– Poprzedniej nocy uzdrowicielka Baka przyjęła poród martwego chłopca, więc położyliśmy go obok ciała Yasmin. Zabrałem dziewczynkę i ukryłem ją w świątyni w Vanhi. Kiedy była dość duża, by ją stąd wywieźć, wysłałem ją do najodleglejszej świątyni Siostrzeństwa. Uzdrowicielka Baka wyruszyła z nią jako jej... jako twoja opiekunka.

W osłupieniu słucham, jak liczne skrywali sekrety. Przez cały czas uzdrowicielka Baka wiedziała wszystko o moim pochodzeniu. Brat Shaan również. A jednak to od Lakkii dowiedziałam się prawdy. Była ze mną bardziej szczerą niż ci, którym ufałam.

– Dlaczego uzdrowicielka Baka milczała?

– Aby cię chronić i uszanować ostatnie życzenie Yasmin, nigdy nie powiedzieliśmy nikomu o twojej prawdziwej tożsamości. Kiedy się dowiedziałem, że tu przybędziesz, byłem zrozpaczony. Zrobiliśmy wszystko, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Ale bogowie przywiedli cię tutaj nie bez powodu. – Zniża głos do szeptu. – Hastin zamierza przejąć pałac, jak tylko odzyskasz *Zhaleh*. Za murami czeka dwudziestu bhutów gotowych do ataku.

Moja cierpliwość wypaliła się niemal do cna. Potrzebuję choć jednego dnia, by odzyskać siły po turnieju i przemyśleć to, czego się dowiedziałam o swoich rodzicach, ale nie zdołam powstrzymać ślubu. Gdybym miała zaufanie do Hastina, z mniejszą niechęcią myślałabym o tym, co się ma wydarzyć dzisiejszej nocy, ale nie ufam mu bardziej niż Tarkowi i nie widzę sposobu na powstrzymanie przywódcy bhutów przed atakiem. Jedyne, co mogę zrobić, to wypełnić swoją część umowy i modlić się, aby trwająca wojna nie stała się jeszcze bardziej krwawa.

– Przekaż mu, by czekał na mój znak – mówię. – Zapalę pochodnie przy

bramie, wtedy będzie mógł wejść. Ani sekundy wcześniej. Nowa przyszłość Tarachandu rozpocznie się pokojowo.

– Przekażę. – Brat Shaan przygląda się świeżym tatuażom na moich dłoniach i stopach. – Co zamierzasz?

– Odegrać swoją rolę. – Siedząc w lochu, obmyśliłam strategię na tę noc, ale mimo tej przezorności czuję, jak mi się trzęsą ręce.

– Masz świadomość, że komnaty radży zbudowano z tej samej trucizny, co lochy?

– Mam to na uwadze. – Nie zapomniałam, jak utraciłam swoje moce, gdy tylko weszłam do atrium, ale nie stanę przed Tarkiem bezbronna.

Brat Shaan poklepuje mnie po kolanie, by dodać mi otuchy.

– Pamiętaj, gdy tylko ujrzysz *Zhaleh*, nie zwlekaj. Radża nie może rozpocząć rytuału. – Przenosi wzrok na drzwi kaplicy, w których właśnie pojawia się Asha. – Nasz czas dobiegł końca – oznajmia. – Zobaczymy się na twoim ślubie.



Następnego dnia, po wielogodzinnych przygotowaniach Asha upina wokół moich bioder wytworne, haftowane złotem czerwone sari.

– Nigdy nie widziałam niczego piękniejszego – mówię, dotykając zdobień.

– Życzeniem radży było, abyś je włożyła – wyjaśnia Asha, układając haftowaną część w fałdy. – To ślubne sari jego pierwszej żony.

Gdy kończy fałdowanie, przypinanie i drapowanie sari, przyglądam się swojemu statecznemu odbiciu w lustrze. Do wczoraj myśl, że mam na sobie ślubne sari Yasmin, obrzydziłaby mi piękno tego stroju. Dzisiaj jestem wdzięczna, że noszę coś, co należało do mojej matki i co choćby w niewielkim stopniu mnie do niej przybliżyła.

Tej nocy, kiedy próbowaliśmy uciec, straciłam jej sztylety i swoją procę.

Żałuję, że ich nie mam, ale nawet gdyby było inaczej, nie zdołałabym ich przy sobie ukryć. W dopasowanych fałdach wytwornego ślubnego sari nie ma miejsca na żadną broń. Na koniec Asha zakłada mi naszyjnik Yasmin. Patrząc w lustro na ożywionego ducha mojej matki, zastanawiam się, w jaki sposób zabiłaby Tarka, gdyby była na moim miejscu.

Do komnaty wchodzi służąca z aksamitną sakiewką.

– Radza przysyła to dla Viraji.

Razem z Ashą patrzę, jak z sakiewki wydaję jakiś flakon. Odkręcam korek i komnatę wypełnia zapach imbirowo-lawendowego balsamu.

Nogi się pode mną uginają. Tarek znów próbuje upodobnić mnie do Yasmin. Czy nie wystarczy mu, że będę ubrana jak ona? Muszę jeszcze tak samo pachnieć?

Odstawiam dar na bok.

– Chciałabym zostać sama.

– Tak jest, Viraji. – Obie służące opuszczają komnatę.

Klękam przy łóżku i wkładam rękę pod materac – aż po pachę – by wyjąć stamtąd ostatnią fiołkę toniku oraz olejek, który dostałam od Jayi. Trucizna nie dodaje mi tyle otuchy co sztylet, lecz jest niewidoczna, a dzięki temu bardziej zabójcza.

Gdy wkładam fiołkę toniku za dekolt bluzki, do komnaty wpadają Parisa i Eshana. Olejek Jayi chowam do sakiewki razem z balsamem. To mój plan awaryjny, jeśli wszystko inne zawiedzie.

– Kali, wyglądasz przepięknie! – wykrzykuje Eshana.

Parisa gładzi brzeżek mojego rękawa.

– To najcieńszy jedwab, jakiego dotykałam. Moje ślubne sari nie było nawet w połowie tak eleganckie.

– I nawet w połowie nie byłaś tak ulubioną wybranką – dogryza jej Eshana.

Parisa zdziela ją moim zwiewnym welonem w bok głowy.

Do komnaty wbiega Asha, przeprasząc spojrzeniem za to zakłócenie przygotowań. Nie złość się. Nie rozmawiałam z tą gadatliwą dwójką od wielu dni. Chętnie słucham ich paplaniny.

– Wszystkie rani mówią o twoim występie na arenie – oznajmia Eshana, wdzięcząc się przed lustrem. – I wszystkie zgadzamy się, że byłaś ucieleśnieniem bogini ziemi. Prawdziwą siostrą-wojowniczką.

– Nikomu nie żal Lakii – dodaje Parisa. – Poprawił się nastrój w skrzydle dla żon. Bez niej wszystkim nam będzie lepiej.

Eshana przenosi wzrok ze swego odbicia na mnie. Przysłania mi dolną część twarzy woalem, a jego końce zatyka za uszy.

– Turnieje tronowe to już przeszłość. Skoro Tarek powołał już wszystkie rani, a ty jesteś naszą Pokrewną, możemy żyć w spokoju.

Ich słowa brzmią krzepiąco, ale mają gorzki posmak. Tyle ofiar musiało zginąć, abyśmy się znalazły w tym punkcie. Oby nie na próżno.

Shyla wślizguje się do komnaty i składa dłonie.

– Kalindo, wyglądasz oszałamiająco! Czy masz wszystko, czego ci potrzeba? Dzisiejszej nocy nie wrócisz do swojej komnaty.

– Tak. – Wręczam Ashy aksamitną sakiewkę z balsamem i olejkiem Jayi.
– Zanieś to do komnaty radży. To jego ulubiony zapach.

– Co to jest? – Parisa już wyciąga rękę.

– Możemy powąchać? – pyta Eshana.

Shyla obejmuje je obie w pasie i kieruje w stronę drzwi.

– Niech to będzie sekret Kalindy, przynajmniej dzisiejszej nocy.

Wychodzę z komnaty za rozchichotanymi kobietami, czując dotyk fiołki z tonikiem ukrytej za dekoltem mojej choli. Wątpię, czy każdy sekret jest śmiercionośny, ale obawiam się, że mnie dane jest skrywać wyłącznie takie.



Wporównaniu z turniejem ceremonia zaślubin sprawia dość skromne wrażenie. Wymieniamy ukłony, stojąc na tarasie w tylnej części pałacu, z widokiem na ogrody. Uroczystość celebryje brat Shaan, a Tarek przez cały czas przygląda mi się z uwielbieniem. Spuszczam wzrok, przysięgając przed bogami, że dobrowolnie poddam się woli męża w każdej sprawie. To jedyne przyrzeczenie, jakie mam tu złożyć. Złamię je, zanim ten dzień dobiegnie końca.

Po zakończeniu ceremonii Tarek i ja ruszamy na czele orszaku jego żon i kurtyzan do sali tronowej. Jej wnętrze wygląda tak, jakby miała się w niej odbyć turniejowa uczta, tyle że za stołami brakuje młodych kobiet, które zginęły, próbując się znaleźć tu dzisiaj jako panna młoda. Powinnam dziękować bogom, że nie jestem jedną z nich, ale moje serce przepełnia wyłącznie smutek.

Razem z Tarkiem – nawet w myślach nie chcę nazywać go swoim mężem – klękamy przy stole na podwyższeniu. Muzycy grają na litofonach radosną pieśń. Żony podchodzą, aby złożyć dary u moich stóp: pomadki do ust, jedwabie, perfumy, lecz przede wszystkim woale. Po dzisiejszej nocy będę miała obowiązek nosić woal w miejscach publicznych.

– Witaj, siostrze – mówią rani. Wręczając dary, całują mnie w kolano, aby okazać posłuch dla Pokrewnej.

Siedzący obok mnie Tarek wychyla pełny kielich apongu. Zamierzam

dolać toniku do jego trunku, ale dopiero wtedy, gdy ujrzę księgę. Nie chcę polegać wyłącznie na truciznie. Potrzebuję ostrej broni, którą można zadawać rany. Przepatruję stoły w poszukiwaniu noży, ale ich nie widzę. Zaciskam dłonie w pięści. Tarek wyciągnął wnioski po śmierci Gautama.

Radza owija sobie moje włosy wokół palca.

– Tradycja nakazuje, aby żona zatańczyła dla męża.

Włożyłam dla niego sari mojej matki i przysięgam, że będę mu posłuszna, ale nie będę dla niego tańczyć.

– Może pan młody zatańczy dla mnie?

– Czy wtedy się uśmiechniesz? – Jego ręka pełźnie w kierunku mojego kolana.

Marszczę brwi jeszcze mocniej.

– Być może.

– Zatem spróbuję. – Tarek wstaje i zachęca inne żony, by się do niego przyłączyły.

Parisa i Eshana podchodzą i wirują razem z nim, wyklaskując rytm. Mathura siedzi z boku, opierając chorą nogę na krześle i paląc fajkę. Nie przynosi mi podarunku ani nie składa gratulacji, ale nie oczekuję tego od niej.

Do mojego stołu podchodzi Natesa i kładzie woal u moich stóp. Stojący przy drzwiach Yatin nie spuszcza z niej oka. Tęskniłam za nim, odkąd przydzielono mu inne obowiązki.

– Dla ciebie – mówi Natesa, wskazując swój dar.

– Wciąż tu jesteś.

– Ty także. – Przygląda mi się z zaciekawieniem. – Znam cię od wielu lat, Kalindo. Uległość wobec mężczyzny nie leży w twojej naturze.

– To samo mogłabym powiedzieć o tobie.

Natesa siada obok mnie na satynowej poduszce.

– Odeszło tylko kilka kurtyzan, bo inne nie chcą zostać bez środków do życia. Tutaj mają niewiele, ale większość woli pracować w pałacu, niż żebrac na ulicy.

Ich decyzja o pozostaniu nie powinna mnie martwić; większość tych kurtyzan nie chciała walczyć ze mną o poprawę swojej pozycji. Ale nie chcę, aby Natesa pozostała niewolnicą na usługach mężczyzn na dworze radży.

– Może wrócisz do Siostrzeństwa? – proponuję. – Może zrobią dla ciebie wyjątek.

– To tylko inny rodzaj poddaństwa. – Natesa skubie luźną nitkę spódnicy. – Chciałabym otworzyć gospodę, ale nie szanuje się takich kobiet. Nikt by nie przychodził.

– Ja bym przychodziła – mówię. Jej oczy zachodzą łzami. Aby rozładować nastrój, kładę nogę na jej podołku. – Pocałujesz mnie w kolano?

Odpycha mnie żartobliwie i obie się śmiejemy, a jej łzy odchodzą w zapomnienie.

Zadowolony Tarek wraca do naszego stołu.

– Wreszcie widzę ten uśmiech. Gotowa do wyjścia, moja miłości?

Groźba znalezienia się z nim sam na sam sprawia, że moje moce rozbłyskują niespokojnie. Tłumię je gwałtownym kiwnięciem głową.

Natesa mnie obejmuje.

– Bądź ostrożna – szepcze. Zmuszam się do uśmiechu, udając, że dziękuję jej za gratulacje, po czym wstaję, aby wyjść z Tarkiem.

Gdy mijamy rani i kurtyzany, słyszę ich modły. Większość prosi boginię ziemi, by pobłogosławiła nas płodnością. Moja modlitwa kłóci się z ich życzeniami. „Proszę, Anu, obdarz mnie siłą, abym zdołała zabić Tarka, zanim mnie tknie”.

Kilku strażników czeka przed sypialnią radży. Zatrzymujemy się i jeden z nich sprawdza, czy nie mam przy sobie broni. Mój puls przyspiesza, gdy

jego ręce zbliżają się do dekoltu i muskają fiolkę z tonikiem.

– No, no! – woła Tarek, powstrzymując żołnierza. – Zostaw trochę dla mnie.

Drugi strażnik tłumi chichot, a ja oblewam się rumieńcem.

Wchodzimy z Tarkiem do jego komnaty i moje moce natychmiast przygasają, jak ledwie żarzący się węgielek przykryty warstwą popiołu. Rozglądam się, szukając jakiejś broni, ale nie widzę niczego przydatnego. Nawet lampy naftowe okazują się nieporęczne: stoją za wysoko i są za ciężkie, więc nie zdołam zamachnąć się jedną z nich, aby rozbić Tarkowi głowę.

Z ulgą zauważam, że na skraju łoża z baldachimem, dwukrotnie większego niż moje, leży aksamitna sakiewka z balsamem, którą dostałam od radzy. Za łóżem wisi sięgający od podłogi do sufitu gobelin z podobizną Anu. Bóg nieba zasiada na słońcu, ostrząc swój miecz ze światła na jego promieniach. Naprzeciwko ciągnie się olbrzymi balkon z widokiem na miasto pogrążone w mroku pustynnej nocy. Ta komnata i sceneria są oszałamiające, ale człowiek, z którym je dzielę, mógłby z równą łatwością mnie uderzyć, co pocałować.

– Masz ochotę się napić? – Tarek nalewa mi wina z przygotowanej na ozdobnym stoliku tacy.

Przyjmuję kielich i pociągam łyk.

– Nie przyłączysz się? – pytam.

Rozpina kołnierzyk kaftana.

– Dziś wieczorem dość już trunku wypilem.

Próbuję skusić go uśmiechem.

– To nasza noc poślubna. Najlepsza okazja, by sobie pofolgować.

– Pofolguję sobie później. – Tarek wodzi palcem wzdłuż linii mojej szczęki. – Najlepsze jeszcze przed nami.

Marszczę brwi, a on podchodzi do sekretarzyka. Ze środka wyjmuję jakąś księgę i amfore, które kładzie obok tacy z trunkami. Mosiężne naczynie jest tak małe, że mogłabym je wsunąć do kieszeni. Księga ma starą, sfatygowaną okładkę ze skóry, a jej stronicie są zszyte woskowanym sznurkiem. Nie śmiem się przyglądać tym przedmiotom zbyt długo, ale wiem, czym są. To *Zhaleh* i zebrane przez Tarka tysiąc kropli krwi bhutów.

– Rozgniewałaś mnie w lochach – mówi bez złości.

– Wybacz mi. – Mój głos brzmi chrypliwie. – Byłam w rozpacz.

W oczach radży pojawiają się ostrzegawcze błyski.

– Rozpaczałaś po nim?

– Po przyjaciółce. Czy mi wybaczysz? – Unoszę kielich. – Wypijmy za nowy początek.

– Uprzejmy gest, lecz nie. – Przez jego twarz przemyka drapieżny uśmiech. – Na naszą noc chcę zachować jasny umysł.

Uśmiecham się blado. Skoro nie będzie pił, tonik ukryty w mojej choli jest bezużyteczny. Muszę pomyśleć. Zahaczam wzrokiem o balsam, który Asha położyła na łożu. Podnoszę aksamitną sakiewkę i pokazuję mu ją.

– Podarunek od ciebie.

Tarek odkłada *Zhaleh* i podchodzi do mnie. Odśłania mi ramię. Moje serce wali niespokojnie.

– Imbir i lawenda. Ulubiony zapach Yasmin. – Nachyla się i całuje mój obojczyk. Czuję tak silną odrazę, że niemal dławię się własnym językiem. Wyjmuję mi kielich z ręki i chropawym głosem, przeciągając samogłoski, dodaje: – Pomóc ci się rozebrać?

– Chyba... dam sobie radę.

Wślizguję się za parawan i ledwo się powstrzymuję, by nie zacząć okładać pięściami tej dzielącej mnie od Tarka zasłony. Co za niezdolny człowiek! Pił na umór niemal każdego dnia, odkąd przybyłam do pałacu, ale

teraz nie weźmie do ust nawet łyżeczka. Oddycham powoli, ze wszystkich sił próbując uporządkować myśli. Na szczęście dzięki jego balsamowi zyskuję nieco cennego czasu. Drżącymi dłońmi otwieram sakiewkę.

Wypada z niej olejek, który dała mi Jaya. Mój plan awaryjny.

Sięgam po buteleczkę i przypominam sobie, co mówiła moja przyjaciółka. Jedna kropla trucizny na jej wargach wywołała u Gautama ból głowy, ale ona również doznała tych samych objawów. Jej olejek musi być mocniejszy niż mój tonik, lecz nigdy dotąd nie miałam styczności z tą toksyną, więc nie potrafię przewidzieć jej wpływu na mnie. Może jeśli wetrę go we włosy, zanim Tarek ich dotknie...

Otwieram buteleczkę i zanurzam w niej jeden kosmyk. Pod wpływem trucizny włosy natychmiast zmieniają kolor na jasny blond. Wyrrywam je, zaciskając zęby ze złości. Gdybym wtarła ten olejek w swoje pukle, Tarek natychmiast dostrzegłby różnicę.

Patrzę na flakon z balsamem. Skoro jedna kropla olejku jest tak szkodliwa, to może cała buteleczka okaże się zabójcza. Najszybciej, jak tylko mogę, wlewam olejek do balsamu, mieszam roztwór pędzelkiem do makijażu i zamykam flakon.

– Na pewno nie potrzebujesz pomocy? – pyta Tarek.

– Prawie skończyłam.

Zrzucam ślubne sari matki, bluzkę i halkę, a potem odwijam bandaż, którym mam obwiązane obolałe żebra. Fiolkę z niewykorzystanym tonikiem chowam wśród ubrań i wychodzę zza parawanu obnażona, z flakonem balsamu w ręku.

Tarek zdjął już kaftan i kurtę. Widok jego odkrytej klatki piersiowej jednocześnie mnie niepokoi i cieszy. Jeśli mam go otruć, nasze ciała muszą się ze sobą zetknąć. Radża zbliża się do mnie powoli, wzrokiem pozerając moją nagość. W innej sytuacji wstydziłabym się kusić go w ten sposób, ale przecież jestem jego żoną. Nie uwłacza mi wykorzystanie jego pożądania.

W imieniu każdej kobiety, którą zastraszał, w imieniu mojej matki i Jayi, w imieniu własnym – zakończę jego rządy.

Tarek gładzi mnie po włosach.

– Jesteś przepiękna.

Czując nieprzepartą chęć, by się okryć, otwieram flakon z balsamem. Radża wyczuwa słodki zapach i na twarz wypływa mu chłopięcy uśmiech. Nabiera obfitą garść smarowidła i nakłada mi je na plecy. Toksyny wnikają w skórę, wywołując lekkie mrowienie. Nawet jeśli Tarek czuje pieczenie, nie skarży się. Masuje mi ramiona i klatkę piersiową, pokrywając tatuaże z henny oleistym balsamem. Jego dłonie docierają do tułowia i delikatnie prześlizgują się po uszkodzonych żebrach. Obejmuję go ramionami, zaciskając zęby z bólu, który zdaje się rozrywać mi bok. Nasze klatki piersiowe napierają na siebie, a jego skóra wchłania coraz więcej balsamu.

Tarek całuje mnie pod uchem.

– Pachniesz cudownie.

Zanurza twarz w mojej szyi. Świat rozmywa mi się przed oczami, a serce wali jak u królika. Czuję, jak trucizna wnika w moje ciało, w żyły. Ale się nie boję. Od wielu tygodni odczuwam na plecach oddech śmierci. Z ulgą przeniosę się w Zaświaty, jeśli właśnie tego życzą sobie bogowie.

Tarek bierze mnie na ręce i zanosz do łoża. Kładzie się za mną i przytula się do mnie. Ustami muska moją szyję, a dłońmi bada całe ciało. Wzdłuż kręgosłupa spływają mi kropelki potu. Płuca kurczą się przy każdym oddechu.

Czy Jaya wiedziała, że do tego dojdzie? Zawsze wyprzedzała mnie o krok. Nie zdziwiłabym się, gdyby przewidziała, że moja ścieżka doprowadzi mnie do tej chwili.

Północny wiatr szeleści w balkonowych zasłonach. Coraz bardziej kręci mi się w głowie. Jeszcze mocniej przytulam się do Tarka, a nasze ciała dzieli jedynie zabójczy balsam. Radża wodzi palcami po moim biodrze, a jego

pieszczotom towarzyszy pulsowanie moich skroni.

Jego oddech staje się nierówny. Z nagłą siłą chwyta mnie za biodro.

– Coś ty mi zrobiła? – bełkocze.

Nie odpowiadam.

Przewraca mnie na plecy i przyciska do łoża. Twarz i szyję pokrywają mu czerwone plamy.

– Coś ty zrobiła?

Na jego czole lśni warstewka potu. Wzrok zachodzi mu mgłą, by za chwilę znów się wyostrzyć. Szeroko otwiera oczy, gdy uświadamia sobie prawdę.

Zsuwa się ze mnie i siada na krawędzi łoża, trzymając głowę w dłoniach.

– Jesteś jak ona, pod każdym względem. Przebiegła. Piękna. Podstępna. Niewierna.

Klękam za nim i przywieram do jego nagich pleców, aby przenieść na niego resztę trucizny.

– Nie zrobiłam nic, czego nie zrobiłaby Yasmin.

Strąca mnie, lecz wyraźnie już traci siły. Kręci mi się w głowie, choć materac łagodzi upadek.

Tarek wstaje i chwiejnym krokiem idzie po *Zhaleh*. Ruszam za nim na ślaniających się nogach, potykam się i wpadam na niego. Oboje zataczamy się na ścianę.

Radza trzyma mnie w słabym uścisku, gładząc mój policzek.

– Czekałem na ciebie od dawna. Od bardzo dawna.

Oczy zachodzą mi mgłą, kolory się rozmywają. Osuwam się na niego, szukając jakiegoś oparcia, ale nie jest w stanie utrzymać ciężaru mojego ciała. Upadamy na ziemię, wywracając stolik z trunkami. *Zhaleh* i amfora z krwią też lądują na ziemi, za daleko, by można po nie sięgnąć.

– Duszę się przy tobie. Tak jak ona. – Szarpie się za ściśnięte gardło. Każdy oddech boleśnie uderza w moje żebra.

Pierś Tarka faluje, płuca usiłują zaczerpnąć życiodajnego powietrza.

– Ciebie też bym kochał.

– Twoja miłość jest toksyczna. Ranisz wszystkich, na których ci zależy. – Nie potrafię się dłużej podtrzymać na rękach. Osuwam się obok niego. Ściany i sufit nie przestają wirować. Ciężar własnego ciała przyciska mnie do podłogi.

– Yasmin. – Z oczu wypływają mu łzy i kapią mi na twarz. – Nigdy nie przestałem cię kochać. Pragnąłem tylko, żebyś do mnie wróciła, moja miłości. – Ten cichy lament pozbawia go reszty sił i ostatnia iskra życia w jego oczach gaśnie.

Serce wali mi jak oszalałe. Walczę o każdy płytki oddech. Przymykam powieki i już nie mogę ich unieść.

„Jaya... Deven... Przyjdźcie po mnie”.

Zbłąkany podmuch wiatru wpada przez balkon, szarpie mnie za włosy i chłodzi zaognioną skórę. Udaje mi się unieść powiekę. Niebo rozświetlają błyskawice, a ziemia drży od pomruków burzy. Rozpętuje się prawdziwa ulewa. Kilka kropli wpada do komnaty, przynosząc mi obietnicę ulgi.

Podpierając się łokciami, podpełzam do balkonu, aby złapać trochę deszczu. Woda mnie oczyści. „Dalej. Nie poddawaj się. Dalej. Nie...”

Ostatnie siły opuszczają mnie w drzwiach. Oczy zachodzą mgłą. Próbuję złapać oddech, ale na próżno. Brakuje mi powietrza. Przewracam się na plecy, czując ogarniające mnie odrętwienie i pustkę.

Krople deszczu odbijają się rykoszetem od podłogi i spadają mi na twarz, błagając o jeszcze jedną próbę.

Determinacja sprawia, że udaje mi się przeczołgać przez drzwi i ostatecznie opaść z sił w strugach oczyszczającego pustynnego deszczu.

Wieje porywisty wiatr i sypie grad. Włosy mam przemoczone, a wilgoć na policzkach przypomina rosę. Łapię ożywczy oddech. A potem drugi. Zamknąwszy oczy, czuję, jak przygaszony żar mojej ognistej duszy budzi się i zaczyna płonąć pojedynczym, doskonałym płomieniem. Całą swoją istotą chwytam się tej wewnętrznej gwiazdy – i płonę.



Kali, słyszysz mnie? – Ciemność przemawia głosem, który brzmi jak głos Devena. – Co jej się stało?
– Została otruta.

„Brac?”

– Muszę wypalić z niej te toksyny, bo inaczej umrze – mówi ten drugi głos. Ktoś kładzie mi ręce na brzuchu. – Kali, może zabołec.

Dźwięk odpływa, a ja pogrążam się w piekle nieustającego zniszczenia. Dyszę i skręcam się z bólu, pragnąc, by ten zabójczy ogień przemienił się w przyjemnie buzujący płomień. Wkrótce, choć nie dość szybko, jego moc mnie oczyści i usunie truciznę Jayi z całego ciała. Jednak teraz moje wewnętrzne światło przypomina pożar – za gorący i szalejący zbyt blisko mnie. Nie zdołam przed nim uciec.

Gdy już tylko czekam, aż strawi mnie pożoga, te same dłonie wydobywają ze mnie nadmiar gorąca, a mój ogień duszy przycicha i zaczyna się palić doskonałym płomieniem.

Otwieram oczy. W górze szaleją błyskawice i przetaczają się grzmoty, od których szczękają mi zęby. Mój wzrok odzyskuje ostrość i widzę pochylonego nad Brakiem Devena. Obaj klęczą w deszczu.

– Dobrze się czujesz? – pyta Deven brata.

Brac ma wypieki na twarzy. Głowę opiera na dłoniach.

– Nic mi nie będzie. Zajmij się nią.

Deven okrywa mnie szlafrokiem i przykuca obok. Deszcz spływa mu z nosa, twarz ma posiniaczoną i miejscami opuchniętą, ale już nie zakrwawioną.

– Nastraszyłaś mnie – mówi do mnie.

Chwytam go za ramię, aby poczuć ciepło jego ciała, a potem sięgam głębiej, docierając do jego ognia duszy. Jest prawdziwy.

Zarzucam mu ręce na szyję.

– Powiedzieli mi, że zginąłeś.

– Ja też myślałem, że nie żyjesz. – Deven przytula mnie do siebie. Wdycham znajomy zapach drzewa sandałowego. – Brac wyciągnął mnie z rzeki i zabrał do Hastina. Wodna mnie uzdrowiła, lecz potem zamknęli nas obu w świątynnych piwnicach. Zostaliśmy uwolnieni przez brata Shaana.

– Ale Tarek powiedział, że znaleźli twoje zwłoki.

– Hastin upozorował moją śmierć. Uznał, że to cię zagrzeje do walki podczas turnieju.

– Co za kłamca! – Strata Devena i Jayi naprawdę zagrzała mnie do walki, ale to nie usprawiedliwia manipulacji ani kłosań, których dopuścił się Hastin.

Deven pomaga mi wrócić do komnaty. Łoże radży odsunięto od ściany. Usiadłszy na skraju materaca, wkładam ręce w rękawy szlafroka, którym jestem okryta, i przewiązuję się w pasie. Na podłodze leży Tarek z rozrzuconymi ramionami. Sądziłam, że będę go nienawidziła także po śmierci, ale czuję jedynie pustkę.

Deven gładzi mnie po plecach.

– Brat Shaan opowiedział nam, co zrobiłaś podczas turnieju. Żałuję, że tego nie widziałem.

– Już po wszystkim. – Opieram się o niego, wciąż nie dowierzając, że tutaj jest. – Nigdy więcej nie stanę na arenie.

Brac podnosi się powoli i ostrożnie z podłogi na balkonie i wchodzi do komnaty. Deven pomaga mu usiąść obok mnie. Choć byłam oszołomiona toksynami, pamiętam, co zrobił.

– Skąd wiedziałeś, że mam w sobie truciznę?

– Czułem, że tłumi twój wewnętrzny ogień. Na szczęście moje moce zdołały cię oczyścić, bo inaczej taka ilość toksyny niechybnie by cię zabiła. Niestety, teraz mnie dręczą jej zabójcze skutki.

– Dziękuję. – Obejmuję Braca i wtedy dostrzegam leżącą u jego stóp księgę. – *Zhaleh* – oznajmiam.

Brac pochyla się nad woluminem.

– Wygląda jak zwykły tekst – mówi, ale nie dotyka oprawy.

Murami wstrząsa dochodzący z dołu łoskot. Patrząc przez balkon na szeroko otwarte pałacowe bramy.

– Buntownicy są już w pałacu. – Deven bierze mnie za rękę. – Zostaw księgę i chodźmy.

– Nie – protestuję i odsuwam się od niego. – Hastin okłamał nas pod każdym względem. Upozorował twoją śmierć i zlekceważył mój rozkaz, by zaatakować dopiero wtedy, gdy zapłoną pochodnie przy bramie. Dopóki nie zostanie wyznaczony następca Tarka, władzę ma Hastin. Oddając mu teraz księgę, przekazemy mu całe imperium.

– Jeśli ją zabierzemy, będzie nas ścigał.

W tym stwierdzeniu zawarte jest pytanie: czy chcę drażnić przywódcę bhutów? Mogłabym umyć ręce od tej wojny, nie dbając o to, co się stanie z tym krajem. Wypełniłam wolę bogów. Tarek nie żyje, a ja odzyskałam wolność. Lecz czymże jest wolność bez spokoju ducha? Nie mogę złożyć losów imperium w ręce Hastina.

– Weźmiemy *Zhaleh* – postanawiam. – Nie przekażę władzy kolejnemu potworowi.

Brac patrzy na Devena, szukając u niego rady. To, o co ich proszę, nie jest zwykłym zadaniem. Odtąd żadne z nas nie spocznie, dopóki nie odnajdziemy księcia Ashwina i nie dopilnujemy, aby on i Hastin porozumieli się w sprawie zakończenia tej wojny.

Na znak swego wsparcia Deven kładzie mi dłoń na krzyżu.

– Prowadź nas, rani. – Jego słowa wnikają we mnie głęboko i napełniają wdzięcznością. Delikatnie wodzę palcem wzdłuż linii jego zarośniętej szczęki. Całuje mnie w usta i szepcze: – Moje szczęście jest przy tobie.

– Zostawcie to sobie na później – mówi Brac. Wrzuca *Zhaleh* i amforę do torby, krzywiąc się na myśl o znajdującej się w niej krwi.

Deven prowadzi mnie za odsunięte od ściany łóżce. Łoskot robi się coraz głośniejszy. Pęka sufit i przewracają się butelki z winem.

Brac nas popędza.

– Musimy uciekać, jakby nas ścigał demon Kur.

Deven unosi gobelin z podobizną Anu. W przejściu pali się pochodnia. Brac zdejmuje ją ze ściany, a Deven ujmuje moją dłoń. Spieszymy za Brakiem, oświetlani płamą światła. Tunel drży. Ze stropu i ze ścian odpadają płatki ziemi.

Deven puszcza moją rękę.

– Biegnij!

Pędzę za nim co tchu. Wokół nas osypuje się ziemia, a wirujący w powietrzu pył przesłania majaczące przed nami szare wyjście. Brac mknie wśród spadających kamieni, lecz jeden z nich wytrąca mu pochodnię z ręki. Tunel za nami się zapada. Staczamy się ścigani rozpryskującą się ziemią, by wreszcie zatrzymać się nad samym brzegiem rzeki.

Nim zdążę wstać, ziemia znów zaczyna drżeć. Podnoszę wzrok, by ujrzeć,

jak zawalisko ustępuje przed mocą Hastina. Z obłoku opadającego pyłu wyłaniają się trzy postacie.

– Uciekaj! – krzyczę do Braca.

Wskakuje do rzeki, trzymając torbę nad głową. Deven i ja ruszamy za nim, ale potężny podmuch wiatru odrzuca nas do tyłu. Lądujemy twardo na ziemi, a moje połamane żebra przeszywa ból. Osłaniam oczy przed tym nienaturalnym powiewem i spoglądam na Hastina. Za jego plecami stoją Anjali i Indira.

Anjali ucisza swój strofujący podmuch. Indira musiała uzdrowić jej ranną nogę, bo już nie utyka. Wstaję, trzymając się za obolały bok. Deven chwytając za rękojeść miecza. Brac już zniknął nam z oczu, unosząc ze sobą księgę *Zhaleh*.

– Odbierzcie im broń – rozkazuje Hastin.

Anjali mnie obszukuje, a Indira odbiera Devenowi miecz, po czym obie od nas odstępują.

– Gdzie jest *Zhaleh*? – pyta Hastin.

– Radza nie żyje – odpowiadam beznamiętnie. – Wypełniłam swoją część umowy.

– Umowa dotyczyła księgi.

– Twoim celem nie jest pokój – mówi Deven. – Ty pragniesz zemsty.

– Chcę, aby imperium zapłaciło za krzywdę wyrządzoną mojemu ludowi.

Jaskinia zdaje się odzwierciedlać gniew przywódcy bhutów. Kamienie staczają się po pochyłym terenie i z głośnym pluskiem wpadają za nami do rzeki.

– Twój ojciec wstydziliby się ciebie, Kalindo – zwraca się do mnie Hastin, a widząc, jak zwężają mi się oczy, dodaje: – Tak, wiem, że jesteś córką Kishana.

Piorunuję go wzrokiem za kolejne oszustwo.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie musiałaś tego wiedzieć, aby przystać na naszą umowę. Wszystko ma swoją cenę. Pytanie brzmi, czy jesteś skłonna ją zapłacić. – Hastin przybiera kamienny wyraz twarzy. – Kishan prowadził dziennik – oznajmia. – Oddam ci go w zamian za *Zhaleh*.

Ze zdumienia aż mi oddech zapiera. „Mój ojciec”.

– Jego ostatnie wpisy mówią o chwilach spędzonych z Yasmin. Pisze o niej i o dziecku, które nosi.

W moim sercu wzbiera pragnienie, żeby przeczytać słowa, które mój ojciec napisał o mnie i o mojej matce.

Hastin odchyła głowę do tyłu, a na jego ustach pojawia się znaczący uśmiech. Ma coś, czego bardzo, ale to bardzo pragnę.

– Powiedz mi, gdzie jest *Zhaleh*, a dziennik będzie twój.

– Kali? – W głosie Devena słychać ostrzegawczą nutkę.

Nie powinnam się układać z przywódcą bhutów. Nie mogę mu ufać. Ale chcę mieć ten dziennik.

Anjali dotyka ucha, słuchając odległych dźwięków, których reszta z nas nie może usłyszeć.

– Ojcie... Żołnierze.

– Zgadzasz się, Kalindo? – pyta Hastin.

Serce mi się ściska, bo chciałabym lepiej poznać swoich rodziców, lecz zbyt często ulegałam już manipulacjom Hastina. Nie mogę oprzeć losu całego imperium na jego słowie.

– Nie – odpowiadam.

Jaskinię nad nami wypełniają strażnicy pałacowi, wśród których widzę Manasa.

– Przemów jej do rozumu – mówi Hastin do Anjali, po czym odwraca się

do nadbiegających żołnierzy i tupie. Ściany jaskini zaczynają drżeć. Spadające ze stropu kawałki skał miażdżą kilku strażników.

Anjali wyjmuję czakram i mierzy nim w Devena. W moich oczach płonie wściekłość. Szeroko rozkładam ramiona i ciskam w nią swoim wewnętrznym ogniem. Podmuch gorąca zbija Anjali i Indirę z nóg.

– Uciekaj! – krzyczę do Devena.

Wskakujemy do zimnej rzeki i płyniemy ramię w ramię, z każdym ruchem oddalając się od Hastina. I wtedy, zupełnie niespodziewanie, prąd zmienia kierunek. Przywieramy do siebie, gdy potężna siła żywiołu niesie nas z powrotem. Indira stoi zanurzona po łydki w wodzie. To ona zawraca bieg rzeki.

Za Wodną widzę Anjali, która wywołuje wiatr i uderza nim w żołnierzy. Cyklon porywa kilku z nich i unosi wysoko w powietrze, by po chwili cisnąć nimi w dół. Nad wzburzonymi wodami niosą się ich przerażone krzyki, a gdy ciała uderzają o ziemię, zalega cisza.

Pod palcami nóg czuję rzeczny muł. Deven stoi obok mnie. Trzymam się go kurczowo i razem walczymy z siłą wody, ale nogi mamy jak z kamienia. Prąd wypłukuje nam spod stóp ten mazisty osad i ciągnie nas w stronę Indiry.

Brzegiem rzeki nadbiega Manas. Uderza Indirę z boku i przewraca ją na suchy ląd. Wodna traci kontrolę nad rzeką i nurt się uspokaja. Razem z Devenem płyniemy ku głębinie. Rzeka odzyskuje swój odwieczny bieg i unosi nas w dal, aż wreszcie tracimy z oczu żołnierzy i bhutów.

Jaskinia otwiera się na szare niebo i teraz rzeka niesie nas przez miasto ku spokojnym wodom na pustyni.

– Deven! Kali! – woła Brac.

Wychodzimy na brzeg i bezwładnie osuwamy się na mokry piasek, szcękając zębami. Opieram głowę o pierś Devena i dostrajam znużony oddech do jego mocnego bicia serca. Złość na Manasa słabnie wraz z każdym haustem powietrza. Nie chcę go już więcej widzieć na oczy, ale zawsze będę

mu wdzięczna za to, że pomógł nam uciec.

– Mamy towarzystwo – mówi Brac.

Unoszę się na łokciach i widzę karawanę zbliżającą się do nas w blasku księżyca. Na jej czele jedzie strażnik pałacowy, a na drugim z czterech wielbłądów siedzą dwie kobiety z woalami na twarzach. Mój niepokój rozwiewa się, gdy tylko rozpoznaję strażnika.

Yatin zsiada z wielbłąda jako pierwszy, a potem pomaga Natesie, która wita się ze mną żarliwym uściskiem.

– Mathura powiedziała, że mogę przyjechać.

– Cieszę się – zapewniam ją i uśmiecham się do Yatina. – Ciebie też dobrze widzieć.

Krzepki żołnierz chwyta mnie w ramiona.

– Żebra! – chrypię, a on rozluźnia uścisk, rumieniąc się z zażenowania.

Deven pomaga zsiąść matce. Brac podchodzi do nich, powłócząc nogami i ze zwieszoną głową. W oczach Mathury lśnią łzy.

– Matko – mówi Brac – chciałem ci powiedzieć...

Mathura kładzie dłoń na jego policzku.

– Brat Shaan już mi wszystko wyjaśnił. – Zamyka Braca w uścisku, a drugim ramieniem otacza Devena. – Moi chłopcy. Jestem taka szczęśliwa, że nic wam się nie stało. – Całuje ich w policzki i ściska jeszcze mocniej.

Deven obejmuje matkę i brata. Uśmiecham się do siebie, ciesząc się ze zjednoczenia ich rodziny.

– Skąd wiedziałeś, żeby wyjechać nam na spotkanie? – pytam Yatina.

– Brat Shaan ostrzegł Mathurę, że wkrótce po ślubie pałac zostanie zaatakowany. Pomogłem jej i Natesie się wymknąć. Wiedziałem o tunelach i uznałem, że jako drogę ucieczki wybierzecie rzekę.

– Dobrze zrobiłeś – mówi Brac, podchodząc do nas. Poklepuje Yatina po

plecach. – Jesteś jeszcze większy, niż cię zapamiętałem, stary druhu.

– A ty jesteś mniejszy – odpowiada Yatin z uśmiechem.

Piasek pod naszymi stopami zaczyna lekko drżeć, a przez zachmurzone niebo przetacza się echo furii. Nasz krótki zjazd rodzinny maćci niepokój; wkrótce zacznie nas ścigać przywódca bhutów.

Deven patrzy na chmury.

– Za długo tu zabawiliśmy. – Pomaga mi się wspiąć na jednego z dodatkowych wielbłądów, po czym siada przede mną.

Na czwartego wielbłąda wspina się Brac z torbą na ramieniu, zawierającą *Zhaleh*, i nasza karawana rusza w głąb pustyni. Błyskawice oświetlają rozciągające się wokół piaski. Oglądam się przez ramię na Miasto Klejnotów. Nad szczytem wzgórza krążą burzowe chmury, okrywając jasne obmurowania pałacu mrokiem.

Suchy wiatr sypie mi szorstkim piaskiem w twarz. Obejmuję Devena w pasie i przyciskam policzek do jego pleców. Zostawiamy burzę za sobą i brnąc przez wydmy, podążamy za jaśminowym blaskiem księżycy.

PODZIĘKOWANIA

Uroczyście, z ręką na sercu, dziękuję tym, którzy obdarzyli mnie największym wsparciem.

Przede wszystkim mojemu mężowi Johnowi, najlepszemu towarzyszowi, jakiego można sobie wymarzyć, i najzyczliwшему człowiekowi, jakiego znam. Najpiękniejsze słowa przyrzekam zachować dla Ciebie.

Naszym dzieciakom: Josephowi, Julianowi, Danielle i Ryanowi – jesteście najjaśniejszymi duszami w całym wszechświecie. Nigdy nie wątpcie w swój boski potencjał.

Mojej niezwykłej agentce Marlene Stringer – za niekończącą się ciężką pracę i niewzruszony entuzjizm. Obiecuję, że napiszę kolejne historie, które przyprawiają Cię o dreszcze. Mojemu redaktorowi i wszechstronnemu kapitanowi Jasonowi Kirkowi – za „Viva Kalinda”, którym kończysz swoje maile, i za te wszystkie wstrzymane oddechy; jestem Ci niewymownie wdzięczna za wsparcie. Mojej redaktorce Clarence Haynes – za niezrównaną wnikliwość i bystre oko, któremu nie umknie żaden szczegół; dziękuję za pomoc w rozwijaniu tej opowieści. I całemu zespołowi Skyscape – za to, że przyjęliście mnie do swojego grona, a moje książki znalazły u Was szczęśliwą przystań.

Na podziękowania zasługują także niniejsze bezkonkurencyjne *femme fatale*: Kathryn Purdie – za czuwanie nad tą opowieścią od samego początku i dawanie mi kopa wtedy, kiedy go potrzebowałam; Angie Cothran – za to, że jesteś moją stałą cheerleaderką; Erin Summerill – za Twój imprezobus i zawsze dostępne miejsce na kanapie; Ilima Todd i Tricia Levenseller – za przebrnięcie przez pierwsze szkice; Veeda Bybee – za to, że pozwalasz się kusić ciemną stroną mocy; Kate Coursey – za przejażdżki i gorące usta;

Deana Barnhart, moja przyjaciółka z Południa – za odpowiedź na mail od zdesperowanej nieznajomej; Charlie N. Holmberg i Caitlyn McFarland, moje genialne siostry z agencji literackiej; oraz Shaila Patel – za dzielenie się swoimi zwyczajami i wspomnieniami. Wszystkie jesteście boginiami.

Niezliczone podziękowania dla Rachel Brooks za to, że pierwsza we mnie uwierzyła, i dla Cupid's Literary Connection za podjęcie ryzyka współpracy z debiutantką. Caralee Flowers i Katie Ronning dziękuję za niedzielne wizyty, a Randy'emu i Jessice Farrom – za rozmowy o książkach i filmach nad dietetyczną colą i przy akompaniamencie dziecięcych krzyków. Podziękowania składam moim piszącym przyjaciołom VIP-om z Write Night, LDStorymakers i Swanky Seventeens, a także znajomym blogerkom, bez których byłaby to jakże samotna podróż.

Wyrazy nieskończonej wdzięczności należą się także: moim rodzicom, którzy przez wiele lat mnie dopingowali i we mnie wierzyli; Eve, Sarah i Stacey, które są dla mnie niezwykle ważne (wciąż czekam, aż podbijemy świat); Ethanowi za to, że zapoznał mnie z SF i fantasy; moim hojnym teściom, Mike'owi i Ricie; oraz mojej coraz liczniejszej rodzinie, której częścią są: Beth, Jonathan, Steven i Chris.

Dziękuję moim dzielnym czytelniczkom – powołuję Was na swoje faworytki.

I wreszcie jestem wdzięczna kochającemu Bogu – nigdy nie zapomnę, jak poznałam Kalinę i radzę Tarka. Dziękuję za inspirację i odwagę, by odnaleźć własną drogę.

O AUTORCE

Emily R. King jest czytelniczką wszystkich gatunków i autorką książek fantasy. Urodzona w Kanadzie, a wychowana w USA, do perfekcji opanowała kanadyjskie „eh” oraz amerykańskie „y’all” i sprawnie posługuje się nimi na zmianę. Miłośniczka rekinów, wielbicielka gumisiów, a w głębi ducha wyspiarka, lecz przede wszystkim matka czworga dzieci. Jest członkinią Society of Children’s Book Writers and Illustrators [Stowarzyszenie Autorów i Ilustratorów Książek dla Dzieci], a także działaczką lokalnej społeczności pisarzy. Mieszka w północnym Utah z rodziną i marudnym kotem.

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Od autorki](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Hundredth Queen

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: M.S. Corley

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Copyright © 2017 by Emily R. King

All rights reserved.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz
Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Oślizło, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2019

ISBN 978-83-66234-26-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek